

Podobno nikt nie zapomina  
swojej pierwszej miłości.



# Nie zapomnij o mnie

**Mhairi  
McFarlane**



AUTORKA BESTSELLERU *MIŁOŚĆ NA PÓŹNIEJ*

# Nie zapomnij o mnie

Mhairi McFarlane

przełożył  
**Radosław Madejski**



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

*Mojej siostrzenicy Sylvie*

*– małej superbohaterce*



**Miłość jest dziwna, w ciemnościach tak prawdziwa**

**Pomyśl o czułościach, którym się oddawaliśmy**

**SIMPLE MINDS, *DON'T YOU FORGET ABOUT ME***

## Wtedy



### *Tapton School, Sheffield, 2007*

*Kochałaś mnie, więc jakim prawem mnie porzuciłaś? Jakim prawem, pytam? [...] Dlatego, że nie mogły nas rozdzielić ani nędza, ani poniżenie, ani śmierć, ani żadna siła boska czy szatańska, tyś to uczyniła z własnej woli. Ja ci nie zламаłem życia, sama to uczyniłaś, za jednym zamachem łamiąc i moje[1].*

David Marsden, najbardziej zadziorny z moich kolegów, uniósł wzrok i otarł podbródek rękawem. Odczytał fragment gotyckiej powieści Emily Brontë z takim zaangażowaniem, jakby to było menu w Pizza Hut. Jako nastolatek musiał się starać, żeby jego głos brzmiał monotoniem, w przeciwnym razie rówieśnicy mogliby mu zarzucić, że jest ciotą.

W klasie było duszno od gęstego upału, jaki panuje w środku lata, kiedy już w południe ubranie klei się do skóry. Siedząc w betonowym kloku z lat sześćdziesiątych przy podniesionych do połowy oknach – taka klimatyzacja dla ubogich – słyszeliśmy odległy gwar dobiegający z boiska szkolnego.

– Dziękuję, Davidzie – powiedziała pani Pemberton, gdy zamknęła książkę, po czym zwróciła się do nas wszystkich: – No i jak myślicie, o co chodzi tutaj Heathcliffowi?

– Znowu się pieni, bo laska go olała – odparł Richard Hardy.

Wybuchnęliśmy śmiechem, ale nie tylko po to, żeby odwlec akademickie rozważania. Śmialiśmy się, bo ten dowcipny komentarz padł z ust kogoś takiego jak Richard Hardy.

Niektórzy zaczęli coś mamrotać niepewnie, nikt jednak nie trafił z odpowiedzią. Do egzaminów końcowych zostało sześć tygodni, więc ogarniał nas gorączkowy nastrój, który łączył w sobie radosne wyczekiwanie na upragnioną wolność z panicznym strachem przed zbliżającym się ostatecznym rozliczeniem. Udręczeni bohaterowie lektury zaczęli działać nam na nerwy. Ich problemy wydawały się błahostką w porównaniu z naszymi.

– Trochę strasznie to brzmi, jak on ją pyta: „Jakim prawem mnie porzuciłaś?” – odezwałam się, kiedy nikt inny nie zamierzał przerywać coraz dłuższego milczenia. W końcu pani Pemberton mogła się wkurzyć i zadać nam więcej do domu. – Bo jeśli uznał, że albo Katy z nim zostanie, albo nie powinna być szczęśliwa, to jego podejście jest takie jakby... nie tego.

– Interesujące. Czyli twoim zdaniem Heathcliff niesłusznie twierdzi, że wypierając się swoich uczuć, Katy rujnuje życie sobie i jemu?

Wzięłam głęboki wdech.

– No... chodzi o to, że miłość Katy do Heathcliffa przypomina podwodne skały. Owszem, jest stała, ale nie sprawia jej przyjemności – odparłam pospiesznie, spodziewając się nieuniknionego szmeru rozbawienia na słowo „przyjemność”. – To nie brzmi zachęcająco, prawda? Wszystko opiera się na jej zobowiązaniach wobec niego.

– W takim razie sądzisz, że ich uczucie jest głębokie, ale nie romantyczne?

– No raczej psychiczne – odezwał się męski głos.

Obróciłam głowę i zobaczyłam, jak Richard Hardy puszcza do mnie oko. Tętno natychmiast mi przyspieszyło.

Pani Pemberton – co było strasznie wkurzające – traktowała poważnie każdą moją wypowiedź i zmuszała mnie do wnikliwych procesów myślowych. Raz kazała mi nawet zostać po lekcji i zaczęła

prawić morały.

– Zaniżasz loty kosztem swojego intelektu, żeby przypodobać się rówieśnikom, Georgino Horspool – powiedziała. – Za murami tej szkoły rozciąga się szeroki świat, a oceny z egzaminu końcowego przyniosą ci więcej pożytku niż wybuch śmiechu w klasie. Pamiętaj: piękna twarz też się starzeje.

Rozwścieczyła mnie ta rozmowa i to był ten rodzaj wściekłości, jaki nas ogarnia, kiedy ludzie coś nam zarzucają, a my wiemy, że mają absolutną rację. Jednak – nie powiem, ta „piękna twarz” mile mnie polectała, choć wcale nie uważałam siebie za ósmy cud świata, który w dodatku nigdy się nie zestarzeje.

Po klasie rozniósł się stłumiony gwar – oczywiście, każdy miał gdzieś *Wichrowe Wzgórze*. Nauczycielka wyczuła ten gorszący spadek zainteresowania lekturą i postanowiła sięgnąć po radykalne środki.

– Musicie pozamieniać się miejscami – oświadczyła. – Taki układ najwyraźniej nie sprzyja koncentracji.

Zaczęła chodzić od ławki do ławki i przesadzać najbardziej gadatliwych przy akompaniamencie głośnych pomruków niezadowolenia. Do końca miałam nadzieję, że ta rozszalała mnie ominie.

– Joanno, możesz zostać, a ty, Georgino, pójdiesz do przodu.

– Co? Dlaczego?

Pierwszy rząd był zarezerwowany dla uczniów sprawiających problemy, nieuków i wyrzutków. To, że tam trafiłam, zakrawało na rażącą niesprawiedliwość.

Nasze dotychczasowe rozmieszczenie odzwierciedlało niepisany, lecz bezwzględny podział kastowy. Kujony i świrusy z przodu. W środkowych rzędach niespecjalnie lubiane osoby, które zabiegały o popularność, czyli na przykład Jo i ja. A z tyłu klasowe gwiazdy: Richard Hardy, Alexandra Caister, Daniel Horton i Katy Reed. Plotki głosiły, że Richard i Alexandra ze sobą chodzą, chociaż wydawało się to zbyt przyziemne dla kogoś takiego jak oni.

– No już, przesiadaj się.

– Oj, proszę pani!

Wstałam z ciężkim westchnieniem i zaczęłam się pakować w żółtym tempie, żeby zaakcentować swoją niechęć.

– Zapraszam – dodała pani Pemberton, wskazując mi ławkę w pierwszym rzędzie. – Lucas na pewno się ucieszy z twojego towarzystwa.

Mogła sobie oszczędzić tego komentarza, który wywołał falę chichotów.

Lucas McCarthy był małomówny i zawsze trzymał się na uboczu, jak każdy, kto ma zadatki na mordercę. Nikomu się nie narzucał, ale i tak nie wybrałabym miejsca obok niego. Szczupła sylwetka i spiczasty podbródek nadawały mu nieco cherlawy wygląd. Był Irlandczykiem, o czym świadczyły czarne jak smoła – a przy tym zaniedbane – włosy i blada cera. Niektórzy chłopcy nazywali go Gerrym Adamsem – ale tylko za jego plecami, bo mógłby się poskarżyć starszemu bratu, który podobno potrafi przywalić.

Lucas przyglądał mi się nieufnie. Niesamowicie, jak wyraźnie dało się dostrzec zaskoczenie i lęk w jego ciemnych poważnych oczach. Czyżby się obawiał, że upokorzę go przed całą klasą i nie ukryję niesmaku? To było takie przerażające? Potrzebował więcej czasu, żeby zebrać się w sobie?

Nagle poprzez jego niepokój spojrzałam na samą siebie. Zrobiło mi się głupio na myśl, że jestem osobą, po której spodziewał się czegoś takiego.

– Wybacz, że się narzucam – powiedziałam, opadając na krzesło, i poczułam, że napięcie odrobinę zelzało.

Lubiłam używać górnolotnych zwrotów, ale wypowiadałam je od niechcenia, z wyraźną nutką ironii, żeby nikt nie pomyślał, że próbuję się popisywać. Zresztą pani Pemberton zbyt dobrze mnie знаła, żeby się nabrać.

– A teraz podam wam zagadnienie, nad którym będziecie pracować do końca lekcji. W piątek omówimy wasze wnioski – oznajmiła nauczycielka. – Czy *Wichrowe Wzgórze* to powieść o miłości? A jeżeli tak, to jakiego rodzaju jest to miłość? Ustalcie w parach, kto będzie notować.

Lucas posłał mi niepewny uśmiech.

– Ty jesteś bystrzacha od myślenia, to ja będę od pisania – zaproponował, gryzmołąc zadany temat na kartce A4.

– Tak uważasz? Dziękuję.

Uśmiechnęłam się do niego życzliwie – Lucas natychmiast się rozpromienił. Zaczęłam grzebać w pamięci, próbując sobie przypomnieć coś przydatnego na jego temat. Dołączył do nas dopiero dwa lata temu i po części właśnie dlatego wydawał mi się trochę obcy. Zawsze nosił glanowate martensy i czarne podkoszulki z wyblakłymi, spękanymi w praniu nadrukami. Na nadgarstku miał trzy kolorowe sznurki związane jak bransoletki. Pamiętam, że z tego powodu niektórzy chłopcy nazywali go Cyganką – ale nigdy przy nim, bo jego starszy brat potrafi przywalić. W świetlicy zazwyczaj siedział na uboczu ze stopą opartą na kolanie i czytał magazyny muzyczne.

– Zgadza się z twoją opinią na temat Heathcliffa – oznajmił. – To bardziej wilkołak niż człowiek.

Dotarło do mnie, że przez dwa lata chodziłam do tej samej szkoły i przesiadywałam w tej samej klasie co on, a mimo to nigdy nie zamieniliśmy ani słowa. Mówił łagodnym tonem, z lekkim irlandzkim zaśpiewem, którego się nie spodziewałam. Do tej pory w ogóle nie zwracałam na kolesia uwagi.

– Zgadza się! Jest jak wielki dożarty pies – uznałam. Lucas uśmiechnął się, zanotował na kartce moje spostrzeżenie. – Drażni mnie to, że Katy musi wziąć na siebie całą winę – dodałam. – Podejmuje jedną złą decyzję i wszystko się pieprzy na kilka pokoleń.

– Ale gdyby podjęła właściwą decyzję, nie byłoby całego zamieszania, nie?

Parsknęłam śmiechem.

– Racja. Książka miałaby tytuł *Witajcie u Heathcliffów*. Ale czekaj, jeśli Heathcliff jest nazwiskiem, to jak brzmi jego imię?

– Myślę, że on nie ma imienia. Tak jak Morrisey.

– Mógłby się nazywać Heathcliff Heathcliff.

– Nic dziwnego, że jest taki popieprzony.

Znów się roześmiałam. Uświadomiłam sobie, że Lucas mało się odzywa nie dlatego, że nie ma nic do powiedzenia. Zamiast mówić, woli słuchać i obserwować. Rozmawiając z nim, czułam się tak, jakbym otwierała niepozorną drewnianą szkatułkę, która kryje w sobie masę kosztowności. Ale czy Lucas jest niepozorny? Musiałam to sobie jeszcze przemyśleć.

– Tylko że nie chodzi tutaj o jej decyzję... – podjął z wahaniem, jakby wciąż badał moje nastawienie. – Znaczący problem nie tkwi w majątku czy w pochodzeniu. Katy uważa, że jest dla niego zbyt doskonała, ale takiego przekonania nabrała dopiero w domu Lintonów. Zaczęła się od niego oddalać od tego incydentu z psem. A może to wszystko wina psa?

Przygryzł końcówkę długopisu i spojrzał na mnie z niepewnym uśmiechem. Coś się zmieniło i już nic nie było takie samo. Nie zdawałam sobie sprawy, że takie ulotne chwile mogą mieć tak niesamowitą moc.

– Więc cały problem w tym, że miłość przepadła... – zawiesiłam głos, szukając sformułowania, dzięki któremu mogłabym zabłysnąć – ...wskutek niesprzyjających okoliczności.

– Ale czy rzeczywiście przepadła? Po latach Katy wciąż go nawiedza jako duch. Myślę, że ich miłość przetrwała, tylko w zmienionej formie.

– Tyle że to forma wynaturzona, bolesna i pozbawiona nadziei, pełna gniewu i żalu, a Heathcliff nawet nie może dotknąć swojej ukochanej – skwitowałam.

– Otóż to.

– Jakbyśmy rozmawiali o moich rodzicach.

Kilka razy w życiu zdarzyło mi się powiedzieć coś dowcipnego, ale dotychczas jakoś nie miałam przyjemności oglądać szczerzego rozbawienia wywołanego moim żartem. Tym razem jednak zostałam nagrodzona promiennym uśmiechem i... uświadomiłam sobie, że Lucas jeszcze nigdy nie otworzył przy mnie ust na tyle szeroko, żebym mogła zauważyć, jak olśniewająco białe są jego zęby.

Właśnie tak to się zaczęło, ale właściwy początek nastąpił trzy lekcje później, gdy przeczytałam tamte trzy słowa. Zobaczyłam je u dołu kartki A4, na końcu wspólnego wypracowania na temat roli sił

nadprzyrodzonych. Na przemian dopisywaliśmy swoje komentarze, wysilając intelekt, żeby sobie nawzajem zaimponować. Kiedy mój wzrok spoczął na oderwanym od kontekstu krótkim zdaniu, przez sekundę patrzyłam na nie zdezorientowana, potem poczułam na karku falę gorąca, która rozlała się po całym ciele.

*Kocham twój śmiech. X*

Wpatrywałam się w ten zaskakujący tekst nakreślony niebieskim tuszem. Wyglądał tak zwyczajnie, że omal go nie przeoczyłam. Dlaczego Lucas nie wysłał mi esemesa? Wymieniliśmy numery komórek, na wypadek gdyby nasunęły się nam jakieś pilne kwestie związane z lekturą. W sumie domyślałam się, dlaczego nie wyznał mi tego przez telefon. Wysyłanie takich wiadomości jest zbyt jednoznaczne. Z takiego dopisku mógł zawsze się jakoś wykręcić w razie potrzeby.

A więc moja obsesja na punkcie Lucasa McCarthy'ego została odwzajemniona. Jeszcze nigdy tak nie iskrzyło między mną a kimkolwiek, a na pewno nie między mną a chłopakiem, którego skóra przypominała chińską porcelanę.

Kiedys wcale nie dostrzegałam Lucasa, za to teraz nieustannie pochłaniał moją uwagę. Miałam wyostrzone zmysły niczym drapieżnik na szczycie łańcucha pokarmowego, więc kiedy razem byliśmy w świetlicy, w dowolnej chwili mogłam dokładnie wskazać, gdzie siedzi Lucas, nawet nie patrząc w jego stronę.

W końcu dopisałam pod spodem drżącą ręką:

*Ja twój też. X*

Gdy po dzwonku oddałam mu notatnik, nasze rozbiegane spojrzenia spotkały się kilka razy, choć speszzeni natychmiast odwracaliśmy wzrok. Później brudnopis znów trafił w moje ręce, ale już bez tej kartki.

Nie wiedziałam, jak to jest, kiedy człowiek się zakochuje. W życiu czegoś takiego nie doświadczyłam. Odkryłam jednak, że bez trudu można rozpoznać to uczucie, kiedy już się pojawi.

Wykorzystywaliśmy każdą okazję, by wspólnie powtarzać materiał po lekcjach, a dzięki pogodzie zyskaliśmy też pretekst do spotkań w ogrodzie botanicznym. W gruncie rzeczy były to najzwyczajniejsze randki, a rozłożone na trawie podręczniki i notatki stanowiły niezawodny kamuflaż. Miałam ochotę wyściskać panią Pemberton.

Z początku bez przerwy rozmawialiśmy, poznając się nawzajem i chłonąc każdą informację. O tym, jak mu się żyło w Dublinie, o naszych rodzinach, planach na przyszłość, ulubionej muzyce, filmach i książkach. Ten mroczny, poważny i małomówny Irlandczyk nie przestawał mnie zaskakiwać. Z niczym się nie obnosił i wszystko, co chciałam o nim wiedzieć, musiałam odkrywać sama – jego zdawkowe żarty wypowiedane z kamienną miną, błyskotliwy umysł i piękną twarz, którą bez trudu mógłby wyeksponować, chodząc z podniesioną głową. Pozostawał nieprzenikniony. Ja, w przeciwieństwie do niego, czułam się przeźroczysta.

Kiedy mówiłam, słuchał w wielkim skupieniu. Jego fascynacja sprawiła, że zaczęłam patrzeć na siebie inaczej. Dostrzegłam swoją wartość. Już nie musiałam tak bardzo się starać.

Po raz trzeci spotkaliśmy się po pięciu dniach. W pewnym momencie Lucas nachylił się do mnie, żeby powiedzieć mi coś na ucho, a moje ciało przeszył dreszcz. To było podstępne zagranie, bo wcale nie musiał zbliżać się tak bardzo. W każdym razie uświadomiłam sobie, że nasze relacje wkraczają w kolejną fazę.

– To twoje prawdziwe włosy? – Lucas nieśmiało odgarnął kosmyk, który wysunął mi się z kucyka.

Równocześnie wybuchnęliśmy histerycznym śmiechem.

– Znaczy chodziło mi o kolor! O to chciałem spytać. Czy to twój naturalny kolor! O Boże...

Otarłam łzy z oczu.

– Tak, to peruka w kolorze moich włosów. Prosiłam, żeby dopasować ten odcień...

Wyczerpany napadem wesołości Lucas stał się trochę mniej powściągliwy.

– Piękny – powiedział.

Ciężko przełykając ślinę, wlepiliśmy w siebie wzrok i wtedy to się stało. Pocałowaliśmy się.

Od tej pory powtarzaliśmy materiał codziennie. Nasz pocałunek przerwał tamę i z każdym



kolejnym spotkaniem wylewało się z nas coraz więcej uczuć. Szeptem wyznawaliśmy sobie sekrety, zwieraliśmy się z lęków i pragnień, pozwalaliśmy sobie na coraz silniejszą zażyłość. Lucas pieszczotliwie zdrabniał moje imię. Nikt dotąd nie postrzegał mnie w taki sposób. Nigdy nawet nie śmiałam marzyć o tym, aby ktoś mnie tak postrzegał.

Zanim poznałam Lucasa, moje ciało stanowiło dla mnie powód do niepokoju i ubolewania – niewystarczająco szczupła sylwetka, zbyt duże piersi, uda ocierające się o siebie. Przy nim nauczyłam się kochać swoje kształty. Widziałam, jak na niego działają. Mojej uwadze nie mogły ująć nieposkromione reakcje Lucasa. Chociaż byłam całkowicie ubrana, czułam żar jego rozpalonej skóry; niczym radar odbierałam jego kołatanie serca i wspólne przyspieszone oddechy. Przyciskając się do niego, czułam twardą wypukłość w jego spodniach i miałam świadomość, że to moja zasługa. Myśl o jakimś odosobnionym miejscu, w którym nasze lędźwie mogłyby się zespolić bez przeszkód, przyprawiała mnie o tak silne emocje, że nie potrafiłam się na niczym innym skupić.

Utrzymywaliśmy nasz związek w tajemnicy. Nie do końca wiedziałam dlaczego, bo nie rozmawialiśmy na ten temat. Po prostu tak wyszło. Obydwoje trochę intuicyjnie to rozumieliśmy.

Szkolna społeczność wciąż bezlitośnie piętnowała śmiechem takich jak my. Nie zniosłabym ironicznych okrzyków i pohukiwania na korytarzu, kuksańców, złośliwych uśmieszków i pytań wywołujących rumieniec zakłopotania. Przy czym ja byłabym narażona na docinki bardziej niż on. Co prawda dla moich kolegów nie miało znaczenia, kto padnie ofiarą ich szyderstw, ale brutalnie mówiąc: większość osób w klasie mnie zauważała, a Lucasa nie. Chłopcy nie przepuściliby żadnej okazji, żeby mi dopiec, a koleżanki prychałyby z niesmakiem.

O wiele prostszym wyjściem było cierpliwe czekać, zwłaszcza że wkrótce nasza szkolna niewola i jej okrutne prawa miały przejść do historii.

Pierwszy facet, który zobaczył moją kreację na bal abiturientów, niemal zemdlał z wrażenia. Taka prawda. Szczęka opadła mu z zachwytu. Niestety miał tylko osiem lat i był złośliwym małym gnojkiem.

Kiedy w pogodny wieczór wyszłam z domu zrobiona na bóstwo, synek sąsiadów właśnie trącał kołatkę obgryzionym patyczkiem od lodów, żeby ktoś otworzył... Jego usta miały upiorny malinowy kolor.

– Dlaczego twoja twarz tak lśni? – zapytał.

Można by pomyśleć, że bezbłędnie odgadł mój nastrój, ale jemu chodziło o efekt po tym, jak wypacykowałam się całą baterią kosmetyków.

– Spadaj, Willard – odparłam wesoło. – Lepiej popatrz na siebie.

– Widzę twoje cycki! – zawołał i czmychnął do domu, zanim zdążyłam go dopaść.

Poprawiłam sukienkę i zasępiłam się. Chociaż ten smarkacz w koszulce z Elmo nie pracował w „Vogue’u”, nie mogłam nie przyznać mu racji. Rzeczywiście pokazywałam zbyt wiele. Miałam na sobie sukienkę w kolorze ciemnego szkarłatu, z dosyć głęboko wykrojonym sercowatym dekoltem, a mój biust jak zwykle ostentacyjnie zaznaczał swoją obecność. Kiedy przygotowywałam się do wyjścia, byłam kompletnie rozkojarzona, ponieważ po raz pierwszy w życiu zakładałam bieliznę ze świadomością, że nie ja sama ją zdejmę. Na tę myśl dostawałam zawrotów głowy.

Istniało spore prawdopodobieństwo, że nareszcie to zrobimy. Ponieważ pieszczoty w ubraniu stawały się w równym stopniu frustrujące, co podniecające, zaproponowałam Lucasowi, abyśmy po balu zostali „na mieście”. Mówiłam swobodnie – ot, oczywista rzecz. Próbowалам nawet zachowywać się tak, jakbym już to kiedyś robiła. Nie wiedziałam, czy dla Lucasa będzie to pierwszy raz.

– No pewnie – odpowiedział i spojrzał na mnie z takim uśmiechem, że zrobiło mi się ciepło nie tylko na sercu.

Totalnie podekscytowana niemal unosiłam się nad ziemią. Wiedziałam, że tego dnia stracę dziewictwo i stanie się to z nim.

Po południu poszłam do Holiday Inn wynająć pokój; tam zostawiłam trochę rzeczy i z zachwytem spojrzałam na podwójne łóżce. Potem wróciłam do domu i przypomniałam rodzicom, że dzisiaj nocuję u Jo, choć im jak zwykle było wszystko jedno. Na szczęście moja siostra Esther akurat gdzieś poszła, bo potrafiła przejrzeć mnie na wylot i zwietrzyć każde kłamstwo.

Bal odbywał się w centrum miasta w irlandzkim pubie udekorowanym plastikowymi trójlistnymi koniczynkami. Na długiej drewnianej ławie wśród półmisków z suchymi przekąskami stały plastikowe pojemniki wypełnione po brzegi topniejącym lodem, w którym chłodziły się puszki i butelki taniego alkoholu.

Czułam się dziwnie, bo mimo naszych intymnych planów na tę noc teraz obydwójce udawaliśmy, że ledwie się znamy. Dostrzegłam go na drugim końcu sali – stał w czarnej sztruksowej koszuli i sącył piwo z puszki. Powitałam go dyskretnym skinieniem głowy.

Do tej pory utrzymywanie naszej zażyłości w tajemnicy wydawało się sensowne i uzasadnione. Jednak tego wieczoru w końcu poczułam się z tym nieswojo. Co właściwie mieliśmy do ukrycia? Czy takie zachowanie oznaczało, że czegoś się wstydzimy, nawet jeżeli nie robiliśmy nic wstydliwego? A może Lucas wolałby jawność? Czy jego milczącą zgodę na konspirację powinnam odebrać jako zniewagę?

Byłam tym trochę przygnębiona, ale w tej chwili podążaliśmy kursem, który wydawał się nam najbardziej odpowiedni. Mogłam później poruszyć tę kwestię. Później. Nie chciało mi się wierzyć, że to kiedykolwiek nastąpi. W głowie mi wirowało.

Piłam cydr z likierem porzeczkowym; narzuciłam sobie duże tempo, bo moje zahamowania cudownie się rozpuszczały w musującym alkoholu. Zagadnął mnie Richard Hardy, a raczej Rick, jak kazał do siebie mówić.

– Czadowo wyglądasz – rzucił.

Jego komplement przyprawił mnie o drżenie.

– Dzięki – wymamrotałam.

– Jak ekskluzywna kurewka o złotym sercu. To ten styl, co nie?

– Ha... ha... ha... – burknęłam.

Wszyscy dookoła pokładali się ze śmiechu. Taki żarcik dla dorosłych. Najwyraźniej dostąpiłam zaszczytu bycia jego częścią.

W miarę jak mijał wieczór, coraz bardziej czułam się tak, jakbym przebywała w kręgu światła i ogólnej wesołości, otoczona postaciami w aureolach. Nie miałam pojęcia, dlaczego do tej pory tak nisko się ceniłam. Owszem, trochę dałam w palnik, ale nagle bycie lubianą stało się bajecznie proste.

Wymieniłyśmy z Jo zdziwione spojrzenia. Czy to już naprawdę koniec szkoły? Przeżyłyśmy? I niedługo zegnamy się z tym wszystkim?

– Hej, George! – Rick Hardy przywoływał mnie skinieniem ręki.

Teraz nazywał mnie George? Och, już dawno przejrzałam takie zagrania. Rick stał oparty o ścianę obok pojemnika z piwem, jak zwykle otoczony wianuszkami pochlebców. Plotki głosiły, że nie zamierza zwracać sobie głowy studiami; podobno jego zespół zaczynał „wyrabiać sobie markę”.

– Chcę ci coś pokazać – powiedział.

– No dobra...

– Nie tutaj. – Płynnym ruchem gwiazdy rocka oderwał się od ściany i wręczył swoją puszkę jednemu z lizusów. Wyciągnął do mnie rękę. Kilka par oczu skupiło się na nas. – Chodź ze mną.

Zaskoczona odstawiłam szklankę z głośnym stuknięciem, podałam mu dłoń i pozwoliłam się poprowadzić przez tłum. Obstawiałam, że chce się pochwalić nowym samochodem albo poczęstować mnie skrętem. Okej, z każdej sytuacji mogłam wyjść z twarzą.

Zerknęłam na Lucasa, że wszystko w porządku. A wtedy on posłał mi takie samo spojrzenie, jak tamtego dnia, kiedy pierwszy raz obok niego usiadłam.

„Jak mocno mnie skrzywdzisz?”



## *Teraz*

– A w skład dzisiejszej zupy wchodzi marchewka i pomidor – ogłaszam, ubarwiając konkluzję triumfalnym „tadam!”, choć ta pomarańczowa breja nie zasługuje na fanfary. – Czy taka marchwianka z pomidorami w ogóle komuś smakuje? – zwracam się do Tony’ego, szefa kuchni, a on zanurza łyżkę w bulgocącym kotle, z którego wydobywa się wyrazisty warzywny aromat.

– Smakuje jak cycuszki dobrej wróżki.

Nie sądzę, aby Tony zdobywał doświadczenie jako stypendysta braci Roux[2]. O uroku osobistym i ogładzie w ogóle nie wspomnę.

Prawdę mówiąc, wkładam w swoją robotę odrobinę artyzmu ze względu na siebie, nie klientów. Pracuję tu nie tylko jako kelnerka. Jestem szpiegiem ze świata słów i gromadzę materiał. Przyglądam się z zewnątrz samej sobie.

Zgorzkniały facet o wyglądzie menedżera średniego szczebla i jego markotna żona czytają menu restauracji That’s Amore. Zalaminowaną kartę dań zdobią cliparty przedstawiające Krzywą Wieżę w Pizie, widelec z nawiniętym makaronem podobnym do kłębowiska dżdżownic i Pavarottiego, który wygląda jak Wielka Stopa po udarze.

Podczas rezerwacji mężczyzna podał nazwisko Keith, co mnie rozbawiło, chociaż nie powinno, bo przypomniałam sobie aktorkę, która nazywała się Penelope Keith.

– Krem z marchwi i pomidora? O nie, to nie dla mnie.

Dla mnie też nie.

– Co pani poleca?

Nie cierpię tego tekstu. Jest jak nakłanianie do składania fałszywych zeznań.

– Wciskaj spaghetti vongole jako ofertę specjalną – nakazał mi Tony. – Małże zaczynają wyglądać niewyraźnie.

Tak naprawdę poleciłabym turecką restaurację pięć minut drogi dalej.

– Może penne arrabiata? – proponuję.

– A to nie za ostre? Nie przepadam za ostrymi daniami.

– Sos może być nieco pikantny, ale w sumie jest dość łagodny.

– Nie wszyscy mają taki sam smak, młoda damo!

– Więc po co mnie pan pyta o radę? – mamroczę pod nosem.

– Słucham?

Szczerzę zęby. Przymilny uśmiech to w tej pracy podstawa. Pochylam się lekko nad stolikiem, opieram dłonie na udach.

– Proszę mi powiedzieć, co państwo lubią – mówię służalczym tonem.

– Risotto.

Więc może byś wybrał risotto, czy to takie skomplikowane?

– Ale w tym są owoce morza – zauważa mężczyzna i krzywi się z niezadowoleniem. – Jakie konkretnie?

Na zapleczu stoi pojemnik z nagryzmołonym markerem napisem „Owoce morza”, a jego zawartość wygląda jak przynęty ze sklepu dla wędkarzy.

– To mieszanka... Małże, krewetki, omułki...

Z drżącym sercem przyjmuję zamówienie na spaghetti carbonara. Facet wygląda na takiego, co to wypisuje niepochlebne recenzje, a na temat tego lokalu zarówno wybredni, jak i niewymagający goście mieliby wiele do powiedzenia.

Oto kilka najwyżej ocenianych najświeższych komentarzy z Tripadvisor poświęconych That's Amore:

*To miejsce wyznacza nowy standard miernoty. Chleb czosnkowy smakuje tak, jakby komuś się udało nasycić grzankę nieświeżym oddechem, aczkolwiek takie pieczywo rzeczywiście idealnie komponuje się z pasztetem, zrobionym chyba ze starego osła. Firmowe białe wino cuchnie jak siki szatana. Przez uchylone służbowe drzwi widziałem szefa kuchni – wyglądał jak zaszuszonego rockmana i drapał się po klejnotach rodowych, więc wziąłem nogi za pas, zanim zdążyli mnie zaatakować daniem głównym. Niestety nigdy się nie dowiem, czy eskalopki cielęce zdołałyby odmienić moje odczucia. Kelnerka zapewniała mnie, że wszystkie produkty pochodzą z lokalnych upraw i z wolnego wybiegu, więc prawdopodobnie gdzieś w okolicy wisi ogłoszenie o zaginionym kocie, jeżeli łapiecie, o co mi chodzi.*

*Co prawda byłem zjarany jak dziki podczas mojej pierwszej i ostatniej wizyty w tej spelunie, ale co to, k...a, jest „krewetka po bradfordzku”? Przecież to miasto nie leży nad morzem. Gdybym był skazańcem w celi śmierci, na ostatni posiłek zażyczyłbym sobie pollo alla cacciatore z tej restauracji, by pocieszyć się świadomością, że istnieją gorsze rzeczy niż to, co mnie czeka.*

*Powiedziałem właścicielowi, że That's Amore serwuje najgorszy sos bolognese, jaki w życiu jadłem; zwykle mielone z ketchupem. Odparł, że przyrządza go według oryginalnej receptury swojej babci. Powiedziałem mu, że skoro tak, to jego babcia jest kiepską kucharką. Wtedy zarzucił mi, że znieważam jego rodzinę. Nie żebym się nabijał, ale miał w sobie tyle z Włocha co Boris Becker.*



– Kiedy sobie uświadomiłaś, że chcesz zostać kelnerką? – pyta Callum i pociąga łyk Oranginy, energicznie odchyłając głowę niczym kowboj w saloonie, a potem z męską determinacją zakręca butelkę.

Callum jest moim jedynym kolegą z pracy, który ma bezpośredni kontakt z klientami. Nosi uwodzicielski wąsik, na koszuli ma ciemne plamy pod pachami, a jego jedyną pasją jest siłownia, gdzie robił takie zestawy ćwiczeń jak Zarzynanie Nóg. Często miewam obawy, że próbuje ze mną flirtować. Przemawiam wtedy do niego tonem starszej siostry, żeby go zniechęcić.

– Hm... nie powiedziałałabym, że chciałam to robić. Albo że nadal chcę.

– Ach, no tak. A ile ty właściwie masz lat?

Jako niezbyt rozgarnięty dwudziestodwulatek Callum nie zdaje sobie sprawy, kiedy tok jego rozumowania widać jak na dłoni. Kiedyś mi wypalił, że stepper jest doskonały „nawet dla osób, które mają siedem do dziesięciu kilo nadwagi”.

– Trzydzieści – odpowiadam, a on patrzy na mnie zaskoczony.

– Ojej!

– Dzięki.

– Nie, nie... po prostu nie wyglądasz tak staro. Dałbym ci... dwadzieścia osiem.

Kiedyś podpadałam pod tę sama kategorię wiekową co ludzie, z którymi pracuję w branży gastronomicznej, ale stopniowo na ich tle zamieniam się w leciwą damę. Już sama ta myśl sprawia, że mój brzuch flaczeje jak stara piłka. Cóż, próbuję nie roztrząsać przyszłości.

Kiedy przyjąłam się do pracy w *That's Amore*, zalegałam miesiąc z czynszem i wmówiłam sobie, że ociekające woskiem świece w butelkach po chianti, stoły nakryte ceratą w biało-czerwonej kratkę, sztuczna winorośl nad barem i płynące z głośników włoskie przeboje o miłości nadają temu miejscu stylistykę retro.

– Czemu nie poszukasz sobie porządnej pracy? – spytała mama.

Wyjaśniłam jej po raz tysięczny, że zanim rozwinę skrzydła jako pisarka, muszę w inny sposób zarabiać na życie, a jeśli znajdę świetną robotę, utknę w niej na zawsze. Na dnie szafy przechowuję kronikę szkolną. Komentarze przy moim zdjęciu głosiły: „Nic jej nie powstrzyma w drodze na szczyt” i „Najprawdopodobniej będzie pierwsza na roku”. Moja wspinaczka po szczeblach kariery zakończyła się w najbardziej beznadziejnej knajpie w Sheffield, a studia rzuciłam już po semestrze. Ale poza tym wszystko się zgadza.

– Skończysz jako stara kelnerka bez emerytury – skwitowała mama.

Esther starała się mnie pocieszyć:

– Dzięki Bogu żaden z moich znajomych tam nie chodzi.

– Czy to nie w *That's Amore* ktoś złapał norowirusa w zeszłym roku? – dociekała Joanna.

Wystarczyłoby skosztować „swojskich produktów z farmy”, żeby nabrać podejrzeń, czy aby z norowirusa nie zrobiono kozła ofiarnego.

Teraz chętnie sięgnęłabym po młotek, kiedy w pracy słucham na okrągło tej samej płyty. Wyobrażam sobie, jak ten neapolitański księżyc z piosenki *That's Amore* podbija oko Deanowi Martinowi, który śpiewa o nim do znudzenia. Niekiedy oprócz kelnerowania odgrywam rolę adwokatki, która występuje w obronie kulinarnego terroru. Innym razem czuję się jak przemytniczka, kiedy dostarczam trefny towar z kuchni do stolika, a potem udaję niewiniątko, odpowiadając na pytania.

Jako dodatek do mojej nędznej pensji zaoferowano mi darmowy lunch, ale szybko się

przekonałam, że to taka sama atrakcja jak przejażdżka na dmuchanej zjeżdżalni podczas ewakuacji z rozbitego samolotu.

A najlepsze, że dzięki zagubionym emerytom, masochistom, studentom zachęconym porannymi promocjami i przyjeźdnym That's Amore przynosi zysk. Właściciel restauracji – wyjątkowo gderliwy facet, ksywka: Dziobaty – twierdzi, że ma śródziemnomorskie korzenie „po mamie”, ale wygląda i mówi jak tutejszy. Wpada od czasu do czasu do lokalu, żeby sobie żłopnąć grappy i zabrać utarg. Bez skrupowania zostawia wszystko na głowie szefa kuchni, który de facto zarządza całym interesem.

Tony, żylasty facet z przerzedzoną pleremą i nieodłącznym papierosem w kąciku ust, jest całkiem znośny, jeżeli ktoś obchodzi się z nim właściwie, czyli akceptuje jego bigoterię, nie zwraca uwagi na lubieżne odzywki i pamięta, że liczy się tylko kasa.

Dziś wieczorem nie ma zbyt dużego ruchu, więc po obsłużeniu gości nalewam sobie wody do szklanki i zerkam na odbicie swojej przemęczonej twarzy w obudowie ekspresu ze stali nierdzewnej.

Nagle słyszę głos z drugiego końca sali.

– Przepraszam? Przepraszam...! – Pan Keith przywołuje mnie dłonią.

Przybieram minę wyrażającą powściągliwe zainteresowanie, chociaż dobrze wiem, co się święci.

– Tego się nie da zjeść. – Facet podnosi widelec i ostentacyjnie upuszcza go na talerz, na którym krzepnie mulista breja.

– Przykro mi – mówię. – A co jest nie w porządku?

– Spytałbym raczej, co jest w porządku. To danie, swoją drogą, ledwo ciepłe, smakuje jak stara skarpeta.

– Życzy pan sobie coś innego?

– Nie. Wybrałem carbonarę, ponieważ na nią miałem ochotę. Proszę o to samo, ale chciałbym, żeby nadawało się do jedzenia.

Bezgłośnie otwieram i zamykam usta, bo nie wiem, jak wybrnąć z sytuacji. Nie widzę innego wyjścia: muszę wywalić Tony'ego na zbity pysk, zmienić wszystkich dostawców i zrównać tę budę z ziemią.

– Najwyraźniej to danie czekało, aż kucharz przyrządzi risotto dla mojej żony – sugeruje Keith.

Nie posuwałabym się do tak śmiałych przypuszczeń, gdyż prawda zwykle bywa dużo gorsza.

– Przekazać kucharzowi, żeby zrobił panu nową carbonarę?

– Owszem. – Keith wręcza mi talerz.

Wyjaśniam Tony'emu, w czym tkwi problem, ale on nigdy nie przejmuje się klientami, którzy krytykują jego zdolności kulinarne. Gdyby brał sobie do serca ich uwagi, poprawiłoby to jakość naszej kuchni.

Tony sięga po foliową torebkę z wiórkami parmezanu, posypuje nim danie, miesza i wkłada do mikrofalówki. Gdy po dwóch minutach rozlega się dzwonek, wyjmuje talerz.

– Policz do pięćdziesięciu i wracaj na salę. Jego kubki smakowe czują to, co podpowie umysł – wyjaśnia, stukając się palcem w czoło.

Nie mogę oprzeć się myśli, że gdyby ten mechanizm rzeczywiście działał tak prosto, That's Amore miałyby trzy gwiazdki Michelin zamiast jednej w rankingu Tripadvisor. Szkopuł w tym, że nawet jeśli się uprę, żeby Tony przyrządził carbonarę od nowa, będzie tak samo ohydna jak za pierwszym razem.

Zażenowana zwieszam głowę. Jak dotąd moje życie jest jednym długim ćwiczeniem prowadzącym do znieczulania zakończeń nerwowych.

Odczekuję chwilę, żeby wzmocnić iluzję, po czym wchodzę do sali przez wahadłowe drzwi, niosąc ten nieszczęsny talerz makaronu.

– Proszę bardzo. – Szczerzę zęby w uśmiechu, którego nie powstydziliby się kot z Cheshire. – I przepraszam za niedogodności.

Mężczyzna wbija wzrok w talerz, a ja oddecham z ulgą na widok nowo przybyłej pary starszaków, którymi muszę się zająć. Gdy tylko sadzam ich przy stoliku, nieuchronną kolejną rzeczą pan Keith znowu kiwa na mnie ręką. Muszę stąd odejść, myślę. Jak najszybciej. Jeszcze tylko zarobię na czynsz za ten miesiąc. I zarezerwuję ten tydzień na Krecie z Robinem, o ile zdołam go namówić na

wyjazd.

– Dostałem to samo danie – oznajmia facet. – To, które zareklamowałem.

– Och, naprawdę? – Robię zdumioną minę i energicznie kręcę głową. – Poprosiłam szefa kuchni o zupełnie nowe.

– Poznają talerz. – Pokazuje odprysk na wzorzystej porcelanie. – Już z niego jadłem.

– Hm... może jednak kucharz przyrządził świeżą carbonarę, tyle że wykorzystał ten sam talerz?

– Ugotował kolejną porcję makaronu, wyrzucił poprzednią do kosza, umył talerz, wytarł do sucha i użył go ponownie? Dlaczego nie wziął innego? Brakuje wam zastawy? – atakuje Keith. Cała restauracja przysłuchuje się naszej rozmowie. Nie mam nic do powiedzenia. – Nie czarujmy się – dodaje mężczyzna po chwili krępującej ciszy. – Dostałem to samo danie, tylko podgrzane.

– Jestem pewna, że szef kuchni przygotował posiłek od początku.

– Czyżby? Widziała pani, jak to robi?

Nawet jeśli nie zawsze, to tym razem klient niewątpliwie ma rację. Mimo wszystko w tej chwili szczerze go nienawidzę.

– Nie widziałam, ale... tak właśnie zrobił.

– Niech pani go wezwie.

– Proszę?

– Chcę, żeby szef kuchni tu przyszedł i się wytłumaczył.

– Och... przykro mi, akurat jest bardzo zajęty.

– Nie wątpię, skoro gotuje i zmywa w tym samym czasie – prychna, a ja zastygam z uśmiechem tak promiennym, że moja twarz upodabnia się do maski Jokera. – Będę tu czekał dotąd, aż szef kuchni znajdzie chwilę, żeby ze mną porozmawiać, i zechce wyjaśnić, dlaczego zostałem oszukany i po raz drugi zaserwowano mi to odrażające grzęzawisko na talerzu.

Grzęzawisko. Trafne określenie. Ja to mam szczęście; nie dość, że klient upierdliwy, to jeszcze elokwentny.

Idę z powrotem do kuchni.

– Ten facet od carbonary chce z tobą rozmawiać – informuję Tony'ego. – Zorientował się, że dostał to samo, bo rozpoznał talerz.

Tony właśnie obsmaża fileta, obraca mięso na patelni szczypcami. Powiedziałabym, że to pierś z kaczki. Ale tylko pod warunkiem, że ze sklepu zoologicznego w sąsiedztwie ostatnio nie skradziono papugi.

– Co? Powiedz mu, żeby się gonił. Za kogo on się uważa? Za detektywa kulinarnego?

– Lekceważąco wzrusza ramionami. W pojedynku na argumenty między detektywem kulinarnym a naszym szefem kuchni postawiłabym wszystko na tego pierwszego. – Ty obsługujesz gości, więc zrób coś z tym – kwituje Tony. – To nie moja działka.

– A ty odesłałeś mu to samo danie! Co mam zrobić, skoro się połapał?

– Oczaruj go. Chyba na tym polega twoja rola, nie? Masz być czarująca.

Cały Tony – potrafi w jednym zdaniu zawrzeć bierną agresję, styranizować podwładnych w miejscu pracy i wyrazić lubieżny seksizm.

– Przecież mu nie wmówię, że ma przywidzenia – odpowiadam. – Trzeba było przynajmniej zmienić talerz.

– A kaczka niech się spali na węgiel, co mi tam! – Z rozmachem ciska ścierkę na podłogę. – Srał ją pies.

Ten nagły przejaw troski o jakość smażonego filetu zakrawa na tak wielką hipokryzję, że widać ją nawet z kosmosu. Tony gwałtownie zakręca gaz pod patelnią i rozjuszony popycha drzwi prowadzące do sali.

– Który to? – pyta. Bojowe nastawienie szefa nie wróży niczego dobrego. Wyprzedzam go i próbuję udobruchać dyplomatycznymi podszeptami, kiedy idziemy w stronę stolika. – No i w czym problem? – grzmi, biorąc się pod boki.

Kucharski fartuch, na którym opiera zaciśnięte dłonie, czasy nieskazitelnej bieli ma już dawno za sobą.

– W tym – odpowiada Keith, po czym znów podnosi widelec i upuszcza go z miną pełną obrzydzenia. – Przecież to niedopuszczalne.

Tony spogląda na niego ze zdumieniem.

– Czy pan wie, z czego się robi spaghetti alla carbonara? Zgodnie z tradycyjną włoską recepturą?

– Z jaj i parmezanu, prawda? A to smakuje jak tani ser topiony, który wpadł do kosza z brudną bielizną.

– Ach, no to przepraszam. Nie wiedziałem, że odwiedził nas tu krytyk kulinarny.

Naszemu szefowi kuchni widocznie zaszkodził nadmiar dymu tytoniowego, jeśli pozwala sobie na taką opryskliwość wobec klienta.

– Nie trzeba być A.A. Gillem, żeby poznać się na tym ohydztwie. Ale skoro pan już o tym wspominał, to owszem, piszę recenzję waszego lokalu dla „The Star”.

Ze względu na dietę złożoną z papierosów i zapiekanekek bekonowych Tony ma bladą cerę, teraz jednak robi się jeszcze bledszy.

Najchętniej parsknęłabym śmiechem, ale w zaistniałej sytuacji takie zachowanie byłoby wysoce nieprofesjonalne. Udaję, że w zamyśleniu pocieram twarz dłonią, żeby zapanować nad rozbawieniem.

– Może w takim razie życzy pan sobie coś innego? – proponuje szef. Mówiąc to, krzyżuje ręce na piersi i obraca głowę w moją stronę. Wiem, że w kuchni będę musiała wysłuchać reprimendy w stylu: „Przecież mogłaś sama to ogarnąć”.

– Nie bardzo – odpowiada pan Keith. – Kiedy poprosiłem o nową porcję, wróciła do mnie ta sama, tylko odgrzana. Mam po raz trzeci oglądać to świństwo?

Zauważam, że pani Keith jest dziwnie spokojna i prawdopodobnie wzdycha z ulgą, gdy frustracja męża skupia się na kimś innym. O ile to żona, a nie asystentka krytyka.

– Myślałem, że chciał pan, żeby danie było cieplejsze.

– Tak, cieplejsze i porządnie przygotowane, a nie z powrotem ta sama breja.

Tony odwraca się do mnie.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że pan życzy sobie nową carbonarę?

Marszczę czoło.

– Yyy, przecież...

– Nie, wyraźnie słyszałem, że trzeba ją podgrzać.

Totalnie zaskoczona tym kłamstwem w żywe oczy nie znajduję słów na swoją obronę.

– Wcale nie – jękam się. – Przekazałam... – Zawieszam głos, bo przeciąganie tej wymiany zdań wydaje mi się zupełnie bez sensu. Co za perfidia. Czyżby oczekiwał, że będę przytakiwać i wezmę całą winę na siebie? Wygląda na to, że tak.

– Twierdzisz, że kłamię? – ciągnie Tony na oczach całej sali, która z zapartym tchem śledzi nasze przedstawienie. Otwieram usta, ale nie potrafię wydobyć z siebie głosu. – No jasne, uważasz mnie za kłamcę! Wiesz, co ci powiem? Zwalniam cię!

– Co?

Przypuszczam, że to żart, ale Tony pokazuje na drzwi. Na drugim końcu sali zszokowany Callum zastyga w bezruchu z rozdziawioną buzią i wielką pieprzniczką w ręku.

– Och, bez przesady, to nie było konieczne... – Keith nagle łagodnieje.

Właśnie dlatego Tony tak mnie potraktował. Tylko w ten sposób mógł odzyskać przewagę i liczyć na to, że w swojej recenzji krytyk kulinarny nie skupi się wyłącznie na wątpliwych walorach kuchni.

Wszyscy milczą i gdyby nie Dean Martin, który wspomina upojną noc w Neapolu, w sali panowałaby absolutna cisza. Zrywam z siebie fartuch i ciskam go na podłogę, potem zabieram torebkę z za baru i nie oglądając się za siebie, wybiegam na ulicę. Czuję pieczenie pod powiekami, ale nie zamierzam dopuścić, aby ktoś zobaczył moje łzy.

Przystaję dopiero za rogiem; drżącymi dłońmi wyjmuję chusteczkę, żeby powstrzymać potok tuszu do rzęs spływający po policzkach. Wtedy przychodzi esemes od Tony’ego.

*Wybacz, laseczko. Czasem trzeba im rzucić kogoś na żer. Wrócisz do pracy za dwa tygodnie, a gdyby ten zasrany krytyk się dowiedział, powiesz mu, że się nad tobą zlitowaliśmy, bo umarła ci mama*



*albo coś w tym rodzaju. Potraktuj to jak urlop! Ale bezpłatny.*

Cały Tony.

A potem uświadamiam sobie coś jeszcze.

Do jasnej cholery, zostawiłam tam kurtkę!



Moja kurtka jest jeńcem wojennym – to pierwsze, co przychodzi mi do głowy. Ale przecież nie będą jej torturować, więc niech tam leży. Do cholery, myślę potem, to różowe sztuczne futro. Mój pancerz, moja osobowość w tekstylnej formie. Przedstawia dla mnie ogromną wartość sentymentalną, bo kojarzy mi się z domowym pupilkiem – wiekowym żółwiem Jammym. Poza tym już się trzęsę z zimna.

Zaraz, zaraz – mam tam swojego sojusznika, Calluma. Wysyłam mu wiadomość, wychodząc z założenia, że na pewno mi współczuje i jest skory do pomocy.

Krótki dźwięczny sygnał zwiastuje nadejście odpowiedzi.

*Przyniosę ci kurtkę, jeśli się ze mną umówisz.*

Mrugam z niedowierzaniem. Przed chwilą byłeś świadkiem, jak zostałam wylana z pracy w pokazowy, upokarzający sposób, a teraz żadasz ode mnie seksualnego okupu? Zastanawiam się nad jakąś obcesową wymówką typu: „Dziś wieczorem modeluję sobie włosy na cyckach”. Albo mogłabym odpisać: „Dałam za nią pięć dych na wyprzedzaży w Miss Selfridge trzy lata temu, więc szkoda zachodu” i doprawić zniewagę zaśmiewającą się do łez emotką.

Chcę jednak odzyskać kurtkę, a nie zobaczyć las środkowych palców i zdjęcie różowego futerka w koszu na śmieci.

*Ha, ha, ha. Może, gdybym nie była bezrobotna i tak splukana, że nie stać mnie na drinka : ) Za minutę przed wejściem?*

*Ja stawiam. Znaczą zgadzasz się, lol? ; )*

Doprawdy urocze, kiedy ktoś ci się narzuca i nawet kiedy mu to wytkniesz, nadal robi swoje.

Cóż, nie pozostaje mi nic innego, jak kłamać.

*No jasne :D*

...że nie! Callum doskonale zdaje sobie sprawę, że mam chłopaka. Raz napisał do mnie: „Więc ma na imię Robin, lol. Mówisz do niego Cock Robin?”, a gdy odpisałam, że nie, dodał: „Ha, ha, ha, taki wredny żarcik”.

Wracam przed restaurację, ale Calluma nie widzę. Czekam pięć minut, które ciągną się jak pięć godzin, potem wysyłam mu esemesa ze znakiem zapytania. Po trzech minutach mój kolega pojawia się w drzwiach.

– Mam cholernie dużo pracy. Wiesz, zostałem sam – wyjaśnia.

Ciekawe, czy powinnam go za to przeprosić. Patrę w dół, co mi przyniósł. W rękach trzyma zwinięty beżowy płaszcz.

– To nie mój.

– Och...

– Moja kurtka jest różowa i puszysta.

Znika we wnętrzu restauracji. Mijają minuty; zaczynam się zastanawiać, ile sztuk odzieży wierzchniej w kolorze taramosalaty może być w szatni, że tak się ociąga. Pochyliłam się do okna i zaglądam do środka przez szczelinę między parapetem a brzegiem brudnej firanki. Callum właśnie odbiera zamówienie od dużej grupy gości. Prowadzi z nimi beztrudną pogawędkę i nie wygląda na kogoś,

komu się spieszy.

W końcu frustracja bierze górę nad wstydem, gdy naciskam klamkę i zdecydowanym krokiem wmaszerowuję do lokalu. Czuję na sobie spojrzenia wielu par oczu, kiedy podchodzę do wieszaka na drzwiach za barem i zabieram swoją własność.

– Młoda damo... młoda damo!

Obracam głowę i widzę, że pan Keith przywołuje mnie gestem. Zerkam ostrożnie w stronę kuchni, ale w su-mie co tam – Tony nie może mnie zwolnić po raz drugi. Idę do stolika.

Krytyk kulinarny ociera usta serwetką.

– Przykro mi z powodu tego, co panią spotkało – odzywa się już zupełnie spokojnie. – Gdybym wiedział, jakie będą konsekwencje...

– Cóż, trudno. Nie pańska wina.

– A na przyszłość proszę pamiętać, że najlepiej zawsze mówić prawdę – dodaje.

Przeszywam go wzrokiem. Znowu prawi mi morały? Do jasnej...

– Mówiłam prawdę! – odpowiadam podniesionym tonem. – To szef kuchni kłamał.

– To znaczy, że przyrządził mi świeżą carbonarę?

Ech, to się staje zbyt skomplikowane.

– Nie, ale nie powiedział mi, że tego nie zrobił, więc...

– Więc pani skłamała?

– Tak, żeby nie stracić pracy. On mi kazał.

– I jak pani na tym wyszła?

Przez chwilę nie mogę wydobyć z siebie głosu.

– To on kłamał – powtarzam oszołomiona.

– Dobrze już, ostatecznie postanowiłem tego nie opisywać, żeby oszczędzić pani wstydu.

Otwieram usta ze zdumienia.

– Właśnie na tym mu zależało! Dlatego mnie wywalił! Żeby pana zmiękczyć i odwrócić uwagę od głównianego jedzenia! – Mój głos staje się piskliwy, teraz znów wszyscy na mnie patrzą. – Proszę o tym napisać! Niech się ludzie dowiedzą, za co wyleciałam!

– To chyba niezbyt koleżeńskie podejście...

– Bo jak nie, to... – Zawieszam głos i czuję, jak cała sala wstrzymuje oddech. – Sama to wszystko opiszę. Mogę dla pana przygotować świetny artykuł o tym lokalu. Nie widzę już w tym żadnego konfliktu interesów.

Pan Keith chrząka zakłopotany.

– No, no, pracownik miesiąca z pani.

Postanawiam opowiedzieć mu o tym, jak w pojemniku z margaryną odkryliśmy ślady szczurzych łapek, a Tony zebrał wierzchnią warstwę szpatułką do lodów i udawał, że nic się nie stało. Albo mogłabym wyjąć komórkę i pokazać mu esemesa, którego przed chwilą przysłał mi szef. Tak, to by go przekonało.

Callum patrzy na mnie z osłupiałą miną, a kiedy jego wzrok wędruje w stronę drzwi do kuchni, domyślam się, co zaraz nastąpi. Do sali dumnym krokiem wchodzi Tony z kolejną porcją spaghetti, roztaczając pogodną aurę dobroduszej nonszalancji. Kiedy mnie dostrzega, jego oczy zamieniają się w szparki.

– Nie możesz się rozstać z dawnym miejscem pracy? – pyta. – Najwyższy czas, żebyś już sobie poszła, Georgino. Nie zdręczaj dłużej naszego gościa, bo na pewno ma cię dosyć.

Stawia na stoliku talerz z carbonarą, która wygląda całkiem znośnie. Pewnie ściągnął przepis z internetu i odżałował jajko.

– Nie zdręczam gościa, bo sam mnie zagadnął – odpowiadam. – Wróciłam tylko po kurtkę.

W sali znów zaczynają zgrzytać sztucce, więc jesteśmy pozostawieni samym sobie i Deanowi Martinowi, który śpiewa o lataniu z wiatrem po błękitnym niebie. I wtedy mój wzrok zatrzymuje się na kimś za plecami pana Keitha. To ostrzyżona na pazia dziewczynka z nieproporcjonalnie wysokim czołem. Ma policzki upačkane sosem pomidorowym, a jej głowę zdobi wielka papierowa korona z napisem *Solenizantka*. Siedzi zastygła nad talerzem penne marinara i, podobnie jak cała jej rodzina,

obserwuje naszą nieoględną konfrontację, łowiąc każde słowo. Psujemy tej pięciolatce urodziny. W zasadzie to ja psuję, bo wszyscy czekają z zapartym tchem na moje kolejne posunięcie. Mam niewiele miłych wspomnień z dzieciństwa, ale zachował się w nich między innymi nastrój podekscytowania, kiedy całą rodziną wybraliśmy się do restauracji, gdzie jadłam kurczaka w panierce prosto z kubelka i w pośpiechu piłam colę, żeby nalać sobie drugą.

– Nieważne. – Wzruszam ramieniem. – Chciałam tylko zabrać kurtkę i już znikam.

– Nie zapomnij zamknąć za sobą drzwi – mamrocze Tony, po czym głośniejszym głosem zwraca się do Keitha:

– Mam nadzieję, że ta scysja nie odebrała panu apetytu.

– A ja mam nadzieję, że tutejsza kuchnia nie odebrała panu apetytu – rzucam jeszcze na odchodne.

Krytyk kulinarny z niesmakiem kręci głową.

Obracam się na pięcie i dumnie zmierzam do wyjścia. Wiem, że wszyscy odprowadzają mnie wzrokiem, ale kroczę wpatrzona w tablicę z napisem *Danie dnia*, nie zwracając uwagi na nikogo. Nie obiecywałam sobie wiele po tej pracy, ale nie spodziewałam się też, że odejdę stąd z nadszarpniętą godnością. Gdy drzwi zatraskują się za moimi plecami, wdycham z ulgą.

Długo maszeruję przed siebie i wciąż jestem zbyt roztrzęsiona, by zacząć przekopywać kieszenie w poszukiwaniu papierosów. Nie chcę, żeby moje zdenerwowanie przerodziło się w atak paniki. Przypominam sobie, jak terapeuta radził mi skupić się na oddechu, kiedy niepokój zaczyna mnie unosić niczym wezbrana rzeka.

Telefon brzdęknięciem komunikuje nadejście wiadomości.

*Ale nikomu ani słowa o naszej randce, tak? Tony nieźle się wkurzy, jak się dowie, i też mnie wyleje, lol ; P*

Wygląda na to, że Tony już „nieźle się wkurzył”. Kolejna wiadomość.

*To była chamska zagrywka, księżniczko. Nie masz czego szukać tutaj ani gdzie indziej. Już ja zadbam, żebyś z wilczym biletem znalazła robotę tylko pod latarnią.*

Ze złością wstukuję odpowiedź:

*LOL. Tony, zapomniałeś, że nie nazywasz się Soprano. Gdyby tak było, może miałbyś pojęcie o włoskiej kuchni : )*

W rzeczywistości wcale nie podchodzę tak lekceważąco do jego pogroźek. Podrzędna gastronomia w Sheffield to zamknięty świat i teraz nie będę miała z czego opłacić czynszu za następny miesiąc. Nie nawykłam do robienia sobie wrogów; w sumie jestem mistrzem dogadywania się. Kompromisowość to moje drugie imię. Chociaż może oszukuję samą siebie. Trzecią wiadomość dostaję od swojej siostry Esther, z którą nigdy nie udawało mi się gładko dojść do porozumienia.

*Przyjdiesz z Robinem w niedzielę? Rano wysyłam Marka na zakupy, więc chciałabym wiedzieć, ile zjawi się gości. Im szybciej się odezwiesz, tym lepiej. Będzie rozbratel. Daj znać, czy mam się liczyć z alergią na yorkshire pudding albo cokolwiek innego.*

Właśnie w takim stylu zawsze pisze do mnie Esther, jakbym objała się na zastępstwie w jej biurze rachunkowym. Chociaż ocierające się o sarkazm ostatnie zdanie jest akurat wyraźnym docinkiem pod adresem Robina.

*Nie będzie go, wyjeżdża! Ale dzięki x*

Jestem również niezrównana w sztuce niewinnych kłamstewek. Robin i moi krewni nie tworzą udanej kombinacji. Zabrałam go na dwie uroczystości rodzinne, po czym postanowiłam zawiesić na czas nieokreślony moje integracyjne zapędy.

Skręcłam za róg; świadomość, że teraz zniknęłam z horyzontu gości i pracowników That's Amore, trochę mnie uspokaja. Już dobrze, powtarzam sobie w myślach, nic się nie stało. Za dwa lata to będzie tanie bistro z meksykańskimi przekąskami; jedno z tych, w których odgrzewane w mikrofalówce

mrożone krewetki mają taką samą teksturę jak gąbka antykoncepcyjna. Poza tym Robin będzie zachwycony opisem mojego zwolnienia z pracy. Już sobie wyobrażam, jak poprawiam i dopracowuję najważniejsze akapity reportażu, przewidując, przy jakim fragmencie czytelnik się zaśmieje. W szkole wszyscy głośno domagali się moich opowieści. Byłam w tym dobra. Jeśli miałam koszmarne wakacje, potrafiłam zamienić je w złoto. „George, opowiedz o tym, jak...”

– Tobie ciągle przydarzają się jakieś zwariowane przygody – powiedziała mi kiedyś Jo.  
– Niesamowite.

Mogło to zabrzmieć jak wyraz powątpiewania, ale Jo nigdy nie ucieka się do zawołanych złośliwości. Zawsze mówi dokładnie to, co ma na myśli.

Wyjaśniłam jej, że po prostu zauważam pewne rzeczy. Zdolność dostrzegania absurdów bardzo mi się przydawała, kiedy byłam dzieckiem.

Strzelałam srebrną zapalniczką, która przyjemnie ciąży mi w dłoni; końcówka marlboro zaczyna się żarzyć. Wciągam głęboki haust nikotyny i od razu czuję się lepiej. W obecnej sytuacji nie mogę się poddać.

Zapada zimowy wieczór. Kiedy patrzę w dal, mroźne powietrze wydaje się zamglone. Czuć początek weekendu – w Broomhill robi się tłoczno, mieszają się zapachy perfum i wody po goleniu, a zewsząd dochodzi gwar zaprawionych alkoholem rozmów.

Zatrzymuję się przed witryną Betfred i patrząc na swoje odbicie w szybie, przestępuję z nogi na nogę. Chociaż spieram się z mamą, kiedy mówi mi rzeczy w rodzaju: „Niedbały styl jest dobry dla nastolatek, ale w pewnym wieku już nie przystoi”, to zaczynam się zastanawiać, czy moje figlarne upodobanie do krótkich sukienek i konturówki w płynie nie przywołuje skojarzeń z *Piekielnym Brooklynem*.

„Jako blondynka musisz uważać na mocny makijaż. Z punkówki w stylu Daryl Hannah w *Łowcy androidów* łatwo możesz się zamienić w Julie Goodyear”.

Kurczę, ale mi będzie brakowało tych wysmakowanych porad Tony’ego.

Zaczynam pisać wiadomość do Robina, ale po chwili namysłu kasuję gniewną tyradę na temat swojego zwolnienia. Niespodziewanie okazuje się, że mam wolny piątkowy wieczór i czegoś takiego nie należy komunikować w prozaicznej formie. Chcę to zrobić stylowo.

Podczas jednej z pierwszych randek – nazywam to randką, choć w gruncie rzeczy zaprosił mnie do siebie, poczęstował czerwonym winem, a około dziewiątej rzucił mi ulotkę baru z posiłkami na wynos i spytał, czy jestem głodna – Robin powiedział: „Życie powinno być jak ta piosenka”.

Tą piosenką było *Suspicious Minds* Elvisa.

– Znaczy jakie? – dociekałam. – Podejrzliwe?

Robin ma wieżę hi-fi z gramofonem – na tyle starą, że stanowi ekstrawagancki element wystroju – i głośniki z diodami pulsującymi w rytm basów.

– Chodzi mi o to, jak muzyka pod koniec cichnie, a potem znowu robi się głośniejsza. Ogólnie to świetny utwór, ale ta sztuczka jest genialna, bo się jej nie spodziewasz. W takich momentach coś dobrego urasta do rangi doskonałości. – Robin nachylił się, żeby poślinić bibułkę. – Większość uważa, że wszystko trzeba robić w określony sposób. Monogamia, małżeństwo, kredyt hipoteczny. Statystycznie dwa i cztery dziesiąte dziecka na rodzinę, bo co innego można zrobić z drugą połową życia? Mycie samochodu i pieczony kurczak co niedziela. To właśnie są te „kajdany wykute w kuźni ludzkiej duszy”, o których pisał William Blake. Ludzie nie chcą się sprzeciwiać zasadom, bo to ich przeraża. Dlatego wszyscy żyjemy w niewoli.

Naszła mnie wtedy ochota na pieczonego kurczaka. Zdawałam sobie sprawę, że wygłaszając tę deklarację światopoglądową, Robin wysłał mi ukryte ostrzeżenie.

„Gdyby miał się ustatkować, to już dawno by to zrobił”. Jasne, mam. Uparcie starałam się sprawiać wrażenie niewzruszonej.

– Symulowana rzeczywistość jak w *Matrixie* – powiedziałam, sięgając po menu Shanghai Garden.

– O tak! Dlatego „nie da się” i „nie wolno” są przeważnie iluzją.

– Powiedz to mojemu kuratorowi.

Robin zaśmiał się, po czym uchylił szerzej okno i zapalił skręta.

– To było dobre – skwitował.

Znaczy, że mnie uważa za fajną dziewczynę, pomyślałam z satysfakcją.

– Chciałbyś doświadczyć ze mną iluzji pod postacią ryżu kung pao?



Zastanawiam się, czy pojechać taksówką do Kelham Island, ale dochodzę do wniosku, że teraz znowu muszę zacisnąć pasa i bardziej odpowiedni będzie autobus. Robinowi obce są tego rodzaju wewnętrzne negocjacje.

Choć może to zabrzmieć dziwnie, mój chłopak jest w pewnym sensie sławny. Przyznaję, „sławny” to lekka przesada, ale „dobrze znany” aż tak bardzo nie mija się z prawdą. Jego twarz i nazwisko mogą rozpoznawać osoby, które mieszczą się w ściśle określonym przedziale demograficznym brytyjskiej populacji, oglądają niezbyt popularne stacje telewizyjne, śledzą występy niszowych komików i lubią sobie przypalić.

Kiedy zobaczyłam jego nowoczesny dwupoziomowy loft, krwistoczerwone skórzane sofy, białe dywany i łóżko na antresoli, uznałam, że prowokująca niekonwencjonalna satyra przynosi zyski.

W ciągu ostatnich sześciu miesięcy, odkąd się spotykamy, kilka razy widziałam, jak Robin ignoruje różne propozycje kontraktów, które uważa za „niezgodne z tym, co próbuje tworzyć”, i wyrzuca rachunki do kosza, a mimo to wciąż ma prąd w gniazdkach i ciepłą wodę w kranach. W końcu pojęłam, że czerpie dochody z innych źródeł.

Jego rodzice – ojciec podobno był szycią w administracji państwowej – po przejściu na emeryturę zamieszkali w Kornwalii. Zostawili mu swoje nieruchomości w mieście i Robin utrzymuje się z wynajmu. Nie zadawałam więcej pytań, żeby nie pomyślał, że jestem łowczynią posagów i próbuję przeświecić jego majątek.

– Starzy są fanami twojej twórczości? – zapytałam, choć na usta cisnęło mi się: „Rety, całkiem nieźle cię ustawili”.

Przeczesał dłonią zmierzwiłone włosy.

– Myślę, że „fani” to za dużo powiedziane – odparł. – Chcą, żebym się spełniał w dziedzinie, w której dostrzegam swój potencjał.

Należymy do różnych światów, ale nie stanowi to problemu z wyjątkiem późnych wieczorów, kiedy wracam zmęczona z pracy. Robin wzrusza wtedy ramionami i mówi: „Ej, weź olej ten kierat”. Bo on nie ma pojęcia, jak to jest balansować na krawędzi bez jakiegokolwiek zabezpieczenia finansowego. W efekcie jego motywacyjne truizmy typu: „Każdy jest kowalem własnego losu” trochę działają mi na nerwy.

Muszę jednak przyznać, że nigdy nie narzekał na dzielące nas różnice, zarówno w kwestii pieniędzy, jak i każdej innej. Jest najbardziej szczupłym i umięśnionym facetem, z jakim spałam, ale uwielbia mój kluchowaty brzuch i napęczniały tyłek. A do tego zachwyca się moim pokojem na poddaszu w szeregowym domu w Crookes.

– Spójrz na to tak... – powiedział kiedyś. – Jeśli chcesz zostać pisarką, to nastrojową pracownię już masz.

– Miło mi, że dobrze się bawisz na safari w slumsach – skomentowałam.

– Ach, „safari w slumsach”, podoba mi się. Muszę to wykorzystać.

Często tak mówi, jak palnę coś śmiesznego.

Akurat gaszę niedopałek i wkładam mentosa do ust, kiedy nadjeżdża autobus. Zamiast serwować skonsternowanym klientom ragu zalatujące karmą dla psów, korzystam sobie z wolnego czasu, a godzina jeszcze młoda. Głowa do góry.

Z przystanku mam dwie minuty marszem do Robina. Idąc w chłodzie i mroku, zaczynam się zastanawiać, czy radosna niespodzianka jest dobrym pomysłem. Może jednak powinnam go uprzedzić?

W tym tkwi cały problem z nieszablonowymi zachowaniami. Nigdy nie wiadomo, kiedy stają się po prostu irytujące.

Tuż przy budynku zauważam Robina – właśnie skądś wraca z niebieską reklamówką w ręku. Cienkie foliowe uszy są mocno naciągnięte, więc pewnie kupił coś ciężkiego w sklepiku na rogu.

Trudno o lepszy moment. Zadzwońię do niego i powiem: „Mam nadzieję, że niesiesz dla mnie jakieś dobre wino”. Wtedy Robin gwałtownie obróci głowę, żeby zobaczyć, skąd go obserwuję. Będę jak Jason Bourne, który mówi: „Zrób sobie przerwę, Pam”.

Wchodzę do listy kontaktów, wybieram numer Robina i przykładam komórkę do ucha. Mój chłopak wyjmuje z kieszeni iPhone’a, patrzy na wyświetlacz i w tej samej chwili w słuchawce rozlega się krótki przerywany sygnał. Rozłączył się przez pomyłkę? Widzę, jak chowa telefon i idzie dalej.

Skonsternowana i urażona ponawiam próbę. Reakcja jest identyczna – sprawdza, kto dzwoni, po czym znów odrzuca połączenie. Robi to na tyle szybko, że gdybym go nie widziała, mogłabym pomyśleć, że wystąpił jakiś problem z siecią.

Zdając sobie sprawę ze swojej nachalności, próbuję po raz trzeci. Robin dochodzi już do drzwi wejściowych. Jeżeli komórka wibruje w jego kieszeni, teraz w ogóle nie zwraca na nią uwagi.

W słuchawce rozlega się komunikat: „Wybrany numer jest chwilowo niedostępny”.

Co on wyprawia? Wyłączył komórkę? Jestem jego dziewczyną, a potraktował mnie tak, jakby zobaczył nieznaną numer i spodziewał się natręta, który próbuje wyłudzać poufne informacje. Gniewa się na mnie o coś? Zastanawiam się, czy ostatnio jakoś mu nie podpadłam, ale niczego takiego nie kojarzę. Poza tym mimo niechęci do krytyków stand-upu Robin na nikogo specjalnie się nie wkurza – czy to za sprawą łagodnego usposobienia, czy ilości wypalanej marihuany, czy też jednego i drugiego.

Czuję się zraniona. Obserwuję, jak Robin wchodzi na klatkę, i rozważam, do jakiego stopnia, jeśli w ogóle, powinnam angażować się w jego życie.

Mogę przewidzieć, jak będzie się tłumaczył. „Nie byłem w nastroju, nie chciałem, żeby ci się udzieliło”. Ale dzwoniłam trzy razy w krótkich odstępach czasu. Czy coś się stało? Taka akcja zdecydowanie odbiega od normy. Robin uważa mnie za katastrofistkę, ale nie można być zbyt niefrasobliwym.

Zwykle wolę dzwonić niż esemesować, jeśli mogę wybierać między „tysiącami sposobów nękania”, od których Robin ostentacyjnie się odżegnuje. A może czeka na telefon od kogoś ważnego? Miał się do niego odezwać szef działu rozrywki BBC, więc chłopak pewnie nie chce blokować linii...

Oczywiście chwytam się brzytwy. Moja mama zwykła mawiać, że jeśli ktoś podsłuchuje, nie usłyszysz o sobie niczego dobrego. Czuję, że ma rację. Nie nacieszyłam się długo dobrym humorem, przysł niczym bańka mydlana – zobaczyłam na własne oczy, jak czasami olewa mnie mój chłopak, a coś takiego nie wpływa korzystnie na poczucie własnej wartości.

Próbuję sobie przypomnieć, czy wcześniej też nie odbierał ode mnie telefonu. Często tak bywa? „Psiakrew, czego ona znowu chce?”

Zapalam papierosa i rozpatruję dalsze kroki. Jeśli wrócę teraz do siebie, mogę natknąć się na Karen, która będzie wychodzić do pracy, a tego spotkania powinnam uniknąć za wszelką cenę. Ogarnia mnie zwątpienie. Wiem, co się ze mną dzieje, a terapeuta doradził mi, żebym nazywała pojawiające się odczucia. Samotność.

Minutę albo dwie później, gdy nadal nie podjęłam żadnej decyzji, rozlega się sygnał przychodzącej wiadomości. Znowu moja siostra.

*Możesz przynieść czerwone, nie białe wino? Nam już niewiele zostało, a znasz mamę. Z góry dzięki. Tylko nie jakieś pomyje z marketu. Takie za minimum dychę.*

Esther nie jest idealną publicznością, ale mam szansę wypróbować na niej swój dzisiejszy popisowy numer, dopracować każdą kwestię, żeby mieć pewność, że rozśmieszę Robina. Wciąż jestem nakręcona, a w żyłach buzuje mi adrenalina, więc bez zastanowienia wybieram jej numer.

– Cześć, siostró, z tym winem nie ma sprawy, tylko nie mogę wydać aż tyle, bo właśnie wyleciałam z pracy.

– Co?! – pyta Esther takim tonem, że zaczynam wątpić, czy mój pomysł był dobry. – Za co?



– Klient poskarżył się na gówniane jedzenie, a jak się okazało, że jest krytykiem kulinarnym i pisze recenzje dla „The Star”, Tony zwolnił mnie na jego oczach. No żeby winna była obsługa, a nie kuchnia.

– O rany, to jak w tej hipsterskiej knajpie przy Green Lane z drinkami w słoikach, gdzie obcięli ci pensję po awanturze o miskę rzygów i kiszzone ogórki.

Rodzina potrafi podnieść ciśnienie w ten szczególny sposób, który nie działa na nikogo innego. Jak gwizdek dla psów. Do innych Esther zwraca się ze współczuciem. Jeśli chodzi o mnie, to jest ostatnia rzecz, jaką słyszę w jej głosie, kiedy nieustannie przypomina mi moje porażki.

– To były krokieciki ziemniaczane z serem i kimchi, a poza tym menedżer ciągle łapał mnie za tyłek, więc musiałam stamtąd odejść.

– No cóż... Zwrócę ci za to wino, kiedy się zobaczymy, tylko kup porządne – przypomina Esther, a ja wydaję niezdecydowany pomruk na znak protestu. – Mark należy do Klubu Winiarskiego, więc nie będzie pił byle sikacza.

W tle mój szwagier cmoka zniecierpliwiony, potem mamrocze coś, co brzmi jak pytanie.

– Mark chce z tobą rozmawiać – oświadcza siostra.

Szmer – komórka wędruje z rąk do rąk.

– Cześć, George – odzywa się Mark. – Przykro mi słyszeć o tej sprawie z włoską knajpą. Może to jeszcze nie jest odpowiedni moment, ale trzeba kuć żelazo, póki gorące, i w ogóle. Znajomy właściciel pubu w centrum potrzebuje kogoś na jutro wieczór. Co prawda to tylko jednorazowa impreza, ale dostajesz gotówkę do ręki, i to całkiem sporo, jeśli dobrze pamiętam. Mogę mu podać twoje namiary?

– Jasne – odpowiadam, błogosławiąc go w duchu. – Dzięki.

– Świetnie. Na pewno niedługo się do ciebie odezwie. No to powodzenia.

Znowu szmer – moja siostra odbiera komórkę mężowi.

– Dziękuję, kochanie – zwraca się do niego. – Mógłbyś zobaczyć, jak tam kolacja? – Na chwilę zapada cisza; domyślam się, że szwagier wychodzi do kuchni. – Mark nadstawia karku, polecając cię do tej fuchy, bo facet jest jego klientem.

A więc wszystko jasne.

– No i?

– No i błagam cię, nie spierdol tego.

– Dzięki! – mówię urażona. – Ale jak powszechnie wiadomo, mam do tego wyjątkowy talent.

– Wiesz, o co mi chodzi. Żebym tylko potem nie usłyszała jednej z twoich zabawnych historyjek, w których cały świat to wielki burdel, a ty jesteś chodzącą niewinnością. Żadnych afer i żadnych wymówek, zrozumiano?

– Rany boskie, już dobrze, dobrze!

Właśnie tak myśli o mnie Esther – tak wszyscy o mnie myślą!

„Ale ona jest, hmm... pechowa”. „Z nią ciągle są jakieś kłopoty”. „Który to już raz?” Takie biadolenie doprowadza mnie do furii i jednocześnie martwi. Obawiam się jednak, że oni mają rację. Ilekroć ktoś mnie krytykuje, zawsze uznaję ze zgrozą, że trafił w samo sedno. Równoważę swoje obawy przesadnym oburzeniem.

– Wiesz, o co mi chodzi – powtarza siostra.

– Że jestem nieudolna i zakłamana? Przyjmuję do wiadomości.

– Och, przestań gwiazdorzyć, Gog. Proszę cię tylko, żebyś miała na względzie układy Marka.

Zdrobnienie mojego imienia to ewidentna manipulacja. Dziecinny zwrot sprawia, że czuję się głupia, a wszelkie moje obiekcje stają się czystym urojeniem.

– Rozumiem – mówię oschle. – Dzięki, Esther. O, jedzie mój autobus.

Rozłączam się, nie czekając na odpowiedź, i gaszę niedopałek. Co robić? Pałętać się nocą po mieście? Wiem, że to nie jest dobry pomysł. Zdeterminowana unoszę głowę i wypinam pierś. Dałam Robinowi dosyć czasu, żeby zdążył się ogarnąć, więc nie może mieć pretensji, że wpadam bez uprzedzenia. Przecież dzwoniłam, nie?

Zanurzam rękę w torebce i wyławiam klucz. Jakoś tak się złożyło, że nie dostałam go w pudełku przewiązanym wstążką, za to z breloczkiem West Ham United. Kiedyś należał do brata Robina, Felixa,

który pomieszkiwał tutaj, bo był uziemiony po wypadku w Cirque du Soleil. Poważnie. Zastanawiam się, czy państwo McNee kiedykolwiek myśleli o tym, że ich synowie zostaną prawnikami albo lekarzami.

Robin dał mi ten klucz po awanturze – raz po powrocie z pracy jak dzika naciskałam dzwonek, niestety, mój ukochany puścił Rolling Stonesów tak głośno, że niczego nie słyszał. Gdy w końcu otworzył drzwi, zobaczył nie tylko swoją dziewczynę, zmęczoną i wściekłą, ale również sąsiada, który próbował odespać długą podróż przez kilka stref czasowych, w czym mu przeszkodziłam, usiłując dostać się do mieszkania. „To koleś nie wiedział, że przyjdiesz?” Z zażenowaniem musiałam wyjaśniać – komuś, kto od trzydziestu dwóch godzin nie zmrużył oka i cierpi z powodu jet lagu – że owszem, koleś wiedział.

– Przykro mi, że nie możesz zaznać satysfakcji. Nie zawsze dostajesz to, czego chcesz. – Robin zaczął sypać cytatami ze Stonesów, nie zważając na napiętą atmosferę. – A może chciałaś pomalować na czarno moje czerwone drzwi?

– Żałosny ćpun – mruknął sąsiad.

Kiedy klucz został mi wręczony, zapytałam, w jakich okolicznościach mogę go używać.

– Ilekroć będziesz chciała otworzyć drzwi – odparł. – Bo do tego służy, prawda?

No więc sam tego chciał.



Pukam do drzwi. Zero reakcji. Z głośnym szczękiem obracam więc klucz. Moim oczom ukazuje się wnętrze wytwornie urządzonego apartamentu, w którym jak zwykle ryczy ogłuszająca muzyka. Pamiętam, że Robin już puszczał te kawałki w tym tygodniu. „To nowa płyta St. Vincent. Dobra jest”. Nie żeby to miało jakieś znaczenie, ale jej tyłek wygląda jak dwa czekoladowe jajka w satynowej rękawiczce.

Rozglądam się za gospodarzem, ale w zasięgu wzroku pusto. Wołam go po imieniu. Nic z tego. Nie słyszy mnie, bo nie jestem w stanie przekrzyknąć muzycznego łomotu. Pewnie rozpakowuje w kuchni wafle i burgery.

Wchodzę do salonu, tam też go nie ma. Widzę za to niebieską torbę foliową porzuconą na sofie. Obok leży kilka pudełek lodów, wysypały się ze środka. W pierwszym odruchu sięgam, żeby je pozbiierać i schować do zamrażarki, zanim się roztopią i poplamiają skórzaną tapicerkę, ale cofam rękę, nie chcę być nadgorliwa. Najpierw się przywitam.

Zaglądam do kuchni – nikogo. Odchylam się i wyciągam szyję, próbując zajrzeć na antresolę. Otwieram usta, żeby znów zawołać Robina, gdy do moich uszu dobiegają charakterystyczne odgłosy, które wychwytyję mimo dudnienia muzyki.

Wzdychanie, sapanie, postękiwanie i...

– Nie... nie... O mój Boże, tak!

Zastygam w bezruchu. Jestem tak wstrząśnięta, że oblewa mnie fala gorąca i jednocześnie dostaję gęziej skórki. Czy rzeczywiście usłyszałam to, o czym myślę? Czy to się dzieje naprawdę? Nie. Nie? To niemożliwe. Takie rzeczy się zdarzają innym, nie mnie, nie w tej chwili. To musi być jakieś komiczne nieporozumienie. Pewnie okaże się, że Robin mnie wkręca, albo później będzie opowiadał, jak to jego dziewczyna weszła do domu, kiedy ćwiczył jogę.

St. Vincent znów przechodzi do spokojniejszego fragmentu i tym razem słyszę wyraźne stęknienia. A potem...

– Lubisz tak, co? No powiedz, że tak lubisz...

Te słowa brzmią znajomo. Nagle wstrząsa mną gwałtowny skurcz i czuję cierpki smak, kiedy żołądek podchodzi mi do gardła. Stoję nieruchomo, podczas gdy rytmiczne odgłosy w tle nie ustają. Teraz rozpoznaję nieregularne poskrzypywanie ramy łóżka, kiedy ugina się pod naciskiem.

Nie mogę tam zajrzeć. Ale wiem, że nic mnie przed tym nie powstrzyma. Koncentruję się, żeby zapanować nad drżeniem rąk, i na palcach podchodzę do aluminiowej drabinki. Ostrożnie wspinam się na antresolę, chociaż szpilki nie ułatwiają mi zadania. Nigdy nie przepadałam za tym rozwiązaniem, bo gdy po imprezie budziłam się w środku nocy z pełnym pęcherzem i jeszcze nie całkiem trzeźwa, to każda wyprawa do łazienki była dużym wyzwaniem.

Wystawiam głowę nad poziom podestu, zaciskając spocone ręce na metalowych szczebelkach. Na szerokim i niskim łożu stojącym pod oknem dachowym goły tyłek Robina porusza się w górę i w dół niczym tłok między szeroko rozstawionymi, szczupłymi bladymi nogami. Niedowierzanie. Zaskoczenie. Odraza. I niepokojąca myśl: matko, czy my też tak wyglądamy podczas stosunku?

Jakie to dziwne patrzeć na dwoje ludzi uprawiających seks. Sama brałam udział w takich scenach i dosyć naoglądałam się ich na ekranie, ale żeby tak z bliska i na żywo? Takie to nierzeczywiste. Wciąż nie dowierzam własnym oczom – Robin wygląda tak, jakby się potknął, upadł i bezskutecznie raz po raz próbował się podnieść.

Nie mogę się powstrzymać od porównań. Są o wiele bardziej rozbuchani i hałaśliwi niż my, kiedy to robimy. Robiliśmy.

– Tak, tak dobrze... Kocham cię, aaaaach!

– Mów do mnie, Lou.

Każde z wypowiedzianych słów Robin akcentuje pchnięciem bioder. Nagle, bez chwili zastanowienia, przyłączam się do ich namiętnej konwersacji, anonsując swoją obecność donośnym krzykiem:

– Co tu się odpierdala?!

Nagie ciała wzdrygają się gwałtownie, a Robin spada z łóżka, kiedy usiłuje uwolnić się z objęć partnerki i jednocześnie obrócić głowę w moją stronę. Kobieta wygina się nieporadnie, próbując usiąść – wtedy zauważam, że ma ręce przywiązane do łóżka szalikami; jeden z nich jest pasiasty, w barwach jakiegoś klubu; niedawno wrzuciłam go do pralki. Patrzę na jej małe piersi o sterczących sutkach i kwiecisty tatuaż oplatający tułów. To jakaś grudkowata maź... Po chwili zakłopotania podszytego lękiem orientuję się, że tajemnicza substancja pochodzi z rozgniecionych pudełek po lodach.

Laska zerka na mnie osłupiała spomiędzy potarganych brązowych loków; niedługo potem uświadamiam sobie, że ją znam – to Lou, asystentka Robina.

Mój chłopak stoi przede mną nagusieńki, jego zmierzwione włosy sterczą jak pasma z peruki kłowna, a wiotczący członek zwisa niczym pochylony sztandar podczas ceremonii powitania królowej. Skórę ma białą jak kreda.

– Do kurwy nędzy, Georgino, co ty tu robisz?

– Wyleciałam z roboty. – Na poczekaniu tylko to przychodzi mi do głowy. – A co ty robisz?

– Co... no... Jak wszedłeś do mieszkania? – Robin wydaje się zły na cały świat, tylko nie na samego siebie, jakby okrutny los spletał mu złośliwego figla.

– Dałeś mi klucz.

– Och, Boże... – wzdycha, kiedy dociera do niego, że może mieć pretensje wyłącznie do siebie. Zamierzał przyjąć bardzo naciąganą linię obrony, ale natychmiast obaliłam jego argument. W obliczu nieuchronnej klęski postanawia przejść do kontrofensywy: – Nie sądzisz, że wypadało najpierw zapukać?

Jego przekonanie, że strugając waźniaka w takim momencie, może wyjść z twarzą z całej sytuacji, wprawia mnie w osłupienie. Narastająca złość pomaga mi otrząsnąć się z szoku. Zaczynam odzyskiwać panowanie nad sobą. Pozwalam, aby Robin zauważył, jak moje spojrzenie powoli wędruje w stronę Lou, która w pozycji pólśiedzącej, z rozpalonymi policzkami próbuje uwolnić się z więzów. Potem znów patrzę mu w oczy, a na koniec opuszczam wzrok i przez zawstydzająco długą chwilę przyglądam się jego więdnącemu przyrodzeniu.

– Pukałam, ale muzyka gra zbyt głośno, żebyś usłyszał, ty żaloszny, zakłamany gnojku.

Szybko schodzę po drabince; moje kostki i kolana protestują, kiedy zeskakuję z ostatnich szczebli. Robin natychmiast rusza za mną. Nie ma czasu się ubrać, więc tuż przy drzwiach dogania mnie goły jak święty turecki. Budzi we mnie jeszcze większą odrazę – nie ma na tyle wstydu, żeby chociaż czymś się zasłonić. Nawet teraz odgrywa przede mną swoiste przedstawienie. „Patrz, jaki jestem bezbronny. Doceń, że wyjątkowo nie próbuję żadnych forteli”. Doceniłabym, gdyby ukrył swój wyjątkowy fortel pod rękawiczką.

– George, zaczekaj – prosi. – Tak mi przykro...

– Mnie też. Ale nie każde rozstanie ma wymiar terapeutyczny. Rzygać mi się chce.

– Rozstanie? – powtarza zdziwiony.

Obracam głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Nie spodziewasz się chyba, że z tobą zostanę.

– Nie, no... dzisiaj na pewno nie.

Mrugam zaskoczona.

– Czy ty jesteś chory na umyśle? To koniec, zrywam z tobą. Nie wiem, jak to sobie wyobrażasz, że po czymś takim moglibyśmy dalej być razem.

Zastanawia się przez chwilę.

– Razem? Ee... Nie sądziłem, że jesteśmy w związku.

Oszołomiona potrzebuję chwili, żeby dojść do siebie i ułożyć w myślach jakąś sensowną odpowiedź.

– Że... co?

To wszystko, na co mnie stać.

– Myślałem, że tak tylko się spotykamy. – Palcami robi w powietrzu cudzysłów. – Ale nie żebyśmy mieli wobec siebie jakieś zobowiązania... Znaczący, że nie można się widywać z kimś innym. Nie rozumiem, o co ta cała afera.

Krew gotuje mi się w żyłach. Nie dość, że dopuścił się zdrady, to jeszcze mnie obwinia o wszystko i wmawia mi, że nie byłoby problemu, gdyby nie moje nieżyciowe oczekiwania.

– Kpisz sobie, kurwa, ze mnie?! – wybucham. – Próbujesz coś wskórać jakimiś ściemami, że nasz związek w ogóle nie istniał? Zachowujesz się jak dziecko. Zasłonisz sobie teraz oczy, żebym cię nie widziała?

Robin odgrywa pantomimę, wzdychając ciężko i kręcąc głową z niedowierzaniem. Do tego przeczesuje włosy dłonią, jakby się zastanawiał, co powiedzieć – taką samą sztuczkę wykorzystuje na scenie. Cholera, jak bardzo trzeba być bezczelnym, żeby wciąż prezentować mi swojego fiuta.

– Jeszcze nigdy nie widziałem cię w takim stanie – mamrocze.

Szok. Znowu opada mi szczeka.

– Też mam wymieniać, czego jeszcze nigdy nie widziałam? – odpowiadam. – Ty tak na serio?

Robin opiera dłonie na biodrach. Pan Rozsądny się znalazł. Ale nagle zamienia się w Pana Urażonego, jakbyśmy dyskutowali o zawyżonych kosztach ogrzewania poddasza.

– Czy kiedykolwiek powiedziałem coś, co kazało ci sądzić, że wierzę w monogamię? Chociaż na pewno ci mówiłem, że nie wierzę.

Z zaskoczenia nie jestem w stanie wykrztusić słowa. To tak, jakby złodziej przyłapany na gorącym uczynku bronił się, przekonując, że kradzież nie istnieje, ponieważ żyjemy w stanie fałszywej świadomości wytworzonej przez CIA. Na taki argument nie byłam przygotowana. Ja pierdołę, zaraz wybuchnę z wściekłości.

– Tyle masz na swoje usprawiedliwienie? Myślałeś, że obydwoje możemy się pieprzyć, z kim się nam podoba?

– Hm, no tak, Georgino. Ale skąd miałbym wiedzieć, że jest inaczej? Nigdy nie omawialiśmy zasad i warunków naszego układu.

– W takim razie dlaczego kryjesz się i nie odbierasz telefonu?

– A co, miałbym się z tym obnosić? To byłoby nietaktowne. I raczej nie sądzę, żebyś miała ochotę słuchać relacji, z kim, gdzie i kiedy uprawiam seks – wyjaśnia Robin.

– Och, jakie to, kurwa, uprzejme z twojej strony! – Muszę stąd wyjść, przetrwać to wszystko, uciec jak najdalej od tej toksycznej ekstrawagancji.

Gwałtownym pchnięciem otwieram drzwi. Korytarzem przechodzą właśnie dwie pary – trzydziestolatkowie z rodzicami po sześćdziesiątce. Ich uwagę musiały już wcześniej przyciągnąć odgłosy kłótni, bo ukradkiem spoglądają w naszą stronę. Mój były chłopak, który uważa się za bezpruderyjnego, zgodnie ze swoją deklarowaną naturą, gapi się na nich, świecąc im nagością w oczy.

– Przepraszam, zechciałby pan zasłonić swoje wstydlive obszary? – odzywa się starszy z mężczyzn. – Tutaj są damy.

– Jestem w swoim mieszkaniu. Niech się wstydzi ten, kto widzi.

– Żeby jeszcze było na co patrzeć – wtrąca ten młodszy.

Rozpoznaję w nim sąsiada, który kiedyś przeze mnie nie mógł odespać podróży. Teraz stał się nagle moim bohaterem.

– Ale mógłby nam pan oszczędzić gorszących widoków – dodaje jego ojciec.

– Gorszących? Wyluzuj, przyjacielu – radzi mu Robin. – Ludzkie ciało jest piękne.

– To, co tutaj widzę, raczej temu przeczy – odpowiada sąsiad.

– Pozdrów ode mnie Lou – zwracam się do Robina, wychodząc z mieszkania, po czym wyjaśniam skonsternowanej publiczności: – To kobieta, z którą nakryłam go w łóżku.

- Och, w końcu dostałaś klucz? – zauważyła mój dzisiejszy sprzymierzeniec.
  - Tak, ale okazuje się, że w ogóle nie byliśmy parą. – Bezradnie rozkładam ręce.
  - To chyba powód do radości. Nigdy nie przepadałem za tym dupkiem.
- Wyjątkowo serdecznie ściskam mu dłoń.
- Było mi bardzo miło.



– Ja mam to powiedzieć? Ech, wy... – Clem kręci głową, spoglądając z niepokojem na Rava i Jo, którzy milczą skrepowani.

Rav skubie fabrycznie wystrzępiony mankiet drogiej granatowej kurtki, a Jo ma minę jak smutna owieczka z kreskówki.

– O co chodzi? – pytam.

Wszyscy myślą, że staram się trzymać fason za wszelką cenę, ale w gruncie rzeczy czuję się dziwnie spokojna. Shiraz ma w tym sporą zasługę. Znalazłam bezpieczną przystań na wzburzonych wodach, czyli na obitym szkarłatną skórą narożniku w pubie The Lescar.

Okazuje się, że nawet w weekend można wyciągnąć przyjaciół do knajpy bez wcześniejszego umawiania. Tym łatwiej, kiedy akurat dwoje z nich właśnie wychodzi z kina i ma ochotę się napić, a trzecia osoba siedzi w domu, żeby nie wystawiać się na pokusy i nie przekroczyć limitu punktów w programie dietetycznym Strażników Wagi, ale najchętniej zjadłaby całą bagietkę czosnkową z serem. A jeszcze jak pobudzi się ich ciekawość pikantną historią o skoku w bok...

Nie sądziłam, że ten zwariowany piątkowy wieczór zakończę w swoim ulubionym pubie w towarzystwie bliskich mi osób, ale tak się stało, więc w myślach odmawiam modlitwę dziękczynną nad talerzem z kawałkami smażonego bekonu.

Znowu jestem singielką, straciłam pracę, kończą mi się pieniądze i mieszkam w wynajętym domu tuż obok hali z przemysłową hodowlą larw, a moja współlokatorka jest wyjątkowo upierdliwa. Mam jednak przyjaciół i kieliszek pełen czerwonego wina.

– No dawaj, Rav – zachęca Clem.

Rav piorunuje ją wzrokiem i pokasłuje zakłopotany, zasłaniając usta zwiniętą dłonią.

– Co?

– Tchórz! Dobra, skoro nikt z was nie ma odwagi, to ja jej powiem. Georgino...

– O Boże – odzywam się płaczliwym tonem. – Wiedzieliście, że on mnie zdradza?!

Już na samą myśl o tym czuję się dotknięta do żywego. Pal lichy, że Robin afiszował się ze swoją niewiernością, ale jeśli moi przyjaciele utrzymywali w tajemnicy przede mną cały ten ponury incydent, jest gorzej, niż myślałam.

– Nie, oczywiście, że nie wiedzieliśmy, ty bekso! – mówi Clem. – Czemu mielibyśmy ci nie powiedzieć, gdyby tak było?

– No, sama nie wiem – mamrocę w odpowiedzi.

– Georgino. – Clem bierze głęboki wdech. – Uważaliśmy Robina za odrażającego, żalostnego i skończonego dupka. A ty co sobie wyobrażałaś?

– Aha – odzywam się głupkowato. – Więc go nie lubiliście?

Rav znowu pokasłuje, a Jo wbija wzrok w szklankę cydru.

– Stwierdzenie „nie lubiliśmy” nie do końca oddaje nasze nastawienie. „Czuliśmy do niego odrazę” jest zdecydowanie bliższe prawdy.

– Clem, do cholery! – wtrąca Rav. – Ona właśnie przyłapała go w łóżku z inną panienką.

– Czym zasłużył sobie na odrazę.

Po pełnej napięcia chwili milczenia wybucham śmiechem. Przyjaciele patrzą na mnie zdezorientowani, ale też zaczynają się śmiać.

– Myślałam, że albo się rozplączesz, albo dasz mi w twarz – mówi Clem, krzyżując ręce na piersi.

– Nie, spoliczkować mam ochotę tylko samą siebie – odpowiadam.

Jo kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Bez wątpienia przeżyłaś coś okropnego. Bardzo ci współczuję.

Dotykam jej dłoni.

– Dobrze, że się go pozbyłam.

– Naprawdę był przekonany, że życie w otwartym związku? – Clem wykrzywia z pogardą usta, starannie powleczone cynobrową szminką.

Moja przyjaciółka ubiera się jak członkowie britpopowej grupy Pulp, tylko lepiej. W takim nieprzemijającym, klasycznym stylu. Wszystkie elementy jej wizerunku, łącznie z zafarbowanymi na czerwono włosami i długimi szpiczastymi paznokciami, dopełniają się i świetnie współgrają. Jest bardzo wyrazista, zarówno jeśli chodzi o wygląd, jak i o charakter.

– Myślał, że możemy sypiać, z kim chcemy. Nasuwa się jedynie pytanie, dlaczego nigdy nie wspominał o swoich przygodach.

– Używał sobie na boku jak pospolity gnojek, a teraz robi z ciebie wariatkę.

– To znaczy?

– Chce cię zmanipulować tak, abyś myślała, że to tobie oduło i że to jest wyłącznie twój problem.

– No cóż, nigdy nie ustalaliśmy granic naszego związku. Co prawda powiedział mi kiedyś, że nie wierzy w monogamię, ale wiesz... Nie sądziłam, że to nas dotyczy. Przedstawiłam go moim znajomym i rodzinie. Na litość boską, jak można się zaangażować w związek i jednocześnie olewać jego elementarne zasady?

– Na tym właśnie polega robienie wody z mózgu. Zaczynasz wątpić w samą siebie. A to on zmienił reguły gry. – Clem upija przez słomkę gin z tonikiem i wykrzywia twarz. – Nazywał cię kelnerką. Nigdy nie tracił okazji, żeby pokazać swoją wyższość.

– A ja myślałam... sama nie wiem, że po prostu taki z niego lekkoduch.

Clem otwiera szeroko oczy. Rav i Jo wciąż unikają mojego spojrzenia. Ze skrępowaniem odkrywam, jak znajdowałam usprawiedliwienie dla całej masy jego wybryków, które tylko mnie przestały razić. Uświadamiam sobie, że to wszystko, co mi zostanie po związku z Robinem. Nie licząc dożywotniego wstępu do lodów waniliowych z kawałkami czekolady i ciasteczek.

– Znałaś tę kobietę? – pyta Clem.

– Lou jest jego asystentką. Sypiał z nią kiedyś, ale myślałam, że teraz już nic ich nie łączy.

Robin wspomniał, że poszedł z nią do łóżka „pewnego razu”, ale wydawało mi się to raczej zamierzchną przeszłością, chociaż, jak się okazuje, nigdy nic nie wiadomo. Zaskoczył mnie tym wyznaniem, szczególnie kiedy spędziłam cały wieczór w jej towarzystwie, święcie przekonana, że ich przyjazne stosunki mają wyłącznie służbowy charakter. Przez myśl mi wtedy nie przeszło, że może ich łączyć coś więcej. Nie twierdę, że požądanie da się logicznie wytłumaczyć, jednak pod względem fizycznym Lou jest moim całkowitym przeciwieństwem – bujne kasztanowe loki, kolczyk w nosie, kościste kolana we wzorzystych pończochach z pozaciąganyimi oczkami i do tego srebrzyste głany. Nawet ją wtedy polubiłam. Coś jednak przestawia się w głowie, kiedy odkrywasz, że ktoś kiedyś zajmował twoje miejsce.

– Podeszła do tego na luzie, bo jest naprawdę wyluzowana – oświadczył Robin.

Przetłumaczyłam sobie jego słowa: nie robiła mu wyrzutów, kiedy dał jej jasno do zrozumienia, że nic dla niego nie znaczy.

Robin milczał wtedy przez chwilę.

– Chyba nie ma znaczenia, kto z kim był, prawda?

Owszem, ma... I nie tylko dla mnie, bo inni nawet piszą o tym piosenki.

– Oczywiście! – odparłam. – Zaskoczona jestem i tyle. Nie powiedziałabym, że dobrana z was para.

– Para to za dużo powiedziane. Wylądowaliśmy razem pod prysznicem w hotelu w Luton, co wydawało się logicznym następstwem wspólnej kolacji. W Luton trudno o inne rozrywki.

Przeszył mnie nieprzyjemny dreszcz. Zdecydowanie daleko mi do wyluzowanej dziewczyny, którą ciekawią takie pikantne szczegóły. Stresowałam się, gdy Robin sprawiał, że czułam się drętwa i konwencjonalna. Widziałam, że rajcują go te wspomnienia, że wraca do nich z dumą erotycznego



konkwistadora. Przeciwnieństwo prozaicznej Georginy. Kiedy spytał, czy wolałabym, żeby więcej o tym nie wspominał, natychmiast odpowiedziałam, że tak, i zmieniałam temat.

Nie zapytałam, czy nie przeszkadzałoby mu, gdyby role się odwróciły. Dlaczego? Bo dowiedziałabym się, że albo jest hipokrytą, albo w ogóle nie odczuwa zazdrości, co jemu pasowałoby idealnie, ale z mojego punktu widzenia byłoby raczej niefortunne.

Dlaczego nie powiedziałam Robinowi, że nie podoba mi się jego zbyt swobodne podejście do życia? Obawiałam się, że będę jak ta zaściankowa narzeczona ze starej komedii *Billy kłamca*. Kobieta uwięziona w przeszłości, która jest zaprzeczeniem wszystkiego, co podniecające. Obawiałam się również, że spotka mnie rozczarowanie. Ale przekonałam się, że lepiej mieć niezyciowe oczekiwania niż nie mieć żadnych.

Wypiliśmy wszyscy po dwie kolejki i uzgodniliśmy, że nie mam nic przeciwko obgadywaniu Robina. Teraz mój były chłopak przypieka się na wolnym ogniu szyderstwa i gdy wieczór dobiegnie końca, nie zostanie z niego nic oprócz kupki zwęglonych żeberek.

Dziwne uczucie, bo wypełnia mnie jednocześnie wdzięczność i wstyd, że nie jest mi przykro ani nie mam ochoty go bronić. Powinnam mieć rozdarte serce, przeżywać jakiś wewnętrzny dramat. Tymczasem czuję się oszukana, upokorzona i pusta. Doświadczałam już pustki, zanim poznałam Robina, który pomógł mi ją wypełnić.

– Stand-uperzy często bywają wredni – zauważa Rav. – Pomyślcie tylko, jaką trzeba mieć osobowość, żeby stać samotnie na scenie i opowiadać śmieszne rzeczy, ryzykując, że nikt się nie zaśmieje. To zajęcie dla nieprzystosowanych ludzi. Takich z syndromem smutnego klauna. Wolałabym się znaleźć w kwaterze Hitlera niż za kulisami klubu Comedy Store.

– Mogłeś mi to powiedzieć, zanim padłam ofiarą jednego z nich – mówię.

– Miałem zamiar, ale dałaś mu się porwać, zanim zdążyłem cię ostrzec. Potem uznałem, że nie byłabyś zadowolona z mojej profesjonalnej opinii.

W zasadzie to wina Rava, że w ogóle poznałam Robina. Przyniósł bilety na wieczór pod hasłem „mikrofon dla każdego”. Robin występował ostatni i okazał się najlepszy. Zaprezentował fragment swojego programu *Nie jestem śmieszny, ale...* Miał lepszą gadkę niż jego poprzednicy, którzy szybko stawali się męczący, gdy oparli o statyw mikrofonu rzucali krótkie dowcipy.

Po występie poszliśmy większą grupą do hotelowego baru, gdzie natknęliśmy się na niego i dwoje innych komików – postawną kobietę o turkusowych włosach, ubraną jak panią z portretu na kadłubie bombowca, i posępnego faceta z Solihull w kapeluszu z płaskim dnem. W końcu poczułam się częścią artystycznej społeczności Sheffield.

Robin górował nad wszystkimi, a moją uwagę przyciągnęła jego rozwichrzona kędzierzawa czupryna i przenikliwe niebieskie oczy, które kontrastowały z czerwoną kraciastą koszulą. Kiedy przechadzał się po scenie, przeczesując włosy dłonią, emanował zuchwałą energią. Czulałam zapach potu, który wycisnął z siebie podczas występu.

Uzmysłowiłam sobie, że mam wielką ochotę go poznać. Wydawał się inny niż ci wszyscy zwyczajni mężczyźni, których spotykałam. Bywał w świecie. Miał coś do powiedzenia. Znał się na tym, co robi. Postanowiłam zaczekać na dogodny moment, żeby przyciągnąć jego uwagę.

Robin trzymał komórkę poziomo na wysokości podbródka – oznaka megalomanii, na którą już wtedy powinnam zwrócić uwagę – i czytał swojemu agentowi świeżą recenzję. Dwa dni wcześniej zaczął tournée w Londynie i właśnie pojawiła się pierwsza opinia.

– „McNee ma wyczulone ucho na potoczne idiotyzmy językowe, które słyszymy na co dzień. Naśladując Stewarta Lee, zaciekle dokopuje celebrytom, zawodowym konkurentom, a nawet publiczności, ale zamiast świadomie autoironizować, zaczyna jawnie dawać upust osobistym frustracjom... staje się jednym z tych pyszałków, których próbuje wyszydzać. Jego ego można porównać do pijanego kierowcy, ale gdyby pozwolił zdrowemu rozsądkowi przejąć kontrolę nad kierownicą, mógłby stworzyć coś imponującego”. Powiedz mi, Al, brzmi pochlebnie czy nie? – Pauza. – Tak, wiem, ale pytam, w jaki sposób to odbierasz. – Znowu pauza. – Dobra, wystarczy. No więc złóż tę recenzję na czworo, złap chwyty do zbierania śmieci i wrzuc do kosza. – Przerwa. – Nie, no wiem, że to jest na stronie internetowej i nie ma wersji papierowej. Mówię w przenośni.

Rozłączył się. Wszyscy milczeli. Nie czułam się spięta, głównie za sprawą dwóch diabelnie mocnych drinków z mięsistymi wiśniami nadzianymi na wykałaczki.

– Jeśli recenzent używa takich określeń jak „coś imponującego” i „wyczulone ucho”, to nie jest źle – odezwałam się.

Robin spojrział na mnie.

– A co z tym „ego jak zawiany kierowca”?

Wzruszyłam ramionami.

– W tym zawodzie bez ego ani rusz. Trudno sobie wyobrazić, by Richard Pryor albo... Lenny Bruce byli go pozbawieni. Bez ego i własnych demonów nie ma sztuki, tak jak bez jajek i bekonu nie ma śniadania.

Robin wpatrywał się we mnie.

– No proszę – wykrztusił. – Racja. A ty jesteś...?

Zaspokoiliam jego ciekawość i przedstawiłam też moich przyjaciół. Ktoś zamówił szampana i impreza zaczęła się rozkręcać.

– Jesteś pisarką? – spytał Robin, opierając rękę na oparciu pluszowej kanapy w taki sposób, jakby mnie obejmował.

– Nie! Skąd takie przypuszczenie?

– Kiedy słucham twoich opinii, odnoszę wrażenie, jakbym rozmawiał z koleżanką po fachu.

Rozpromieniłam się. Było to jedno z najbardziej pochlebnych zdań, jakie w życiu usłyszałam.

– Chociaż jak na pisarkę masz trochę zbyt zdrową cerę. Zupełnie nie jak ktoś, kto żyje na czarnej kawie i fajkach. Widać, że często wychodzisz z domu na świeże powietrze.

Wiedziałam, że jestem wcięta, ale mój poziom upojenia alkoholowego harmonizował z linią basów w piosence Prince'a i miło mi się słuchało komplementów.

– Jestem kelnerką.

– Jak uroczo.

Rzeczywiście powiedział to protekcyjnym tonem. Clem miała rację.

Omam nie palnęłam „Chciałabym zostać pisarką”, ale ugryzłam się w język. Wiedziałam, że wtedy padłoby pytanie „Co napisałaś?”, a ja niczym nie mogłabym się pochwalić, nie licząc pamiętnika, z którego kiedyś byłam nawet dumna.

– Pomóż mi w tworzeniu mojego programu i odpowiedz na pytanie sondażowe – powiedział Robin. – Jak to jest być piękną?

Spoglądając nad jego ramieniem, zobaczyłam Rava, który przystawił sobie do skroni palec, jakby chciał się zastrzelić. Być może w innych okolicznościach odburknęłabym coś lekceważąco, ale Robin wydawał się taki inspirujący i oryginalny. No i wiadomo – takich pytań nigdy za wiele.

– Nie jestem piękna – odparłam.

Powstrzymałam się, żeby nie poprawić fryzury, ale odruchowo wciągnęłam brzuch.

– Owszem, jesteś.

– No cóż, dziękuję.

– A więc bycie piękną polega na przekonaniu, że nie jest się piękną, tak?

Roześmiałam się.

– Hm, niech ci będzie.

– Cóż za rozczarowanie. Bo wyobrażałam sobie, że to coś więcej. Na przykład jak wtedy, gdy się jest disneyowską czarodziejką, która potrafi sprawić, że garnki i talerze same się umyją, a miotła zatańczy.

Po kilku minutach Rav nachylił się do mnie i szepnął:

– Idę o zakład, że potrafiłabyś skłonić jego miotłę do tańca, jeśli wiesz, o czym mówię.

Parsknęłam śmiechem i uświadomiłam sobie, że po raz pierwszy od niepamiętnych czasów ktoś wzbudził moje zainteresowanie. Tamtej nocy zrobiłam coś, co nigdy mi się nie przytrafiło – kiedy Robin wrócił z baru, niosąc mi nowego drinka, pomyślałam: jesteś mój, zabieram cię do domu.

Potem był pocałunek na postojach taksówek, przerywany czułymi szeptami – „podobasz mi się; ty też mi się podobasz” – i odbyliśmy bardzo przeciętny stosunek w pokoju hotelu Mercure, bo Robin

nawet nie zadał sobie trudu, żeby zaprosić mnie do siebie. Moja wielka przygoda z seksem na pierwszej randce sprowadzała się do tego, że ujeżdżałam pijanego w sztok i półprzytomnego komika, który w kółko jęczał:

– Mów do mnie lubieżnie, kelnerko Georgino, mów do mnie! Bądź niegrzeczna i wyuzdana!

Wyuzdana?

– Zerznij mnie, ty kudłaty błaznie! – krzyknęłam.

\*\*\*

Rav nie przestaje omawiać wad mojego byłego chłopaka.

– Wiesz, nie miałem okazji poznać go na tyle dobrze, żeby zdiagnozować u niego Mroczną Triadę, ale wcale bym się nie dziwił, gdyby moje przypuszczenia się potwierdziły.

– Mroczną Triadę? Brzmi jak nazwa zespołu hip-hopowego.

– Narcyzm, manipulacja, brak empatii – wylicza Rav, odginając kolejno palce, po czym sięga po paczkę czipsów. – Taki człowiek bez skrupułów przeżyje cię i wypluje.

Rav jest psychoterapeutą. Nikt by nie odgadł, że ten szczupły mężczyzna o bliskowschodnich rysach, noszący fryzurę jak Morrissey i kolorowe wzorzyste koszule, pracuje w takim zawodzie. Ma chłodny, analityczny umysł, nie ulega sentymentom i bez wątpienia jest osobą, którą warto znać, kiedy zadajesz się z takim chodzącym zlepkim dysfunkcji jak Robin. Pod wpływem alkoholu robieramy wszystko na czynniki pierwsze i pewnie z każdego samolubnego dupka bylibyśmy zdolni zrobić szekspirowskiego arcyłotra.

Jo w zamyśleniu przygryza policzek od wewnątrz.

– Wydawało mi się, że Robin jest bardzo idio... idio...

– Idiotyczny? – podrzuca Clem.

– Nie... no ten, idi...

– Idi Amin? – próbuje zgadywać Rav.

– Nie, chodzi o określenie indywidualności, która nie jest indywidualna.

– Idiosynkratyczny? – podsuwam.

– Tak! – wykrzykuje Jo. – Nie podobało mi się, jaki był dla ciebie opryskliwy.

Marszczę czoło.

– Szczerze mówiąc, myślałam, że tylko się ze mną drażni.

Cenię sobie własny dystans do siebie, dzięki któremu nie czuję się dotknięta uszczypliwymi żartami. Robi mi się przykro na myśl, że przyjaciele stoją za mną murem, a ja nawet nie wiem, gdzie powinna przebiegać granica.

Clem wydyma wargi.

– Za każdym razem, gdy wypowiadałaś opinię na jakiś temat, Robin zaznaczał, że być może rację mają ludzie o przeciwnych poglądach albo że jesteś zbyt drażliwa – mówi. – Od razu to zauważyłam, bo mój psychopatyczny były właśnie tak mnie traktował. Ciągłe podkopywał moje poczucie własnej wartości. Taki typ nie chce, żebyś polegała na własnym zdaniu.

O Boże, ona ma rację. Na początku byłam zachwycona mocno krytycznym podejściem Robina do mojego życia – ale gdy teraz się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że już dawno powinnam zmienić swoje nastawienie i przestać zachowywać się jak księżniczka. Rany, wyrwałam takiego inspirującego bystrzaka, myślałam z dumą, gratulując sobie w duchu, i czekałam na jego kolejną złotą myśl. Ale nigdy nie zadałam sobie pytania, dlaczego ten facet ani razu nie stanął po mojej stronie.

Dałam Robinowi tak dużo swobody, bo uważałam go za wybitną osobowość, emisariusza z innego świata, bardziej wysublimowanego i liberalnego niż ludzie ze świata kelnerki Georginy. Jeżeli coś mi się w nim nie podobało, tłumaczyłam sobie, że jeszcze nie jestem na bieżąco z najnowszymi trendami i brak mi artystycznego temperamentu. Robin na każdym kroku subtelnie utwierdzał mnie w przekonaniu, że za nim nie nadążam. Po naszej ostatniej rozmowie nie mam co do tego wątpliwości.

– Ten nadziany i stylowy chłoptaş wyobrażał sobie, że zrobi ci wielką frajdę, kiedy zawlecze cię na chatę, którą kupili mu rodzice, żebyś paliła z nim trawkę i słuchała jego bredni – mówi Clem. – Czy on kiedykolwiek gdzieś cię zaprosił?

Nie. Ale poczytywałam to za chwalebny przejaw niematerialistycznego podejścia do życia – nie żeby brakowało mu gotówki, wmawiałam sobie, po prostu to nie ten typ, który lubuje się w wystawnych kolacjach i zadawaniu szyku, lansowaniu na mieście i próbach zaimponowania bogactwem. Wolał dyskutować o niebanalnych sprawach, czyli o sobie i swojej sztuce.

Szybko wlewam w siebie wino i notuję w pamięci, że wyczynowa zdolność dostrzegania pozytywnych stron u każdego – ta, którą wpaja się zwłaszcza dziewczynom: bądź wdzięczna, uśmiechnij się! – nie zawsze wychodzi nam na zdrowie. Czasami warto zadać sobie pytanie, dlaczego musimy tak postępować.

Przypominam sobie również inne sygnały, które skutecznie wypierałam ze świadomości. Pierwszy raz formalnie przedstawiłam Robina mojej paczce na trzydziestych urodzinach Clem. Myślałam, że Clem spędziła cały wieczór przy drzwiach, bo tak było jej wygodniej pełnić obowiązki pani domu; że Rav zdrowo się zaprawił, bo proporcje rumu i piwa w dzbanku przerosły jego możliwości; a milczenie Jo było spowodowane dolegliwościami menstruacyjnymi. Tymczasem wyraźnie znudzony Robin stwierdził, że „nie czuje się najlepiej w tym towarzystwie”.

Krzywię się z niesmakiem na to wspomnienie.

– Mam nadzieję, że nie sądzicie, że spotykałam się z tym idiotą tylko dlatego, że raz czy dwa wystąpił w telewizji? – pytam.

– Pewnie, że nie – odpowiada Rav. – Sądzimy, że spotykałaś się z tym idiotą, bo uważałaś go za kogoś nadzwyczajnego, zgadza się? No wiesz, poniekąd taki był...

– I nie myśl, że nam powodzi się lepiej – dodaje Jo.

Nie zamierzałam o tym wspominać, bo nie mam w zwyczaju wkładać robaczywych jabłek do koszyka. Wprawdzie ci nieliczni faceci, z którymi spotykałam się przez ostatnich dziesięć lat, okazywali się nijacy i do mnie nie pasowali, ale byli całkiem sympatyczni. Tymczasem kobiety, które Rav poznaje na portalach randkowych, tylko tym różnią się od jego pacjentek, że nie wystawia im rachunków za poświęcony czas. Jo od lat marnuje się u boku bydlaka z sąsiedztwa zwanego Bałamutnym Philem, natomiast Clem żywi przekonanie, że romantyczna miłość jest ideą wymyśloną w celu zniewolenia ludzkości, i żaden z jej związków nie utrzymuje się na tyle długo, byśmy zdążyli poznać jej faceta.

Rav postanawia służyć pomocną dłonią Clem, która idzie do baru zamówić trzecią kolejkę, a Jo spogląda na mnie spod równo przyciętej, połyskującej grzywki zafarbowanej na różne odcienie brązu – aktualne kolory to w dwóch trzecich cappuccino i w jednej trzeciej pianka cappuccino. Jo jest fryzjerką.

– Świetnie sobie radzisz – mówi. – Mam nadzieję, że nie za bardzo się wpięprzamy.

– Dzięki. Wcale. Szczerze mówiąc, przeraża mnie własna naiwność. Zastanawiam się, jak długo bym sobie wmawiała, że tworzymy udaną parę, gdybym go nie nakryła. Tylko że my nigdy nie byliśmy parą.

Wzburzenie wywołane odrażającym występkiem Robina powoli mija i w miarę jak odzyskuję spokój, zaczyna mi doskwierać poczucie wewnętrznej pustki.

– Ależ byliście! Byliście parą.

– Nie, Jo. Po prostu mnie fascynował, bo wydawał się fajny – odpowiadam, pocierając skronie, chociaż mam wielką ochotę wałnąć czołem o blat. – Nic do niego nie czułam i to jest niepokojące. Zastanawiam się, czy w ogóle jestem zdolna w kimś się zakochać. Może właśnie w tym tkwi problem. Zawsze wybieram najmniejsze zło i coraz bardziej mi odbija.

Czuję, że wkroczyłam w sentymentalną fazę upojenia czerwonym winem i zaraz się rozkleję.

– Znajdziesz sobie kogoś! – pociesza mnie Jo. – Możesz przebierać w facetach, naprawdę.

Waham się, wbijając zatroskany wzrok w tekturową podkładkę leżącą na stoliku. Wiem, że mogę sobie pozwolić na szczerą wobec Jo, z którą przyjaźnię się od dwudziestu lat. Zna mnie na wylot i wie o mnie wszystko.

– Nie wiem, czy istnieje ktokolwiek, z kim chciałabym być. Nigdy się nie zakochałam...

– mówię, z zakłopotaniem odwracając wzrok. – No, może raz. Kiedy byłam młoda i głupia. Ale z perspektywy czasu to nie ma najmniejszego znaczenia.

– Czyżby był nim... Richard Hardy? – szepcze Jo żartobliwym, ale pozbawionym ironii tonem.

O Boże. To naprawdę niebezpieczne, kiedy ktoś tak długo cię zna. Jak tylko rozpoczęłam tę rozmowę, uświadomiłam sobie, że nie mam na nią ochoty, ani teraz, ani kiedykolwiek. Na wzmiankę o Richardzie coś się we mnie zacięło. Wydaję z siebie niewyraźny dźwięk.

– Czasami widuję jego zdjęcia. Mieszka teraz w Toronto, nie?

– Yhm, przeprowadził się do Kanady – odpowiadam.

Żałuję, że mój kieliszek jest już pusty i nie mam czego wziąć do ust.

Jo poklepuje mnie po ramieniu. Czuję, że zastanawia się, co powiedzieć, i nie wiem, jak ją powstrzymać.

– Nie wiedziałam, że... – zaczyna, ale uciszam ją gestem dłoni.

– Gdzie się podziewa Rav? Udeptuje winogrona na to wino?

Jo się rozgląda i wiem, że wyczuwa jakiś zgrzyt, ale trwa to zbyt krótko, by zdążyła się zastanowić, co jest nie w porządku.



Najgorsze są pierwsze minuty po przebudzeniu na kacu. Czuję się jak ofiara jakiegoś wypadku, która odzyskała przytomność w szczerym polu. Totalna masakra.

Odtwarzam w pamięci końcówkę imprezy – liżę sól, wbijam zęby w cytrynę, wychylam tequilę o smaku zmywacza do paznokci, śmieję się w taksówce jak hiena. Uuuch. Nie ma w tych przeżyciach nic, co można by nazwać przyjemnym, a następnego dnia rano ból rozsadza mi głowę.

Rzeczywistość przypomina o sobie serią migawek pełnych golizny – zestresowana Lou z obnażonymi piersiami i Robin, który prezentuje swoje przyrodzenie sąsiadom. Wszystko to wydaje się nierzeczywiste i przez chwilę myślę, że miałam bardzo dziwny sen, ale potem dostrzegam leżący na podłodze zmięty plakat tournée *Nie jestem śmieszny, ale...* ze słowem *ĆWOK* dopisanym szminką na czole Robina.

O Boże, czy narobiłam strasznego bydła i rabanu? Karen się wścieknie. Moja współlokatorka pracuje w fabryce ciastek tydzień na nocnej i tydzień na dziennej zmianie, ale ciągle zapomina, który tydzień akurat wypada. Kiedy się wprowadziłam, próbowałam zagaić rozmowę:

– Naprawdę zjadamy tak dużo ciastek, że trzeba je piec po nocach?

– Żartujesz czy naprawdę jesteś tak głupia? – odparła, narzucając ton naszej koegzystencji pod jednym dachem.

Oblizuję zeschnięte wargi i słyszę, jak trzaskają mi stawy, kiedy próbuję się przeciągnąć. Zaraz otworzę cołą, zażyję dwie tabletki czegoś przeciwbólowego i spróbuję przetrwać kolejne godziny.

Chyba już późno. Przysuwam do siebie telefon, żeby sprawdzić czas, i widzę esemesa wysłanego z nieznanego numeru. Opieram się na łokciu i spoglądam na swoje odbicie w oszklonej szafce – mam fryzurę niczym Rick Parfitt po reaktywacji Status Quo. Zastanawiam się, dlaczego po dużej nocnej popijawie zawsze sterczą mi włosy na czubku głowy. Pociągnięciem palca odblokowuję ekran.

*Cześć, Georgino, tu Devlin. Mark dał mi Twój numer i powiedział, że nam pomożesz dziś po południu. Przyszłabyś około trzeciej? Daj znać, mamy nóż na gardle!*

O kurrr... Mark nagrał mi fuchę u swojego klienta! A mojej siostrze zależy, żebym tego nie spieprzyła! Muszę to odwołać... Nie, nie mogę tego odwołać! Nie mogę wkurzyć Esther, nie mówiąc o zaprzepaszczeniu szansy na zarobek – to już druga oferta pracy za całkiem przyzwoite wynagrodzenie, które z napiwkami pozwoliłoby mi przetrwać do przyszłego miesiąca, jeśli nie dłużej.

Jest wpół do jedenastej. Mam być na miejscu o trzeciej. Chociaż przydałaby mi się jeszcze godzina w łóżku, powinnam wstać już teraz – lepiej nie ryzykować, bo gdybym zasnęła, mogłoby się to źle skończyć.

Biorę gorący prysznic i poświęcam całe wieki na makijaż, pod którym próbuję ukryć ślady ubiegłej nocy. Wiem, że to jedynie tymczasowe rozwiązanie dla moich przekrwionych oczu i poszarzałej skóry. Patrząc w zaparowane lustro, wmawiam sobie, że dzięki kosmetykom doświadczyłam cudownego zmartwychwstania, choć wiem, że za kilka godzin przeżyję chwilę grozy na widok swojego odbicia.

Jeszcze nie jestem w stanie przełknąć jedzenia. Piję mocną czarną kawę, gęstą od cukru, a żółw Jammy posyła mi przenikliwe spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: znowu się łajdaczyłaś, co? No pięknie!

Piękniej być nie może. Karen zostawiła mi na kuchennym stole jeden ze swoich liścików miłosnych, które tak uwielbiam:

*Georgino,*

*wygląda na to, że zamieszkały u nas krasnoludki; grasują po domu i wykradają różne rzeczy. Miałam trzy tampony Super Plus, a teraz pudełko jest puste. Musiałam skorzystać z Twoich Lil-Lets. Gdybym chciała używać Lil-Lets, tobym je sobie kupiła. Jednak ich chłonność pozostawia wiele do życzenia, a ja obficie miesiączkuję. Odkup mi plusy jak najszybciej, proszę.*

*Karen*

*PS*

*Dopisek robię o 6 rano przed wyjściem do pracy, po tym, jak o 2 w nocy wróciłaś do domu (przypuszczam, że sama) i przez godzinę tłukłaś się po swojej sypialni. Owszem, miałaś słuchawki na uszach, ale niech Ci się nie wydaje, że nie słyszałam, jak podśpiewujesz z Taylor Swift. Naprawdę – rażący brak szacunku!*

Nie pamiętam powrotu do domu, a to oznacza, że będę musiała szarpnąć się na butelkę wina musującego w ramach przeprosin, nie mówiąc o paczce tamponów.

Jestem całkowicie pewna, że nie podbierałam jej tamponów. Karen ma kiepską pamięć i uwielbia mnie szykanować, a są to tylko dwa z wielu powodów, dla których mam wątpliwą przyjemność obcowania z nią. Jest też pozbawiona poczucia humoru, więc rysunek przedstawiający Zgredka z dopiskiem „Mam te dni” w komiksowym dymku absolutnie nie wchodzi w grę.

Klient Marka – Devlin – jest pełnym wigoru, przyjaznym facetem, choć przez telefon wydaje się dosyć szorstki w obyciu. Ma irlandzki akcent i mówi z typowo męską manierą, jak zapytany o drogę przechodzień, który głośno wyrzuca z siebie staccato niezbędnych informacji, pochylając się nad otwartym oknem kierowcy.

Dzwoni do mnie zaraz po tym, jak mu odpisuję, że będę o trzeciej, ponieważ chce mi wyjaśnić dwie sprawy. Po pierwsze impreza jest stypą po jego przyjacielu, a po drugie potrzebuje pilnie kogoś do obsługi baru, ponieważ The Wicker, jego lokal przy Ecclesall Road, jeszcze nie został oficjalnie otwarty po remoncie. Czy dam sobie radę sama przez większość wieczoru? Oczywiście, nie ma sprawy. W takim razie do zobaczenia o trzeciej. Koniec rozmowy.

The Wicker, hm. Mam nadzieję, że wystarczyło mu funduszy, bo taki remont to nie byle co.

Z zewnątrz The Wicker zawsze prezentował się atrakcyjnie – jego wiktoriańską fasadę pokrywają glazurowane kafelki w różnych odcieniach zieleni, a kontrastują z nimi imponujące czarne drzwi. Przyjezdni łatwo dawali się nabrać, że serwują tam piwa rzemieślnicze i deski serów z korniszonami w stylowych słoiczkach. Tymczasem w lokalu panował nieprzyjemny mrok i zalatywało stęchlizną, a piwo zawsze było mętne. Nic do podziwiania. Klientela składała się wyłącznie ze stałych bywalców, cierpiących najwyraźniej na syndrom sztokholmski, który kazał im tam wracać.

– Halo? Dzień dobry.

Pukam w uchylone drzwi, a kiedy nikt się nie pojawia, popycham je nieśmiało i wchodzę do środka. Wiecie, jakie to uczucie, kiedy wychodząc z samolotu w jakimś tropikalnym kraju, kulicie się odruchowo przygotowani na spotkanie z brytyjską zimnicą, tymczasem uderza was gorący podmuch jak z suszarki do włosów?

Doświadczam właśnie czegoś takiego, tylko w wymiarze estetycznym.

Moim oczom ukazuje się ogromny mahoniowy bar, bez wątplenia oryginalny, któremu przywrócono dawny blask, pieczołowicie zdzierając stuletnią warstwę patyny. Scianę za barem pokrywają stylowe lustra z wytrawionymi ornamentami, a na półkach stoją rzędy butelek. Nie brakuje tam luksusowych alkoholi, z których można zrobić świetne drinki – kilkanaście różnych gatunków dżinu, aperol, porządna whisky. Mam słabość do stylu shabby chic, który łączy w sobie przeszłość z nowoczesnością. Jak na mój gust, wszystko tu jest olśniewające.

Podczas remontu musieli wypatroszyć całe wnętrze, ale nie pozbawili go ducha. Boksy w wykuszach mają teraz nową tapicerkę z czerwono-brunatnej skóry, która zastąpiła chropowatą tkaninę,

przywodzącą na myśl siedzenia w wagonach kolejowych. Nad stolikami wiszą białe lampy o białych porcelanowych kloszach. Z podłogi znikła wydeptana i poplamiona wykładzina dywanowa, ustępując miejsca lśniącej parkietowi z ciemnobrązowego drewna. Dopełnienie ekskluzywnej atmosfery stanowią ściany w kolorze wieczornego nieba – ta farba, o ile dobrze pamiętam nieustające rozterki mojej siostry w kwestii wystroju wnętrz, nazywa się błękit haski.

Z kuchni dolatuje zapach jakiejś mięsnej potrawy. Na ustawionych rzędem wzdłuż ścian stolikach leżą półmiski z trójkątnymi kromkami białego chleba, które pocą się pod folią spożywczą, a wokół miseczek z sosami mienia się paletą barw przystawki z surowych warzyw.

– Cześć! Georgina, jak się domyślam?

Mężczyzna kładzie na podłodze okazałą kompozycję z pomarańczowych gerber i białych chryzantem tworzących jakiś napis, po czym rusza w moją stronę z ręką wyciągniętą na powitanie.

– Jestem Devlin.

Wygląda zupełnie inaczej, niż go sobie wyobrażałam, kiedy rozmawialiśmy przez telefon. Słyszając jego melodyjny niski głos, spodziewałam się zobaczyć olbrzyma podobnego do Hagrida. Tymczasem Devlin okazuje się energicznym facetem po czterdziestce, z kruczoczarnymi włosami i twarzą poraną zmarszczkami. Ma około metra sześćdziesięciu wzrostu, nosi modną marynarkę i jest na swój sposób przystojny.

– Wybawiłaś nas z tarapatów – mówi. – Super, że zgodziłaś się pomóc.

– Nie ma sprawy... Kurczę, ale pięknie się tu zrobiło.

– Tak uważasz? – Devlin wygląda na zadowolonego. – Dał mi w kość ten remont, ale warto było. Znałaś wcześniej to miejsce?

– Hm... tak, ale nie jako klientka.

– No tak, przedtem tu była speluna. Poprzedni właściciele niespecjalnie starali się o klimat. Ten lokal był jak nieoszlifowany diament.

– Teraz robi wrażenie, naprawdę.

Wnętrze zmieniło się nie do poznania i już sam jego wygląd poprawia mi nastrój.

– Otwieramy dopiero za tydzień i nie mamy jeszcze kasy fiskalnej, więc drinki zaserwujemy bezpłatnie. Przynajmniej będziesz miała mniej do roboty.

Uśmiecham się i przytakuję, chociaż mam na tyle doświadczenia, by wiedzieć, że darmowy bar to istna masakra, a na stypie to już w ogóle. Kiedy ludzie nie muszą płacić, zamieniają się w dzikie bestie. Jak powiedział Mark, pieniądze są wspaniałym wynalazkiem i dopiero teraz zaczynam rozumieć, co miał na myśli. Zapowiada się zwariowana impreza zamknięta, która może się ciągnąć w nieskończoność.

Do tego po raz pierwszy od dwunastu lat, czyli od śmierci taty, znajdę się w gronie żałobników.

Kiedy miałam piętnaście lat albo coś koło tego, moja mama przypięła do tablicy korkowej w kuchni program uroczystości żałobnej na cześć swojej kuzynki Janet, fizjoterapeutki ze Swansea. Pod nagłówkiem „Życie trzeba celebrować” znajdowały się zdjęcia Janet w stroju klauna, w kajaku i z kieliszkiem margarity, którym wznosiła toast do obiektywu razem ze swoją dziewczyną. Obowiązywały tęczowe stroje. Mama wysłała kwiaty.

Pamiętam, jak ojciec się obruszał i mówił, że nie podoba mu się takie celebrowanie, beztroskie fotki i robienie hecy z umierania. „Niech śmierć pozostanie śmiercią”, mówił. Śmierć jest smutna. Nie na miejscu są takie nowoczesne mody jak kondukt pogrzebowy ubrany w hawajskie koszule, który wyśpiewuje *Kumbaya, my Lord, kumbaya* i wznosi radosne okrzyki.

– Taki pogrzeb wybrała sobie Janet – odparła mama.

– A więc zachowała się bardzo egoistycznie, bo to wszystko nie jest dla niej. W takich okolicznościach należy się liczyć wyłącznie z uczuciami innych osób.

Mama tylko westchnęła, a ojciec spytał, czy chcemy coś ze sklepu, bo wybiera się na zakupy, po czym wyszedł.

Dopiero po latach zrozumiałam, że mama nie pojechała na pogrzeb, bo spodziewała się właśnie takiej reakcji z jego strony. Czy ojciec naprawdę nie mógłby znieść radosnych śpiewów nad trumną? Czy był to tylko pretekst, aby obydwójce mogli się wykręcić od udziału w pogrzebie i nie musieli spędzać weekendu w Walii sam na sam ze sobą? Przyczyna nieporozumień między nimi leżała dużo głębiej.



Prawdopodobnie żadna z ich kłótni nie dotyczyła tego, o co naprawdę im chodziło.

Dlatego kiedy ojciec zmarł trzy lata później, miałyśmy nie lada zgryz z przygotowaniem uroczystości żałobnych, wzięwszy pod uwagę, że nie byłby zadowolony ani ze swobodnej atmosfery na swoim pogrzebie, ani z religijnych obrzędów, gdyż jako człowiek niewierzący uważał śmierć za „nieodwracalne przełączenie odbiornika na planszę testową nicości”.

Ponieważ mama uznała tradycyjny pochówek za bardziej stosowny niż kremacja, wybrałyśmy standardowy pakiet – niedrogą trumnę z laminowanej płyty pilśniowej i nabożeństwo w kościele, do którego ojciec nigdy nie uczęszczał. A po wszystkim stypę w pobliskiej restauracji, gdzie młodzi kelnerzy w białych koszulkach i czarnych spodniach nalewali gorące napoje z olbrzymich termosów i cierpkie grzane wino z kartonów.

Wciąż czuję ten przytłaczający nierzeczywisty klimat rodem z sennego koszmaru, jakby to wszystko wydarzyło się wczoraj. Byłam wtedy na pierwszym roku studiów i miałam wrażenie, że wszechświat gwałtownie zбочzył z drogi i podąży kursem jakiejś groteskowej alternatywnej rzeczywistości, ale przecież musiał istnieć jakiś sposób skierowania go z powrotem na właściwe tory. To był zwyczajny poranek; mama usłyszała dobiegający z kuchni łoskot, zbiegła na dół i znalazła ojca leżącego twarzą do podłogi w kałuży rozlanej kawy.

Chciałam podejść do jednego z pracowników zakładu pogrzebowego, mężczyzn o kamiennych twarzach i w białych rękawiczkach, którzy są specjalnie szkoleni, by nie nawiązywać kontaktu wzrokowego. Chciałam go złapać za kłapy szarej marynarki i powiedzieć:

– Zaszła fatalna pomyłka. W tej trumnie leży mój tata. Śmierć może spotkać każdego, rozumiem to, ale nie mojego tatę, a już na pewno nie teraz. Mam do niego pilną sprawę i muszę z nim porozmawiać, więc proszę go stamtąd wypuścić.

Brakowało mi słów i ten stan nabrał nowego znaczenia albo wreszcie pojęłam jego znaczenie – człowiek, który mnie kochał w całkowicie niepowtarzalny i niezastąpiony sposób, nagle znikł i zabrał ze sobą wszystko, co nas łączyło. Zabrakło nie tylko mojego taty, ale również jego poglądów, wsparcia i opinii na mój temat. Nikt nie był w stanie go zastąpić, a ja wciąż bardzo potrzebowałam ojca. Naprawdę już więcej go nie zobaczę? Nigdy? Nawet nie zdążyliśmy się pożegnać.

Niechętnie wracam do tych wspomnień i staram się je odsuwać. To tylko doraźne rozwiązanie, jakbym próbowała zmieścić w kredensie zbyt wiele rzeczy i upychała je, zamykając na siłę drzwiczki. Wiem, że gdy znowu zajrzę do środka, uwolnię bezładną lawinę.

Wiszące nad barem niczym rząd chorągiewek zdjęcia nasuwają przypuszczenie, że stypa będzie utrzymana raczej w konwencji pogrzebu kuzynki Janet, a nie mojego taty. Na wszystkich widać trzydziestolatka o jasnorudych włosach i wydatnej szczęce, wyraźnie cieszącego się życiem. Wędruje po górach albo pozuje w stroju rzymskiego legionisty; scenki z pubu mają żółtawy odcień, jakby zostały zrobione w latach dziewięćdziesiątych, kiedy nie używano telefonów do robienia zdjęć, a wszyscy mężczyźni nosili kraciaste koszule i jasnoniebieskie dżinsy. Na rozciągniętej powyżej szarfie widnieje napis „Spoczywaj w pokoju, Danny”.

Cholera. Zmarły był jeszcze młody. Uroczystość żałobna w mało znanej knajpie na uboczu świadczyłaby raczej, że jest wręcz odwrotnie. Bardzo dziwne. Co innego, jeśli ktoś miał za sobą całe życie, mieszkał w domu opieki i był zniedołężniały. Jeszcze raz przyglądam się fotografiom i czuję ucisk w gardle. Nawet jeśli stypa przeciągnie się do późna i nie zarobię zbyt wiele, nie będę narzekała.

– Mam zacząć rozpakowywać szkło? – pytam, wskazując pudełka z kieliszkami i stół do tapetowania nakryty papierowym obrusem.

– Byłoby świetnie. Możesz od razu nalać do nich czerwonego i białego wina, bo goście przyjdą się upić. Co do tego nie mam wątpliwości. – Devlin zerka na zegarek. – Będą za jakieś pół godziny. Teraz pewnie stoją przed kościołem i gadają. Jest już po pogrzebie, ale wiesz, katolicy lubią długie ceremonie.

Wykonuje dłonią gest, który imituje poruszające się usta.

Mój wzrok znowu spoczywa na kompozycji kwiatowej i po raz pierwszy zwracam uwagę na napis.

– Irn Bru? – pytam.

Devlin spogląda na kwiaty, potem znów na mnie.

– Aha. Dan uwielbiał ten napój – wyjaśnia. – Kiedy urządziliśmy z przyjaciółmi burzę mózgów, żeby stworzyć listę jego ulubionych rzeczy, znalazły się na niej Red Bull, poker, gorzała i cycki. Wyszedłem z założenia, że florystka z zakładu pogrzebowego nie będzie kręcić nosem tylko na to pierwsze.

Parskam śmiechem, ale szybko się opanowuję.

– Proszę przyjąć szczere wyrazy współczucia – mówię, choć wiem z doświadczenia, jak niestosownie brzmią te słowa.

– Dziękuję, Georgino, dziękuję.

Robi mi się przyjemnie na myśl, że pracuję dla kogoś, kto pamięta moje imię i tak się do mnie zwraca. Jakby chciał w ten sposób zakomunikować: wiem, że nie jesteś wyłącznie moją służącą i poza naszym chwilowym układem masz inne życie.

– Za młodo odszedł, zdecydowanie za młodo – dodaje Devlin. – Ale Danny nie był z tych, którzy dożywają późnego wieku.

– Przykro mi.

Devlin kręci głową.

– Był moim serdecznym przyjacielem, kiedyś pracowaliśmy razem. Cudowny człowiek, serce na dłoni, ale wiesz, za kołnierz nie wylewał. Zawsze na bani.

Wyczuwam, że Devlina nie jest łatwo urazić, więc ryzykuję pytanie:

– Zmarł z powodu alkoholizmu?

– No cóż, tak i nie. Na ostrej bani spadł ze schodów i walnął się w głowę. Miał krwiaka w mózgu; lekarze powiedzieli, że nie da się pacjenta wybudzić ze śpiączki. W każdym razie nie jako Dana.

– O Boże.

– Miał tylko trzydzieści trzy lata.

– Trzydzieści trzy! – Przykładam dłoń do ust. – Straszne. Bardzo mi przykro.

– Moja szwagierka była w tym samym wieku, kiedy zmarła w zeszłym roku, więc to dla mnie trudny czas.

Nie mam już w zanadru żadnej ekspresyjnej formy na wyrażenie współczucia, ale naszą rozmowę przerywa jakiś facet w džinsach zsuniętych do połowy tyłka – to nie jest modna „stylówka”, tylko ponadczasowe niechlujstwo; po prostu nie chce mu się zapiąć paska jak należy. W rękach trzyma głośnik. Teraz już nie czuję się niezręcznie w czarnym podkoszulku i džinsach.

– Gdzie to postawić?

– Niech pomyślę... Może być przy tamtych drzwiach.

– Będzie muzyka? – pytam.

– Pewnie. Jak się rozklejać, to ze śpiewem na ustach – odpowiada Devlin i widząc moją zmieszaną minę, dodaje: – Właściwie powinienem cię uprzedzić, że to będzie raczej bankiet niż stypa. Danny zostawił szczegółową instrukcję na wypadek nagłego zgonu i stosujemy się do niej co do joty. Prawdopodobnie był zalany, kiedy ją spisywał, ale mimo wszystko.



Dobrze się bawię, czego w ogóle się nie spodziewałam. Pojęcie dobrej zabawy jest oczywiście względne. Moje zadowolenie oceniam na dwa i pół razy większe od przewidywanego. I jeszcze mi za to płacą. Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że wszyscy zebrani doskonale się bawią. Głośno gra muzyka, każdy się przekrzykuje, ale w rozmowach nie słychać wrogości. Wszyscy są życzliwi, bez względu na stopień upojenia alkoholowego. W porównaniu z tą imprezą stypa na cześć kuzynki Janet przypominała spotkanie kwaków i zaczynam żałować, że nie poznałam Dana, chociaż pewnie miałabym opory przed podawaniem mu drinków.

Devlinowi ciekły łzy po policzkach, kiedy wygłaszał krótką mowę o tym, jak Dan nie znosił posępnych uroczystości.

– Rozgrzesza tych, którzy mają jakiegokolwiek skrupuły, i prosi, żebyście świętowali, zamiast się smuć jego nieobecnością. Taki właśnie był – powiedział i wznosił kieliszek do toastu. – Za Dana.

– Za Dana – powtórzyli wszyscy chórem.

Poczułam, że wilgotnieją mi oczy, i otarłam twarz fartuchem.

– Sobie też możesz nalać przy okazji – poinformował mnie Devlin, gdy minęła godzina od rozpoczęcia stypy. – Jeśli tylko będziesz trzymała formę, nic nie stoi na przeszkodzie. Często się też przekąskami.

Nalewam sobie szampana, ale nie mam wolnej chwili, żebym mogła go nawet powąchać. Jestem pochłonięta pracą w ten przyjemny sposób, gdy czas raczej pędzi, niż się wlecze, a widok zadowolonych gości przynosi mi taką satysfakcję, jakbym podejmowała ich wszystkich we własnym domu. Żona Devlina, Mo – „Rozpoznasz ją, gdy tylko się pojawi; niska farbowana blondynka, która będzie mnie opieprzać” – pomaga mi, uzupełniając zapasy lodu i owoców, ale poza tym obsługuję bar w pojedynkę.

Przypominam sobie coś, o czym zapomniałam w *That's Amore* – jestem w tym naprawdę dobra. W dwie godziny obsłużyłam setkę osób i teraz jednym wprawnym ruchem tworzę w piance wzór koniczynki podczas nalewania piwa, a drugą ręką wsuwam kieliszki pod dozownik. Kiedy tłum przy barze zaczyna rzędnąć, połowa sali zamienia się w parkiet taneczny.

Znajduję skrzynkę szampana, która zawieruszyła się w zamieszaniu podczas przygotowań, i wspominam o tym Devlinowi.

– Mów mi Dev! Devlinem jestem tylko dla mojej matki i policjantów. Dzięki za informację – odpowiada gospodarz, po czym stuka widelcem w kieliszek. – Proszę o uwagę! Nasza wspaniała barmanka znalazła kilka butelek moëta. Zawsze powtarzam, że najlepsze trunki trzeba zostawiać na później, kiedy hołota już sobie pójdzie. Wypijmy jeszcze raz za naszego kochanego Dana. A przy okazji proszę o brawa dla Georginy za jej cały wysiłek.

Pokazuje na mnie, a ja rumienię się zakłopotana, kiedy wszyscy zaczynają klaskać i gwizdać. Fajnie, myślę, przynajmniej tym razem Esther nie będzie miała powodu do narzekań, że narobiłam Markowi wstydu.

Mam świetny nastrój i czuję, że wypełnia mnie celtycki duch – jak w tej scenie z *Titanica*, w której Rose idealnie wtapia się w rozbawione towarzystwo na dolnym pokładzie, zakasując kieckę i tańcząc przy skocznej muzyce.

Ustawiam kieliszki na tacy i kiedy zaczynam napełniać je trunkiem, spostrzegam mężczyznę, który wchodzi do sali ze średniej wielkości, jasno umaszczonym psem na smyczy. Wysoki brunet w granatowej marynarce z postawionym kołnierzem. Kręcone kruczoczarne włosy są na tyle długie, że odrobinę zasłaniają uszy. Moją uwagę przyciąga jego nietypowe zachowanie – przybysz nie wita się

z nikim ani nie przyłącza się do towarzystwa, tylko z markotną zadumą prezentuje wystudiowaną pozę niczym współczesny odpowiednik pana Darcy'ego na balu, tylko w wydaniu z dwudziestego pierwszego wieku – hałaśliwi plebejusze płasają przy dźwiękach *What's Love Got To Do With It* Tiny Turner, podczas gdy on przygląda się im z boku.

Kiedy szukam go wzrokiem wśród tańczących, którzy zasłaniają mi widok, nachodzi mnie dziwna myśl – czy ten człowiek przypadkiem nie zabłądził? Czy kiedy ktoś wchodzi sam do lokalu, to zazwyczaj obwieszcza swoje przybycie? Swoją drogą, dlaczego przyszedł tak późno? Myślałam, że tacy nieproszeni goście zjawiają się jedynie na weselach. Ale w takim razie dlaczego przyprowadził psa, przez którego tylko bardziej rzuca się w oczy? Nie, to nie może być nikt obcy. Zastanawiam się, kim jest i czy był blisko związany z Danem. Ciekawe, czy uważa hałaśliwe zachowanie gości za profanację.

Mężczyzna spogląda w moją stronę, więc szybko wracam do swoich zajęć. Z głośników płynie właśnie *Atomic Blonde* i zaczynam rytmicznie podrygiwać, krzątając się za barem.

– Mogę ci przerwać, blondyneczko?

Obracam się i parskam śmiechem. Devlin daje mi znak, żebym podeszła na drugi koniec baru i wręcza mi zwitek banknotów.

– Spisałaś się dzisiaj na medal. Jestem ci niezmiernie wdzięczny.

Dziękuję mu i mówię całkiem szczerze, że było mi bardzo przyjemnie. Od razu się wzdrygam, gdy dociera do mnie, jak niestosownie brzmi to sformułowanie, zważywszy na okoliczności.

– Posłuchaj, szukam kogoś do obsługi baru na pełny etat i ciężko mi kogoś znaleźć, bo nie cierpię rozmów kwalifikacyjnych, czytania życiorysów zawodowych i tych wszystkich ceregieli. Wolałbym z kimś popracować, żeby bliżej go poznać i wyrobić sobie opinię. Ale organizowanie castingów jakos mi nie leży. Możemy uznać, że mamy to już za sobą? Byłabyś zainteresowana?

– Tak! – odpowiadam z entuzjazmem i żeby nie wyjść na desperatkę, dodaję już bardziej zdeterminowanym tonem: – Tak, jestem bardzo zainteresowana. Dziękuję.

– Doskonale. Muszę to jeszcze uzgodnić z moim bratem, ale nie powinno być problemu.

Chociaż przepełnia mnie nadzieja, zdaję sobie sprawę, że oferty pracy składane ustnie i w stanie wskazującym na spożycie nie są wiążące. Unoszę wzrok i widzę samotnego ponuraka, który stoi niedaleko Devlina, próbując zwrócić na siebie jego uwagę. Teraz mogę wreszcie dokładniej mu się przyjrzeć. Facet wygląda powalająco – ciemne brwi, pełne usta, wyrazista żuchwa z kilkudniowym zarostem gwiazdora filmowego. Prezencja bez zarzutu.

Zaraz, zaraz... Zastygam w bezruchu. Uświadamiam sobie, że znam tego człowieka. Rysy twarzy się zmieniły i musiało minąć wiele czasu, odkąd ostatni raz go widziałam, ale nie jest to ktoś zupełnie obcy, jak mi się z początku wydawało. Wręcz przeciwnie.

W końcu go rozpoznaję i nagle coś ściska mnie w piersi. Zapiera mi dech, kiedy nasze spojrzenia się spotykają. Debbie Harry śpiewa o pięknych włosach; jej głos przybiera na sile.

– Poznaj mojego brata Lucasa – odzywa się Devlin.



– Luke – przedstawia się Lucas i wyciąga rękę, żeby energicznie uściśnąć mi dłoń.

Mam wrażenie, że przeżuwam powietrze, kiedy bełkotliwym głosem wypowiadam swoje imię. Omal nie wyrywa mi się z ust idiotyczne pytanie: Luke? Od kiedy to?

Nagle cała oblewam się potem, ale mam nadzieję, że moja skóra była jeszcze sucha, kiedy się witaliśmy.

Lucas mówi coś Devlinowi na ucho w sposób, który jednoznacznie daje do zrozumienia, że sprawa jest poufna. Odczekuję kilka sekund, żeby moje odejście nie wyglądało na ucieczkę, po czym oddalam się do toalety.

Ku mojemu zadowoleniu w toalecie nie ma nikogo. Powietrze jest chłodniejsze niż na sali, a ściana tłumi dźwięki muzyki. Zamykam się w kabinie, siadam w spodniach na sedesie i wlepiam tępo wzrok w drzwi przed sobą.

A więc Devlin ma na nazwisko McCarthy. A jego brat to Lucas McCarthy.

Jezu Chryste. Ale jak? Skąd? Dlaczego?

Przypominam sobie jak przez mgłę wzmianki Lucasa o starszym bracie, który już skończył szkołę i był od nas dużo starszy. Nawet nie znałam jego imienia. A zamiast zagłębiać się w genealogię, wykorzystywaliśmy usta w inny sposób.

O Boże, o Boże. Gdybym chociaż dostała jakieś ostrzeżenie. Tak wiele znaczący dla mnie człowiek nie powinien wkraczać z powrotem na scenę mimochodem, bez fanfar i sygnałów wzmagających napięcie. Ktoś powiedział, że śmierć jest niczym innym jak tylko przejściem do innego wymiaru. Lucas umarł dla mnie, a jednak wciąż przebywa w tym wymiarze. To nie mieści mi się w głowie.

Owszem, zawsze miałam świadomość, że coś takiego mogłoby się wydarzyć, ale po tych dwunastu latach wydawało się niemożliwe.

Zmuszam się do opróżnienia pęcherza – zapobiegawcza strategia, żeby za chwilę nie przycisnęła mnie prawdziwa potrzeba – opłukuję lepkie dłonie w zimnej wodzie i przeglądam się w lustrze, dając upust swojej próżności. Szczerzę zęby, żeby sprawdzić, czy nic się do nich nie przykleiło, a potem gorączkowo wycieram brunatny zaciek makijażu, który spłynął z mojej powieki.

Z przejścia lekko się trzęsę. Teraz mam stanąć z nim twarzą w twarz?

W mojej wyobraźni Lucas McCarthy wciąż był szczupłym nastolatkiem, którego kiedyś znałam. Nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, że mógł z niego wyrosnąć tak oszałamiająco atrakcyjny mężczyzna. Tymczasem on z chuderlawego, lekko zaszczutego uczniaka przeobraził się w ucieleśnienie bohatera z poezji Byrona.

A ja? Z pewnością nie zmieniałam się w femme fatale. Obawiam się, że nadal jestem tą samą poczwardką, która na zawsze uwięzła w swoim kokonie. Nieprędko zapomnę, jak Tony porównał mnie do Julie Goodyear.

Zakładam włosy za uszy, prostuję się przed lustrem i próbuję myśleć pozytywnie. Mogę się podobać. Nie jest źle. Czuję, jak dżinsy opinają miękkie ciało na biodrach, i zaczynam żałować, że nie mam oszlifowanej niczym diament muskularnej sylwetki o wyzywających kształtach. O Boże, czy zaczyna mi się robić drugi podbródek?

Tylko dlaczego tak się zamartwiam, skoro Lucas mnie nie rozpoznał? Tego mogę być całkowicie pewna. Od razu bym się zorientowała, bo jestem w tym dobra. Potrafię wyczuć, że coś jest na rzeczy, kiedy ludzie przyglądają mi się w specyficzny sposób albo rozmawiają o mnie. Lub kiedy ktoś zerka na

mnie ukradkiem.

Ale w zachowaniu Lucasa nie dostrzegłam żadnych sygnałów – najmniejszego śladu zakłopotania, obawy czy zaaferowania. Jego twarz miała wyraz uprzejmej, lekko nieobecnej neutralności, jakby udawał zainteresowanie osobą, z którą nic go nie łączy. Jego beznamiętne spojrzenie nie zdradzało żadnych emocji.

Jak to możliwe? Georgina nie jest szczególnie rzadkim imieniem, ale też nie spotyka się go zbyt często. Minęło dwanaście lat. Czy tyle wystarczy, żeby całkowicie wymazać kogoś z pamięci? Cóż, odpowiedź nasuwa się sama. I nie wiadomo, ile osób może pomieścić w pamięci. Wcale nie jest trudno zgubić Georginę na wielkim placu zabaw wypełnionym innymi Georginami.

Odpowiada mi, że Lucas nie wie, kim jestem, a jednak czuję się dotknięta do żywego. Postanawiam podejść do tego pragmatycznie; na uzalanie się nad sobą będzie czas później. Dobrze przynajmniej, że ten grom z jasnego nieba trafił mnie, kiedy stypa zbliża się już ku końcowi.

Wychodzę z toalety i wracam na swoje stanowisko pracy. Tak bardzo staram się nie sprawdzać, co robi Lucas McCarthy, że od wysiłku sztywnieje mi kark. Coraz mniej gości ma ochotę na drinka, aż w końcu przy barze robi się całkiem pusto.

Żona Devlina mówi, że chyba już mogę się zbierać, a ja miazdę ją w pełnym wdzięczności uścisku, ale niezbyt długo, żeby przypadkiem nie zapytała, czym wrócę do domu. Nad jej ramieniem widzę, jak Devlin daje mi ręką znak „zadzwoń do ciebie”, i w odpowiedzi pokazuję mu uniesiony kciuk, choć już daleka jestem od entuzjazmu.

Teraz jeszcze musisz tylko dojść do wyjścia, mówię sobie w myślach. Nie patrz w lewo ani w prawo, tylko skup się na celu, dopóki nie zamkniesz za sobą drzwi... Możesz odetchnąć.

Pałę wytęsknionego marlboro i czekam, aż zza rogu wyłoni się taksówka, którą zamówiłam. Noc jest chłodna, więc przytupuję w miejscu, chociaż właściwie zimno mi nie przeszkadza. Najważniejsze, że stamtąd uciekłam, myślę z ulgą. Sprawdzam aplikację w komórce: twój kierowca Ali będzie na miejscu za 4 minuty.

Zaczynam chodzić w kółko, bardziej żeby ochłonać niż się rozgrzać, jak mogłoby się wydawać. Zza drzwi pubu wciąż dobiega basowe dudnienie muzyki. Zastanawiam się, jak długo jeszcze żałobnicy będą rozprawiać się z ostatnimi butelkami szkockiej, wspominając zmarłego.

Lucas McCarthy jest bratem Devlina. Devlin jest bratem Lucasa McCarthy'ego. Nie mieści mi się to w głowie.

Zaciskam dłoń na łokciu drugiej ręki i przechadzając się wzdłuż ściany, patrzę przez niezaparowane fragmenty szyb na poruszające się w środku postacie. Jeżeli ja ich widzę, to oni widzą mnie.

A jeśli ktoś się zaciekawia, dlaczego barmanka zagląda do środka przez okno, i wspomni o tym głośno? Wiem, że moje obawy są głupie, ale po niespodziewanym spotkaniu z Lucasem jestem niespokojna jak zdziczały kot. Odchodzę za róg budynku, żeby zniknąć z pola widzenia.

Przez uchylone okno kuchni bucha ciepło. Słyszę dobiegającą ze środka rozmowę. Głosy wzmagają się i cichną, jakby ktoś chodził tam i z powrotem po pomieszczeniu. Przysłuchuję się dla zabicia czasu, machinalnie obracając w dłoni komórkę. Sprawdzam aplikację: twój kierowca Ali będzie na miejscu za 1 minutę.

– Podnieś to. Nie, to ma leżeć tam. Zobacz.

– Który...

– Luke, nie tam! Patrz.

Prostuję się gwałtownie. Czy jeden z tych głosów należy do Lucasa? Wyteżam słuch. Muszę się skupić – mężczyźni mówią szybko i niewyraźnie, niewiele rozumiem z ich dialogu. Nagle coś się zmienia. Prawdopodobnie podchodzą bliżej okna, bo słyszę ich bardzo wyraźnie.

– Nie ulega wątpliwości. Chwilami było tu istne wariatkowo, ale świetnie dawała sobie radę. Nie jest zmanierowana. Właśnie kogoś takiego potrzebujemy.

– Na jakiej podstawie tak sądzisz? Jesteś na bani.

Rozlega się głuchy łoskot, jakby ktoś upuścił jakiś ciężki przedmiot.

– Tak, bo cały czas pilnowała, żebym miał pełną szklanę! – odpowiada jeden z mężczyzn

i wybucha śmiechem, po którym rozpoznaję Devlina.

– Nalewanie płynów to nie fizyka kwantowa.

– Tak samo jak prowadzenie pubu.

Czy oni rozmawiają o mnie?

O nie... przyjeżdża moja taksówka. Bezgłośnie odgrywam gorączkową pantomimę, której treść brzmi: tak, już wsiadam, tylko dopalę papierosa, ale kierowca patrzy na mnie niewzruszony.

– Świetnie, więc na tym polega rekrutacja personelu. Pierwsza lepsza blondynka wpadnie ci w oko i już? Nie jesteśmy siecią Hooters, Dev, gdzie roznegliżowane kelnerki są znakiem firmowym...

Nie chce mi się wierzyć, że rozmawiają o mnie, ale najwyraźniej tak właśnie jest.

– Jest miłą i rozsądną dziewczyną. Bardzo mi odpowiada jej sposób bycia. Nie rozumiem, w czym problem.

– Nie znamy jej i nie wiemy, czy rzeczywiście jest miłą. Zdecydowałeś za mnie i obiecałeś jej pracę, w tym widzę problem. Czy ja mam tu jeszcze coś do powiedzenia?

– Daj jej szansę, ty cyniczny ćwoku. Przykazanie na dziś: nie być cynicznym ćwokiem.

– Myślałem, że to raczej: unikaj pochopnych decyzji w stanie nietrzeźwości. A swoją drogą, kto maluje koniczynki na guinnessie? „Oczywista oczywistość”, jak mawiają Irlandczycy. Niech się dziewczyna zatrudni w cukierni.

Devlin wybucha śmiechem.

– O Boże, ciekawe, jak byśmy ją tego oduczuli. Myślę, że to niemożliwe...

Kierowca opuszcza szybę.

– W tej chwili włączam licznik! – woła.

Spłoszona ruszam pospiesznie w stronę samochodu, starając się ostrożnie stawiać kroki, żeby nie zdradzić przed braćmi swojej obecności. Słyszę jeszcze, jak Lucas McCarthy przyrównuje zatrudnienie mnie do samobójstwa.

Kiedy dojeżdżamy do Crookes i wyjmuję pieniądze, żeby zapłacić za kurs, odkrywam, że dostałam o pięćdziesiąt funtów więcej, niż było uzgodnione. Można by to uznać za pomyłkę spowodowaną wypitym alkoholem, ale mam wrażenie, że Devlin zawsze jest taki wspaniałomyślny i hojny.

Cholera, przez krótką chwilę myślałam, że trafiła mi się praca, w której czułabym się świetnie, i szef, którego już zdążyłam polubić. Ale mój niedoszły szef okazał się bratem Lucasa McCarthy'ego.

I kiedy Lucas zamienił się w Luke'a? Ogarnia mnie niedorzeczne oburzenie, jakby popełnił oszustwo. Jakby dopuścił się zdrady. Zdrada. Powtarzam w myślach to słowo. Ma ostre brzegi, o które można się pokaleczyć. Jak dziecko, które połyka plastikowy klocek.

W transie przechodzę z kuchni do łazienki, żeby przebrać się w piżamę. Nie w pełni świadomie wykonuję różne czynności, bo mój umysł błądzi gdzieś indziej.

„Nie znamy jej”.

Naprawdę?

„Nie jesteśmy siecią Hooters, Dev”.

Zarozumiały dupek! Jakie to seksistowskie. Czy można dostać pracę ze względu na kolor włosów? Może jeśli są zadbane, ale o swoich bym tego nie powiedziała. No tak, prawdopodobnie miał na myśli miseczkę D. Obleśny knur. Akurat ten biustonosz zamówiłam z katalogu Zalando.

A więc Lucas jest teraz biznesmenem pełną gębą i prowadzi własny pub. A ja mam trzydziestkę na karku i staram się o zatrudnienie w tym pubie. Cóż za poniżenie.

Ale i tak nie zależy mi na tej pracy, więc się wypchaj. Łaski bez.

No nie. Zależy mi na tej pracy. Gdyby jeszcze parę godzin temu ktoś mi powiedział, że Lucas McCarthy miałby zostać moim szefem, odparłabym, że taka perspektywa jest, jak mawiał mój ojciec, koszmarnym snem z żołądkiem pełnym sera. Ale teraz, kiedy wstępną konfrontację mam już za sobą, targają mną sprzeczne uczucia. Słyszałam, jak mówił, że mogą być ze mną problemy – „Nie znamy jej i nie wiemy, czy rzeczywiście jest miłą”. Duma każe mi stawić czoła wyzwaniu i wyprowadzić go z błędu.

Czy Lucas tylko udawał, że mnie nie poznaje, i dlatego nie chciał dopuścić, żeby Devlin mnie

zatrudnił? Taka wersja mi odpowiada, więc nabieram do niej przekonania. Znaczyłoby to, że nie zapomniał. Że byłam dla niego ważna, nawet jeśli nie tak bardzo, jak on był ważny dla mnie – nie jestem aż tak naiwna.

Wolę to niż być „pierwszą lepszą blondynką”.

Wracam myślami do naszego niespodziewanego spotkania, próbując sobie przypomnieć choćby najmniejszą oznakę dyskomfortu z jego strony. Nikt nie potrafiłby z takim mistrzostwem zachować kamiennej twarzy, chyba że na międzynarodowym turnieju pokerowym.

Ale nie usłyszałam, kto wygrał spór o mnie. Niewykluczone, że będę musiała obejść się smakiem.

Rozważam możliwe scenariusze.

Devlin trzeźwieje i dzwoni do mnie: „Wybacz, moja droga, coś mi się pokręciło, ten etat jest już zajęty”. Możliwe, że taki będzie efekt rozmowy, którą podsłuchałam. Byłoby nie w porządku narzucać Lucasowi moją kandydaturę, nawet gdyby nic nas nie łączyło.

Albo dostaję tę pracę i Lucas zwalcza mnie na każdym kroku, chociaż to nic w porównaniu z jego reakcją, kiedy wreszcie odkryłyby moją tożsamość. Bardzo ryzykowna gra.

I najbardziej optymistyczny scenariusz – dostaję tę pracę i wszystko idzie jak z płatka. Lucas niechętnie przyznaje, że jestem całkiem w porządku, i nasza współpraca układa się poprawnie. Nigdy nie odkrywa, kim jestem.

Kiedy leżę w łóżku, a mój oddech paruje w chłodnym, wilgotnym powietrzu, zastanawiam się, dlaczego najbardziej pomyślny rozwój wypadków wydaje mi się również najmniej pożądanym.





Nie miałam pojęcia, czym jest strata, dopóki nie straciłam ojca. A kiedy Lucas McCarthy zniknął z mojego życia, zdałam sobie sprawę, co to znaczy żałować.

Moja terapeutka Fay powiedziała, że nie mam pełnej kontroli nad sytuacją, a przeżywam żal w taki sposób, jakbym brała na siebie całą odpowiedzialność. Natomiast odpowiadać powinnam tylko za siebie, bo Lucas jest „niezależnym graczem”.

– OK – odparłam. – Żałuję tego, co sama zrobiłam...

– W takim razie zaakceptuj ten fakt i pogódź się z tym, na co miałaś wpływ. Rozumiesz?

Fay postawiła przed sobą kubek i przesunęła go po blacie w moją stronę. Nie byłam przekonana co do skuteczności tego symbolicznego gestu, ponieważ kubek ozdobiony podobizną King Konga był jej własnością, której nie mogłam dosłownie przyjąć.

Przyciągnęłam kubek do siebie.

– I teraz czuję się lepiej?

– Nie od razu. Nie doświadczysz błyskawicznej poprawy jak za sprawą magicznego zaklęcia. Ale w ten sposób możesz się uwolnić od destruktywnych wzorców myślenia, które przynoszą skutek odwrotny do zamierzonego. Dzieje się tak, kiedy się obwiniasz za coś, czego nie da się cofnąć. Nie jesteś wszechmogącą istotą, a jedynie człowiekiem, który idzie przez życie, cały czas ucząc się i czasami popełniając błędy, jak wszyscy.

Wtedy się rozplakałam, a Fay powiedziała, że to zbawienna umiejętność.

– Poważnie? Dlaczego? – spytałam, wyciągając papierową chusteczkę ze stojącego na biurku pudełka. Otarłam zmieszane z tuszem do rzęs łzy, które zalewały mi policzki.

Fay wyjaśniła, że dopuszczając do siebie ból, osłabiamy jego moc, dzięki czemu jest nam łatwiej go przetrwać. Szczerze mówiąc, wiele technik terapeutycznych sprowadza się do umiejętności zaakceptowania swojego opłakanego położenia i spojrzenia na nie z filozoficznym dystansem. Mówisz: siedzę po uszy w gównie, ale przynajmniej jest mi ciepło.

Mimo wszystko byłam zadowolona, że zdecydowałam się na terapię. Polubiłam Fay – kobietę o zafarbowanych na czerwono rzadkich włosach, sterczących niczym miedziane druciki. Nosiła czarne sukienki z dzianiny i okulary zsunięte na czubek nosa. Co tydzień przychodziłam na godzinną sesję do jej gabinetu. Bambus w donicy i obraz przedstawiający żaglówki w zatoce Mousehole tworzyły kojącą atmosferę i chociaż nie udało mi się rozwiązać swojego problemu, to nauczyłam się z nim żyć.

Z informacji w holu dowiedziałam się, że mogę, dzięki jej pomocy, stawić czoło wielu przypadłościom, takim jak między innymi:

- zajądanie emocji
- stany lękowe
- stres finansowy
- uzależnienie od internetu
- przewlekłe dolegliwości bólowe.

„Mój typowy weekend”, pomyślałam. Ha, ha, ha... Nabijałam się z samej siebie, a Fay wyjaśniła

mi, że robię to odruchowo. Odparłam, że nie mogę poważnie traktować własnych takich tam problemów, skoro niektórzy ludzie nie mają dachu nad głową. Zawsze ktoś ma gorzej od ciebie, powiedziała moja terapeutka. Nie oznacza to jednak, że twoje problemy są nieistotne albo że należy je mierzyć uniwersalną skalą bólu, aby móc stwierdzić, czy są dostatecznie poważne i czy kwalifikują się do leczenia.

Nie poszłam na terapię, żeby rozmawiać o Lucasie, tylko o moim ojcu, ale zdaniem Fay ludzie w jej gabinecie przeważnie skupiają się na innych obszarach, niż pierwotnie zamierzali. Zdziwiłabyś się, powiedziała, jak często rodzice, którzy przychodzą na terapię rodzinną, chcąc przeanalizować zachowanie trudnego dziecka, zamiast tego opowiadają o swoich problemach.

– Nie zdziwiłabym się – odparłam.

Nigdy nie mówiłam o Lucasie ani Jo, ani mojej siostrze, ani nikomu innemu, dlatego czułam się dziwnie, gdy w obecności tej obcej kobiety po raz pierwszy zamieniałam swoje myśli w spółgłoski i samogłoski, formułując opowieść o nim. Uwolniłam je i pozwoliłam żyć poza moją głową. Ale i tak nie opowiedziałam Fay całej historii.

Po tamtej imprezie nie zamieniliśmy z Lucasem ani słowa i to, według mnie, było najbardziej niszczące. Nie chodziło tylko o to, że na koniec nie skonsumowaliśmy naszego związku, ale o brak jakiegokolwiek zakończenia. W ogóle ze sobą nie rozmawialiśmy. Po egzaminach opuściliśmy szkołę na zawsze, a że nie mieliśmy żadnych wspólnych znajomych, nie mogliśmy być wciągnięci przez nich na tę samą orbitę tamtego lata czy kiedykolwiek później. Kiedy pozostaje tyle niedopowiedzianych kwestii, umysł zaczyna tworzyć słowa, które nigdy nie padły, i układać je w setki różnych kombinacji. Pod tym względem nie byłam wyjątkiem. Później umarł mój tata, rzuciłam studia i na dobrą sprawę w tamtym momencie zaczęłam się staczać po równi pochyłej. Według moich ustaleń Lucas albo w ogóle nie korzystał z mediów społecznościowych, albo mnie zablokował i dlatego moje poszukiwania spełzyły na niczym. W przeciwnym razie w przypływie słabości pewnie odezwałabym się do niego po latach. Ale szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co bym mu powiedziała, gdybym go znalazła. Wypadłabym raczej żałościwie. Chyba lepiej się złożyło, że nie mogłam zaspokoić swojej potrzeby kontaktu. Chciałam jedynie usłyszeć od niego coś, czego już nigdy nie będzie mi dane usłyszeć.

– A jeśli tak naprawdę żal ci samej siebie, a nie tego, co się stało z tym chłopcem? – zapytała Fay pod koniec sesji. – Bo właśnie siebie wtedy porzuciłaś. Siebie, jaką byłaś w wieku osiemnastu lat... Zerwałaś ze sobą i odcięłaś się grubą kreską od tego, co miało miejsce potem.

Uderzyły mnie jej przerażająco prawdziwe słowa.

Wyobrażam sobie, że jestem nową asystentką Doktora Who, a Władca Czasu, miotając się gorączkowo po wnętrzu TARDIS-a i przełączając dźwignienki na panelu kontrolnym przy dźwiękach pomruku rozgrzewającej się aparatury, pyta: „Dokąd, Georgino Horspool?”.

Bez chwili namysłu podaję namiary na wiosenny wieczór na początku dwudziestego pierwszego wieku i podrzędny pub w północnej Anglii. Jasnowłosa dziewczyna w czerwonej sukience od Dorothy Perkins i niewygodnych butach chwiejnym krokiem wchodzi do sali. Wtedy jeszcze nie ma doświadczenia w radzeniu sobie z przewlekłymi dolegliwościami bólowymi.



Jeśli istnieje coś, czego pragniesz uniknąć po mrocznej nocy pełnej duchowej udręki, to na pewno jest to coś, co mogłoby zwielokrotnić najgorsze wspomnienia z przeszłości i kazać się zmierzyć z okrutną terażniejszością. Jak na przykład: niedzielny lunch z rodziną. Zwłaszcza z moją rodziną.

Najchętniej wykręciłabym się od tej wątpliwej przyjemności, ale Esther nie może doczekać się relacji z zeszłej nocy. Poza tym czułabym się winna, bo wiem, jak zawsze się stara dogodzić moim gustom kulinarnym. Jej zapach sprawia, że w kalkulacji strat moralnych zawsze uznaję przymusową wizytę za mniejsze zło niż pozostanie w domu.

Mam się zjawić u nich w samo południe z butelką porządnego wina. Szczęśliwie się złożyło, że znalazłam kilka Beaujolais, które zostały mi po ostatniej wizycie Robina. Mój były chłopak odżywiał się jak biedny student, ale alkohole kupował z górnej półki.

Wprawdzie jestem splukana, ale przejazd taksówką wydaje się jedynym sensownym rozwiązaniem, zwłaszcza w niedzielę. Moja siostra mieszka po przeciwnej stronie miasta, więc jeśli zdecydowałabym się na komunikację publiczną, musiałabym trzy razy się przesiadać i piechotą przemierzyć pół dzielnicy Peak.

Obserwuję z posępną miną zmieniające się za oknem widoki – najpierw klockowate, powojenne domy, bary z jedzeniem na wynos i punkty bukmacherskie w dzielnicy Crookes, następnie śródmiejska zabudowa centrum miasta, która potem ustępuje miejsca pustkowiom Peak, aż w końcu moim oczom ukazuje się bardziej zielona i przyjemna okolica.

Moja siostra wraz z mężem i synem mieszkają w wiosce Dore, w specjalnie zaprojektowanej przez architekta okazałej willi. Przy domu znajduje się podwójny garaż na dwa samochody. Szerokie kuchenne drzwi prowadzą do zadbanego ogrodu z przestronnym patio, na którym latem odbywają się przyjęcia przy grillu.

Wystrój wnętrza zdradza jej zamiłowanie do ozdób ściennych z budującymi hasłami typu *Żyj, kochaj, śmieję się*. Trochę to dziwne, ponieważ Esther jest najmniej podatna na zmiany nastroju spośród osób, które znam. Zawsze wyczuwałam w tych sentencjach podtekst: biczowanie będzie trwać dopóty, dopóki nie wzrośnie morale. Mogłabym jej sprezentować tabliczkę z napisem *Śmieję się, do jasnej cholery*.

Mój wrażliwy żołądek niezbyt dobrze znosi podróż, więc czuję się tak, jakbym zbyt szybko weszła na ruchomy chodnik na lotnisku, ale krajobraz za oknem taksówki działa na mnie kojąco.

Wiele rzeczy w swoim życiu mogłabym uznać za porażkę, jednak jestem przekornie dumna z tego, że ugrzęzłam w moim rodzinnym mieście. Kocham Sheffield, chociaż często tutaj marznę i wszędzie mam pod górkę. Jest moją bratnią duszą, jeśli miasta mają dusze.

– I oto jest: różowa owca w rodzinie! – oznajmia Geoffrey, który otwiera drzwi i krytycznym spojrzeniem omiata moją kurtkę.

Gdybym miała podsumować charakter Geoffreya, cytując którąś z jego wypowiedzi, wybrałabym właśnie to powitanie: pozornie wesołe, ale cedzone przez zęby i zbyt napastliwe, by mogło śmieszyć.

Ale wiem, że powinnam zareagować śmiechem, żeby nie wyjść na gbura. Nie ma to jak współludział w śmianiu się z samej siebie. Jestem w tym doskonała.

Geoffrey zawsze nosi przyciasny sweter z dekoltem w serek, a jego włosy utapirowane na czubku głowy mają osobliwy, nienaturalny kolor, który z Esther nazwałyśmy w tajemnicy Lśniącą Dynią Piżmową. Posyłam mu wymuszony uśmiech i zsuwam z ramion swoje puszyste okrycie, podczas gdy on

bierze ode mnie butelkę i spogląda na etykietę, poprawiając okulary.

– Hm... takie widzę pierwszy raz – mówi. – No, ale przynajmniej będzie czym sflukać smak brokułów, ha, ha...

Cóż, nietakty chodzą parami. Geoffrey szczerzy zęby, a ja wykrzywiam twarz w grymasie i nie po raz pierwszy myślę: wiem, że było ci ciężko, mam, ale co ty w nim widziałas? Jednak dochodzę do wniosku, że nie mam prawa do takich rozważań.

W kuchni trwa krzątanie. Co chwilę ktoś otwiera i zatrząskuje drzwiczki piekarnika, rozlega się klaskanie dłoni w rękawiczkach kuchennych. Geoffrey uważa się za eksperta w dziedzinie puddingu – jest jednym z tych mężczyzn, którzy każdą czynność zamieniają w rywalizację. Wszyscy tłoczą się wokół miski z rozrobionym ciastem, omawiając strategię działania, chociaż mama nieco dalej, żeby nie ochlapać sobie sukienki. Moja mama farbuje włosy na srebrzysty blond i zawsze nienagannie się prezentuje. Geoffrey nazwał ją kiedyś „najwyższym standardem”. Żenada.

– Usiądź z Milo, a ja przyniosę coś do picia – woła do mnie Esther.

Ochoczo wracam korytarzem do salonu we frontowej części domu.

Mój siostrzeniec Milo ma sześć lat, nosi ogrodniczki, a jego uwagę całkowicie pochłania coś, w czym moje niewprawne oko rozpoznaje domek na drzewie z klocków Lego.

– Cześć, Milo!

– Hej.

– Co to jest? Leśna misiowa rodzinka?

– Ewoki – odpowiada wyraźnie zniecierpliwiony.

Nie podoba mu się, że odrywam go od zabawy.

– No, oczywiście, wiedziałam. A to ich domek?

– Tak.

Słyszę irytację w głosie siostrzeńca. Nawet dziecko się wkurza, kiedy przychodzę do tego domu.

– Ten wygląda na spryciarza. Albo spryciarę. Kto to jest?

– Paploo!

– Paploo! Ładną ma chustę.

– To kaptur – mamrocze Milo.

Do pokoju wchodzi Esther, przynosi mi kieliszek wina musującego.

O Boże, nie, myślę odruchowo, patrząc na różowy płyn z bąbelkami, ale błyskawicznie zmieniam swoje nastawienie na: ależ tak, o Boże, o tak!

– I jak ci wczoraj poszło? – pyta siostra, przyglądając mi się badawczo. – Zdołałaś się ogarnąć?

Z twarzy jest podobna do mnie, ale poza tym ma szczuplejszą sylwetkę, mniejszy biust i krótko przycięte, wycieniowane włosy, jak przystało na zapracowaną kobietę. Może się poszczycić różnymi umiejętnościami, których nie było mi dane posiadać. Wie, jak wypełnić deklarację podatkową. Jak przyrządzić pyszny sos beszamelowy do lasanii. Jak zachować umiar. Odnoszę wrażenie, że rozmowa na temat ubiegłej nocy nie doprowadziłaby do niczego dobrego, ponieważ jestem jeszcze zbyt rozstrojona, by odpowiadać na szczegółowe pytania. Na szczęście mam w zanadrzu dwie sensacyjne wiadomości, które odwrócą uwagę Esther – skoro moja siostra darzyła Tony’ego głęboką antypatią, to jestem pewna, że Robina serdecznie nienawidziła.

– W porządku, dziękuję – odpowiadam. – Ale mam ciekawsze wieści. Wkrótce po zwolnieniu z That’s Amore rozstałam się z Robinem.

– Och. – Esther otwiera szerzej oczy. Po chwili wahania postanawia usiąść obok mnie. – Co się stało?

Z jednej strony nie mam ochoty potwierdzać jej podejrzeń dotyczących mojego byłego chłopaka. Jednak z drugiej strony zależy mi na zażyłych stosunkach z moją siostrą, więc nie powinnam trzymać jej na dystans. Zresztą jak można nie podzielić się taką historią?

– Hm... przyłapałam go... – przerywam i pocieram czubek nosa, zerkając na Milo – ...w niedwuznacznej sytuacji z pewną panią.

Esther z wrażenia głośno łąpie oddech i chwytą wisiołek od Tiffany’ego w kształcie podkówki, który kołysze się jej na szyi niczym wahadełko.

– Przylapałaś? Znaczy byłaś przy tym?

– W pobliżu, ale miałam dobry widok na scenę – mówię i wypijam spory łyk wina. – Jak z miejsca w pierwszym rzędzie. Dał mi klucz do swojego mieszkania, a ja niespodziewanie wyszłam wcześniej z pracy.

– O Boże. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby... gdybym zobaczyła coś takiego.

– Też nie wiedziałam, co robić. Nawrzeszczałam na nich. Na niego i jego osobistą asystentkę Louise.

– A powiedział ci, że wyjeżdża.

Otwieram usta, żeby zaprzeczyć, ale przypominam sobie moje kłamstewko, którym się posłużyłam, żeby usprawiedliwić nieobecność Robina na rodzinnym lunchu.

– ...No właśnie – odpowiadam pospiesznie.

– Powiedziałabym, że jestem zaskoczona, ale wiesz, że nie uważałam go za człowieka godnego zaufania – stwierdza Esther. – Nigdy nie było wiadomo, co palnie. Opowiadanie dowcipów o narkotykach przy mamie i Geoffreju na przykład. Naprawdę nie na miejscu.

– Yhm.

Szczyt egoizmu – to cała prawda o Robinie. Wpatruję się w kieliszek, w którym wiruje słupek bąbelków, i w resztki lakieru na swoich paznokciach.

– Nie wiem, na ile poważnie traktowałaś ten związek.

– Obawiam się, że sama tego nie wiem. Chyba niezbyt poważnie. Chciałam zobaczyć, dokąd to wszystko zaprowadzi, no i zobaczyłam.

Esther upewnia się, że jej syn jest skupiony na plastikowych figurkach, po czym mówi ściszym głosem:

– Wiem, że ty z tymi swoimi feministycznymi przyjaciółkami obdarłybyście mnie ze skóry, i przyznaję, jestem staroświecka, ale uważam, że jeśli idziesz z kimś do łóżka na pierwszej randce, zanim dobrze go poznasz, nie powinnaś sobie obiecywać zbyt wiele.

Jęczę z rezygnacją. Oto jak procentuje naiwna szczerłość, na którą pozwoliłam sobie kiedyś, z tego samego powodu co teraz.

– Proszę bardzo, możesz się na mnie dąsać – dodaje Esther. – Ale smutna prawda jest taka, że nie doceniamy rzeczy, które przychodzą nam zbyt łatwo, i dotyczy to zarówno kobiet, jak i mężczyzn. Nie chciałaś, żeby cię traktował jak łatwą panienkę na jedną noc, a tymczasem...

Przerywa i przygląda mi się, jakby próbowała mnie rozgryźć.

Esther ma całkowicie wypaczone pojęcie o moim życiu seksualnym. Wyobraża sobie, że kroczę w awangardzie wyzwolenia obyczajowego, przeżywając erotyczne przygody tak często i bezrefleksyjnie, jak ona wstępuje do Caffè Nero. Nie zadałam sobie trudu, żeby wyprowadzić ją z błędu i wyjaśnić, że sypiałam tylko z chłopakami, o których jej opowiadałam. Nie do końca wiem dlaczego. Moja siostra uważa, że nie znalazłam nikogo wartościowego, bo jestem niepoważna. Jednak wolę, żeby uważała mnie za niepoważną niż za nieszczęśliwą.

– Nie sądzę, aby Robin przepuścił jakąkolwiek okazję – mówię. – Podkreślał na każdym kroku, że nie wierzy w monogamię, jakby żył w latach sześćdziesiątych. Byliśmy jak dwa statki, które tylko się minęły na oceanie gówna – kwituję. Obie zerkamy na Milo, ale chłopiec właśnie mówi coś szeptem do Paploo. – Przepraszam – zwracam się do siostry, poruszając bezgłośnie ustami.

– Uważaj, teraz to taka mała papuga – szepcze Esther, po czym dodaje głośnie: – No tak, strata czasu. Masz trzydzieści lat i siłą rzeczy potrzebujesz większego zaangażowania.

Mówi takim tonem jak mama, mając zapewne nadzieję, że jej słowa się spełnią, jeśli tylko je wypowie. Odzywa się we mnie zbuntowana nastolatka, gdyż prawienie morałów sprawia, że czuję się jak śmieć.

– Nie wiem, czy zależy mi na oświadczeniach albo czymś podobnym, ale owszem, liczę na większe poświęcenie ze strony partnera, a nie uprawianie rzeczy na S z innymi kobietami.

Esther bębni palcami o podłokietnik fotela.

– Kogo ty właściwie szukasz? – pyta.

Nie potrafię go sobie wyobrazić. Wiem jedynie, że musi się różnić od swojego poprzednika.

Pyta jak Rav. Czy moje usilne starania są przejawem głupoty? A może się popisuję? Ojciec powiedział mi kiedyś, że jestem urodzoną szpanerką, która nie cierpi być w centrum uwagi, i że pewnego dnia będę musiała zmierzyć się z tym paradoksem. Niestety żył zbyt krótko, aby doczekać tego dnia.

– Podejrzewam, że ktoś taki jak pan Georgina nie istnieje – mówię żartobliwym tonem, po czym biorę garść pistacji z porcelanowej miski stojącej na stoliku kawowym i zaczynam rozłupywać skorupki.  
– Przypuszczalnie dlatego zdarzyło mi się kilka razy kupić kota w worku.

– Jestem przekonana, że istnieje. To tylko kwestia dojrzałości...

No i się zaczyna. Moja siostra zamierza mi udowodnić, że nie ma róży bez kolców.

– Kiedy masz dziewiętnaście czy dwadzieścia lat, myślisz sobie, jak to jest kochać bezgranicznie, a potem doroslejesz i twoje podejście całkowicie się zmienia. Ale niektórzy z nas uparcie wracają do tych młodzieńczych urojeń, chociaż dawno powinni je sobie odpuścić.

Jej słowa dotyczą mnie boleśnie, zwłaszcza że wciąż mam w pamięci wydarzenia ostatniej nocy. Nic nie odpowiadam.

– Ja też coś tam sobie roiłam w tym wieku, ale ty jesteś zupełnie inna – dodaje Esther, błędnie odczytując moje milczenie i w ogóle całą sytuację, chociaż wiem, że nie ma złych zamiarów. – Chodzi mi o to, że masz zbyt wysokie oczekiwania. Miłość polega na tym, że człowiek jest zadowolony ze wspólnego życia mimo nudnej rutyny... Nie znajdziesz nikogo, kto rozpali w tobie ogień i będzie tak całe życie. Na szczęście. A wiesz dlaczego? Bo to wcale nie jest zdrowe. Taki ogień cię wyniszcza. Kiedy ktoś mówi teraz o miłości, zazwyczaj ma na myśli pożądanie.

Zaczynam się śmiać i zasłaniam dłonią usta, żeby nie pluć wokół drobinami przeżutych pistacji.

– Co cię tak bawi?

– To, że mam zbyt wysokie oczekiwania – wyjaśniam. – Przydybałam Robina zanurzonego po jaja w innej. Mam jeszcze bardziej obniżyć poprzeczkę? Zacząć korespondować ze skazańcami, którzy odsiadują dożywocie? Drogi Kubo Rozpruwaczu...

Nawet Esther prychnęła z niesmakiem.

– Jaja – odzywa się mój siostrzeniec, opuszczając pułapkę siatkową z zestawu Lego wypełnioną łupinami z pistacji. – Jaaajaaa.

– Milo! Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o powtarzaniu słów? Ciocia Georgina miała na myśli... jajecznicę, wiesz?

– No właśnie – potwierdzam skwapliwie. – Jajecznicę, czyli śniadanie mistrzów.

– Jajecznicę – powtarza Milo. – Jajeczna jajecznicę z jaj na śniadanie.

– Tak! – mówi z naciskiem moja siostra. – Jajecznicę! Aaa... – kręci głową i uśmiecha się anielsko, wczuwając się w rolę przykładnej matki – jak się nazywa ten Ewok?

– Gównostatek.

Po umoralniającej pogadance, której wysłuchał Milo, powiedziałam Esther, że byłoby o wiele gorzej, gdyby jej syn powtarzał ksywkę Rozpruwacza. Jednak nie zdołałam jej udobruchać.

Gdy zasiadamy wszyscy przy stole i z okrucieństwem wgrzamy się w pieczone ziemniaki – chrupiąca panierka z semoliny wprowadza niepokojąco drapieżny akcent – na podjeździe zatrzymuje się duży samochód. Widzę przez okno, jak zza kierownicy wysiada jakiś mężczyzna i rozkłada wózek inwalidzki. Chwilę później pojawia się zwałista postać Nany Hogg, która z pomocą kierowcy sadowi się na wózku.

Osiemdziesięcioletnia babka Marka budzi w Esther tyle samo lęku, ile pogardy, gdyż przejawia skłonność do wyjątkowo opryskliwego zachowania. Esther twierdzi, że starość ma swoje prawa, ale zastanawiam się, czy Nana nie jest zrzędliva, bo już dziesiątki lat temu przekroczyła granicę, za którą może mieć wszystko w dupie. Opuszczając swój pokój w domu opieki, staruszka ma szansę zakosztować anarchii.

Poczucie obowiązku i szacunek dla sędziwego wieku sprawiają, że nikomu nawet przez myśl nie przechodzi, by nie zapraszać jej na niedzielne obiady. Moja siostra czuje do niej wstręt, ale ja świetnie się bawię w jej towarzystwie. Przypuszczalnie dlatego, że w przeciwieństwie do reszty rodziny nie ukrywam się pod szacowną fasadą, którą mogłaby narazić na szwank.

– Nie wiedziałam, że dzisiaj się zjawi – mówię pogodnym tonem.

– Niestety. – Esther krzywi się i spogląda na zegar ścienny. – Mamy szczęście, spóźniła się tylko godzinę piętnaście. Wydaje się jej, że jest księżniczką Małgorzatą.

– Cierpi na zakażenie dróg moczowych, dlatego trudno jej się zebrać. – Mark cmoka z niezadowoleniem, idąc w stronę drzwi.

Nigdy nie podważa publicznie opinii swojej żony, chyba że odpiesza ataki wymierzone przeciwko Nanie Hogg. W końcu to jego babcia, więc staje w jej obronie, ale poza tym jest niespotykane miły. Łagodny i uprzejmy. W każdym potrafi dostrzec dobro i zawsze interesuje się innymi, ale nie kieruje nim wścibstwo, tylko życzliwość.

Esther była na ostatnim roku rachunkowości, kiedy wyznała, że z kimś się spotyka i sądzi, że „to ten”. Akurat, pomyślałam wtedy: w najgorszym wypadku facet okaże się ostatnim skurwielem, a w najlepszym zanudzisz się przy nim na śmierć. W szkole moja siostra gustowała w nieokrzesanych osiłkach. Dzięki Bogu Mark – zważywszy na fakt, że został jej mężem i ojcem jej dziecka – okazał się cudownym człowiekiem. Na dodatek doświadcza jego wspaniałomyślności, kiedy załatwia mi fuchy. Chodzi po domu w szytych ręcznie mokasynach, ale i tak oddałabym za niego życie.

– Oczywiście, nie czekajcie na mnie – burczy Nana Hogg na widok zastawionego stołu.

U niej to znaczy „dzień dobry” i „przepraszam za spóźnienie”.

– Cieszę się, że zdążyłaś na czas. – Mark pochyla się, żeby cmoknąć ją w policzek.

Stosuje prostą strategię, która polega na tym, że nie zwraca uwagi na jej ton. Ani na jej słowa. Ani na jej zachowanie.

Nana ma siwe włosy, zakręcone ciasno na wałkach, i wydatny biust, który rozlewa się przed nią niczym wezbrana fala.

– Dzień dobry – odzywam się i macham do niej na powitanie. – Miło znów cię zobaczyć.

Staruszka nie reaguje, chociaż mogła mnie nie usłyszeć w zamieszaniu podczas przenoszenia się z wózka na krzesło.

– Dzisiaj wołowina? Będę miała niestrawność – gdera.

Esther robi minę, jakby poraził ją prąd.

– Ale przecież pytaliśmy, czy...

Mark dotyka jej dłoni.

– Możesz skosztować wielu innych potraw. Geoff, mógłbyś mi podać marchewkę z groszkiem?

– My już się znamy. Jestem Geoffrey – zwraca się Geoffrey przymilnym tonem do Nany Hogg, po czym wstaje i wyciąga do niej rękę na powitanie. – Mąż Patsy.

– Tak, wiem, kim jesteś. Mam swoje lata, ale jeszcze nie skretyniałam do reszty – odpowiada staruszka, nie zauważając jego dłoni zawieszanej nad półmiskiem z pieczenią.

Zapycham sobie usta pasternakiem, żeby powstrzymać wybuch śmiechu. Nie wiem, dlaczego chciałam się wykręcić od tego obiadu. Węglowodany, jeszcze więcej alkoholu, ostry sos i ubaw z Nany Hogg. Wszystko to idealnie odwraca uwagę od problemów.

– Gog właśnie straciła pracę w restauracji – oznajmia Esther, rzucając mnie na pożarcie dla zagajenia rozmowy.

Mama z brzękiem odkłada sztucce.

– No nie, Georgino! Co takiego zrobiłaś?

– Nic nie zrobiłam. Przyszedł krytyk kulinarny z „The Star” i złożył reklamację, a Tony, szef kuchni, zwolnił mnie na pokaz. Złożył mnie w ofierze, żeby tamten nie obsmarował kiepskiego jedzenia.

– Trudno zagrzać gdzieś miejsce, jeśli pracuje się na umowach śmieciowych – mówi Geoffrey z wyraźną satysfakcją, unosząc kieliszek do ust. – Niestety człowiekowi nie przysługuje wtedy zbyt wiele praw.

Masakra. Geoff był kiedyś wicedyrektorem jakiejś firmy instalacyjnej i dostaje ogromną emeryturę.

– Najwyższy czas wziąć się za siebie – dodaje mama. – Idź na kurs stenografii i zaczepl się w jakimś biurze.

– Nie sądzę, żeby jeszcze kogokolwiek interesowała stenografia. Stenotypistek też już raczej nie potrzeba. Obecnie szefowie nie ganiają sekretarek wokół biurka.

– Cóż, wkrótce osiągniesz taki wiek, że i tak nikt nie będzie za tobą ganiał.

Auć. To mi przywalił.

– Na takie jak ty za moich czasów mówiło się lolitka – zwraca się do mnie Nana Hogg. – Można było za taką dostać wyrok.

Esther gwałtownie wstaje i wychodzi do kuchni, żeby uzupełnić zawartość sosjerki, ale wiem, że jedynie chce ukryć wzburzenie, jakie wywołuje w niej gorsząca rozmowa w obecności jej nieletniego. Jakoś nie ma nic przeciwko gorszącym rozmowom w obecności młodszej siostry.

– Teraz Georgina już nikogo nie wpędzi za kratki – oświadcza Geoffrey, mrużąc oczy w sposób, który tylko jemu wydaje się filuterny.

Obleśny typ.

– Zapewniam cię, Geoff, że jeszcze wiele innych zachowań podpada pod paragraf, odkąd kobieta przestała być żywym towarem – odpowiadam, a mama zerka z niepokojem na Milo i syczy:

– Dajcie spokój.

– Już dobrze, moja wina. Sam zacząłem.

– Jak się nazywała ta restauracja? – wtrąca Mark.

– That's Amore, włoska knajpa w Broomhill.

– Nie lubię włoskiej kuchni – odzywa się Nana Hogg. – Jadłam kiedyś zupę grzybową we włoskiej restauracji i smakowała tak, jakby coś dziwnego do niej wrzucili.

– A co takiego? – pyta mama.

– Nie wiem. Smakowała, jakby coś do niej dodali.

– Ale nie grzyby? – draży uparcie mama.

– Nie. Coś dziwnego musieli do niej dodać.

Zaczynam odnosić wrażenie, że staruszka mówi o jakichś tajnych poczynaniach Iluminatów.

– Co takiego?

– Coś. – Nan wzrusza ramionami. – Żeby miała mocniejszy smak.

– A jak ci poszło zeszłej nocy, George? – Mark konsekwentnie próbuje wybawić mnie z opresji; w przyptywie wdzięczności mam ochotę rzucić mu się na szyję. – Poleciałem Georginę mojemu znajomemu, który pilnie potrzebował sprawnej pary rąk do pomocy.

– Doskonale. Bardzo ci dziękuję za rekomendację – mówię. Mam świadomość, że Lucas najprawdopodobniej stanie okoniem, więc nie chcę okazywać zbytnej pewności, jeśli chodzi o perspektywę zatrudnienia u Devlina. – Byłoby wspaniale, gdyby potrzebowali kogoś na stałe, ale nawet jeśli nie, to i tak się cieszę, że mogłam pomóc na tej stypie.

– Na stypie? – pyta Geoffrey, nadziewając na widelec miniaturową marchewkę. – Mam nadzieję, że okazałaś stosowną powagę.

Puszcza do mnie oko. Co za...

– Założyłam brokatowy trykot i dmuchałam w wuwuzelę. Dobrze zrobiłam?

– Cóż za miażdżący sarkazm! – odpowiada mój ojczym.

Na jego pogrzeb poszłabym z przyjemnością.

Wraca Esther, która bez wątpienia spędziła ostatnią minutę, chodząc po kuchni i licząc do pięćdziesięciu, dopóki nie nabrała pewności, że nie chluśnie nikomu w twarz zawartością sosjerki.

– Jedzenie jest pyszne – zagaduję, a ona odpowiada mi wymuszonym uśmiechem i mówi, że większość potraw przyrządził Mark.

– Hm, ale maestro odpowiedzialny za pudding siedzi tutaj – wtrąca Geoff, wskazując siebie, i wszyscy zaczynają prześcigać się w pochwałach.

Nie potrafię się przemóc, by dołączyć do tego chóru. Naliczyłam dziewiętnaście potraw na stole, a Geoff w gruncie rzeczy przyłożył rękę tylko do jednej z nich, wypowiadając się jako konsultant w kwestii temperatury piekarnika, a mimo to domaga się oklasków. Żenujące.

– Co słyhać u Robina? – pyta mama z wyraźną nutą dezaprobaty w głosie.

– Zerwałam z nim – odpowiadam i pakuję do ust kolejną połówkę pieczonego ziemniaka.

– Ojej!

Spodziewam się, że szacowne grono zaraz podda wnikliwej analizie moje rozstanie z Robinem



z taką samą subtelnością jak utratę pracy, ale z opresji wybawia mnie Nana Hogg.

– A jednak poproszę trochę tego mięsa – mówi. – Odchoruję, ale nie wrócę do domu głodna. Moja siostra odsuwa krzesło z głośnym szurnięciem i oświadcza przez zaciśnięte zęby:

– Przyniosę więcej wina.

Gdy po obiedzie pomagam przy sprzątanii ze stołu, do jadalni wchodzi Esther, prowadząc Milo za rękę, i już z daleka widzę jego nadąsaną minę.

– Ciociu Georgino, Milo coś dla ciebie ma – mówi moja siostra. – Prawda, Milo?

Pochylam się i powtarzam:

– Prawda, Milo?

Chłopczyk wkłada sobie kciuk do ust i wręcza mi złożoną kartkę, którą trzymał za plecami. Rozkłada ją i moim oczom ukazuje się rysunek przedstawiający żeńską postać o patykowatych kończynach, w trójkątnej sukience i z kłębowiskiem żółtych włosów na głowie. W tle stoi dom z dymiącym kominem i narysowana brązową kredką postać mężczyzny w ogromnym kapeluszu.

– Coś pięknego! A więc to jestem ja... a to... mój dom?

Milo przytakuje.

– I nie ma w nim larw – dorzuca Geoffrey w typowym dla siebie stylu.

– A to kto? W tym kapeluszu? Pan Kapelusznik?

– Twój mąż.

– Ale ja nie mam męża.

– Będiesz miała, kiedy dorośniesz.

Ne mogę powstrzymać śmiechu, ale szczęśliwie się składa, że wszyscy reagują tak samo.

– Fajnie, że twoim zdaniem nie jestem dorosła, bo to znaczy, że młodo wyglądam – mówię, po czym pochylam się, żeby ucałować i uścisnąć siostrzeńca. – Zawieszę go sobie na ścianie, żeby dodawał mi nadziei na przyszłość.

Milo dobitnie kiwa głową, po czym truchta z powrotem do salonu, gdzie czekają na niego Ewoki. Tymczasem mama rozmawia półgłosem z Geoffem i Esther.

Gdy zbieram się do wyjścia, moja siostra wręcza mi kurtkę i daje znak ruchem głowy, żebym poszła z nią do Centrum Operacyjnego, gdzie nikt nas nie usłyszy. Nazwałam tak toaletę pod schodami, kiedy zauważyłam, że zawsze odbywają się tam dyskretne połajanki. Tym razem spodziewam się prelekcji pod tytułem „Staraj się nie dawać jawnie do zrozumienia, jak bardzo nienawidzisz Geoffreya”, ale postanawiam uprzedzić Esther i narzucić własny porządek obrad. Chciałabym z nią porozmawiać o moim ewentualnym zatrudnieniu w The Wicker, bo wiem, że jest lepiej poinformowana.

– Dostałam ofertę pracy na pełny etat – zaczynam. – Wczoraj klient Marka zaproponował mi posadę barmanki.

Mojej siostrze rzędzie mina.

– To świetnie, ale bądź ostrożna, Gog. Pamiętaj, że jeśli coś zawalisz, ucierpi na tym reputacja Marka.

– Na stypie poradziłam sobie całkiem nieźle. Jeszcze raz dzięki za wotum zaufania – odpowiadam żartobliwym tonem, ale jestem zraniona i wymykam się niepostrzeżenie, trzymając w dłoni rysunek z Panem Kapelusznikiem.

W drodze powrotnej ocieram łzy i zastanawiam się, ile z nich jest przez Esther, która uważa mnie za niegodną zaufania; ile przez spostrzeżenie mamy, że wkrótce wygaśnie mój termin przydatności; a ile przez to, co wydarzyło się ostatniej nocy.

Pięć minut później słyszę sygnał przychodzącej wiadomości. Moja siostra naprawdę sądzi, jak zresztą pewnie wszyscy, że jestem chodzącą żenadą.

*Co do tej pracy w pubie, życzę powodzenia. Tylko proszę, żebyś przypadkiem z nikim się tam nie bzyknęła.*

Skoro daje mi do zrozumienia, że ma o mnie tak złe mniemanie, to nie zamierzam rozwiewać jej obaw.

*A co, jeśli to będzie mój Pan Kapelusznik?!*

*Milo narysował go, kiedy zobaczył zdjęcie Tommy'ego Coopera (wiesz, tego, co zawsze występował w fezie), więc nie podniecaj się za bardzo x*

Komórka informuje mnie o nadejściu kolejnej wiadomości, tym razem od Robina. Spodziewam się, że podniesie mi ciśnienie. Podczas lunchu zauważyłam, że próbował dodzwonić się do mnie cztery razy. Nie wiem, po co zadaje sobie tyle trudu. Czyżby się łudził, że terapia werbalna pomoże mi zapomnieć o odgłosach, które wydawał, spółkując z inną kobietą? A może skoro żyje z opowiadania śmiesznych historyjek, wydaje mu się, że wszystko podlega negocjacji.

*Cześć. Rozumiem, że teraz mnie ignorujesz. Zdaję sobie sprawę, że piątkowe starcie było średnio przyjemnym doświadczeniem, ale spotkajmy się jak cywilizowani, dorośli ludzie, żeby porozmawiać, co dalej. Nic mnie nie łączy z Lou, więc mam nadzieję, że uznamy całą sprawę za niebyłą. Tworzyliśmy udaną parę i szkoda byłoby to przekreślać z powodu urażonej dumy i nieporozumienia. R*

Średnio przyjemne doświadczenie? Wzdrygam się na samą myśl, że jeszcze kiedykolwiek mógłby mnie dotknąć.

Swoją drogą, to niezwykle, że na temat cywilizowanego zachowania dorosłych ludzi wypowiada się ktoś, u kogo ostatnio widziałam karmelizowane orzeszki przyklepione do włosów łonowych.



W wynajmowanym domu zajmuję poddasze ze zbutwiałymi oknami, oprawami żarówek czarnymi od brudu i skrzypiącą podłogą pokrytą linoleum, gdzie jakikolwiek skrawek wolnej przestrzeni jest zbyt ciasny, by można było coś na nim postawić. Karen mieszka na parterze naprzeciwko łazienki, skąd może z łatwością obserwować i kontrolować nasze wspólne terytorium.

Zachodziłam kiedyś w głowę, jakim cudem się zgodziła, żeby z nią zamieszkała, ale widocznie musiała odrzucić albo zrazić do siebie tylu potencjalnych lokatorów przede mną, że właściciel domu w końcu stracił cierpliwość.

Lubię się czuć odcięta od świata w swoim pokoiku, chociaż ma to również minusy. Gdy zapraszam kogoś do siebie, musimy skradać się na palcach obok jaskini Karen, a potem w górę po stromych schodach, które przyprawiają mnie o zawroty głowy. Nauczyłam się jednak przemykać bezszelestnie niczym złodziej, jakby najmniejszy hałas groził uwolnieniem furii piekielnych. Gdybym ja miała tak śmiertelnie poważne usposobienie i tak często wpadałabym w złość, prawdopodobnie nie nosiłabym śmiesznych bamboszy w bananowym kolorze, ale moja współlokatorka najwidoczniej nie obawia się groteskowego kontrastu.

Gdy na nią patrzę, przypomina mi się Dzień Czerwonego Nosa w Lidlu, gdzie widziałam, jak ochroniarz przebrany za muchomora kłóci się zawzięcie ze złodziejem.

Rodzinny obiad mam już za sobą i żeby nie rozmyślać o mojej niedoli w posępny niedzielny wieczór, z kubkiem mocnej herbaty w ręku przeglądam media społecznościowe, apatycznie wchodząc na Facebooka na laptopie...

*Masz 1 wiadomość w zakładce Inne:*

*Louisa Henry*

O nie! Lou, ta od Robina. Klikam w ikonkę, żeby otworzyć wiadomość. Nie mam jej na liście znajomych i dopóki nie zmienię ustawień, nie będzie widziała, czy odczytałam jej wiadomość. Waham się przez chwilę, czy nie przyjąć takiej wyniośle zimnej postawy, ale potem włączam opcję powiadomienia. Chcę, żeby wiedziała, że przeczytałam. Niech się zastanawia, co dalej.

*Hej, Georgino. No więc... wielkie sorki z mojej strony, że tak wyszło. Strasznie mi głupio, że cię wkurzyłam. Robin powiedział, że podchodzicie na luzie do sypiania z innymi ludźmi, ale on nigdy nie mówi całej prawdy.*

*Chyba w tym tkwi jego urok :)*

*Nie wiem, na czym w końcu stanęło, ale bardzo chętnie się usunę, żeby dać wam trochę przestrzeni. Zresztą i tak wyjeżdżam teraz do Londynu.*

*Myślę, że wniosłaś w życie Robina sporo pozytywnych wibracji i byłoby szkoda, gdybyście stracili wspólną magię z powodu jakiegoś nieporozumienia. Na razie.*

*Lulu xxxx*

Czytam tę wiadomość trzy razy. Wygląda na to, że „Lulu” jest tak samo oderwana od rzeczywistości jak Robin. Spodziewałam się zbyt wiele, licząc na odrobinę taktu. „Wielkie sorki” muszą mi wystarczyć.

Dochodzę również do wniosku, że ta panienska musiała naprawdę spaść z księżyca, skoro w szale

namiętności wkładała w swoje miłosne wyznania tyle uczucia, ile pani z zieleniaka, która pyta: „To będzie wszystko, Kochaniutka?”.

Pozytywne wibracje. Wasza wspólna magia. Idiotka. Niby słodka idiotka, ale z dużą dozą jadu. Czytam jej wypociny po raz czwarty, ale mimo deklaracji „bardzo chętnie się usunę” nie widzę, by chociaż napomknęła, że nie zamierza już więcej bzykać się z Robinem.

Chyba że to, co uważam za zwyczajny związek, wcale nie jest takie zwyczajne, tylko, jak twierdzi Robin, wieje nudą, trąci banałem i już dawno wyszło z mody. Czy w Nowej Normalności wierność przestała być tym, czym była, i powinnam czuć się tak, jakby Lou jedynie zarysowała mi karoserię, a nie skasowała cały samochód?

Och, no sorki, że nas przyłapałaś w trakcie żywiołowej penetracji, no cóż, dałam ciała. Masz na zgodę czekoladowe trufle Lindor i różowe wino z certyfikatem *Fairtrade*.

Clem powiedziała, że bym się nie obwinięła, ale nie potrafię. Jak mogłam nie zauważyć, że Robin nie widzi nic poza czubkiem własnego nosa? Wmówiłam sobie, że jest inaczej niż w rzeczywistości. Już to kiedyś przerabiałam...

Zastanawiam się nad tym, jak bardzo działałam na nerwy swojej rodzinie, i dochodzę do wniosku, że czasem mnie samej trudno ze sobą wytrzymać.

Odpisuję Lou w sarkastycznym tonie – „dzięki, nie skorzystam, możesz go sobie zatrzymać” – potem kasuję tekst, bo nie mam jej do powiedzenia nic, co chciałabym uwiecznić w rejestrze czatu. Nie mam ochoty, żeby patrzyła z niedowierzaniem na ekran smartfona i na głos czytała moje słowa z afektowanym akcentem, wyciągając chude nogi w pończochach z sex shopu na czerwonej tapicerce kanapy.

Widzę oczyma wyobraźni, jak Robin, wysłuchawszy jej, kręci głową, wzdycha z udawanym zakłopotaniem i mówi: „Nie zdawałem sobie sprawy, że Georgina i ja tak bardzo się różniliśmy. Mówiłem jej, że nie wierzę w tradycyjny model rodziny, ale widocznie ludzie słyszą tylko to, co chcą usłyszeć. Szkoda, bo była sympatyczna i zabawna. Powinna sobie znaleźć faceta, który lubi kłótnie w Ikea i seks na misjonarza przy zgaszonym świetle”.

W każdym razie riposta podszyta gniewem, nawet takim kontrolowanym, który na dodatek nie wychodzi mi na zdrowie, mogłaby zabrznieć, jakby mi jednak zależało. Problem w tym, że mi nie zależy. Zawsze próbowałam wmówić sobie, że jestem zakochana, chociaż każdy z obiektów moich uczuć był chybionym wyborem, no i teraz widać, co z tego wyszło.

Przed oczami staje mi twarz Lucasa. Myślenie o nim jest dla mnie jednocześnie udręką i przyjemnością. Teraz nic dla niego nie znaczę... Prawdopodobnie wtedy też nie znaczyłam, ale pozwolił mi poczuć coś, czego wcześniej nie doświadczyłam i pewnie już nigdy nie doświadczę. Jakkolwiek ulotne wszystko się okazało, lubię wspominać jego dotyk, to, o czym mówił i jak sprawiał, że pragnęłam być najdoskonalszą wersją siebie. Nie zdawałam sobie sprawy, że jestem jak skrzynia pełna skarbów, dopóki nie znalazł się ktoś, kto okazał mi zainteresowanie. Lucas patrzył na mnie – pewnie zabrzmi to komicznie i zarzumiałe, ale żadne inne słowo nie przychodzi mi na myśl – z zachwytem. Dla kontrastu przypominam sobie jego obojętne spojrzenie na stypie i wzdycham z żalem.

Postanawiam zafundować sobie jakieś danie na wynos z *That's Amore* i wchodzę na *Tripadvisor*, żeby przejrzeć recenzje. Wtedy mnie olśniewa – sama też mogłabym coś napisać. Już tam nie pracuję, więc co mi szkodzi?

Zakładam profil. Zastanawiam się, czy nie zachować się bezczelnie, wpisując prawdziwe dane, ale dochodzę do wniosku, że zagranie Tony'emu na nerwach byłoby nie tylko dziecinne, ale też dałabym mu pretekst do zgłoszenia moderatorowi mojego wpisu do usunięcia, jako przykład złośliwego działania z pobudek osobistych. Postanawiam wcielić się w Grega Withersa ze *Stockport*. Nie mam pojęcia dlaczego.

Muszę nadać recenzji styl autentycznej skargi. Wracam pamięcią do największych hitów *That's Amore*. A gdyby tak stworzyć kompilację? Wszystko, co sobie przypominam, wydarzyło się na mojej zmianie, więc nawet nie muszę fantazjować.

*Najgorsza restauracja, w jakiej kiedykolwiek by*

Wygląda na to, że w przypiływie emocji Greg nie zwrócił uwagi na limit znaków. Kurczę, to naprawdę sprawia mi frajdę.

*Jedna gwiazdka.*

*Szczerze mówiąc, nie wiem, od czego zacząć. W rocznicę ślubu żona powiedziała, że nie chce niczego zbyt wystawnego. Cóż, muszę przyznać, że przynajmniej pod tym względem restauracja That's Amore wywiązała się bez zarzutu.*

*Dostaliśmy zalaminowane karty dań z zaschniętymi grudkami jedzenia. Mogłoby się wydawać, że nie potrzeba wybitnej inteligencji, żeby je przetrzeć szmatką. A także spryskać środkiem bakteriobójczym.*

*Wnętrze lokalu ma już za sobą czasy swojej świetności, które przypadały na początek lat siedemdziesiątych.*

*Kiedy zapytałem, jakie bezkręgowce wchodzi w skład odrażającego fritto misto, które moja żona dostała jako starter, usłyszałem odpowiedź: „Tylko szef kuchni to wie”, co, jak każdy przyzna, jest wielce niepokojące. Moja zupa minestrone ewidentnie była z puszki i podano mi do niej chleb czosnkowy „z domowego wypieku”. Radziłbym spróbować innej receptury, która zagwarantowałaby zdatność do spożycia.*

*Kolejnym daniem było risotto z owocami morza, w którym odkryliśmy jedynie paluszki krabowe. Zakwestionowałem oryginalność takiego zestawienia, na co młody dżentelmen, który nas obsługiwał, odparł: „Wszyscy Włosi jedzą paluszki krabowe”. Zapytany, gdzie widział takich Włochów, kelner wyjaśnił, że w Walkley.*

*Kiedy zaproponowano nam deser, miałem już serdecznie dość tej żalosalnej farsy, ale moja żona nastawiła się na tiramisu, a ja nie chciałem świętować trzydziestej rocznicy ślubu, nie wcielając w życie maksymy „Szczęśliwa żona to szczęśliwe życie”.*

*Gdybym miał opisać jednym słowem ten osobliwy produkt, który otrzymała, użyłbym słowa „ohyda”. Był to wilgotny zlepek podłużnych biszkoptów nasączonych tanim rumem i masą budyniową z puszki, który okrywała gruba warstwa – uwaga – granulatu kawy rozpuszczalnej. Tak, kawy rozpuszczalnej! Poważnie. Moja teściowa, która ma osiemdziesiąt trzy lata i cierpi na demencję, poczęstowała nas kiedyś krewetkami w zaawansowanym stadium rozkładu, jednak wolałbym jeszcze raz zaryzykować degustację jej specjalów, aniżeli znów odwiedzić tę odrażającą spelunę.*

*Do: [newsdesk@sheffieldstar.com](mailto:newsdesk@sheffieldstar.com)*

*Od: [GogPool@gmail.com](mailto:GogPool@gmail.com)*

*Dzień dobry,*

*zastanawiam się, czy zauważyliście, że ten lokal ma 88% opinii „fatalny” na Tripadvisor. Czy to nie najgorsza restauracja w mieście? Ktoś powinien o tym napisać! Nie wiem, czy wasz krytyk kulinarny już tam był.*

*Pozdrawiam*

*Kolejny Niezadowolony Klient*



– Czuję się jak samolot, który wszedł w korkociąg i spada w zwolnionym tempie – wyznałam mojej siostrze, kiedy straciłam pracę w hipsterskiej knajpie z drinkami w słoikach.

– Jesteś raczej jak iRobot Roomba. Odbijasz się od ściany, zmieniasz kierunek i dalej robisz swoje.

Esther i mama dały sobie spokój i już nie próbują mnie zrozumieć, odkąd rzuciłam studia, a zaciekłość, z jaką to zakomunikowałam, dała im jasno do zrozumienia, że moja decyzja nie podlega dyskusji. Oczywiście podejrzewały, że po śmierci taty straciłam wiarę w siebie, ale był to temat tabu, wokół którego zbudowałam wysoki mur i otoczyłam go polem minowym.

Gdy w moje trzydzieste urodziny wybrałyśmy się do francuskiej restauracji, siedząc przy stole zastawionym pasztecikami i wołowiną po burgundzku, wyraźnie czułam atmosferę troski i rozczarowania. Dekada, którą przeżyłam pozbawiona punktu zaczepienia i wyznaczonego celu, właśnie dobiegła końca i żadna z nas nie potrafiła udawać, że już nie jestem beztroską dwudziestolatką.

Stawianie czoła rzeczywistości nie jest moją mocną stroną. Nie należę do osób pragmatycznych i na dodatek obdarzonych zdolnością konstruktywnego myślenia i wyciągania wniosków. Nie pomyślałam: skoro moja psychika się rozpada niczym mokry papier toaletowy, którym jakiś dowcipny student owinał drzewo dla kawału, to powinnam skorzystać z pomocy specjalisty. Wybiorę któregoś z certyfikowanych terapeutów, którzy mają gabinety w promieniu trzech kilometrów, i umówię się na wizytę. Nie poszłam do psychoterapeuty.

Później jednak trafiłam do gabinetu Fay.

Osiem lat po tym, co lekarz określił jako „rozległy zawał serca, który spowodował poważne uszkodzenie układu nerwowego”, relacjonowałam to wszystko mojemu nowemu wówczas przyjacielowi – Ravowi. Tamtego wieczoru, kiedy się poznaliśmy, Rav miał na sobie taliowaną koszulę w jaskrawozielonym kolorze, która idealnie kontrastowała z jego brązową karnacją. Pociągła twarz i paciorkowate oczy upodabniały go do bacznie obserwującego ptaka. Większość towarzystwa na domówce u Clem wydawała mi się strasznie pretensjonalna, ale zorientowałam się dosyć szybko, że Rav – poznali się w jej butik, gdzie zjawił się jako jeden z jej eleganckich klientów – byłby doskonałym materiałem na męża. Nonszalancki, dowcipny i elokwentny, zawsze potrafił rzucić od niechcenia jakąś błyskotliwie efektowną uwagę, która potem długo nie daje ci spokoju, kiedy leżysz w łóżku i próbujesz zasnąć.

Pracowałam wtedy jako kelnerka w nocnym klubie zwanym Rogues, gdzie obmacywali mnie pijani goście i musiałam brać zastrzyki przeciwbólowe, żeby wytrzymać przez kilka godzin w dziesięciocentymetrowych szpilkach. To była najgorsza praca, jaką miałam do tej pory, ale i tak, kiedy zrezygnowałam, na moje miejsce znalazło się mnóstwo chętnych.

Na imprezie, chociaż nie miałam takiego zamiaru, napomknęłam Ravowi mimochodem, że mój ojciec śni mi się każdej nocy. Ja to potrafię się świetnie bawić. Siedział obok mnie zgarbiony na skraju sofy obitej pluszem w szafranowym kolorze.

– Każdej nocy? – spytał, przekrzykując głośną muzykę. – Dosłownie każdej?

Przypomniałam sobie poniewczasie, że rozmawiam ze specem od świrów.

– No, prawie każdej – odparłam. – Nie trzymam notatnika przy łóżku, żeby zapisywać sny. Ojciec, ojciec, ojciec. Naga spóźniłam się na autobus. Wypadły mi wszystkie zęby. Próbowałam ukraść udziec jagnięcy z mięsnego. Nago. I znowu ojciec.

– Przydałaby ci się terapia. Ale uważaj, bo jeśli zaraz powiesz „nago z ojcem”, zakwalifikuję cię

do kategorii pacjentów, którzy płacą znacznie więcej.

Parsknęłam śmiechem. Rav zawsze balansuje na krawędzi dobrego smaku, ale starannie kalkuluje ryzyko. To w nim uwielbiam. Można by pomyśleć, że zważywszy na swoją profesję, powinien uważać, co mówi, i zachowywać się odpowiednio, ale jest wręcz przeciwnie. Włazi z butami w cudze życie. Jednak zawsze wybiera odpowiednie buty.

Wyjaśniłam mu, że chociaż tato jest wciąż obecny w moich myślach – ten żałobny frazes rzeczywiście się spełnił, jakkolwiek niezręcznie to brzmi – paradoksalnie nie potrafię się przemóc, żeby odwiedzić jego grób.

Słuchając moich zwierzeń, Rav coraz bardziej marszczył czoło.

– Nie zaproszę cię do mojego gabinetu, ponieważ byłoby to sprzeczne z etyką i poczułabyś się niezręcznie, ale umówię cię z moją koleżanką Fay – oświadczył, kiedy skończyłam mówić.

Był naprawdę dobry w swoim fachu – domyślił się, że jeśli sam mnie nie zapisze na wizytę, to jedynie wezmę namiary i nie kiwnę palcem, żeby się umówić.

– Nie wiem, czy chcę się użalać nad sobą. Na czym właściwie polega mój problem? Mnóstwo osób straciło jednego z rodziców.

– Skończ z tą cholerną brytyjską mentalnością – powiedział Rav, wpisując do komórki mój numer. – Co za kraj. Ludzie wolą się zabić z jakiegoś powodu niż trochę nad sobą popracować. Nie żebym ci wmawiał, że masz skłonności samobójcze.

Chodziłam do Fay przez rok i bardzo mi pomogła. Dość powiedzieć, że zaczęłam przynosić kwiaty na grób taty w jego urodziny. Rozmawiam z nim po cichu – jeśli nikogo nie ma w pobliżu – i dotykam wygładzonego brzegu płyty nagrobnej. Patrzę na wygrawerowane laserem daty początku i końca, który niestety okazał się tak niespodziewany.

Byłoby niezwykle praktycznym rozwiązaniem, gdyby każdy z naszych bliskich mógł zadeklarować termin swojego odejścia. Wtedy można by sobie wyznaczyć odpowiednie tempo życia.

Nadal myślę o śmierci, chociaż od stypy po pogrzebie Danny’ego minął już tydzień. Nie mam nic do roboty, bo czekam, aż zadzwoni Devlin, chociaż pewnie mogę się nie doczekać. Owszem, mogłabym się wykazać inicjatywą i szukać pracy gdzie indziej, ale wtedy nie byłabym jak iRobot Roomba, a poza tym nagłe spotkanie z Lucasem McCarthym wpędziło mnie w przewlekłą apatię.

Tak więc wydaję w supermarkecie niecałe pięć funtów na bukiet cukierkoworóżowych lilii. „Żeby za chwilę zwiędły na tym odludziu? Dziwna jesteś. Za taką kasę miałybyś dwa piwa. Lepiej zwinąć jakiś wiecheć z czarnego punktu przy drodze”, słyszę w wyobraźni głos taty i idę do Tinsley Park. Cmentarz jest gęsto zaludniony, jeśli można tak to ująć, więc muszę trochę się nachodzić, żeby znaleźć grób taty.

Podobają mi się stare nagrobki pokryte zielonkawym nalotem, z wrytymi w kamieniu datami z dziewiętnastego wieku, z których można się dowiedzieć, że spoczywający pod nimi ludzie zmarli na przykład na szkorbut... Te nowoczesne, błyszczące w słońcu działają mi na nerwy. Czuję skurcz w żołądku, kiedy docieram do płyty z napisem John Horspool, namacalnego dowodu, że to naprawdę się stało. Zastanawiam się nad obłudą słów widniejących pod nazwiskiem: Ukochany mąż, ojciec i brat. Tylko w jednej trzeciej są prawdziwe.

Po pogrzebie stryj Peter wrócił do Hiszpanii tak szybko, jakby użył proszku Fiuu. Pamiętam, jak ojciec powiedział kiedyś z sarkazmem, że w pokoju robi się jaśniej, kiedy Pete z niego wychodzi. Uwagi na temat żyjącego na obczyźnie brata w stylu: jest tak mile widziany jak kocie gówno w domu, w którym nie ma kota, zawsze sprawiały, że pękałam ze śmiechu. Kiedy o tym pomyślę, natychmiast uświadamiam sobie, że już nigdy nie usłyszę jego głosu ani opinii na jakikolwiek temat. Zostały mi już tylko rozmowy na niby. Udawanie, nieudolna improwizacja podsycana nostalgią, nędzna namiastka. Ogarnia mnie tak przytłaczająca samotność, że niemal uginają się pode mną kolana.

Nie żył już od dwóch lat, kiedy wyznałam Clem, że jego śmierć wciąż wydaje mi się nierzeczywista. Nadal czekałam, aż ten fakt do mnie dotrze, aż w końcu przyjmę go do wiadomości. Clem straciła ojca, kiedy miała czternaście lat. Rozmawiałyśmy w McDonalddie o pierwszej w nocy, bo przyczepił się do niej jakiś szemrany typ i przyjechałyśmy z Jo taksówką, żeby wybawić ją z opresji. Zakończyłyśmy tę przygodę, zajadając się hamburgerami i wlewając w siebie hektolitry płynów.

Znacznie więcej, niż nakazywał zdrowy rozsądek.

– Nie wiem, co ci powiedzieć – odparła Clem. – To nigdy nie wyda ci się prawdziwe i nigdy sobie tego nie uświadomisz. Taka chwila nigdy nie nadejdzie... Świat podąża naprzód, ale ciągle odczuwasz jakiś brak, aż powoli uczysz się z nim żyć.

Brzmi logicznie. Teraz wszystko wydaje się tymczasowe. Bo zawsze takie było, tylko nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Chrząkam i rozglądam się dookoła.

– Cześć, tato.

– No i to by było na tyle – mamroczę.

Czuję się idiotycznie, chociaż jestem zupełnie sama, gdy sterczę wśród nagrobków, które ciągną się rzędami po horyzont niczym kostki domina. Unoszę głowę, jakbym podejrzewała, że wisi nade mną dron, który wsłuchuje się w mój banalny monolog.

Wspomniałam półgłosem o niespodziewanym spotkaniu z Lucasem, którego przed laty miałam nadzieję mu przedstawić. A także o rozstaniu z Robinem. Zastanawiam się, czy ojciec reagowałby na niego lepiej niż Esther i mama. Pewnie bardziej by się starał, wiedząc, jak mi zależy, ale też doszedłby w końcu do wniosku, że zbłądziłam.

Drętwieją mi palce od gniecienia kuli celofanu zdjętego z bukietu, który wcześniej przekładałam z ręki do ręki, aby naprzemiennie móc ogrzewać wolną dłoń w kieszeni. Dlaczego masz na sobie coś w kolorze płynu do płukania ust? Wyglądasz, jakbyś obdarła muppeta ze skóry – mówi tato w mojej wyobraźni.

– Następnym razem zobaczymy się chyba dopiero w twoje sześćdziesiąte piąte urodziny – mówię. Rozmawiałam z Esther i zdecydowałyśmy, że następnym razem przyjdziemy z Milo, więc nie będzie smętnego gładzenia i szklaneczki czegoś mocniejszego.

Świąteczny drink taty. Znów czuję bolesne ukłucie w żołądku. Schylam się, żeby oprzeć kwiaty o nagrobek, i z bladym uśmiechem na twarzy macham do niego na pożegnanie.

Mama nie przyjdzie go tu odwiedzić. Esther i ja nie do końca rozumiemy jej opory, ale mamy swoje teorie.

Kiedy szybkim krokiem zmiierzam w stronę wyjścia, w głowie pojawia mi się zniecka nieproszona myśl, atakując z zaskoczenia. Jest jak Oskar Zręda, który wyskakuje z kubła na śmieci, wymachuje zielonymi futrzastymi łapami i krzyczy, wybałuszając oczy: „Minął tydzień, a Devlin nie zadzwonił! Już się nie doczekasz, idiotko!”.

Przystaję, przez chwilę gapię się na płaską przestrzeń najeżoną kamiennymi płytami, jakby wśród nich czaiła się ta niewygodna prawda, a potem ruszam przed siebie ze zdwojoną energią. Bycie niechcianą zawsze wpędza mnie w czarną melancholię. Jestem przygnębiona nie tylko dlatego, że Lucas McCarthy mnie nie rozpoznał i na dodatek pozbawił szansy na zatrudnienie, sugerując, że powinnam raczej serwować pieczone żeberka albo skrzydełka ubrana w wydekoltowaną koszulkę bez rękawów i pomarańczowe szorty. Gdy tak rozmyślam nad powodami mojego rozczarowania, uświadamiam sobie wreszcie, że zapałam do Devlina szczerą sympatią i miałam nadzieję, że ze wzajemnością. Takie rzeczy nieczęsto się teraz zdarzają. I to, że nie dzwoni, chociaż obiecał, zakrawa na podłość. Skoro musi mnie spławić, niech to zrobi tak, żebym nie przestała go lubić. Mógłby przynajmniej zdobyć się na zdawkowego esemesa i kłamstwo, że nie dogadał się z bratem, który w tym samym czasie też już kogoś zatrudnił, na przykład weterana wojennego bez nogi albo kogoś takiego. Wtedy jego milczenie nie byłoby tak nieprzyjemne. Dzięki dyplomatycznemu wybiegowi przynajmniej nie musiałby przechodzić na drugą stronę ulicy, gdyby kiedyś przypadkiem spotkał mnie na mieście. Możecie wierzyć na słowo komuś, kto ma na koncie setki dorywczych fuch w branży gastronomicznej.

A może Devlin był wtedy zbyt pijany, aby pamiętać o złożonej mi obietnicy? Nie, mało prawdopodobne. W takim wypadku jego brat w ogóle nie poruszyłby tej kwestii.

Lucas nie pamiętał, że coś nas łączyło w przeszłości, i nie chciał mieć ze mną nic wspólnego w przyszłości. Albo zorientował się, kim jestem, ale nie dał tego po sobie poznać, a potem postanowił się mnie pozbyć.

Wychodzę na drogę za cmentarną bramą i myślę o Lucasie. O pewnej nocy w parku, kiedy zapadł



zmierzch, a ja miałam parszywy nastrój, bo dostałam ochrzan w domu.

– Wiesz, że cię kocham – powiedział Lucas, dotykając mojej twarzy. – Jestem twój.

Myślę, że łatwiej mu przyszło to wyznanie, bo byłam w totalnej rozsypce. W jednej chwili ten ohydny dzień zamienił się w najwspanialsze święto mojego życia.

– Też cię kocham – odparłam i po raz pierwszy usłyszałam ode mnie te słowa. – Jestem twoja.

Naprawdę tak czułam. Pochłaniał mnie bez reszty. Był dla mnie wszystkim – największą tajemnicą, obiektem pożądania, bratnią duszą i podporą. Choć brzmi to banalnie, trudno zaprzeczyć, że nie ma potężniejszego uczucia od pierwszej miłości.

Czy ja też tak wiele dla niego znaczyłam, choćby przez chwilę? Tylko w moim dzienniku mogłabym znaleźć odpowiedź, ale nie mam odwagi do niego zajrzeć. Spoczywa na dnie szuflady z biustonoszami, zawsze w zasięgu ręki, mimo to ciągle nietknięty.

Kiedy zaczyna się deszcz, rozlega się dzwonek mojej komórki. Na wyświetlaczu widzę nieznany numer i serce mi przyspiesza.

– Halo, czy rozmawiam z Georginą? Mówi Devlin. Ten irlandzki knypek, którego spałaś w zeszłym tygodniu.

Jestem tak zaskoczona i uradowana, że przez chwilę nie potrafię wydobyć z siebie głosu.

– Tak, to ja! – odpowiadam w końcu. – Szczerze mówiąc, świetnie dawałaś sobie radę bez mojej pomocy. Przeplaciłaś za moje usługi.

Devlin parska śmiechem.

– I dzięki za dodatkową kasę – dodaję. – Bardzo miło z twojej strony.

– Nie ma za co, zasłużyłaś sobie. Miałem wrażenie, że jesteś jednym z gości, a według mnie największą zaletą pracownika jest umiejętność wycucia klientów.

Devlin tego nie widzi, ale promienieje z zadowolenia.

– Zastanawiam się, czy nadal jesteś zainteresowana pracą, o której rozmawialiśmy. Przepraszam, że tak późno się odzywam, ale musiałem najpierw ogarnąć kilka spraw.

Czyżby chciał powiedzieć, że zmusił brata do uległości? Jestem mu ogromnie wdzięczna. Ale jednocześnie przerażona. Gratulacje, w nagrodę zostaniesz podwładną antypatycznego Lucasa McCarthy'ego. A jednak nie posiadam się z radości, że jego opór nie był wystarczająco silny, aby storpedować moją kandydaturę. Uważam, że odniosłam maleńkie zwycięstwo.

– Nie pogniewam się, jeśli mi odmówisz, ale może znalazłabyś wolną chwilę, żeby wpaść tu dziś wieczorem? Powiedzmy o wpół do siódmej, dobra? Pokażę ci, jak obsługiwać kasę, i oswoisz się ze wszystkim, żeby lepiej się orientować, kiedy pierwszego dnia zacznie się duży ruch.

Zerkam na zegarek. Mam półtorej godziny. Normalnie potrzebowałabym dwa razy tyle, żeby doprowadzić swój wygląd do przyzwoitego stanu.

– Nie ma sprawy.

– Jesteś prawdziwym skarbem. Przepraszam, ale wiesz, jak to jest. Mój terminarz dostaje pierdolca i nagle się okazuje, że mam na głowie milion rzeczy do zrobienia.

– Szczerze mówiąc, nie byłam zajęta – odpowiadam. – Do zobaczenia.

– Zostawię drzwi otwarte, bo jeśli będziemy na zapleczu, możemy nie usłyszeć pukania.

My. To się dzieje naprawdę. Lucas znów się pojawia w moim życiu.

Zbieram się do wyjścia, gdy nagle nieruchomię. Czy powinnam założyć moje różowe futerko? Ogarnia mnie złość. A dlaczego nie? Bo Lucas zasugerował, że jestem tępą lalunią? Moja kurtka, moja sprawa. Stawiam się, ale to tylko pozory. Tak samo jak w okresie dojrzewania, moje chojrakowanie jest połączeniem ostentacyjnego uporu i skrywanego poczucia braku własnej wartości.

Kiedy już jestem na ulicy, znowu dzwoni telefon. Otwieram torebkę i gmerając w środku, znajduję przy okazji mascarę, która przeleżała tam całe wieki i na pewno jest przeterminowana. A jeśli to Dev i dzwoni, żeby cofnąć swoją propozycję?, myślę, gorączkowo szukając komórki.

Patrzę na wyświetlacz. Rav.

– Cześć, zajęta jesteś?

– Niespecjalnie.

– Zastanawiałem się właśnie, czy podrzuciłaś prasie temat tej włoskiej knajpy, w której

pracowałaś. Wiesz, chodzi o paszkwile na Tripadvisor. Mówiłaś, że zamierzasz je napisać, ale byłaś wtedy napruta.

Powiedziałam im? Nie miałam pojęcia, że w ogóle poruszyłam ten temat. Zaniki pamięci po alkoholu stają się u mnie coraz bardziej niepokojące. Ostatnimi czasy odnoszę wrażenie, jakby z mojego życia zniknęła cała rolka wyciętych scen.

– Tak, napisałam do „Star”...

– No więc napisali o tym – informuje mnie Rav.

– Naprawdę? Wspaniale!

– No cóż, mam dla ciebie dobrą i złą wiadomość. Właściwie teraz będzie już tylko ta zła.

– Nie wspomnieli chyba o mnie?

– Nie. Czemu mieliby to robić? Chyba się nie przedstawiłaś...

– Nie, no co ty – odpowiadam i czuję się jak idiotka. – Ale wysłałam mejla z mojej poczty.

Ktoś z redakcji – nie pan Keith, ale jakiś Ant – odpowiedział na moją wiadomość o That's Amore z takim zaangażowaniem, jakby stukał w klawiaturę jedną ręką, a w drugiej trzymał bagietkę z jajkiem i rzeżuchą: dzięki, przyjrzymy się tej sprawie.

Nie zwrócił się do mnie po imieniu, co uznałam za lekceważenie, ale przypomniałam sobie, że znał mnie przecież tylko pod pseudonimem Gogpool. Nie spodziewałam się, aby miało to jakiegokolwiek konsekwencje, bo nie wypytywał, kim jestem i dlaczego przedstawiłam się jako Kolejny Niezadowolony Klient. A co mi tam, pomyślałam. Warto spróbować.

– Wiesz, podobno zemsta najlepiej smakuje na zimno – mówi Rav. – Otóż „The Star” serwuje dania podobnie jak That's Amore. W niczym nie przypominają tych, które zamówiłaś.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Gdzie teraz jesteś?

– Przy... blisko domu – odpowiadam, skręcając w moją ulicę.

– Kup gazetę. Jeszcze nie ma tego numeru online. Dowiedziałem się o tej sprawie tylko dlatego, że podsłuchałem rozmowę w pracy. I wiesz co, ta kobieta podobno zna kogoś, kto podejrzewa, że zaraził się u nich salmonellą.

– Tak mnie podpuszczasz, że zaraz zwariuję z ciekawości.

– Przepraszam, nie chciałem. Ale to jest naprawdę śmieszne. Zaparz sobie herbatę i baw się dobrze.

Kupuję numer „The Star” i idę prosto do domu. Jestem skołowana. Próbuję sobie wyobrazić, jak ktoś mógł spieprzyć tak sensacyjny materiał – That's Amore jest największą porażką od czasów, gdy Sweeney Todd stworzył nielegalną konkurencję dla hodowców wieprzowiny.

Otwieram gazetę i zaczynam przewracać strony, które, jak na złość, uparcie się skleją. Jestem coraz bardziej przejęta. O co, do licha, chodziło Ravowi?

I w końcu go znajduję – artykuł na dwie strony. Na zdjęciu Tony promienieje, pozując przed wejściem do lokalu z talerzami pełnymi makaronu obficie polanego sosem. Na głowie ma bufiastą czapkę kucharską, którą musiał zwinąć ze sklepu dla przebierańców albo z planu reklamy przypraw.

*Szef That's Amore – najgorszej restauracji w Sheffield według Tripadvisor – mówi hejterom: „Zamknijcie się!”.*

Zaraz, co takiego? Czyżby serwowanie dań najniższej jakości na łamach „The Star” było aktem buntowniczej przekory? Czytam dalej i moje obawy się potwierdzają. That's Amore – jak dowodzi seria zdjęć, na których Tony stoi przy garach z kciukiem uniesionym w geście OK, a Callum szczyrzy zęby w uśmiechu, wypisując kredą na tablicy dania dnia – rozgrywa swoją kampanię wizerunkową. Z powodzeniem zamienia całą aferę w motywującą historyjkę pełną autoironicznego humoru.

Ożeż kurwa ich wszystkich mać.

Wprawdzie całą szpaltę zajmuje streszczenie najbardziej nieprzychylnych opinii z Tripadvisor, ale wszystkie zostały mocno okrojone, żeby nie brzmiały zbyt poważnie. Pojawia się recenzja Grega Withersa – hurra! – jednak skrócona do zaledwie kilku zdań, co może nasuwać wniosek, że autor po prostu oczekiwał fajerwerków ze względu na swój jubileusz.

Jasny szlag.

Zaciskam zęby i czytam:

*Dawniej skargi niezadowolonych klientów były wnoszone bezpośrednio do menedżera restauracji. W erze internetu wystarczy jedno kliknięcie, żeby podzielić się swoimi pretensjami z całym światem. Tripadvisor jest dobrze znanym forum, na którym konsumenci oceniają dobrych, złych i brzydkich naszej sceny gastronomicznej, a publikujący opinie klienci nie mają żadnych hamulców.*

*Personel That's Amore przekonał się, co to znaczy gniew rozjuszonych klienteli. Ta włoska restauracja z Broomhill padła ofiarą domorosłych krytyków kulinarnych, którzy narzekali na „nieoryginalne” dania i „byle jaką obsługę”. W efekcie lokal ma aż 88% opinii „fatalny”, co czyni go najgorszym w mieście.*

*Niemniej jednak interes się kręci, a w każdy weekend wszystkie miejsca są zajęte. Mimo słabych notowań That's Amore jest w świetnej formie i cieszy się większą popularnością niż kiedykolwiek, podając w wątpliwość, czy takie strony jak Tripadvisor rzeczywiście mają wpływ na nasze upodobania.*

*„Ostatecznie internetowe trolle muszą dorzucić swoje trzy grosze” – mówi szef kuchni, Tony Staines. „Jeśli mam być szczerzy, to wystarczy spojrzeć, jakim lokalom się obrywa, i już wiadomo, że pierwszymi do wybrzydzenia są goście ze stolicy albo innych miast, którzy oczekują ekskluzywnej kuchni i bajeranckich dodatków. Dla miejscowych wciąż jesteśmy w pierwszej lidze”.*

Gówno prawda!

*„Serwujemy świeże i smaczne domowe potrawy, które przyrządzamy na bieżąco, ale nie robimy z tego cyrku i nasi stali klienci za nimi przepadają. Opieramy się na tradycyjnych przepisach, które właściciel That's Amore dostał od swojej matki, więc jeśli ktoś ma zastrzeżenia do autentyczności naszego menu, niech jedzie do Turynu i z nią dyskutuje”.*

– Przecież ona mieszka w Bridlington! – prychem ze złością.

Następnie autor artykułu wdaje się w ogólnikowe dywagacje na temat zalet i wad korzystania ze wskazówek publikowanych w serwisie Tripadvisor, więc nikt nie ma szansy zareagować na brednie Tony'ego. Greg Withers miałby wiele do powiedzenia, gdyby mógł skorzystać z mejla. Musiałabym przekonać Rava, żeby został w pracy po godzinach.

Cholera, jakie to niesprawiedliwe. Nie przyszło do głowy temu reporterowi, że That's Amore ma fatalne opinie, bo najzwyczajniej jest fatalną restauracją? Nie słyszał o brzytwie Ockhama? Niczego tam nie jadł? W gruncie rzeczy zrobił im darmową reklamę. W dodatku z mojej inicjatywy. Nie mam co do tego wątpliwości, gdy dostrzegam, że pod artykułem podpisał się niejaki Ant Haddon.

That's Amore kontra Georgina – 1:0.

„Świeże i smaczne domowe potrawy” – śmiechu warte. Widziałam, jak Tony rozpakowuje cukierki Quality Street, sieka je nożem do sera, układa w piramidkę na półmisku i posypuje czekoladą w proszku, a potem każe mi wmawiać klientowi, że to nasze ręcznie robione czekoladki. Istny *Wieczorek smakosza* w *Hotelu Zacisze*, tylko bez całej wyrefinowanej oprawy.

Dzwonię do Rava.

– Dlaczego zło zawsze zwycięża? – pytam rozbawiona i zarazem autentycznie zbulwersowana.

– Dlaczego tak się dzieje? That's Amore wszystko przetrwa! Nawet z ostatniej kompromitującej wpadki Tony wyszedł obronną ręką. Jak on to robi? Dodaje polonu do pollo alla cacciatora?

– Ha, ha, ha! To chyba lekka przesada – odpowiada ze śmiechem Rav. – Podobało mi się, jak stwierdził, że wszyscy się czepiają, bo oczekują wodotrysków i sashimi z jeżowca. Niewątpliwie w tym tkwi cały problem. Ludzie uważają się za koneserów z Mayfair i nie rozumieją, co można dostać na obiad składający się z dwóch dań i karafki wina, za który płaci się tylko dychę.

Zaczynam się śmiać.

– Wyobrażasz sobie menu degustacyjne That's Amore? Ciekawe, z czego Tony zrobiłby piankę

deserową.

– Lepiej nie idź w tę stronę.

Wzdycham z rezygnacją.

– Niechcący zapełniłam im salę na najbliższy miesiąc. Nawet jeżeli ludzie ostatecznie przekonają się, że miałam rację, i tak zostawią tam pieniądze – mówię. – Nie ma Boga.

– Zgadza się, ale to już ustaliliśmy. Posłuchaj, właściwie zadzwoniłem w innej sprawie.

Wszystkim nam jest głupio po tej nagonce na Robina, którą urządziliśmy przedwczoraj.

Chichoczę rozbawiona.

– Uwielbiam cię, Rav, ale jeśli Clem ma z tego powodu wyrzuty sumienia, to ja jestem Gregiem Withersem ze Stockport.

– No dobra, Jo i ja powiedzieliśmy Clem, że powinno nam być głupio.

– I przyznała wam rację?

– Powiedziała: „Dlaczego bronicie tego zarozumiałego palanta, który potraktował George jak śmiecia?”, więc chyba zgodzisz się, że jest w tym jej pytaniu wyraźny podtekst poczucia winy.

Znowu parskam śmiechem.

– W każdym razie Jo i ja zamierzamy ją namówić do podziału kosztów na trzy, kiedy znowu gdzieś cię wyciągniemy – dodaje Rav. – Masz czas dzisiaj wieczorem?

– Jestem umówiona o wpół do siódmej, ale spotkanie raczej nie potrwa długo. Dokąd się wybieracie?

– A jak myślisz?

– Na curry?

– Tadam! A może... do That's Amore?

– O Boże! Wolę sobie nie wyobrażać, co Tony mógłby mi dodać do jedzenia.

– Mam kilka pomysłów.

– Faj! – Krzywię się i milknę na chwilę. – Nie istnieje coś takiego jak karma, prawda? Nikt nie dostaje tego, na co zasługuje.

– Mam dwie odpowiedzi, dłuższą i krótszą, a ponieważ nie płacisz mi teraz za sesję terapeutyczną, udzielę ci tej krótszej.

– Zamieniam się w słuch.

– Nie, nikt nie dostaje tego, na co zasługuje. Karma jest mitem stworzonym, żeby było nam łatwiej pogodzić się z okrutną przypadkowością wszechświata i niesprawiedliwością, jakiej doświadczamy.

– Ech! Czy dłuższa wersja jest bardziej budująca?

– Tak i dlatego się za nią płaci.

Kończę rozmowę i wdycham rześkie październikowe powietrze. Nie wiem, dlaczego tak uparcie wierzyłam w istnienie karmy, mimo że w moim trzydziestoletnim życiu ani razu jej nie doświadczyłam. Powinnam włożyć to między bajki w tym samym czasie co Wróżkę Zębuszkę.



Punktualnie o wpół do siódmej przybywam na miejsce i jak uprzedzał Dev, rzeczywiście nikt mi nie otwiera, kiedy trzy razy uderzam pięścią w ciężkie drzwi, wydychając kłęby pary w chłodnym powietrzu. Naciskam klamkę i niepewnie przestępuję próg.

– Halo!

W środku panują całkowite ciemności.

– Halo! – powtarzam onieśmiałym głosem. – Jest tu kto?

Nic nie widzę i czuję się nieswojo. W pubach, w których pracowałam, kinkiety były włączone cały czas, nawet kiedy nie świeciły się lampy pod sufitem. Idąc, nie uderzam się o meble tylko dlatego, że przez okna wpada blask latarni z ulicy.

Za barem błyszczą żarówka i w drzwiach prowadzących na zaplecze pojawia się ciemna sylwetka. Mężczyzna robi krok przed siebie, wpuszczając do sali więcej światła.

Potem mnie zauważa i przystaje. Ma na sobie czarną koszulę pokrytą kurzem, a w ręku trzyma wielki pęk kluczy, z którymi wygląda jak dozorca więzienny. Znowu mam osiemnaście lat, a Lucas McCarthy wpatruje się we mnie przeszywającym wzrokiem z drugiego końca sali. Jego twarz nie zdradza żadnych emocji.

Przez chwilę nie potrafię sobie przypomnieć żadnej standardowej formułki na powitanie.

– Mogę w czymś pomóc? – odzywa się w końcu Lucas. – Bar jest zamknięty.

Tego już zdążyłam się domyślić. Skoro nie mam co liczyć na małe jasne, to czy mogłabym chociaż pożyczyć latarkę?

– Dev... – zaczynam, ale gardło zaciska mi się z nerwów i muszę odchrząknąć. – Devlin kazał mi tu przyjść, żeby się wdroszyła.

– Ach, jasne. Dev pojechał na zakupy, ale niedługo wróci.

– Rozumiem.

Zapada cisza i każde z nas czeka w napięciu, aż drugie coś powie. Odnoszę wrażenie, że moja pozycja tutaj nie jest tak pewna, jak się łudziłam, licząc na poparcie Devlina. Całkiem możliwe nawet, że się przeliczę. Stoję beczynn timer, aż Lucas wreszcie przerywa niezręczne milczenie:

– Usiądź, jeśli chcesz. Napijesz się czegoś? Nalewaki jeszcze nie działają, ale mamy napoje w puszkach. Może coli? Niestety nie jest schłodzona.

Szkoda, bo chętnie przyłożyłabym sobie coś zimnego do czoła.

Kiwam głową, wydając pomruk oznaczający podziękowanie, po czym opadam ciężko na najbliższe krzesło. Czuję pod ubraniem rozlewające się gorąco, a moje nerwy skwierczą jak zepsuta instalacja elektryczna.

Czy będziemy zmuszeni do nawiązania uprzejmej konwersacji? Jak długo to potrwa? Dlaczego w ogóle się zgodziłam? Nie mogłam powiedzieć Devlinowi, że coś sobie znalazłam w międzyczasie? Że też zachciało mi się zostać podwładną Lucasa McCarthy'ego, jakby życie nie obfitowało w inne upokorzenia. Wydaje mi się, że odpowiedź czeka gdzieś w mojej podświadomości.

Lucas znika na chwilę, a ja rozglądam się dookoła. Za plecami słyszę sapanie, któremu towarzyszy stukot pazurów na drewnianej podłodze, i po chwili staje przede mną najbardziej uroczy pies na świecie. Zadziera głowę i patrzy na mnie wyczekująco. Ten sam, którego widziałam na stypie. Ma tak krótkie łapy, że kiedy siada, wygląda, jakby był zanurzony w kałuży rudego futra. Ma życzliwe spojrzenie i wygląda na podekscytowanego. To jedno z tych stworzeń, które mają wypisane na pyszczku: „Cześć, jestem psem, a ty? Kocham cię!”

Bardzo mnie ucieszyło to niespodziewane spotkanie. Jestem przyjaźnie nastawiona do wszystkich zwierzaków, a w tej chwili przynajmniej z jego strony mogę liczyć na wzajemność. Pies opiera łapę na moim udzie, a ja chwytam ją i potrząsam w powitalnym geście.

– Cześć! Miło cię poznać! Jak masz na imię?

Uśmiecham się na widok jego przyjaznej miny, bo szczerzy zęby, jakby też się uśmiechał.

Do sali wraca Lucas, podzwaniając kostkami lodu w metalowym kubelku.

– To jest Keith – mówi. – Powiniennem być cię uprzedzić. Mam nadzieję, że nie masz alergii.

– Cześć, Keith! Ale jesteś cudowny! – wołam, po czym zwracam się do Lucasa. – To twój pies?

– Tak.

Głaskanie Keitha jest dla mnie wielce pożądaną czynnością zastępczą, która pozwala mi ukryć zdenerwowanie.

– Keith – odzywam się po chwili, kiedy Lucas stawia przede mną szklankę coli. – Ale zabawny zbieg okoliczności. Pewien krytyk kulinarny, który występuje incognito i pisze dla „Star”, przedstawia się jako Keith...

Początkowo zamierzam pociągnąć temat i wyjaśnić, że ostatnio miałam okazję poznać pana Keitha w poprzednim miejscu pracy, ale uświadamiam sobie, jak żałosny byłby taki konwersacyjny gambit, i szybko się zamykam.

Lucas patrzy na mnie, jakbym była naiwną idiotką.

– Nie widzę w tym jakiegoś szczególnego zbiegu okoliczności, chyba że masz coś konkretnego na myśli – odpowiada. – Jestem pewien, że Keith nie odwiedza restauracji jako krytyk kulinarny incognito.

– Ha, ha, nie, chciałam tylko powiedzieć...

Milknę w pół zdania, bo niczego nie chciałam powiedzieć.

– W swoich recenzjach Keith szczególnie wychwala zalewę z puszki fasolki konserwowej serwowanej na ściereczce z mikrofibry. Chętnie wszystkiego próbuje, chociaż ma niezbyt wyrafinowany smak.

Parskam wymuszonym śmiechem, nie do końca pewna, czy sama też nie jestem obiektem żartu.

Jest to najdłuższa wypowiedź, jaka do tej pory padła z ust Lucasa. Słyszę, że ma bardziej wyszukany sposób mówienia od Devlina i jego irlandzki akcent nie jest tak wyraźny. Przychodzi mi do głowy boleśnie oczywisty wniosek – ten człowiek stał się dla mnie kimś zupełnie obcym. Owszem, całowałam się z nim dwanaście lat temu, co nie oznacza, że go znam. Już wtedy był obcy, gdyby się nad tym dobrze zastanowić.

Lucas pochyla się i głaszcze psa po głowie. Zadowolona, że nie patrzy na mnie, popijam łyk coli. Cały czas stoi i najwyraźniej nie zamierza przysiąść się do mojego stolika.

– Dev kazał ci przyjść z jakiegoś konkretnego powodu? – pyta.

O-o. Chyba jednak nie mogę liczyć na zbyt wiele. Cholera, wiedziałam.

– Zaproponował mi pracę.

– A, no tak.

– W zeszłym tygodniu stałam za barem na stypie – dodaję. – Poznaliśmy się.

– Hm, wybacz, ale nie pamiętam. Chyba nie. To był zakręcony wieczór.

No pięknie. Muszę się przedstawić Lucasowi po raz drugi. Cóż, w sumie po raz trzeci.

– Jestem Georgina – mówię i pokazuję moje różowe futerko.

Jak mógł go nie zapamiętać, myślę z irytacją. Albo udaje, że nie pamięta.

– Luke. Albo Lucas. Jak wolisz.

– Tak jak L-U-C...? Hmm, jak Jean-Luc Godard.

Och, zamknij się, Georgino...

– Nie jestem Francuzem.

Frontowe drzwi otwierają się z impetem i do pubu wchodzi Devlin, siłując się z ogromną beczką, którą na wpół toczy, na wpół dźwiga. Mogłabym przysiąc, że Lucas, podobnie jak ja, wydał ledwie słyszalne westchnienie ulgi.

– Właśnie ustaliliśmy, że nie jestem reżyserem filmowym, a mój pies nie jest krytykiem

kulinarnym – oświadcza Lucas łagodnym tonem, ale bez cienia uśmiechu.

– Teraz możemy otwierać interes i trzepać kasę. Nadal jesteś pod wrażeniem nowego wystroju?  
– pyta Devlin i puszcza beczkę, pokazując wnętrze, po czym szybko ją obejmuje, bo zaczyna się chwiać.  
– Muszę przyznać, że cieszy oko jak cholera – mówię. – Pamiętam, jak tu było wcześniej, i naprawdę dokonaliście cudu.

– Widzisz, Luke?

Devlin unosi pięść do czoła, przybierając triumfalną pozę komika Bruce’a Forsytha.

– A tobie się nie podoba? – zwracam się do Lucasa.

– Podoba, ale uważam, że można było taniej – odpowiada Lucas niezbyt entuzjastycznym tonem.

Devlin prychnął z lekceważeniem i przysuwa sobie krzesło.

– Za chwilę wszystko ci pokażę, Georgino – mówi. – Na razie będziemy pracować tylko we troje, ale dopóki nie otworzymy sali bankietowej, powinniśmy dać radę.

– Jest i sala bankietowa?

– Tak, i to całkiem spora. – Devlin sięga po leżącą na barze kartkę i podtyka mi ją pod nos.

– Staram się, żeby imprezy były zróżnicowane. Chcę pokazać, że The Wicker nie jest już tą samą zapyziałą knajpą co dawniej. Na początek coś takiego, zobacz... Dzwonili z miejscowej gazety i szukali miejsca, w którym mogliby zorganizować za darmo takie spotkanie.

Spoglądam na ulotkę:

*Podziel się swoim wstydem*

*Konkurs literacki/wieczór z mikrofonem dla każdego*

*Jesteś pisarzem, który chciałby się wybić?*

*Stań na podium i przeczytaj krótki utwór,  
w którym poruszysz temat tygodnia, luźno oparty na motywie wstydu, konsternacji i ogólnie pojętego  
zażenowania. Jak to mówią, podziel się problemem, a problem stanie się lżejszy o połowę.  
Jurorzy w trzech turach wyłonią zwycięzcę,  
który będzie mógł opublikować swoje dzieło  
na łamach „The Star”.*

*Pierwszy temat ogłosimy w przyszły piątek!*

*Pierwsza impreza odbędzie się w sobotę po Halloween!*

– Podwieczorek przy mikrofonie – obrusza się Lucas. – Pewnie jakiś chłam poetycki i faceci w czarnych koszulkach polo z eksperymentalnymi monologami komediowymi bez dowcipów. Nawiedzeni prorocy New Age mówiący, żebyś spróbował dotknąć swojego trzeciego oka.

Jest bardziej agresywny, niż go zapamiętałam.

– Nikt ci nie każe brać udziału. Znasz jakichś pisarzy? – Devlin spogląda na mnie. – Jesteś pisarką?

Miło z jego strony, że zadaje takie pytanie kobiecie w jaskrawym sztucznym futrze, której płacił za nalewanie piwa. Powinam to docenić.

– Hm, niezupełnie... znaczy... chciałabym pisać, ale nie sądzę, żeby mi się udało.

Twarz Devlina rozjaśnia tak pogodny uśmiech, że trudno go nie odwzajemnić.

– Nadajesz się idealnie! To będzie impreza dla debiutantów! Mogłabyś spróbować w godzinach pracy. Co nie, Luke? Bez problemu cię zastąpimy na pół godziny. Trzeba zachęcać pracowników, żeby zabiegali o popularność, bo dzięki temu zbliżymy się do lokalnej społeczności.

Śmieję się nerwowo. Miałabym nie tylko pisać, ale również prezentować swoje utwory na scenie? I coś nie wydaje mi się, aby Lucas McCarthy zgodził się na bezpośrednią obsługę klienta. Wyobrażałam go sobie, jak przechadza się po okolicy w skórzanym płaszczu ze sforą psów myśliwskich i lampą naftową w ręku.

– Będę przyjmował ludzi na okres próbny, ale nie zatrudnię na stałe kogoś, z kim nie będzie ci się dobrze pracowało – dodaje Devlin. – Uważam, że dobre fluidy to podstawa. Będziesz miała decydujące zdanie.

Przerywa, a gdy spogląda nad moim ramieniem, mrużąc oczy, jestem pewna ponad wszelką wątpliwość, że stojący za mną Lucas zrobił ironiczną minę.

– Chodźmy, Keith – mówi Lucas i zwraca się do brata: – Mam nadzieję, że poradzisz sobie sam z Georginą. – Zerkając w moją stronę, dodaje: – Do zobaczenia w poniedziałek.

W odpowiedzi kiwam głową. Spotkanie przebiega w bardziej przyjaznej atmosferze, niż mogłam się spodziewać. Mam przeczucie, że bracia McCarthy, mimo swobodnego zachowania i niewyszukanego ubioru, przywiązują dużą wagę do dobrych manier.

– Przyzwyczaisz się do tego zgorzkniałego gbura – pociesza mnie Devlin, kiedy za Lucasem zamykają się drzwi.

– Obaj mieszkacie nad pubem? – pytam, żeby zmienić temat, gdyż przyzwyczajanie się do zgryźliwego gbura jest zajęciem, któremu powinnam oddawać się w samotności.

– Nie, tylko Luke. Na górze jest mała kawalerka. Ja wynajmuję mieszkanie tuż za rogiem.

A więc Lucas będzie na miejscu przez większość czasu.

– Masz jakiś pomysł, o czym będziesz pisać? – Devlin wskazuje głową ulotkę. – Ma być o wstydliwych sprawach. Miałbym problem, bo nie zrobiłem w życiu nic, czego mógłbym się wstydzić.

Szczerzy zęby w uśmiechu, a ja ciężko przelękam ślinę.

– No, ja w sumie też.





Kiedy dziecko widzi, że ojciec i matka są ze sobą nieszczęśliwi, stara się nauczyć żyć tak, żeby unikać problemów. Nie mówi o tym otwarcie ani nie oczekuje, że cokolwiek się zmieni – tak jakby jego dom rodzinny stał w ślepych zaułku albo miał zbyt niskie stopy. Bez szemrania akceptuje swój los.

Dokuczało mi to jedynie wtedy, gdy odwiedzałam jakąś koleżankę, a jej rodzice przyjaźnie wyrażali rozbieżne zdania. Bez tryskania jadłem i podnoszenia głosu. Jednak można, myślałam zdziwiona.

Jako mała dziewczynka towarzyszyłam ojcu w jego sobotnich wypadach, nawet tych najbardziej prozaicznych – chodziliśmy po marketach budowlanych, odwiedzaliśmy jego kolegę Grahama, szukaliśmy płyt z jazzem w sklepach muzycznych, oglądaliśmy mecze i jedliśmy rybę z frytkami na kolację. Nigdy się nie nudziłam. Zgłaszałam się na ochotnika do tych wyjść – z początku ojciec namawiał Esther, ale dała mu do zrozumienia, że nie widzi nic urzekającego w takim spędzaniu czasu i woli zajmować się swoimi sprawami.

Uwielbiałam patrzeć na świat przez okno samochodu, kroczyć w podskokach obok taty, trzymającego mnie za rękę, albo majtać nogami, siedząc na wysokim krześle. W sklepach przymilały się do mnie ekspedientki i kasjerki. Nie lubiłam ubierać się jak typowa dziewczynka; wołałam nosić spodnie i koszulki z superbohaterami, co jeszcze bardziej rozczulało wszystkich dookoła.

Nie pamiętam, co zapoczątkowało tę tradycję, ale zdarzało się czasami, że kiedy ojciec kończył, co miał akurat do zrobienia, pytał mnie:

– Dokąd teraz, kapitanie?

Te słowa oznaczały rozrywkę. Mogłam wybrać wszystko, na co miałam ochotę, byle tylko nie przekroczyć granic miasta i ustalonego budżetu. To było niesłychanie ekscytujące. Można sobie wyobrazić, jak się czuje dziecko, któremu wolno rządzić przez całe popołudnie.

– Pudding czekoladowy... w pucharku?

Szliśmy do kawiarni w centrum handlowym, gdzie pałaszowałam olbrzymią porcję musu, z którego sterczał wafelek w kształcie wachlarza, podczas gdy ojciec popijał herbatę.

– Film przygodowy. O lataniu.

Miejscowe kino, *Batman* i paczka draży czekoladowych.

– Poślizgałabym się.

Jeździłam w nieskończoność po lodowisku, niepewnie zachowując pion, a wypożyczone łyżwy były zasznurowane tak mocno, że wrzynały mi się w stopy. Tymczasem ojciec czytał gazetę.

Potem nadszedł krępujący okres przejściowy, kiedy zaczęłam wyrastać z naszych wspólnych sobotnich wypadów. Wtedy wielokrotnie ojciec stał w holu, podzwaniając kluczami, i pytał, przekrzykując głośną muzykę w moim pokoju.

– Georgino, idziesz czy nie?!

– Przecież wiesz, że nie pójdziesz z tobą do sklepu ogrodniczego! – odkrzykiwała matka.

Czułam się zbyt dorosła, aby tak spędzać czas, a zarazem zbyt młoda, by z niego zrezygnować, więc w końcu dostosowaliśmy się do siebie – wybierałam się z ojcem do miasta na zakupy, a gdy obydwójce załatwiliśmy już swoje sprawy, szliśmy na latte i macchiato z kawałkami gąbczastego ciasta polanego kolorowym lukrem.

Gdy miałam piętnaście lat, pewnego razu wpadłam na inny pomysł. Była zima, więc około piątej zrobiło się już ciemno. Mama i Esther chodziły po sklepach.

– Możemy iść na curry? – spytałam.

Mama nie znosiła ostrych przypraw, więc tylko raz spróbowałam jedzenia na wynos z indyjskiego baru. Ojciec nie wahał się ani chwili.

– Jest sobota, więc ty rządzisz – odparł.

Nic nie daje takiego poczucia swobody jak dorosły, który zgadza się zaspokoić kaprys nastolatki. Mama zawsze znajdowała pięć powodów, żeby warknąć:

– Może innym razem.

Ojciec mnie rozumiał, a ja rozumiałam jego.

Poszliśmy do baru przy ulicy Glossop, którego już nie ma. Ojciec założył okulary i z miną znawcy zaczął studiować menu, deliberując nad wyborem słynnych dań i dodatków – ryżu, pieczywa i jogurtu.

Chociaż dziś potrafię docenić wystrój wytwornej indyjskiej restauracji, w której mogę sączyć koktajl lassi i podziwiać gustowne kompozycje na talerzu, gdzie nad moją głową obraca się wentylator w stylu kolonialnym, to tak naprawdę marzę o neonowym szyldzie nad drzwiami, dźwiękach sitaru, ścianach pokrytych wzorzystą tapetą, skwierczącym jedzeniu na balti i gorącym ręczniku podawanym szczypcami. To moje proustowskie bodźce.

Kiedy wpychałam kawałki papada w przegródki obrotowej tacy ze słodkim chutneyem z mango i limonkami marynowanymi w oliwie na ostro, już wiedziałam, że zawsze będę wielbicielką tej kuchni.

Tato właśnie kończył przemowę o czekających mnie rozkoszach podniebienia, kiedy nabiorę wprawy i zacznę kosztować bardziej wymyślnych potraw.

– Ale przecież ty nie jadasz takich rzeczy – powiedziałam, przeżuwając kawałki kurczaka tikka masala.

– Bo mama za nimi nie przepada.

– A tobie ich nie brakuje?

Ojciec się uśmiechnął.

– Małżeństwo jest sztuką kompromisu. Kiedyś zrozumiesz.

– Nie wyjdę za kogoś, kto nie lubi curry. Nie ma mowy.

Mama zazwyczaj tolerowała nasze eskapady i nie widziała w nich nic zdrożnego, ale pamiętam, że kiedy wróciliśmy do domu tamtego wieczoru, pieniła się ze złości.

Że ojciec jej nie uprzedził i że będzie musiała wyrzucić potrawkę z kalafiora w sosie serowym. Na dodatek nasze ubrania śmierdziały i nadawały się do prania. I dlaczego nie zabraliśmy ze sobą Esther? W ogóle dlaczego nie chcieliśmy zjeść normalnej kolacji w rodzinnym gronie? Ile to kosztowało?

Z początku próbowałam ją udobruchać, ale kiedy moje starania spełzły na niczym, czmychnęłam na górę, pozostawiając rodziców samym sobie.

Esther miała wtedy ferie i przyjechała do domu ze szkoły w Yorku, gdzie zaliczyła pierwszy semestr. Jak zdążyłam się zorientować, obracała się w bardziej wytwornym towarzystwie i wstydziła swoich korzeni.

– Dlaczego to robisz? – zapytała, wpadając do mojego pokoju.

– Co robię?

– Siejesz niezgodę między nimi. Możesz owinąć sobie tatę wokół palca i naciągnąć go na wszystko, ale czy naprawdę tak trudno było się domyślić, że matka się wścieknie, jeśli pójdziecie do baru? A potem się ulatniasz i zostawiasz ich wrzeszczących na siebie.

– Nie miałam pojęcia, że mama o niczym nie wie.

– Skąd miała wiedzieć, skoro jej nie powiedzieliście. Ojciec nigdy nie używa telefonu, który przy sobie nosi. Nawet go nie włącza.

Esther miała rację. I jeśli mam być szczerą, wiedziałam, że mama nie wie. Wiedziałam również, że stanęłaby okoniem, i dlatego jej nie powiedziałam. Ale nie mogłam przyznać racji siostrze, gdy była na mnie taka wściekła, bo tylko pogorszyłabym swoją sytuację. Byłabym jak antylopa, która kładzie się przed lwem, zachęcając go, żeby zatopił kły w jej tętnicy szyjnej.

W naszej dysfunkcyjnej rodzinie obowiązywały niepisane zasady – ojciec i matka zawsze mogli wziąć się za łby, a my odgrywałyśmy rolę mediatorów i łagodziłyśmy konflikty.

– Dlaczego niby ja miałam jej powiedzieć? – spytałam.

Tylko dlatego, że była to jedyna forma obrony, jaka mi przyszła do głowy, bez zastanowienia się. Dopiero po latach, z pomocą Fay, mogłam wszystko spokojnie przemyśleć.

– Dlatego! – Esther z furią wymierzyła palec w podłogę, skąd dobiegały odgłosy kłótni.  
– Siedziałam w domu cały wieczór, jadłam obrzydliwego, zimnego kalafiora i patrzyłam, jak matka wychodzi z siebie, podczas gdy ty świetnie się bawiłaś. A teraz zrobiło się jeszcze gorzej. Jesteś pierdoloną egoistką, George!

Wyszła, trzaskając drzwiami, a ja położyłam się na łóżku i zaczęłam wsłuchiwać w krzyki na dole. Głos matki przenikał przez cienki strop.

– Ona nie jest zabawką, która ma ci zapewniać rozrywkę. Powinna się zadawać z rówieśnikami.

– Cieszę się, że Georgina chce spędzać ze mną czas. To nie będzie trwało wiecznie.

– Skoro miałaś ochotę na curry, dlaczego nie wzięłaś ze sobą Grahama albo innego kumpla?

– To ona zaproponowała!

– Żeby ci sprawić przyjemność. Wciąż tylko próbuje ci się przypodobać, a ty jej na to pozwalasz, bo jesteś egoistą.

Tak nie było, ale już dawno zdążyłam się przekonać, że kiedy matka wykorzystuje mnie przeciwko ojcu, nie powinnam jej zaprzeczać, bo to nigdy nie kończy się dobrze. Ojciec i ja byliśmy egoistami. Tak orzekły matka i Esther.

Z perspektywy czasu uświadamiam sobie, że nawet zanim matka wkroczyła na scenę, nasza wycieczka na ulicę Glossop miała w sobie wyraźną nutę melancholii. Ojciec i ja byliśmy spięci. Ten nieuchronnie zbliżający się dzień, w którym opuszczę dom rodzinny, majaczył na horyzoncie i przepelniał nas niepokojem. Czuliśmy smutek.

Wisiało nad nami widmo tęsknoty, ale równie przygnębiający był sam fakt, że ojciec zostanie sam z matką. Ja i moja siostra tworzyłyśmy między nimi strefę buforową; mieszkali z nami pod jednym dachem i nie byliśmy im obojętne. Ale wkrótce obie miałyśmy zejść z posterunku. Zastanawiałyśmy się, jak będą funkcjonować, kiedy nas zabraknie. Każde z nich szukało sprzymierzeńców w swoich dzieciach. Bez nas czekała ich bezustanna wojna domowa.

Ale potem nastąpił niespodziewany zwrot akcji i okazało się, że wskutek niedrożności trzech naczynń wieńcowych to ojciec jako pierwszy opuścił nasz dom.

Oto, czego nauczyło mnie życie: nie zamartwiaj się tym, co spędza ci sen z powiek. Zawsze istnieje prawdopodobieństwo, że twój problem okaże się nieistotny, gdy niespodziewanie przysłoni go coś tysiąc razy gorszego.

Podsumowując – uwielbiam curry, a potrawka z kalafiora w sosie serowym nie wzbudza we mnie żadnych emocji.

Czekam, aż kelner postawi przed nami cztery zroszone szklanki zimnego piwa, wszyscy uniesiemy je jak do toastu i upijemy po łyku.

– Czy gdybym wróciła do Robina, zaprosilibyście mnie dzisiaj na kolację? – pytam. Chcę się upewnić.

Rav udaje odruch wymiotny, a Jo, zdziwiona, głośno wciąga powietrze.

– Lepiej się upewnij, czy masz rozum, jeśli wybaczyłaś temu parszywemu bydlakowi – odzywa się Clem.

– Obiecał, że się zmieni – odpowiadam, spuszczać wzrok jak księżna Diana. – Przespał się z Lou tylko dlatego, że przerażał go ogrom uczuć, jakie do mnie żywi. Sam wpadł we własną pułapkę. Odmawia sobie prawa do szczęścia, dopuszczając się... profanacji.

– Powiedz, że to nieprawda, albo zaraz się porzygam – mówi Clem beznamiętnym tonem.

– Chcę mu pomóc stać się lepszym człowiekiem – dodaję, patrząc na trzy twarze wykrzywione grymasem niesmaku.

– Dlaczego? – pyta Clem. – Nie mogłabyś sobie wybrać jakiegoś łatwiej osiągalnego celu?

– Wierzę, że naprawdę chce się zmienić.

Doskonale się bawię, wkręcając ich, chociaż zaskakuje mnie, jak łatwo zdołałam przekonać moich przyjaciół, że jestem skończoną idiotką. Czuję gorycz pyrusowego zwycięstwa.

– No cóż, R. Kelly wierzył, że może latać.

Zapada milczenie i cała trójka przygląda mi się z niepokojem.

– Poszło ci całkiem nieźle – stwierdza Rav. – Ale za bardzo lubisz curry, żeby popsuć wszystkim apetyt.

– Przejrzałeś mnie!

Wybucham śmiechem, a reszta towarzystwa cmoka z dezaprobatą i robi nadąsane miny. Jesteśmy w Crookes w restauracji Rajput. To balsam dla duszy.

– Zamawiamy papady? – pyta Rav.

– Koniecznie – przytakuję z entuzjazmem. – Nie zostawię ani okruszka.

Clem wydyma usta.

– Za bardzo po nich rośnie tyłek – wtrąca.

– To ich nie jedz.

– Jak nie jeść, kiedy będą na stole?

Clem, która wystroiła się dzisiaj w białe kozaczki i króciutką sukienkę bez rękawów ze swojego butiku, zawsze ściśle kontroluje swoje posiłki, żeby utrzymać sylwetkę zagłodzonej nastolatki. Jest tak nawiedzona, że gdy kiedyś zobaczyła ulotkę na temat objawów raka, zawierającą wzmiankę o „niewyjaśnionym spadku masy ciała”, nie mogła się powstrzymać od komentarza, że jej też by się coś takiego przydało, czym naraziła się na moralizującą tyradę z naszej strony.

Ilekoć ktoś rzuca uwagę, że dieta nie jest jej potrzebna, Clem odpowiada z żarliwym fanatyzmem:

– Tylko dlatego, że jestem na diecie.

Wolałabym jedynie, żeby nie ulegała swojej obsesji w obecności Jo, która ma obfity biust i nie znosi swojej figury. Jo wiecznie toczy wojnę ze swoim metabolizmem, jedząc paskudne dietetyczne kolacje, które przywodzą na myśl przepisy publikowane w „Pani Domu” w latach siedemdziesiątych – buraczki konserwowe z odrobiną twarożku i posiekaną w paski czerwoną papryką. Niestety jest tak zbudowana, że nigdy nie skoryguje sylwetki, żywiąc się twarożkiem, a bezowocne męczarnie przyjaciółki napełniają mnie smutkiem. Wszyscy podejrzewamy, że Bałamutny Phil, na którego punkcie ma fioła, znacząco przyczynił się do przekonania dziewczyny, że czegoś jej brakuje. Lub raczej że ma czegoś za dużo...

Jemy przystawki, a Rav zabawia nas wstrząsającymi opowieściami o swoich ostatnich randkach.

– Otóż jej mistrz tarota powiedział, że czeka ją spotkanie z mrocznym i burzliwym duchem, który potem zniknie, aby szybko powrócić.

– Jej mistrz tarota? – pytam.

– Tak, zachowywała się jak najprawdziwsza czarownica. Powiedziałem, że brzmi, jakby miała zwymiotować rumem. I się ulotniłem.

Gdy na stół wjeżdżają dania główne, Rav i ja przekazujemy przyjaciółkom najświeższe wieści o That's Amore, a potem czytamy całą recenzję Grega Withersa.

– Ty to masz głowę do takich rzeczy – mówi Jo, kiedy cichną salwy śmiechu.

Wyłączam komórkę i chowam ją z powrotem do torebki.

– Dzięki. Gdyby tylko Tripadvisor płacił za każdą łapkę w górę, Greg Withers byłby bogaty.

– Zgadza się – przyznaje Rav, zanurzając kawałek pszennego roti w dalu z soczewicy. – Masz poczucie humoru, dobry styl i gawędziarskie zacięcie. A do tego doświadczenie w branży gastronomicznej. Mogłabyś jakoś połączyć jedno z drugim.

Zaraz... Podziel się swoim wstydem?

– Sądzę, że całkiem nieźle mi wychodzi opowiadanie cudzych historii – trajkoczę, a w głowie zaczynają mi się kłębić myśli. – Robin kiedyś powiedział, że mam zadatki na komika, ale brakuje mi dyscypliny.

– Gadanie – odzywa się Clem, która w imponującym tempie pochłania pasandę z jagnięciny. Pewnie jutro, w ramach pokuty, będzie się żywić keczupem, dietetyczną colą i papierosami mentolowymi. – Jaką dyscypliną on się wykazał?

– Powtarzał, że tylko mówię, że chcę pisać, i wysławiam się jak pisarka, ale nigdy nie piszę. W sumie miał rację.

Siedząca przy sąsiednim stoliku para młodych ludzi przywołuje kelnera. Wyczuwam, że facet, który nie wygląda na więcej niż dwadzieścia pięć lat, próbuje zaimponować swojej partnerce, która ma na sobie długie, zaczesane do tyłu włosy i bardzo krótką sukienkę z lycry.

– Niczego takiego nie zamawialiśmy... Co pan tu przynosi? Mam nadzieję, że nie będzie to doliczone do rachunku.

Kelner się kaja, tymczasem facet nadal płonie świętym oburzeniem. Ech, znam ten typ. Zwraca się taki do obsługi jak sułtan do niewolnika.

– Gość wyłożyłby się na teście kelnera – mówię półgłosem.

Jo zerka na mnie zaciekawiona.

– Jakim teście?

– Mówi się, że nie należy ufać komuś, kto jest opryskliwy wobec kelnera – wyjaśniam. – Albo kelnerki.

– Brzmi nieźle – wtrąca Rav. – Oszczędziłbym wiele czasu, wykorzystując ten test.

– Nigdy nie słyszeliście? – pytam.

Wszyscy troje kręcą głowami.

– To jedna z fundamentalnych prawd życiowych. Chodzi o to, żeby nie zadawać się z kimś, kto ma węża w kieszeni, nie daje napiwków albo udaje, że zapomniał portfela, kiedy przychodzi do płacenia. Jest udowodnione naukowo, że ktoś taki nie może być dobrym człowiekiem. W łatwy sposób możesz dowiedzieć się o nim wszystkiego.

– A jeśli ktoś naprawdę zapomni portfela? – pyta Jo, która zawsze kieruje się obiektywizmem i jest życzliwa z natury. – Każdemu może się zdarzyć.

– Owszem, ale kiedy zapomnisz portfela, starasz się jak najszybciej rozliczyć z osobą, która za ciebie zapłaciła, prawda?

– Oczywiście.

– To zabawne, ale ci, co często zapominają, nie zaprzatają sobie pamięci takimi drobiazgami.

Dochodzę do wniosku, że chyba zbyt łatwo się poddaję, dlatego że moje życie wydaje mi się nudne. Na przykład ten konkurs literacki. Myślę, że jednak miałabym coś do powiedzenia.

– Obserwuję coś intrygującego, ilekroć mam do czynienia z pacjentami, którzy są okropni – wtrąca Rav. – Czy raczej powinienem powiedzieć, tymi, którzy okropnie się zachowują. Otóż kiedy przyznają się do swoich wad, zazwyczaj upatrują winy w tym, że inni ludzie pozwalają im na takie zachowanie. Rozumują jak dzieci, którym dorośli muszą wyznaczać granice moralne, na zasadzie „Jeżeli wiesz, że lubię słodycze i zostawiasz otwarty słoik z ciastkami, to czego się spodziewają?”. Nie bardzo potrafią brać na siebie odpowiedzialność.

– A jeżeli zjem ciastko i wezmę za to odpowiedzialność? – pytam niepewnie. – Wtedy też jestem okropna?

– Nieee... – odpowiada Rav. – Aczkolwiek przypuszczam, że to zależy od wielkości i smaku ciastka. I czy notorycznie podjadasz. No i oczywiście od tego, kto miałby cię za to rozgrzeszyć.

– Nie ogarniam – odzywa się Clem.

Ja też nie bardzo, myślę.

Godzinę później, gdy indyjskie smaki przepełniają mnie zniewalającą błogością, a spienione piwo dodaje mi pewności siebie, zbieram się na odwagę i opowiadam o mojej nowej pracy w The Wicker.

– Jo, a wiesz, że chodziliśmy do szkoły z jednym z braci, do których należy ten pub? – rzucam niby od niechcienia. – Pamiętasz Lucasa McCarthy’ego, nie?

Nawet kiedy wypowiadam jego imię i nazwisko, czuję się, jakbym popełniała jakieś wykroczenie. Wydaje mi się, że już sama modulacja głosu mnie zdradza. Jakby wypowiedzenie ich ciążyło bardziej niż inne słowa.

Jo marszczy czoło w zamyśleniu.

– Lucasa McCarthy’ego?

Odwracam wzrok, skupiając się na wyimaginowanej plamce gęstego sosu curry, którą próbuję zetrzeć serwetką z nogawki dżinsów.

– No wiesz, na angielskim w ostatniej klasie...

– Lucas McCarthy – powtarza Jo. – Nic mi to nie mówi.

– Ciemne włosy, Irlandczyk. Raz siedziałam z nim w ławce, kiedy pisaliśmy wypracowanie o *Wichrowych Wzgórzach* i pani Pemberton kazała nam się pozamieniać miejscami.

Teraz pokazuję wszystkie karty, jakie mogę odsłonić w tej rozgrywce. Jeśli te podpowiedzi nie wystarczą, przyjaciółka będzie zdana wyłącznie na siebie.

– A, rzeczywiście, pamiętam! – krzyczy Jo. – Musiałam wtedy siedzieć z tym kujonem Seanem.

– No właśnie...

Spoglądam na nią wyczekująco.

– Ale Lucasa sobie nie przypominam. – Jo kręci głową. – A on cię pamiętał?

Cieszę się, że wstęp mam już za sobą. Nie chcę przestawać o nim mówić. Boże, ratuj, znowu mi odbija.

– W zasadzie sama nie wiem.

Wyjaśniam, że chociaż Lucas podczas stypy nie rozpoznał we mnie koleżanki ze szkoły, a dziś z kolei nie pamiętał mnie ze stypy, fakt ten ma również swoje plusy.

– Przedstawiłam mu się już dwa razy. Sama dobrze go pamiętam z dawnych lat. Muszę być bardzo niepozorna, skoro tak łatwo mnie zapomnieć.

Nagle przerywam swoją paplaninę, przekonana, że zdradziło mnie drżenie głosu i wypieki na twarzy.

– Wcale nie tak łatwo cię zapomnieć. Jesteś jak słodki cherubinek – mówi Jo z tkliwością w głosie, choć jej słowa brzmią staroświecko.

Ma zadatki na wspaniałą matkę, ale na razie musi jej wystarczyć, że jest moją najserdeczniejszą przyjaciółką.

– Coś mi tu nie gra – odzywa się Rav, który właśnie dopija drugie piwo.

Gwałtownie unoszę głowę.

– To znaczy?

– Jak mógł nie wiedzieć, kim jesteś, skoro tydzień wcześniej sprzeciwiał się twojemu zatrudnieniu? Zdecydowanie wystarczy, aby stwierdzić, że zapadłaś mu w pamięć, nawet jeżeli nie kojarzył cię ze szkoły.

– A może... po prostu zapomniał o sprzeczce z bratem? – sugeruję.

– Nawet jeśli, to twój widok powinien odświeżyć mu pamięć – odpowiada Rav. – Nie był wstawiony na stypie?

– Nie, nie sądzę. Wydawał się trzeźwy. Zarzucał Devlinowi, że jest pijany, ale sam wydawał się być w pełni władz umysłowych.

– Według mnie facet się zreflektował i próbował zatrzeć przykre wrażenie, zachowując się, jakby nic się nie stało.

Czyli jednak Lucas udawał, że mnie nie zna? Dwa razy? Jeżeli tak, to jest znakomitym aktorem. To wytłumaczenie w ogóle nie trafia mi do przekonania, ale tak bardzo łechce moją próżność, że ciągnę ten wątek.

– Ale dlaczego miałby udawać, że mnie nie poznaje? – pytam.

– Żeby zrobić na tobie wrażenie. Taka obojętna postawa pozwala mu zachować przewagę. Swoją drogą, dlaczego nie chciał, żebyś u nich pracowała?

– Powiedział, że mnie nie znają, a ich pub to nie Hooters, żeby zatrudniali pierwszą lepszą blondynkę, która wpadnie w oko jego bratu.

– Ha, ha, więc się boi, że braciszek mógłby cię bzyknąć – wtrąca Clem z chichotem.

– O nie, Devlin jest żonaty i nie wygląda na niewiernego męża. I nie mówię tego ot tak. Nie dał mi najmniejszego powodu, bym mogła pomyśleć, że na mnie leci, a podczas stypy nie odstępował żony na krok.

– A zatem jeśli Lucas postrzeżę cię jako pokusę, musi obawiać się o siebie – stwierdza Rav.

Serce zaczyna mi bić szybciej. Wszystkie te chybione wnioski mają się nijak do rzeczywistości, ale są muzyką dla moich uszu.

- Nie przypominam sobie, aby mówił, że jestem pociągająca. To było bardziej... powierzchowne.
- A jednak coś musiało go podjarać – mówi Clem. – Nikt nie wymaga trzech rozmów kwalifikacyjnych i prezentacji w PowerPoincie od kandydatki na barmankę. Cały jego opór to ściema. Czy ten Lucas jest atrakcyjny?
- Mmmm... – odpowiadam wymijająco, kiwając głową i marszcząc nos, co ma oznaczać potwierdzenie, zaprzeczenie i niezdecydowanie zarazem.
- Dla przedstawicieli płci przeciwnej jesteś uroczą i niewinną duszyczką, możesz mi wierzyć, Georgino. Jo, chyba nie chcesz zostawiać tego kawałka kurczaka? No dalej, wsuwaj. – Rav kręci głową i dodaje: – Właśnie tak nasza przyjaciółka trafiła w szpony Robina McNee.
- Wybucham śmiechem.
- Daj spokój. Związek z Robinem był pomyłką, ale chyba nie jestem aż tak podatna na męskie podstępny, co?
- Miałem na myśli nie tyle twój zdrowy rozsądek, ile skromność. Nie żebym upraszczał, George, ale na pierwszy rzut oka było widać, że Robin do pięt ci nie dorasta.
- Naprawdę?
- Tak. Razem wyglądaliście jak Kopciuszek i szczur zamieniony w stangreta.



W nocy mam koszmarne sen.

Znajduję się w obskurnej średniowiecznej wiosce, a rozwrzeszczony tłum strzela do mnie z łuku. Strzały przelatują z przenikliwym świstem niebezpiecznie blisko mojej twarzy i wbijają się w deskę, do której jestem przywiązana. Jestem przerażona, bo wiem, że lada chwila może mnie przeszyć ostry grot, i w końcu budzę się z krzykiem.

Kiedy już całkiem przytomnieję, uświadamiam sobie, że strzały tylko mi się przyśniły, ale ich odgłosy nie. Opieram się na łokciach i nasłuchuję. Rozlega się kolejne głuchoe pacnięcie. Jakby coś uderzyło w okno. Wygrzebuję się z pościeli, otwieram okno i wychylam najdalej, jak mogę. Po przeciwnej stronie ulicy stoi mężczyzna z kędzierzawą czupryną i osłania oczy dłonią, jakby patrzył prosto w słońce. Chwileczkę, czy to jest...?

– Robin? – wołam.

Jego twarz bieleje w mroku, kiedy spogląda w moją stronę.

Wtedy rozlega się kobiecy głos:

– Co ty, kurwa, sobie wyobrażasz, parszywy zasańcu?

O nie. Karen też się obudziła. Zajmuje pokój bezpośrednio przede mną i musiała spać przy otwartym oknie.

– Dwie Roszpunki w cenie jednej! – Robin szczyrzy zęby w uśmiechu, a potem wydaje krótki okrzyk, gwałtownie odskakując. Mimo to trafia go kilka niewielkich przedmiotów, którymi ciska w niego Karen.

– Co ty? Au! Au... Przestań... Co robisz?

– Co, nie podoba się? Wynocha stąd, bo wezwę policję.

– Chciałem tylko porozmawiać z Georginą!

– Georgino... – Dobiegający z dołu głos mojej współlokatorki dźwięczy złowieszczo. – Znasz tego wariata? Omal nie wybił mi okna.

– Tak – odpowiadam. – Chociaż wolałabym nie znać.

– Poświęć mi pięć minut. – Robin przykładła dłoń do piersi. – Tylko pięć minut, obiecuję. Albo zacznę śpiewać. Jaką sobie życzysz serenadę? Może The Smiths? Georgino, Georgino, nic się nie stało... Auć! To naprawdę boli, wiesz?

Patrzy z oburzeniem na Karen, jakby był najbardziej pokrzywdzony. Cały Robin ze swoim wrodzonym poczuciem wyższości.

– To dopiero początek, zasańcu – warczy moja współlokatorka. – Mam jeszcze kilka puszek cukierków, które dostałam za darmo, więc mi nie zależy.

– Ale mnie zależy, gniewna damo, która mieszkasz pod Georginą.

– Schodzę! – wołam. – Pięć minut i ani chwili dłużej.

Nie czekając, aż Karen dorzuci coś od siebie, zamykam okno, zbiegam po schodach i wychodzę na zewnątrz tylnymi drzwiami. Robin niespecjalnie się spieszy, więc domyślam się, że wciąż stoi po drugiej stronie domu i toczy burzliwą dyskusję z Karen. Świetnie, znowu ja oberwę za jego zachowanie.

W końcu mój były wyłania się zza rogu, ścierając plamy mlecznej czekolady ze swojej granatowej kurtki z kraciastą podszewką. Cuchnie zapachem pubu, który nie zdążył jeszcze zwietrzeć w rześkim, nocnym powietrzu. Gdy wchodzi do kuchni zamaszystym krokiem, nie mam wątpliwości, że jest dumny ze swojego występu i pewnie planuje, jak wykorzystać go na scenie. I pomyśleć, że do niedawna jego wygłupy robiły na mnie wrażenie.



– Czego chcesz? – pytam, krzyżując ręce na piersi, bo nagle uświadamiam sobie, że pod pizamą nie mam stanika. Jestem oburzona jego niespodziewanym najściem.

– Chciałem porozmawiać, ale nie odbierasz telefonu, co sprawia mi przykrość, jeśli mam być szczerzy.

Ten facet jest jedyny w swoim rodzaju.

– Więc uznałeś, że w tej sytuacji najlepszym rozwiązaniem będzie chuligański wybryk o pierwszej w nocy. Rzucając w okno kamieniami, obudziłeś przy okazji moją współlokatorkę.

– Uch! – Robin krzywi się z niesmakiem. – Jezus by nie chciał, żeby została jego promyczkiem. Ona wygląda jak Angela Merkel.

Przeszywam go wściekłym spojrzeniem i syczę, przykładając palec do ust.

– Chciałem zrobić coś romantycznego i zaskakującego – wyjaśnia Robin. – Coś, czego oczekuje się od mężczyzn. Żeby ci pokazać, że jestem mężczyzną twojego życia.

Nigdy nie werbalizowałam takich oczekiwań, więc przypuszczam, że albo traktuje mnie protekcyjnie, albo uważa powstrzymywanie się od seksu z kim popadnie za niedościgły ideał godny bohaterów powieści dla pensjonarek.

– Czego chcesz? – powtarzam.

Konkretne do bólu pytanie osłabia irytująco sztuczny i na wpół ironiczny ton, jaki Robin chce narzucić naszej rozmowie. Nie zdziwiłabym się, gdyby właśnie testował na mnie swój nowy numer.

– Chcę, żebyś mi dała drugą szansę.

– Nie ma mowy. Czemu w ogóle ci zależy? Co się stało z facetem, który twierdził, że „monogamia to nie jego bajka”?

– No właśnie! – wykrzykuje Robin z zapalem, a ja znów go uciszam w obawie przed kolejną interwencją Karen. – Oto, do czego zmierzam: to nie byłem ja. Nie byłem sobą i wydawało mi się, że wiesz... A potem zacząłem się zastanawiać, dlaczego tak się dzieje. Jesteś taka niesamowita, błyskotliwa i pociągająca. Potrafisz mnie rozbawić. Potrafimy dowcipnie dyskutować! Poza tym, sama rozumiesz, niedługo stuknie mi czterdziestka, na litość boską.

– No chyba się rozplączę. Brakuje ci już energii na łóżkowe zabawy z jedzeniem.

Robin patrzy na mnie z wyrazem twarzy, który, jak przypuszczam, w jego mniemaniu ma wyrażać głęboką i dojmującą tęsknotę.

– Chociaż spróbujmy – mówi. – Na twoich warunkach. Jestem cały twój.

Jezu... Jemu naprawdę się wydaje, że chwyciłam pana Boga za nogi, zyskując szansę na ujarzmienie Robina McNee. Z trudem udaje mi się zamaskować grymas odrazy.

– Nakryłam cię w łóżku z inną kobietą – odpowiadam. – Nie potrafię przejść nad tym do porządku dziennego. To koniec. Przykro mi, ale nic na to nie poradzę. Posuwanie panienek na boku zwykle działa odstręczająco na takie skostniałe nudziary jak ja, i to w nieodwracalny sposób. A teraz idę spać, więc wyjdź z mojego domu.

Robin kręci głową.

– Myślisz, że bardziej mi zależy na Lou? O to chodzi? Że niby jest lepsza? Mężczyźni inaczej podchodzą do seksu.

– Nie słuchasz, co do ciebie mówię. Wynoś się.

– Pod tym względem całkowicie różnimy się od siebie.

– Proszę!

Puszczają mi nerwy, chociaż wiem, że nie powinnam dać się sprowokować.

– Po prostu tacy jesteśmy i już! Jak te mrówki, które badają naukowcy. Zamieniają się w zombie, kiedy jakiś pasożytniczy grzyb przejmuje kontrolę nad ich komórkami. Mózg takiej mrówki pozostaje na swoim miejscu, ale jest opętany przez grzyba. Podobnie działa męskie libido. Zdajemy sobie sprawę, że nie powinniśmy mu ulegać, a mimo to, nawet jeśli darzymy kogoś głębokim uczuciem, to kiedy nadarza się okazja do uprawiania seksu... W dziewięciu przypadkach na dziesięć ulegamy. – Robin wzrusza ramionami. – Zamieniamy się w zombie.

– Naprawdę chcesz powiedzieć, że twój skok w bok był wynikiem opętania? Testujesz na mnie nowy show?

– Nie! – Robin teatralnym gestem odgarnia ręką włosy z czoła. Drugą zawadza o toster, chcąc się oprzeć o blat kuchenny. – Jeśli masz penisa i wykonujesz pracę, w której spotykasz mnóstwo chętnych kobiet, to tak, jakbyś siedział na narowistym koniu. Nie ma litości.

– A myślisz, że kobiety nie mają takich potrzeb i nie stają przed koniecznością wyboru?

– Owszem, mają, ale ich potrzeby nie są aż tak silne. Dlatego jest im łatwiej zachować zdrowy rozsądek. Dotyczy to także Lou, która nie miała pojęcia, jak się możesz poczuć. Powiedziała, że nie poszłaby ze mną do łóżka, gdyby wiedziała.

– No nie. Naprawdę? Cóż za szlachetność – parskam z ironią. – Kobiety powinny cię powstrzymać. To nie twoja wina, że słoje z ciastkami jest otwarty.

– Co takiego?

– Jakkolwiek fascynująca jest ta antropologiczna gadka o marsjańskim pochodzeniu mężczyzn, nadal nie wiem, po co mi to wszystko mówisz. Nie ma sensu. Ile razy mam ci powtarzać, że z nami koniec?

– Posłuchaj, może nie dałem po sobie poznać, ale naprawdę szaleję na twoim punkcie, Georgino Horspail – wyznaje uroczyście Robin, przy okazji przekręcając moje nazwisko.

Z wysiłkiem zachowuję kamienną minę, bo nie liczę, że się zreflektuje i naprawi swój błąd. Myślę, że przyjaciele docenią ten lapsus jako ozdobę kolekcji drogocennych wspomnień o Robinie.

– Nic mnie nie obchodzisz. A teraz idę spać, więc gdybyś był tak miły... – Bezceremonialnie wypycham nieproszonego gościa za drzwi. – Żegnam i dzięki za dobre słowo.

Robin po kilku krokach przystaje i odwraca się, w zamyśleniu przykładając palec do ust. Columbo stosował tę sztuczkę, żeby wziąć z zaskoczenia podejrzanego, który myślał, że przesłuchanie już się skończyło, i tracił koncentrację.

Uświadamiam sobie, że Robin zaplanował każdy szczegół tego przedstawienia – rzucanie kamieniami w okno, historyjkę o mrówkach opętanych przez grzyby i ten improwizowany monolog na odchodnym. Czyli musiał się spodziewać, że go odepchnę.

– Georgino, wiem, że popełniłem błąd, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że mój niegodny postępek był dla ciebie tylko pretekstem do rozstania. Jakbyś znalazła otwarte drzwi, kiedy szarpałaś za klamki w poszukiwaniu wyjścia.

– Znalazłam raczej dźwignię katapulty, zważywszy na okoliczności, w jakich cię zastałam – odpowiadam. – No i co z tego?

– Czyli zanim to się stało, naprawdę byłaś we mnie zakochana i zależało ci na poważnym związku?

Ach, więc do tego zmierza. Skoro jest mi na tyle obojętny, że nie chcę do niego wrócić, to jego zdrada nie powinna mnie boleć. Czyli w sumie nie zrobił nic złego.

Jestem zbyt zmęczona i skołowana – nie tylko przebudzeniem w środku nocy, ale też całokształtem: spędziłam pół roku z kimś, kogo nie potrafię zrozumieć, kto nie budzi we mnie sympatii i ani trochę mnie nie kręci; do tego moja rodzina i Lucas. Nie chce mi się rozkminiać, czy ustępstwo dla świętego spokoju jest dobrym pomysłem, skoro byłoby na korzyść Robina. Chcę jedynie, żeby sobie poszedł i nie wracał. Poza tym duma nie pozwala mi zniżyć się do jego poziomu i zdradzić, co do niego czułam. Potraktowałby taką odpowiedź jako przyzwolenie i dalej by mnie nękał.

Wzruszam ramionami.

– Nie, niespecjalnie, jak się okazuje.

– W takim razie mój wyskok nie miał dla ciebie znaczenia, tak? – upewnia się Robin.

– Teraz już nie ma.

Zatrząskuję drzwi i przekręcam zamek.



Twoim prawdziwym problemem nigdy nie jest to, czym najbardziej się przejmujesz, co ma pozytywną stronę – czasami przejmujesz się bez powodu.

Mój pierwszy dzień w The Wicker mija bez zakłóceń, a Lucas prawie wcale się nie pokazuje. Mimo to jestem spięta i przez cały czas rozglądam się niespokojnie. Z taką determinacją pragnę zadać kłam jego uprzedzeniom, że zachowuję się jak wzorowa pracownica – jestem sumienna, małowówna, robotna i trzeba mi przypominać, żebym zrobiła sobie przerwę. Wprawiam w zakłopotanie Devlina, który zauważa, że nie jestem już tak wyluzowana jak na stypie, i próbuje mnie rozweselać. W końcu zdaję sobie sprawę, że Lucas nie patrzy mi na ręce. Co więcej, wcale nie zwraca na mnie uwagi. Moje występy nie mają widowni, w każdym razie takiej, na jaką liczyłam.

Przez kilka kolejnych dni Lucas siedzi na zapleczu, a Devlin i ja obsługujemy gości, którzy napływają najpierw nieprzerwanym strumieniem, a potem wezbraną falą. To trudny okres, w którym pozbywamy się starych, niepożądanych klientów, uświadamiając ich, że pub nie jest już taki jak dawniej. Przed wejściem wisi napis „Nowy zarząd”.

A jednak los nie sprzyja mi w nieskończoność. W pewnej chwili odkrywam, że w Halloween – jak przystało na dzień, w którym świętuje się narodziny Szatana – będę pracowała z Lucasem, ponieważ druga połowa zarządu będzie przebywała w tym czasie za granicą. I to dłużej niż w zwyczajny Halloween, bo w tym roku przypada w piątek.

– Wiem, że to kłopotliwe jak cholera, ale muszę wracać w rodzinne strony, bo dziecko mi się rozchorowało – wyjaśnia Devlin. – Nie mogę dłużej zostawić mojej żony bez pomocy.

– Twoja rodzina nie mieszka z tobą w Sheffield?

– Ha, ha, nie, nic podobnego! Mo by tego nie zniosła. Mamy dwójkę dzieci, syn ma cztery lata, a córka cztery miesiące. Nie mówiłem ci? Poza tym prowadzimy tu z bratem jeszcze kilka innych lokali. Zamierzamy rozkręcić interes i kiedy zaczną pręźnie działać, wyprowadzimy się i będziemy nadzorowali wszystko zdalnie. Chociaż nie wiem, jakie plany ma Luke po tym wszystkim, co się wydarzyło. Zwłaszcza że nie wrzeszcza mu w domu bachory jak mnie.

Po tym wszystkim, co się wydarzyło? Nie pytam, co miał na myśli, mimo że zżera mnie ciekawość. Nie chcę być wścibska. Albo raczej nie chcę wyjść na kogoś, kto wtyka nos w nie swoje sprawy. Lucas mógłby jeszcze mi zarzucić, że o nim plotkuję.

Obawiałam się, że podczas naszego pierwszego wspólnego dnia pracy Lucas będzie sterczał mi nad głową i bacznie obserwował każdy mój ruch – bądź co bądź nie chciał, żebym dostała tę fuchę.

Jednak również tym razem okazało się, że jest wręcz odwrotnie. Lucas tylko sporadycznie zerka w moją stronę, pozostawiając mi całkowitą swobodę. Pilnuje się nieustannie, żeby nie wchodzić mi w drogę, jakbyśmy byli dwójką tancerzy solistów na parkiecie.

Czuję lekki zawód. Jednak unikanie mnie przez cały wieczór może stanowić dla niego niejaką trudność.

– Szykujemy coś specjalnego na Halloween? – pytam, kiedy zabieramy się do pracy.

– Nie, nic nadzwyczajnego, standardowe dekoracje. Duszki z waty nad barem, pająki w doniczkach, okolicznościowe stroje i *Thriller* z głośników. Przygotuję kilka waz ponczu z gumowymi robakami, a Keith będzie nosił diabelskie rogi.

Lucas wskazuje leżącego w koszyku Keitha, który robi wielką furorę jako Oficjalny Pies Barowy. „I jest coraz grubszy od dokarmiana orzeszkami – zauważa jego pan. – Weterynarz zmyje mi głowę”.

Otwieram usta ze zdumienia.

– Okolicznościowe stroje?

– Za kogo będziesz przebrana? – Lucas omiata wzrokiem moje czarne dzinsy i czarny podkoszulek, sprawiając, że czuję się wreszcie dostrzeżona, ale mam ochotę na więcej. – Dam ci garnitur Beetlejuice’a. Mogłabyś postawić sobie włosy na sztorc i trochę posypać je talkiem.

Nie cierpię takich wygłupów. I to na jego oczach? Będę się czuła jak skończona idiotka.

– Chciałbym, żebyś występowała w tym stroju przez cały wieczór – dodaje Lucas. – Umiesz naśladować głos Beetlejuice’a?

Na jego twarzy pojawia się lekki uśmiech i wreszcie się domyślam, że mnie wkręca. Wpadłabym na to wcześniej, ale w jego obecności jestem za bardzo spięta. Oddycham z ulgą.

– Ty szelmo!

Po raz pierwszy w życiu widzę, jak Lucas się uśmiecha. Nie sądziłam, że w ogóle jest do tego zdolny. Wygląda zdecydowanie lepiej.

– Nabrałeś mnie.

– Nie będziemy robić żadnych dekoracji, nawet wydrążonej dyni. Szczerze mówiąc, wystrój nie ma znaczenia, bo działamy dopiero od kilku dni i ciężko wyczuć, czy będziemy mieli duży ruch.

Przez pierwszą godzinę lub dwie wcale się na to nie zanoszą, ale potem zaczyna przybywać ludzi. Początkowo Lucas zostawia mnie samą za barem, ale około ósmej wieczorem robi się taki tłok, że już nie daję sobie rady bez jego pomocy. Oprócz sporadycznych „Przepraszam” i „Nie, ty pierwsza” wypowiedzianych półgłosem, kiedy sięgamy jednocześnie po tę samą butelkę, nie mamy okazji do rozmów.

W pewnym momencie, kiedy się schylam, tylna część mojego ciała wchodzi w bliski kontakt z jakąś twardą przeszkodą. Obracam głowę i widzę, że zderzyłam się z Lucasem. Jestem pulchniejsza niż w czasach, gdy się obściskiwaliśmy, i czuję się jak gruba matrona. Lucas z miejsca się oddala z upokarzającym zapalem.

Potem nastaje chwila spokoju, kiedy jesteśmy zmuszeni znaleźć jakiś temat do rozmowy. Problem polega na tym, że mam zbyt wiele w pamięci. Może z perspektywy Lucasa jest inaczej. W rezultacie chwile, które powinny być przyjemne albo przynajmniej neutralne, są nie do zniesienia.

– Pewnie te podróże do Irlandii i z powrotem stanowią dla Devlina duży problem – mówię. – Nie wiedziałam, że jego rodzina tam mieszka. Musi być mu ciężko.

– Niecała godzina w samolocie, to niezbyt męczące. Mieszka w centrum Dublina, więc dojazd też nie jest kłopotliwy.

– Jednak jeśli twoje dziecko jest chore, chcesz być przy nim jak najszybciej.

– W czym problem, skoro jest przy nim?

– Hm, no tak. Chciałam jedynie wyrazić współczucie – odpowiadam, nie mogąc dłużej zapanować nad irytacją.

Lucas to zauważa, bo robi głęboki wdech i przyjmuje bardziej łagodne nastawienie.

– Nie chciałem być opryskliwy. Widzisz, między braćmi różnie bywa. Dev jest impulsywny i podejmuje nieprzemyślane decyzje, a ja zazwyczaj muszę po nim sprzątać. Byłem zdania, że ze względu na jego zobowiązania rodzinne powinniśmy się wstrzymać z rozbudową naszego imperium w Yorkshire. Ale przekonywał, że pójdzie nam gładko, bo znamy miasto z czasów szkolnych. Powiedział, że powinniśmy zmienić otoczenie. Dublin jest wspaniały, ale robi się ciasny, kiedy człowiek mieszka tam tak długo jak my.

Jego słowa brzmią trochę złowieszczo. Czyżby rozwścieczeni wierzyciele? Wzgardzone kobiety?

– Ale Devlin zaczął przeginać i ostatnio trochę za często wystawia moją cierpliwość na próbę. Atmosfera zrobiła się napięta.

Mówi o mnie! To ja jestem tym przegięciem. Przeze mnie popsuła się atmosfera.

– Ach, rozumiem. Nie wiedziałam.

– Nie szkodzi – odpowiada Lucas. – Skąd miałaś wiedzieć?

Odnoszę wrażenie, że stara się nadać swoim słowom pojednawczy ton, ale niepotrzebnie, bo w ogóle nie żywię do niego urazy.

Krzętałem się nerwowo, ustawiając i poprawiając słomki w pojemnikach na barze. Nie zanoszę się,

abyśmy prędko skończyli pracę.

– Nie żebym miał coś przeciwko, że Dev jest teraz z Oscarem – dodaje Lucas. – Po prostu nie jestem w nastroju do rozczulania się nad jego losem.

Kiwam głową.

– Twój brat ma dwoje dzieci, tak?

– Oscara i Niamh.

Grupa kilkunastu dziewcząt wchodzi do środka, kładąc kres rozmowie, która nie sprawiała przyjemności żadnemu z nas. Wystrojone w anielskie skrzydła, krótkie spódniczki i bawełniane koszulki z napisem „Wieczór paniński Bec” zajmują przestronny boks pod oknem, rozrzucając swoje rekwizyty i akcesoria z zuchwałą wyniosłością gangsterów, którzy wchodzi na swój prywatny jacht.

– Jaką przyjmujemy taktykę w przypadku wieczorów kawalerskich i panińskich? – mamrocze półgłosem.

Jedna z kobiet piszczy z zachwytu, gdy jej koleżanka wyjmuje z torebki naręcze opasek na głowę z antenkami w kształcie penisów i rozdaje je z namaszczeniem, jakby wręczała statuetki na gali Oscarów. Penisy tkwią osadzone w kępkach jaskrawoczerwonego futerka i kołyszają się, połyskując brokatem. Ludzie są naprawdę dziwni.

– Jeszcze nie mamy taktyki, ale czuję, że dzisiaj to się zmieni.

– Dziwne, że urządzają taką imprezę właśnie tutaj.

Lucas spogląda na mnie z posępną miną.

– Nie wiesz dlaczego? – pyta.

– Nie.

– Prawdopodobnie odmówili im we wszystkich innych lokalach.

Zgodnie z obowiązującą w branży gastronomicznej regułą najbardziej hojni klienci sprawiają najwięcej problemów. Wydaje się sprawiedliwe – trzeba się napracować, żeby zarobić, aczkolwiek udział w tym drugim ma jedynie właściciel lokalu.

Druga niezmienna zasada głosi, że im więcej osób siedzi przy stoliku, tym mniejsze dają napiwki. Ma to coś wspólnego z rozproszeniem poczucia odpowiedzialności, jak twierdzi Rav.

A zatem Bec oraz jej przyjaciółki napełniają kasę The Wicker za sprawą swojego nieugaszonego pragnienia, jednak dla mnie to marna pociecha, kiedy muszę zaspokajać ich kaprysy i słuchać pohukiwania na przemian z gderaniem. Szybko wypracowuję sobie system działania – gdy jedna z nich pstryka palcami i pokazuje pustą butelkę tkwiącą do góry dnem w kubelku z lodem, sprzątam ze stolika, biorąc od nich przy okazji kartę płatniczą, a po chwili przynoszę ją z powrotem razem z nową butelką prosecco i wydrukiem z terminala.

– Zastąpię cię – mówi Lucas przy piątej kolejce. – Masz pełne ręce roboty.

Podchodzi do ich stolika i kilka kobiet zaczyna go obłapiać. Wodzą dłońmi po jego udach i całkiem zgrabnym tyłku opiętym dżinsami. Widzę to świetnie zza baru, nawet gdybym nie chciała. O rany! Nie wiem, co dzieje się z przodu, ale nie sądzę, aby Bec i jej przyjaciółki zbyt się hamowały. Lucas McCarthy wygląda, jakby wpadł w objęcia hinduskiej bogini albo skoczył w sam środek tłumu pod sceną na koncercie. Wreszcie uwalnia się z niemałym trudem i odchodzi przy akompaniamencie gwizdów i niewybrednych komentarzy. Czuję się nieco zażenowana – obmacywanie i wulgarne zaczepki są obrzydliwe zarówno w wykonaniu mężczyzn, jak i kobiet. Lucas padł ofiarą najzwyczajszego molestowania.

– Pójdę do nich następnym razem – mówię.

– Dzięki, daję radę – odpowiada Lucas, jednak oschły ton jego głosu nie wyraża ani odrobiny wdzięczności.

W ogóle nie potrafię go rozgryźć. Potrafi być na przemian zdystansowany i figlarny, odpychająco złośliwy i uprzejmy, wyniosły i uczynny. Jest to zachowanie typowe dla ludzi obdarzonych urodą. W każdym razie do takiego wniosku dochodzę, kiedy obserwuję go kątem oka i widzę, jak patrzą na niego inne kobiety.

Mężczyzna, który wygląda jak Lucas McCarthy, nie jest traktowany w standardowy sposób. Podlega innym regułom. Kobiety stają na głowie, żeby pojąć złożoność jego charakteru i przeniknąć

mroczne nastroje. Jeśli mężczyzna ma takie brwi i szczękę, czarne jak smoła włosy i spojrzenie tak głębokie, że można w nim utonąć, nikt go nie będzie postrzegał jako pospolitego mruka. Jego nadąsana mina staje się „posępnym obliczem wyrażającym głęboką zadumę”.

Nikt nie pomyśli: „Co ugryzło tego marudnego dupka?”.

Tylko: „Och! O czym on tak rozmyśla?”.

A jednak Lucas McCarthy nie powinien zapominać, co powiedziała pani Pemberton – żadna piękna buźka nie będzie wiecznie młoda.

A może jako odludek, który przez lata żył poza szkolną społecznością, niezauważany przez nikogo, wyhodował w sobie tak głęboką urazę, że teraz sieje spustoszenie wśród płci pięknej, nie kryjąc pogardy, kiedy dokonuje podboju.

Uśmiecham się, wyobrażając go sobie na okładce jakiegoś taniego romansidła – rozchelstana koszula i męskie ramiona, które trzymają w obezwładniającym uścisku rozkapryszoną hardą pannicę. I tytuł: *Naręczona irlandzkiego oberżysty*.

Szkoda, że przez te wszystkie lata stał się chłodny i surowy, ale być może zawsze taki był, tylko ja tego nie dostrzegałam.

\*\*\*

Kiedy wieczór prawie dobiega końca, Lucas oświadcza, że zostawia mnie samą na pół godziny, żeby odprowadzić Keitha do znajomych. Tłumaczy mi dlaczego, wdając się w szczegóły, które uważam za zbędne, bo w końcu to on jest szefem. Zaczynam się zastanawiać, czy nie zmyślił całej tej historii, żeby się wykręcić od mojego towarzystwa.

– Wybacz, że cię opuszczam. Wiem, że to nie w porządku – mówi. – Właśnie dlatego, w przeciwieństwie do Devlina, nie uważam mniejszej ilości pracowników za rozsądną strategię.

Kręcę głową.

– Nie przejmuj się, idź.

Mimo wszystko nie jestem do końca pewna, czy kieruje nim autentyczna troska o mnie, czy tylko korzysta z okazji, żeby skrytykować brata. Gdy pomyślę, że miałabym pracować z Esther, przechodzą mnie ciarki.

– A co do tego girlsbandu. – Lucas wskazuje głową w stronę boks, gdzie odbywa się wieczór paniński. – Dopóki nie przeszkadzają innym gościom, możesz je obsługiwać, choć nie mogę pojąć, jakim cudem jeszcze trzymają się na nogach. Która to już butelka prosecco? Dziewiąta?

Początki nie były łatwe, ale nabieram przekonania, że z czasem mogę go polubić jako swojego szefa. Wprawdzie Lucas nie przymila się do mnie, jakby chciał zostać moim serdecznym przyjacielem, ale cenię sobie ten chłodny profesjonalizm. Ilekroć ktoś w *That's Amore* zachowywał się jak mój przyjaciel, to albo próbował mi wsadzić łapę w majtki, albo chciał, żebym wzięła za niego zmianę w święta.

Około dziesiątej, chwilę po wyjściu Lucasa drzwi otwierają się gwałtownie jak w westernowym saloonie i do środka wpada powiew lodowatego powietrza, a z nim mężczyzna w halloweenowym kostiumie z górnej półki. Ma blond perukę z warkoczem i plastikową zbroję, a jego plecy okrywa czerwona peleryna. Unosi wielki piankowy młot i przemawia podniosłym tonem:

– Przybywam po Becky!

O Boże.

Towarzystwo pod oknem zaczyna pisać z podniecenia i wojownik rusza w jego kierunku.

– Ty jesteś Becky? – grzmi tubalnym głosem.

– Tak, tak, to ja!

Siedząca w głębi boks kobieta w welonie przyczepionym do opaski na włosy podnosi się niezdarnie i wymachuje rękami.

– Cześć, Becky! Jestem Thor. Podoba ci się mój młot?

Becky z takim entuzjazmem okazuje, jak bardzo podoba jej się młot, że omal się nie zapowietrza. Tymczasem Thor stawia na stoliku przenośny głośnik, który miał ukryty pod peleryną, i w sali rozlegają się dźwięki *Unleash the Dragon* Sisco.

O Boże, nie! Striptizer?

Mężczyzna zaczyna kołysać młotem z boku na bok.

– Pewnie znacie serial *Ragnarok*. A chcecie zobaczyć, jakiego olbrzymiego węża ma Thor?



Salę wypełnia ogłuszający pisk, a wśród pozostałych gości następuje wyraźny podział – jedni odstawiają szklanki i obserwują widowisko, a inni też odstawiają szklanki, ale po to, żeby wstać i wyjść. Ci drudzy prawdopodobnie już nigdy tu nie wrócą. Że też musiało się to zdarzyć właśnie teraz, kiedy The Wicker buduje swoją reputację. Co za katastrofa.

Muszę interweniować, choćby we własnym interesie – nie będę miała tu czego szukać, jeśli Lucas wróci i zobaczy, że przyglądam się beczynnemu, podczas gdy jakiś typ wyciąga przyrodzenie. Już słyszę, jak mówi do Devlina:

– Pamiętasz, jak ci powiedziałem, że ta panienka nadaje się do Hooters? Wystarczyło, że zostawiłem ją na chwilę samą, a po lokalu paradował gość z fiutem na wierzchu.

W uszach dźwięczą mi słowa Esther:

– Żebym tylko potem nie usłyszała jednej z twoich zabawnych historyjek, w których cały świat to jeden wielki burdel, a ty jesteś chodzącą niewinnością. Nie chcę żadnych afer i żadnych usprawiedliwień.

Właśnie teraz dochodzi do takiej sytuacji.

Thor zdejmuje pelerynę i wywija nią nad głową niczym matador drażniący byka.

– Przepraszam! – mówię, wychodząc zza baru.

Thor obraca się do mnie i zamiast powitania wykonuje pchnięcie biodrami, przykładając rozchylone palce do krocza. Czuję się idiotycznie, jakbym nagle opuściła zaciszny park i trafiła do Vegas na występ Magic Mike’a XXL.

– Przepraszam! Nie możesz tego tutaj robić.

– Pozdrawiamy ostatnią dziewicę na ziemi!

– Nie żartuję, musisz przestać – odpowiadam poważnie. – Wyłączam muzykę.

Ruszam w stronę stolika, ale Thor przerzuca mi nad głową swoją pelerynę, która opasuje mój tułów jak lasso.

– Puść mnie! – protestuję. – Posłuchaj, naprawdę nie możesz...

Jednym mocnym szarpnięciem Thor przyciąga mnie do siebie. Przywieram do jego zbroi z rękami przyciśniętymi do tułowia, a on kołysze biodrami, ocierając się o mój tyłek.

– Puszczaj!

Wiem, że mnie nie posłucha, bo uwięziona barmanka wprowadza fantazyjny element improwizacji do jego występu. I nagle zakłopotanie, jakie ogarnęło mnie w tej niezręcznej sytuacji, ustępuje miejsca przerażeniu. Dobrze znam to uczucie, które we mnie wzbiera; rozpoznaję je jak odwiecznego wroga. Taki sam atak paniki sprawił, że pod koniec pierwszego roku studiów uciekłam spod drzwi sali egzaminacyjnej i już nigdy nie wróciłam na uczelnię.

Tak samo jak wtedy, tracę kontrolę nad sytuacją i zaczyna brakować mi powietrza...

Im bardziej się miotam, tym śmieszniejsze wydają się striptizerowi zmagania ze mną, a moje desperackie wysiłki i tak nie przynoszą efektów. Ogarnięta klaustrofobią wpadam w histerię. Facet nie reaguje na moje słowa i ani myśli przestać. Szamoczę się i pojękuję, aż wreszcie mój prześladowca rozluźnia chwyt na sekundę albo dwie, co jednak wystarcza, abym wyswobodziła prawą rękę. Biorę zamach i z całej siły uderzam go łokciem w twarz. Nie mam pojęcia, jak to się robi – nigdy się z nikim nie biłam – więc muszę polegać na instynkcie. Thor puszcza pelerynę, a ja lecę do przodu i upadam na podłogę z upokarzającym hukiem.

– Co ty, kurwa, zrobiłaś? – krzyczy striptizer.



Nie stara się już ukryć akcentu z Sheffield. Z nosa cieknie mu krew. Chwyta mnie za ramiona i podnosi do pozycji siedzącej. Przez chwilę myślę, że pomaga mi wstać, ale jego gest okazuje się przejawem agresji. Łapię powietrze płytkimi haustami i cała dygocę nabuzowana adrenaliną. Thor wbija palce w moje ciało i widzę, jak wzbiera w nim napięcie. Ewidentnie ma ochotę mi oddać, ale zdaje sobie sprawę, że takie posunięcie oznaczałoby koniec jego kariery.

– Puść ją! – słyszę głos dobiegający od strony drzwi.

Nareszcie pomoc. Dzięki Bogu. Chociaż... O nie, to Lucas. Mój wybawca z Keithem u boku energicznym krokiem przecina salę, odpycha Thora i podaje mi rękę.

– Nic ci nie jest? – pyta, stawiając mnie na nogi.

Bełkoczę w odpowiedzi, że wszystko ze mną w porządku. Nie chcę, żeby pomyślał, że nie poradziłabym sobie bez niego.

– Do cholery z nią. Lepiej zobacz, co mi zrobiła – jęczy striptizer.

Ma przekrzywioną perukę, a jego dłoń, którą prezentuje jako dowód oskarżenia, jest cała we krwi. Wygląda okropnie. Nie wiedziałam, że potrafię tak mocno przywalić.

– Co tu robisz? – pyta go Lucas.

– Jestem animatorem imprez okolicznościowych. Nie wiedziałem, że zatrudniacie tutaj taką wariatkę.

– W tym lokalu nie można organizować imprez bez uzgodnienia z kierownictwem, a że nie byłeś łaskaw tego zrobić, więc się wynoś.

Kobiety w boksie pod oknem obserwują całe zajście z nietypowym dla siebie spokojem i tylko wydają stłumione pomruki niedowierzania, wytrzeszczając oczy ze zdumienia. Thor zabiera swój piankowy młot, przenośny głośnik i porzuca na podłodze pelerynę. Z zakrwawioną twarzą wygląda jak zombie oderwany od posiłku – zaskakująco trafnie jak na Halloween.

– To jeszcze nie koniec – syczy, wskazując na swój rozkwaszony nos, kiedy przechodzi obok mnie. – Bobby nie zapomina.

Lucas chwyta go pod rękę i prowadzi do wyjścia, po czym bezceremonialnie wypycha na ulicę.

– Nadęty goguś! – rzuca mu Thor na pożegnanie. – Jeszcze zobaczymy, kto się będzie śmiał ostatni.

Kobiety z boksu pod oknem postanawiają pójść w jego ślady.

– Zepsułaś Becky wieczór panieński, ty suko – warczy z wyrzutem jedna z nich.

Wzdrygam się i nie wiem, co odpowiedzieć. Przychodzi mi na myśl tylko jeden argument:

– Inaczej by mnie nie puścił... – mówię płaczącym tonem.

Czy już jestem zwolniona? Boże, nie pozwól, żebym znowu wyleciała z pracy.

Lucas pochyla się nad kontuarem i pociąga za sznurek dzwonka, żeby obwieścić zamknięcie baru. Potem zdecydowanym ruchem chwyta mnie za rękę. Nie mam siły się opierać i nie protestuję, kiedy prowadzi mnie do kuchni i sadza na krzesło. Keith, który chłptał wodę z miski w kacie, podbiega do mnie. Przynajmniej on cieszy się na mój widok i nadstawia grzbiet do głaskania. Czy Lucas nie miał zostawić go u znajomych? Teraz już nie mam wątpliwości, że tylko ściemniał.

Kiedy po minucie wraca, niosąc pękata koniakówkę wypełnioną brunatnym płynem, siedzę na podłodze i trzymam Keitha w objęciach. Puszczam go zawstydzona, jakbym robiła coś niestosownego.

– Wypij sobie – rzuca zdawkowo Lucas. – Ja wszystko ogarnę.

Nigdy nie przepadałam za brandy, ale upijam odrobinę i czuję, jak drętwieją mi usta. Słyszę dobiegające z sali stłumione rozmowy i brzęk kasy. W końcu Lucas dołącza do mnie, ostrożnie zamykając za sobą drzwi.

– Jak się czujesz?

– Dobrze – odpowiadam. – Przepraszam, nie wiem, co we mnie wstąpiło. Powiedziałam mu, że nie może tu się rozbierać, a wtedy on zaczął mnie obłapiać i nie wytrzymałam... dałam mu w mordę. Strasznie mi głupio, bo na co dzień nie biję ludzi.

– Daj spokój. – Lucas patrzy na mnie zaskoczony. – To ja powinienem się kajać za moją głupotę, bo zostawiłem cię samą. W poniedziałek zacznę nabór, żeby przyjąć jeszcze kogoś, i mam gdzieś, co na to Dev.

– Dziękuję.

– Nie ma sprawy.

Lucas krzyżuje ręce na piersi. Jego postawa jest pojednawcza, ale nie do końca przyjazna.

– Thor jest nordyckim bogiem – odzywam się po chwili milczenia. – Rości sobie prawo do każdej kobiety, która wpadnie mu w oko. Gdybym tylko wzięła to pod uwagę...

Lucas uśmiecha się i kręci głową w geście uznania dla mojego poczucia humoru, ale jednocześnie daje mi do zrozumienia, że nie powinnam obracać w żart całego incydentu.

– Przepraszam, że nie wróciłem wcześniej – mówi.

– Nic nie szkodzi.

– Wezwę ci taksówkę. Domyślam się, że chcesz już wracać do domu.

Otwieram usta, żeby powiedzieć coś, co pozwoliłoby w pełni wykorzystać tę chwilę i zbliżyć się do niego, ale nie potrafię się przełamać. Unoszę kieliszek do ust w nadziei, że Remy Martin wyzwoli we mnie dawkę adrenaliny, która pozwoliłaby mi udźwignąć ten ciężar, a wtedy zdobyłabym się na odwagę.

Kiedy idę do wyjścia, Lucas ściera krew z podłogi. Taksówka już na mnie czeka i słyszę dobiegający z ulicy stłumiony warkot silnika.

– Lucas... – zaczynam, chociaż wiem, że to czyste szaleństwo, ale jeśli nie zdobędę się teraz, stracę jedyną szansę, bo taka niezwykła chwila, kiedy obydwójce jesteśmy mniej ostrożni niż zwykle, może już się nie powtórzyć. Z biegiem czasu będzie mi coraz trudniej zdobyć się na taki krok, a nie mogę dłużej żyć w niepewności. – Zastanawiałam się, czy nie chodziliśmy razem do szkoły. W ostatniej klasie liceum...

Wstrzymuję oddech i ciężko przełykam ślinę. Lucas przygląda mi się przez chwilę. Potem, zamyślony, machinalnie zanurza mopa w wiadrze z wodą.

– Chyba tak, rzeczywiście. Wydawało mi się, że skądś cię znam, ale nie chciałem o tym mówić na wypadek, gdybym coś pomieszał.

Kulę się w sobie i natychmiast zaczynam żałować, że poruszyłam ten temat. Każde słowo, które pada z jego ust w ciągu najbliższych trzydziestu sekund, rozdziera moje serce na strzępy. Przez tyle lat zastanawiałam się, jak będą brzmiały, a on rzuca je tak niedbale.

– Czy my...? Czy byliśmy...? – Lucas waha się i chrząka skrzepowany. – Nie wiem, jak to ująć w... hm, elegancki sposób. Moje wspomnienia z okresu między osiemnastym a dwudziestym trzecim rokiem życia są co najmniej mgliste.

Pyta mnie, czy *to* ze sobą robiliśmy? Czuję się, jakby serce wypadło mi z klatki piersiowej, przebiło podłogę i odpłynęło w głąb miejskiej kanalizacji. No i wszystko jasne... On nawet nie pamięta, czy byliśmy ze sobą. Jakby chodziło o coś pozbawionego znaczenia. Przecież nie chodzi o prowadzenie rejestru. Rav twierdzi, że jestem skromna. Wygląda na to, że mam po temu wiele powodów.

Z początku nic nie mówię. Nie potrafię nawet się zmusić, by odwzajemnić jego uśmiech. Wyraz udręczenia przywarł do mojej twarzy jak maska.

– Prawie wcale nie rozmawialiśmy – odzywam się w końcu oschłym tonem.

– A! – odpowiada Lucas z wyraźną ulgą i widzę, jak jego ramiona się rozluźniają. – Nie byłem pewien... No cóż, młodość, co?

Patrzy na mnie zakłopotany, jakby liczył na jakąś reakcję.

– Dobranoc – mówię i odwracam się w stronę wyjścia.

W drodze powrotnej do Crookes łązy ciekną mi po policzkach i dopiero kiedy jestem w domu, udaje mi się nad nimi zapanować. Zapewne Fay powiedziała mi, że mam powód do radości, skoro potrafię się wyplakać. Ale Fay nie miała okazji się przekonać, jak to jest, kiedy człowiek, który był miłością jej życia, całkowicie wyrzucił ją z pamięci.

– Nie masz pewności, że był miłością twojego życia – powiedziała mi kiedyś z dobrotliwym uśmiechem. – Ile masz lat? Minęło sporo czasu.

– Katy i Heathcliff mieli pewność, chociaż byli dziećmi. Chociaż wiem, że to porównanie jest trochę naciągane.

– No i zobacz, jak skończyli. Obydwójce umarli.

– Zazwyczaj każdy tak kończy – odparłam, a Fay zakończyła naszą sesję.



Przynajmniej pozbyłam się złudzeń.

Siedzę w gorącej kąpeli, obejmując kolana. Nad moją głową suszy się babcina bielizna Karen, rozwieszona niczym rzędy chorągiewek. A mnie oblepia czarna smoła melancholii. Minęła noc, a ja wciąż czuję, jakby cały świat stanął na głowie.

Nie chcę być ordynarna, ale jeżeli ktoś nie pamięta nawet, czy dotykał strategicznymi częściami swojego ciała moich w akcie intymnego zbliżenia – który swoją drogą miał być moim pierwszym – nie może być miłością mojego życia.

Chyba że udaje zanik pamięci, chociaż doskonale wie, kim jestem. Marna pociecha, bo niby czemu miałabym wdychać do kogoś, kto za wszelką cenę unika rozmowy o tym, co nas kiedyś łączyło? No i żaden z niego Rudolf Valentino.

Nie mam pojęcia, dlaczego jest mi tak trudno się z tym pogodzić. Miałam dwanaście lat na oswojenie się z myślą, że nic nie znaczę dla Lucasa McCarthy'ego.

Nie, to nie może być prawda. I wiem, dlaczego jestem o tym tak głęboko przekonana. Bo chociaż Lucas nie wszedł w moje ciało, zagościł na dobre w mojej głowie. A moje cierpienie nie bierze się z faktu, że wyrósł na atrakcyjnego mężczyznę. Nie jestem aż tak płytka. To nie jego uśmiech sprawia, że moje serce nadal topnieje, gdy na niego patrzę. Nic z tych rzeczy. Zakochałam się w nim, kiedy był szczupłym, bladym i nieśmiałym nerdem w koszulce The Cure, na którego nikt nie zwracał uwagi.

Tak trudno jest mi zaakceptować, że jestem dla niego nieważna, ponieważ w nic tak mocno nie wierzyłam, jak w tamtą młodzieńczą miłość. To był gwałtowny poryw i nigdy nie miałam wątpliwości co do mojego uczucia.

Jeżeli Lucas nie czuł podobnie, jeżeli tak bardzo się myliłam, licząc na jego wzajemność, już nigdy nie będę w stanie uwierzyć we własny osąd. Skoro wtedy nie zadurzyliśmy się w sobie, to co właściwie się stało, do jasnej cholery?

Leżę w wannie i patrzę na wystające z wanny, pomalowane czerwonym lakierem paznokcie u stóp.

Moje odkrycie ostatecznie przepełniło czarę egzystencjalnej goryczy, która zaczęła niebezpiecznie wzbierać, kiedy stuknęła mi trzydziestka. Wcześniej wyobrażałam sobie, że jestem gąsienicą i pewnego dnia przeistoczę się w pięknego motyla. Dziewczyna w różowej kurtce, z rozmazanym makijażem i widocznymi odrostami, która wraca nocnym autobusem po morderczej harówce, trzymając w ręku paczkę frytek z resztkami panierki; dziewczyna, którą klienci w Rogues pytali, czy ma sztuczne cycki – nie była tą, którą zamierzałam się stać. To miał być jedynie prolog. Wcześniej czy później superbohaterka Georgina Horspool miała wkroczyć z przytupem do akcji i ukazać swój wspaniały potencjał.

Teraz powoli tracę nadzieję na taki rozwój wypadków. Na początku rozdziału, w którym wszystko bierze w łeb, oczyma wyobraźni widzę to posępne zdanie spotykane w nekrologach: Niestety nie było jej dane...

Spotkanie z Lucasem jest brutalnym potwierdzeniem tych słów. Okazało się, że moje wyobrażenia zupełnie nie przystają do rzeczywistości. Nadal tkwię w punkcie wyjścia.

Opieram nogę na brzegu wanny, podkurczam palce, napinając stopę, i przesuвам ostrzem maszynki do golenia wzdłuż łydki, upewniając się, że nie zostawiłam nigdzie żadnego włoska.

Jestem seryjną monogamistką. Moje związki zazwyczaj wypalały się miarowo, zamiast eksplodować, więc nigdy nie przejawiałam zbytniego zainteresowania poradami Clem w kwestii relacji

damsko-męskich. Ale teraz, wynurzając się z letniej wody, przypominam sobie jej procedury postępowania, mające przynieść ukojenie zranionym uczuciom.

– Musisz okazać sobie dużo serca – mówiła Clem. – Nie ma lepszego podejścia, zwłaszcza kiedy facet spuści cię po brzytwie.

Według niej kiedy adorator nie zaprosi cię na drugą randkę, kiedy odkryjesz, że jesteś dla niego jedną z siedmiu opcji, kiedy nie dzwoni i nie odpisuje, chociaż dostajesz raporty dostarczenia esemesów, a twoje wiadomości na WhatsAppie i Facebooku mają status *przeczytane*, nie użalaj się nad sobą. Twoja reakcja powinna stanowić przeciwieństwo czarnej rozpacz.

Clem zaleca, aby dogadzać sobie na wszelkie możliwe sposoby. Postaw sobie margaritę, obejrzyj dobry film, wybierz się na długi spacer. Kup sobie jakiś drobiazg, który sprawi ci przyjemność. Zamów coś smacznego na wynos. Załóż satynową pościel i rozciągnij się całkiem naga na łóżku jak rozgwiezda.

– To coś w rodzaju agresywnego hygge. Delektuj się tym, jaka jesteś wspaniała i jak dobrze ci jest ze sobą. Nie daj sobie narzucić nienawiści do samej siebie, którą sący w nas to chore społeczeństwo.

Nie dysponuję zbyt dużym budżetem, ale jeszcze mnie stać, żeby zakręcić na wałki fryzurę durnej blondynki, nałożyć maseczkę na twarz i pójść na żelowy manicure do salonu dwie przecznice dalej; a potem kupić sobie loda – Magnum słony karmel – i ozdobne wydanie *Wichrowych Wzgórz*, aby je znowu przeczytać. Muszę się przekonać, czy tym razem ta metoda zadziała.

I tak robię.

Daję Jammy'emu żółtą paprykę, za którą szaleje, przyrządzam sobie gorącą czekoladę i siadam przy oknie, skąd mogę obserwować, jak zapada szary zimowy wieczór i zapalają się uliczne latarnie. Wybierając łyżeczką resztę pianki z dna kubka, postanawiam znowu odwiedzić Fay. Muszę jej opowiedzieć o niespodziewanym spotkaniu z Lucasem. I chcę od niej usłyszeć, że chociaż mam złamane serce, doświadczyłam czegoś w rodzaju katharsis. Chcę z nią pogadać, bo nie mogę się zwierzyć nikomu innemu. Ale właściwie dlaczego?

Zastanawiam się, co czuje terapeuta, kiedy wraca do niego dawny pacjent i jest w takiej samej rozsypce jak kiedyś. Pewnie tak, jak fryzjer, który latami przycina komuś włosy, potem robi przerwę i pewnego dnia widzi, jak jego klient paraduje po mieście z zaczesaną do tyłu bujną grzywą nastroszoną niczym rokokowa peruka. Zniechęcony? Muszę zapytać Rava.

– Mogę rozmawiać z Fay Wycherley? – pytam, przyciskając komórkę do ucha.

Stoję w pustej kuchni – po powrocie musiałam się upewnić, że Karen nie ma w domu – i oglądam z podziwem swoje lśniące paznokcie w kolorze krwi. Agresywny hygge. Bunt w stylu glamour.

– Przykro mi, ale już u nas nie pracuje.

– Och... A wie pani, gdzie mogę jej szukać?

– Przeniosła się do Hull, o ile mi wiadomo.

– Rozumiem. Dziękuję – odpowiadam. – Może ma pani namiary nowego gabinetu? Spróbuję się z nią skontaktować.

Wcale nie zamierzam tego robić, bo nie wyobrażam sobie, abym miała jeździć na terapię aż do Hull, ale takie zakończenie rozmowy wydaje mi się uprzejme.

– Może pani chwileczkę zaczekać? – Recepcjonistka zawiesza połączenie i przez chwilę upajam się nastrojowymi dźwiękami fletu, które przerywa odgłos podnoszonej słuchawki. – Pani była pacjentką Fay?

– Tak.

– Z przykrością muszę zawiadomić, że Fay odeszła w dwa tysiące piętnastym.

Przez chwilę milczę oszołomiona.

– Znaczący nie żyje? – upewniam się.

– Tak.

– Ale... co się stało?

– Słyszałam, że zginęła w wypadku.

– O mój Boże... Dziękuję za wiadomość.

Kończę rozmowę i siedzę nieruchomo, wpatrując się w naczynia na ociekaczu. Biedna Fay. Ile mogła mieć lat? Pięćdziesiąt kilka? Próbuję sobie przypomnieć, jak wyglądała, i powoli dociera do mnie,

że już jej nie zobaczę. Tak bardzo podnosiła mnie na duchu. Znała moje tajemnice i potrafiła wysłuchać. Zastanawiam się, czy miała dzieci i czy ktoś tęskni za nią tak, jak ja tęskniłam za tatą.

Przypominam sobie jej słowa, które wcześniej uleciały mi z pamięci, ale teraz wracają: „Nikt inny cię nie naprawi. Jedyńą osobą, która może to zrobić, jesteś ty sama”.

Więc piosenka Coldplay to bujda.

*Rav, wiedziałeś, że Fay, ta terapeutka, którą mi poleciłeś, nie żyje?*

*Tak. Nie powiedziałem ci? Przepraszam. Fay dużo jeździła na rowerze. Potrafiła ją ciężarówka na A6 w Buxton. Pochodziła z St Ives i tam odbył się pogrzeb, ale nie mogłem wtedy wziąć wolnego. Jak się o tym dowiedziałaś?*

Nie sądziłam, że o to zapyta. Postanawiam zamaskować swoje uczucia czarnym humorem. Owszem, Rav ma spore doświadczenie zawodowe i certyfikat Brytyjskiego Towarzystwa Psychologicznego, ale nie sądzę, aby przejrzał mój wybieg.

*Chciałam umówić się na sesję, żeby się trochę dowartościować, i dowiedziałam się od rejestratorki. Rav, nie chcę tego bagatelizować ani stawiać siebie na pierwszym miejscu, ale zostałam bez terapeutki. Takie rzeczy są niedopuszczalne.*

*Czyli to jest twoja tragedia. Uprzedzę następnego terapeutę, żeby zbadał cię pod kątem narcystycznych zaburzeń osobowości. (Mam ci znowu kogoś polecić?) x*

*Nie, dzięki. Tak naprawdę zależało mi na Fay x*

Pewnego razu po sesji Fay przyłapała mnie z papierosem na parkingu i kazała mi rzucić palenie.

– Życie i tak jest krótkie, więc nie skracaj go jeszcze bardziej – zawołała, idąc do swojego mini coopera w kolorze wyścigowej zieleni. – Jeśli gładzę jak twoja matka, to dlatego, że jestem w takim wieku, że mogłabym nią być.

Uśmiechając się szeroko, pomachałam jej na pożegnanie i zdusiłam butem niedopałek. Teraz postanawiam rzucić palenie. Na jej cześć. Zresztą palę tylko dla towarzystwa. Kiedyś już odstawiłam fajki i nie miałam głodu.

Poza tym powinnam zrobić jeszcze jedną rzecz. Jeszcze długo po tym, jak przestałam chodzić do Fay, w mojej głowie rozbrzmiewało echem inne zdanie, które padło z jej ust.

– Czasami celowo nie dbamy o siebie, bo ludzie, po których spodziewaliśmy się troski o nas, zawiedli nasze oczekiwania. Zaniedbujemy się, jakbyśmy chcieli się na nich odegrać.

Czyli robimy to, czego zdaniem Clem nie należy robić.

– Czyli to jest forma zemsty? – spytałam.

– Tak, a może także ukryte pragnienie, by ktoś przyszedł nam z pomocą. I próba pogodzenia się z porażką, na którą czujemy się skazani.

Po kolacji w indyjskiej restauracji przyszedł mi do głowy pewien oryginalny pomysł, ale zarzuciłam go, bo doszłam do wniosku, że i tak nie uda mi się go zrealizować. Bo czy kiedykolwiek wyszło mi coś, za co się zabrałam?

Muszę skończyć z celowym zaniedbywaniem siebie.

Wezmę udział w tym konkursie literackim i podzielę się moim wstydem. Ale to jeszcze nie wszystko. Doprowadzę do końca moje porachunki z That's Amore.

Postanawiam najpierw wysłać mejl ze zgłoszeniem do organizatora konkursu, żeby nie zdążyła stchórzyć, a potem napisać do pana Keitha.

*Właściwie pan mnie nie zna, ale jestem tą kelnerką, która została zwolniona za wykonywanie poleceń szefa kuchni podczas pańskiej wizyty w That's Amore. Pamiętam, że nie smakowało panu jedzenie, a jest pan krytykiem kulinarnym związanym z „The Star”. Zastanawiam się, dlaczego autor opublikowanego niedawno na łamach tej gazety artykułu, w którym mój dawny pracodawca broni się przed zarzutami niezadowolonych klientów, nie skorzystał z pańskich relacji.*

*Georgina Horspool*

*Droga Georgino, po pierwsze określiłbym moje doświadczenia kulinarne w That's Amore jako niepełne. Po drugie wspomniany artykuł pojawił się w dziale wiadomości, ja natomiast pracuję w dziale reportażu. Na pewno napiszę recenzję That's Amore we właściwym czasie, kiedy restauracja nie będzie uwikłana w utarczki z personelem. Pozdrawiam*

*Alexander Keith*

*Mam jeszcze lepszy pomysł – mógłby pan popracować trochę w ich kuchni, żeby zyskać lepsze rozeznanie. Jestem pewna, że byłoby to pełne i pouczające doświadczenie.*

*Wyczuwam żądzę zemsty, młoda damo. Radzę spożytkować energię na poszukiwanie nowej posady.*

Zaczynam pisać odpowiedź:

*Tak się składa, że biorę udział w konkursie literackim...*

Wtedy przypominam sobie, że nagrodą dla zwycięzcy jest możliwość opublikowania utworu w „The Star”. A jeśli pan Keith zasiada w jury? A teraz wie, jak się nazywam.

Cholera.

Pamiętam, co Esther mówiła o kłopotach, w które wpadam mimo przekonania o własnej niewinności. Cóż, moja droga, pod tym względem się nie zmieniasz.

Mogłabym rozpaczać nad własną głupotą, ale bardziej konstruktywnym rozwiązaniem byłoby napisać coś tak błyskotliwego, żeby pan Keith musiał mi przyznać pierwszą nagrodę mimo swoich uprzedzeń. Przecież to niemalże jak stand-up. Żadnej spinki...



Powinłam była się domyślić, że coś jest na rzeczy, kiedy w niedzielę po południu Jo zaproponowała, żebym jeszcze tego wieczoru przyszła do niej na musakę. Kilka rzeczy odbiegało od normy – propozycja padła w ostatniej chwili. I pod koniec weekendu, a to nie jest czas na imprezowanie. W dodatku musaka jest dosyć kaloryczna, a Jo przechodzi teraz fazę zdrowego odżywiania. Ale po aferze z Thorem w piątkowy wieczór i wiadomości o śmierci Fay uznałam, że spotkanie z przyjaciółmi dobrze mi zrobi.

Nie mam już żadnych wątpliwości, że coś jest na rzeczy, kiedy Jo prosi, żebym przyszła sama o wpół do piątej i zachowała to w tajemnicy przed Ravem i Clem.

– Dobra – odpowiadam. – Nie zaprosiłaś ich?

– Zaprosiłam, ale najpierw chcę porozmawiać z tobą.

O Boże, jest w ciąży? Będę miała za zadanie dbać o pozory i zapewniać, że w jej szklance jest dżin z tonikiem, a nie lemoniada? Według mnie Phil nie jest dobrym materiałem na ojca i w tych okolicznościach Jo będzie musiała przymknąć oko na wiele rzeczy.

Przyjaciółka otwiera mi drzwi ubrana w przepasaną cienkim złotym paskiem prostą sukienkę z deseniem w rakiety kosmiczne, wzorowaną na modzie lat pięćdziesiątych. Włosy ostrzyżone na grzybka mają rozjaśnione końcówki. Kiedyś próbowałam naśladować jej styl uroczej ślicznotki, ale w moim przypadku się nie sprawdził. Wyglądałam jak podstarzała Veruca Salt. Nieustannie patrzę jej w oczy, żeby nie wypatrywać ostentacyjnie pierwszych krągłości na brzuchu i biodrach. Beagle, wielki pręgowany kot, ociera się o jej nogi z nieufnością czujnego obrońcy, więc pochylam się, żeby go pogłaskać. Zanim zamieszkał z Jo, łowił szczury na farmie i ma naturę półdzikiego zakapiora.

Ściskam butelkę czerwonego wina z Tesco Express i zastanawiam się, czy nie był to zbyt cenny wydatek. Ale co tam, jeśli Jo rzeczywiście spodziewa się małego Phila, przyda mi się coś mocniejszego.

Jo kupiła bliźniak z czerwonej cegły w Walkley, kiedy jej salon fryzjerski zaczął dobrze prosperować. W jej domu czuję się tak przytulnie jak w matczynych objęciach, chociaż ta błogość ma w sobie posmak goryczy, bo nie wiem, czy kiedykolwiek będę mogła sobie pozwolić na taki sam.

Chciałabym mieć na parapecie rząd doniczek z bazylią w różnych stadiach rozkładu, móc powiesić sobie na ścianie kiczowaty plakat z sentencją „Nie chcę iść do nieba, bo nie ma tam moich przyjaciół” i wsłuchiwać się w kojące pobrzękiwanie sprzętów kuchennych podarowanych mi przez rodziców.

– Jeśli oczekujesz, że spadnie z nieba wysoki, przystojny brunet z milionami na koncie, zakocha się w tobie do szaleństwa i pomacha magiczną różdżką, to musisz zrewidować swoje oczekiwania – powiedziała kiedyś moja mama, z zawodu szefowa działu doradztwa finansowego.

– Magiczna różdżka, hm – odparłam.

Magiczne zaklęcia nie istnieją, jak twierdziła moja terapeutka, a zdaniem mojej matki powinłam przestać wierzyć w magiczne różdżki. Zaczynam dostrzegać coraz więcej sensu w płaceniu internetowym wróżkom, mówiącym o czekającej w przyszłości wielkiej fortunie.

Z głębi domu dobiega aromat duszonego na wolnym ogniu mięsa. Przyjaciółka wyjmuje z kredensu dwa kieliszki i stawia je na nakrytym ceratowym obrusem stole.

Świętujemy...?

– Zerwałam z Philem – oświadczam.

W odpowiedzi wydaję smutne, pełne współczucia westchnienie, ale wiem, że moja twarz wyraża coś zupełnie innego. Jo to dostrzega, ponieważ dodaje:

– Serio, George. Tym razem na dobre. Miarka się przebrała.

Odsuwam krzesło i obie siadamy przy stole.

– Rozumiem – mówię. – Powiedz, co się stało.

– Na wiosnę jego siostra wychodzi za mąż. Chciał, żebym poszła z nim na wesele.

Czekam na dalszy ciąg, przekonana, że zaraz się dowiem, jakie warunki nie do spełnienia postawił jej Phil.

– No i...?

– No i tyle. Z początku się ucieszyłam i nawet wypatrzyłam sukienkę, w której chciałabym wystąpić. A potem zaczęłam myśleć...

Jo wypija wino z kieliszka, więc sięgam po butelkę i napełniam go, wysyłając niemy sygnał: proszę, mów dalej.

– Wiem, że wszyscy uważacie go za niedojrzałego chłopca i potępianie za skoki w bok. Phil ma dwadzieścia osiem lat, a kobiety tracą dla niego głowę, więc potrzebował trochę czasu na oswojenie się z myślą o ustakowanym życiu. Byłam gotowa zaczekać. Ludzie mówią, że najważniejsze to utrafić w odpowiedni moment. Więc powiedziałam sobie, że poznałam Phila o kilka lat za wcześnie, a nie chciałam go stracić tylko dlatego, że nie zgraliśmy się w czasie.

Ten pochlebny opis jest nie tylko wytworem jej zauroczenia. Phil ma wielkie oczy dziecka, rzadzące ciemne włosy i łobuzerski uśmiech. Ze swoją ujmującą aparycją mógłby prowadzić program telewizyjny poświęcony ochronie praw konsumenta albo majsterkowaniu, rozkochując w sobie tysiące żon i matek, które stworzyłyby grupę na Facebooku, żeby móc do niego wzdychać. Owszem, jest przystojny, ale nie w tym tkwi jego moc. Przede wszystkim cechuje go zdolność przykuwania uwagi, nieograniczony entuzjazm i serce na dłoni (nie dotyczy to kobiet, które zadają kłopotliwe pytania). Kiedy pojawia się w towarzystwie, jest jak mentos wrzucony do butelki z colą.

Wystarczy mu pół godziny, żeby zjednać sobie najbardziej nieprzychylnych zgorzkniałców. Musi jednak znajdować się w polu widzenia, aby jego czar nie przestał działać. Clem stanowczo temu zaprzeczała, ale widziałam, że nawet ona uśmiechała się do niego ukradkiem.

– Dlaczego Phil zaprasza mnie na ślub, gdzie będzie cała jego rodzina, ale nie ma zamiaru angażować się w poważny związek?

– Może nie chce być sam w tak uroczystym dniu? – sugeruję.

– Nie, nie w tym rzecz. Wiesz, jaki jest. Mógłby zagadać do kogokolwiek i na pewno nie narzekałby na brak towarzystwa. Chodzi o to, że jestem dla niego ważna i uważa mnie za swoją drugą połówkę. Chce, żebym tam była razem z nim... No wiesz, pierwszy taniec młodej pary, poznanie babci.

Zaczynam rozumieć, dlaczego Jo nie chciała, żeby Rav i Clem brali udział w tej rozmowie. Gdyby zaczęli ciskać jadowite komentarze, wymierzone w Phila, ale godzące również w nią, nie potrafiłaby się zdobyć na taką szczerłość.

– I zdałam sobie sprawę, że ma gdzieś, co wszyscy sobie pomyślą, kiedy zobaczą nas razem. Typowy facet, który wykręca się od poważnego związku, nie urządzałby takiego przedstawienia, właśnie dlatego, żeby nie usłyszeć „to teraz kolej na was”, nie? Ale Phil nie ma z tym problemu. Dla niego to szczególna okazja i chciałby przyjemnie spędzić ten dzień w hotelu Whitley Hall. Gdyby zjawił się sam, pewnie musiałby się zająć rozsadzaniem gości. Tak naprawdę nie wiemy, co mu siedzi w głowie. – Jo spazmatycznie wciąga powietrze. – Phil nie odnajdzie się w zwykłej codzienności, bo nie potrafi pogodzić się z faktem, że będzie miał tylko mnie. Gdyby stworzył ze mną stały związek, byłby to, w jego mniemaniu, akt kapitulacji. Ma nieograniczone możliwości, dziewczyny tracą dla niego głowę, a on miałby związać się z Jo, dwa lata starszą fryzjerką z domkiem na peryferiach, która walczy z nadwagą, ma kredyt hipoteczny i kota z niedoczynnością tarczycy? Kocha mnie, ale jestem dla niego ucieleśnieniem rezygnacji z marzeń. Nie przyznaje się do tego nawet przed sobą, dlatego nie potrafi mi udzielić sensownej odpowiedzi, kiedy pytam, dlaczego tylko bawimy się w dom.

Otwieram usta, żeby zaprzeczyć i powiedzieć, jak bardzo krótkowzroczny jest Phil, ale powstrzymuję się i w milczeniu ściskam dłoń Jo. Po śmierci taty przekonałam się, że kiedy ktoś mówi: „Całe życie jest gównem i boli”, pochopne zaprzeczanie, nawet w dobrej wierze, może działać przytłaczająco.



– Kiedy zdałam sobie z tego sprawę, było mi łatwiej zamknąć ten rozdział – ciągnie Jo. – Uczucia zgasty, jakbym wyłączyła palnik na kuchence. Przestałam się okłamywać i wmawiać sobie te romantyczne bujdy, że powinnam dać mu czas, żeby dojrzał. Nie potrzebuję kogoś, kto musi do mnie dojrzeć. Kogoś, kto w końcu zdecyduje się na mnie, kiedy skończy trzydzieści pięć lat i będzie zmęczony szukaniem lepszych partii.

Chwytam mój kieliszek, stukam nim w jej kieliszek i wypijam łyk.

– Oczywiście teraz, kiedy zauważył, że przestałam się nim interesować, cały czas zawraca mi głowę.

– Można się było tego spodziewać.

– To dziwne, bo kiedyś bardzo zabiegałam o jego uwagę, a teraz patrzę obojętnie, jak przysyła kolejne wiadomości. Proste. Odsuwam się, więc próbuje przyciągnąć mnie z powrotem. Chce, żebym kochała go jak wcześniej, bez względu na moje odczucia.

– Czuję się podobnie w związku z Robinem. Byłam dla niego interesująca, kiedy widział we mnie wyzwanie – odpowiadam. – Ale Phil nie jest takim palantem jak Robin. Nie chcę, żebyś pomyślała, że wkładam ich do jednego worka.

Jo spogląda mi w oczy.

– Phil nie jest zwykłym erotomanem – mówi. – Jest o wiele gorszy. Chodzi mu nie tylko o seks. Cały czas próbuje rozkochać w sobie ludzi, a kiedy mu się to udaje, nie wie, co dalej. Dlatego przystępuje do kolejnych podbojów.

Zdarzało się jej krytykować Phila, ale teraz słyszę najbardziej bezlitosny i cięty osąd, jaki kiedykolwiek wygłosiła na jego temat. Zaczynam nabierać przekonania, że faktycznie postanowiła z nim skończyć.

Moja przyjaciółka wzdycha ciężko.

– Problem w tym, że muszę zapomnieć, jak wspaniale się czułam, kiedy między nami było dobrze. Niewykluczone, że już nigdy więcej z nikim nie zaznam czegoś podobnego. Ale muszę zaryzykować, prawda? Bo wiem, że z nami koniec i nie możemy być razem. Myślę, że jakoś przeboleję rozstanie z Philem, ale dużo trudniej będzie mi przewyciężyć tęsknotę za tym, jak się przy nim czułam.

Zgadzam się. Bardzo chciałabym jej powiedzieć, że doskonale ją rozumiem, jednak nie umiem znaleźć właściwych słów. Poprzestaję na wyrazach współczucia.

Jo niepotrzebnie się obawiała, że reszta naszego towarzystwa nie okaże wyrozumiałości wobec jej złamanego serca. Rav i Clem spisują się doskonale, podtrzymując ją na duchu. Żadne z nich nie wyraża się z pogardą o jej byłym. Uświadamiam sobie, jak wielką odrazę musiał wzbudzać w nich Robin, skoro pożegnali Phila z dużo większym szacunkiem. To jakby porównać pogrzeb wojownika wikingów z utylizacją odpadów.

– Głód nowych wrażeń i strach przed wypadnięciem z obiegu to przekleństwa nowoczesnej cywilizacji – podsumowuje Rav, kiedy Jo wyjaśnia, dlaczego Phil nie może się odnaleźć w roli jej partnera. – Tłumaczę moim pacjentom, że zaspokojenie jest wspaniałym uczuciem, ale niezaspokojonym ludziom można sprzedać więcej towarów i usług.

– No pewnie. Dawniej kobieta brała sobie męża z sąsiedniej wioski, jakiegoś połamańca z krzywicą, i nie dołowała się, że mogła lepiej trafić. A nawet gdyby szukała punktu odniesienia, miała do wyboru czterech bezzębnych sąsiadów – mówi Clem. – Teraz ze zgrozą odkrywam na Instagramie, że wszyscy mają lepsze życie niż ja. Założę się, że nikt by nie wieszał wianków na drzwiach i nie malował pisanek, gdyby nie mógł zrobić zdjęcia z filtrem Valencia i podsunąć mi go pod nos.

– Clem się rozkręca jak na konferencji – zauważa Rav. – Dajcie jej mikrofon i szklanek wody.

– Te idee są warte propagowania – mówię.

Jo przyznaje mi rację, kiwając głową.

– Wiem, że darliśmy łacha z Phila, ale zawsze rozumiałam, dlaczego ci się podobał – zwraca się do niej Clem. – Kiedyś opowiadał, jak zarzygał na kacu dom swojej ciotki i zapalił świeczkę zapachową, pamiętasz? Był gawędziarzem pierwsza klasa.

– No, śmiech to zabójcza broń – wtrącam pokrępiającym tonem, świadoma, że musimy być ostrożne w dawkowaniu siostrzanego współczucia, żeby niechący nie skłonić naszej przyjaciółki do

wskreszenia tej toksycznej relacji. – Kiedy się śmieję, jestem bezbronna.

– W takim razie dlaczego zerwałaś z Robinem McNee? – pyta Rav, wzbudzając ogólne rozbawienie.

– Nigdy wam nie wspominałam... – odzywa się Clem, po czym rozprostowuje nogi w kanarkowych pończochach, by skrzyżować je w innej pozycji – ...ale staram się ograniczać swoje znajomości do randek nie dlatego, że jestem „niezdolna do miłości”. – Kreśli palcami cudzysłów w powietrzu. – Robię tak, bo jestem aż za bardzo zdolna i wiem, że to by mnie zabiło. To tak, jak z moją mamą i porządkami w domu...

Patrzemy na nią zdziwieni. Jej mama słynie z tak dalece posuniętej skrupulatności, że wszyscy podejrzewamy ją o jakieś zaburzenia.

– Będziecie zszokowani, ale moja mama twierdzi, że jest leniwa i nie cierpi sprzątanania.

Przyglądamy się jej sceptycznie.

– Naprawdę! – dodaje Clem. – Powinniście zobaczyć, jaki bajzel potrafi zrobić, kiedy znajdzie się w hotelu. Wystarczy kilka minut. Nie wiem, jak to w ogóle możliwe. Za to w domu bez przerwy sprząta; wszystko musi być na swoim miejscu, bo gdyby wrzuciła na luz i robiła tylko to, na co ma ochotę, świat by się zawalił. Opieka społeczna odebrałaby jej dzieci. Moja mama bez przerwy toczy morderczą walkę ze swoją prawdziwą naturą. No cóż, ja mam takie samo podejście do mężczyzn. W rzeczywistości jestem naiwną romantyczką, którą właściwy facet mógłby sobie owinąć wokół palca. Dlatego się pilnuję, żeby na takiego nie trafić. A kiedy mimo wszystko trafiam, stosuję taktykę obronną i pozbywam się go, zanim zdąży cokolwiek zauważyć.

Rav w zamyśleniu drapie się po brodzie i poprawia szalik. Nie znam nikogo innego, kto nosi szalik w pomieszczeniach jako ozdobny dodatek do stroju.

– Nie obawiasz się, że w ten sposób przegapisz kogoś, z kim mogłabyś być szczęśliwa? – pyta Jo.

– Owszem, ale nie sądzę, aby ktoś taki w ogóle istniał. Będę się martwiła, kiedy zacznę podejrzewać, że Pan Odpowiedni Dla Mnie jednak się pojawił.

– Hm, zawodna metoda, ale nie mogę powiedzieć, że bym sam radził sobie lepiej na Bumble – przyznaje Rav. – Randki w internecie są jak strzelanie z procy do księżycy. Chciałbym poznać obytą w świecie kobietę o artystycznej duszy i umyśle ostrym jak brzytwa, która bez skrepowania paraduje w czerwonym kapeluszu i biegle włada kilkoma językami. Powinno mi się udać, zważywszy na wielkość mojego...

– Proszę, nie! – przerywa mu Clem.

– ...mojego poświęcenia, z jakim podchodzę do poszukiwań.

– Twoje oczekiwania idealnie spełnia Prince. Gdyby tylko żył i nie był mężczyzną...

– Racja, nie jest łatwo – przyznaje Rav. – Ale prawdziwy romans nie spada z nieba. Trzeba pokonać wiele przeszkód.

Teraz nawet Jo parska śmiechem.

– A co u ciebie, Gee? – Rav spogląda na mnie badawczo. – Jakies plany po rozstaniu z panem McNee? Nauczyłaś się czegoś?

– Chyba coś się przypala – mówię.

– Musaka! – krzyczy Jo, wybiegając do kuchni.

Kilka minut później wszyscy dziobiemy widelcami prostokątne płaty greckiej zapiekanki, która – nie chcę być niewdzięczna – ma dosyć osobliwy smak.

– Niskokaloryczna wersja – wyjaśnia Jo. – Z jogurtem i mięsem z indyka.

Na te słowa Clem zaczyna pałaszować z jeszcze większym entuzjazmem, podczas gdy Rav i ja wymieniamy niepewne spojrzenia.

– Jest wyśmienita – oświadcza Rav, a ja przytakuję bez przekonania.

– Podsumujmy nasze odkrycia – mówi Clem. – Jo uwalnia się od obsesji na punkcie faceta cierpiącego na gamofobię. Ja też na to cierpię, ale nie znam nikogo, kto mógłby potencjalnie przyprawić mnie o atak paniki. Rav jest zbyt wybredny, żeby sobie kogokolwiek znaleźć. A ty, George? Co stoi na twojej drodze do osobistego szczęścia?

Tym razem z kuchni nie dobiega woń spalenizny, która mogłaby wybawić mnie z opresji. Waham się, szukając właściwych słów.

– Nie wiem – odpowiadam w końcu.

– Spójrzmy na to z innej strony i więcej entuzjazmu – proponuje Rav. – Czego chcesz od życia?

– Myślę, że chciałabym spotkać kogoś, dla kogo będę tak samo ważna, jak on dla mnie. Mogłoby się wydawać, że nisko stawiam poprzeczkę, ale właściwie tylko tyle oczekuję, a nigdy tego nie miałam.

– Nic dodać, nic ująć – podsumowuje Jo.

Beagle odsuwa głową mój talerz i siada mi na kolanach. Udaję oburzenie tym bezceremonialnym najściem, ale nie spycham go.

– A wiecie, że wezmę udział w konkursie literackim w moim nowym miejscu pracy? Przyjdziecie? – mówię. – Boję się kompromitacji, ale jeszcze bardziej boję się, że nie będę miała żadnej publiczności poza psem o imieniu Keith, więc musicie przyjść, żeby zająć kilka krzeseł.

– Doskonale! – woła Jo. – Co napisałaś?

Czuję nerwowy ucisk w żołądku. Spędziłam cudowne pół godziny przy kuchennym stole, gryzmołając w moim notatniku. Ale miałabym to przeczytać na głos? Obcym ludziom?

– Taki kawałek o paskudnym dniu w pracy. Wymogi są dość luźne, więc nie wiem, czy właśnie o coś takiego chodzi. Jestem na końcu listy, więc ominą mnie występy moich poprzedników. Będę pracowała na dole, dopóki ktoś mnie nie zawoła.

– Ale jesteś odważna – mówi Clem.

– Albo raczej szurnięta – odpowiadam.

– Pamiętam, jak w szkole czytałaś mi fragmenty swojego dziennika – wspomina Jo. – Były takie dowcipne. Naprawdę się cieszę, że startujesz. Zawsze wiedzieliśmy, że jesteś gwiazdą. Teraz niech inni się przekonają.

– Dzięki! Miejmy nadzieję, że ktoś mnie doceni.

– Czy pisząc o paskudnym dniu w pracy, nie czujesz się przytłoczona nadmiarem inspiracji? Możesz mieć poważną rozterkę – odzywa się Rav. – Jak mówią jurorzy podczas wręczania nagród: „Wobec tak silnej konkurencji, trudno mi dokonać wyboru spośród tylu wspaniałych kandydatów, ale muszę wybrać...”.

– Ha, ha, zgadza się – mówię. – Z takim doświadczeniem w gównianych fuchach...

– O Boże, a pamiętasz, jak musiałaś się przebrać za olbrzymiego kurczaka, kiedy reklamowałaś tę budę w typie KFC? – pyta Jo.

– Wołałabym zapomnieć!

– A ja chyba nie pamiętam – wtrąca Rav.

Wydaję przeciągły jęk.

– To była katastrofa. Dzieciaki, które zaproszono na otwarcie, rzuciły się na mnie jak tłum na Beatlesów, więc obsługa kazała mi się schować w magazynie i poczekać, aż się trochę uspokoją. Zaczęłam się nudzić i zapaliłam papierosa, a wtedy ktoś otworzył drzwi i dzieciaki zobaczyły kurczaka z głową kobiety, która wypuszcza z ust kłęby dymu. Musiałam wyglądać jak przerażający stwór z mitologii greckiej. Szefostwo firmy wpadło w furję, bo rzekomo zepsułam ich wizerunek. Według założeń kampanii reklamowej dzieciaki miały się zaprzyjaźnić z Kapitanem Cluckee, żeby potem go zjeść, co było wystarczająco chore. Zwróciłam im na to uwagę, ale jakoś mój argument do nich nie dotarł.

Duszę się ze śmiechu, wspominając tę przygodę, podobnie jak trójka moich przyjaciół.

– To jest świetny materiał – mówi Rav.

– O nie! Bywało o wiele gorzej – odpowiadam z niezachwianą pewnością.

A potem dociera do mnie, jakie to godne politowania. Czy naprawdę jest się czym chwalić? Mój problem chyba polega na tym, że wciąż nie dostrzegam różnicy między dobrym żartem a żalosną kpina.



Wzmianka Clem o celowym działaniu wbrew własnej naturze nie daje mi spokoju. Intuicja często mnie zawodziła, jak kiepska nawigacja satelitarna. Tym razem posunęłam się o krok dalej w dzieleniu się swoim wstydem i zaprosiłam na mój występ siostrę z mężem. Trzeba żyć w dobrych stosunkach z ludźmi, którzy potrzebują opiekunki do dziecka. Dlatego nie mogłam o nich zapomnieć.

– Potem napijecie się czegoś i obejrzyście moje nowe miejsce pracy. A Mark zobaczy się z Devlinem.

Nie musiałam składać wiążących deklaracji, więc w każdej chwili mogę jeszcze się wycofać.

– Cześć, Georgino. Nadal zamierzasz wystartować w konkursie? Jesteś moją bohaterką – mówi Dev na powitanie, kiedy zjawiam się na zapleczu i niezdarnym ruchem przekładam nad głowę pasek torebki.

W pubie panuje większy gwar niż zwykle. Czyżby z powodu imprezy w sali na górze? Swędzi mnie skóra, jakbym przyczuwała niebezpieczeństwo. Spodziewałam się, że przyjdzie zaledwie kilka osób.

– Aha – mamrocę w odpowiedzi.

– Stanęłaś na wysokości zadania, naprawdę szacun. Dzisiejszym tematem jest najgorszy dzień w pracy. Mam nadzieję, że nie przeżyłaś go tutaj, ha, ha.

– Lepiej mnie tak nie wychwalaj, skoro nie wiesz, o czym będę opowiadała. Może opowiem, jak miałam majtki pełne strachu, kiedy na dzień dobry rzuciliście mnie na głęboką wodę...

Devlin wraca do swoich zajęć, zanosząc się od śmiechu. Cieszę się, że jest taki wyluzowany w porównaniu z bratem.

– Naprawdę wpadłaś do wody i się posrałaś? – piszczy Kitty, która jeszcze nigdy nie zrozumiała żadnej przenośni.

Kitty jest nowo przyjętą pracownicą – ma dwadzieścia trzy lata, szczupłą sylwetkę i długie brązowe włosy. Domalowuje sobie brwi o fantazyjnym kształcie i mówi ze śpiewną intonacją. Jestem gotowa przysiąc, że nabrała tej maniery, oglądając mnóstwo seriali o amerykańskich słodkich idiotkach, które dziedziczą ogromne fortuny i w kółko powtarzają „O mój Bosz...”.

– W ogóle nie wyglądasz na groźną, a bałam się ciebie – powiedziała mi, kiedy się poznałyśmy. Zaskoczyła mnie i chyba również trochę uraziła.

– Ktoś ci powiedział, że jestem groźna?

– Nikt, ale masz jakoś tak ze trzydzieści lat, nie?

– Nie sądzę, aby to czyniło mnie Maggie Smith w *Downtown Abbey* – odparłam, rozważając, czy jednak nie powinnam się obrazić.

– Ha, ha! Lucas powiedział, że pracowałaś w wielu innych knajpach.

Świetnie, pomyślałam. Pewnie uważa mnie za starą wypacykowaną lafiryndę.

– I masz takie wytworne imię – dodała Kitty i zaśmiała się nerwowo.

– Naprawdę?

– I dlatego pomyślałam, że możesz być surowa.

Uśmiechnęłam się, całkowicie zmieszana. A potem, po pierwszej godzinie znajomości odkryłam, że Kitty nie poświęca zbyt wiele refleksji słowom, które padają z jej ust. Nie jest odstręczająca, a wręcz przeciwnie. Potrafi być bardzo zabawna, ale trzeba się przyzwyczaić do jej chaotycznego toku myślenia. Pogawędka o polityce i jej słabość do „tego poprzedniego amerykańskiego prezydenta – jak mu tam było... Barnack O'Barner?” doprowadziła mnie do histerycznego ataku śmiechu.

Rav, Clem i Jo zjawiają się w klubie razem z Esther i Markiem, których spotkali przed wejściem. Jo promienieje po rozstaniu z Philem i wiem, że nie nadrabia miną. Kiedy ostatnio spytałam, co u niej słyhać, odpisała, że teraz, kiedy już podjęła tę decyzję, czuje się znacznie lepiej. Stan zawieszenia zawsze jest zabójczy. „Wiedziałam, że muszę to zrobić, ale nie potrafiłam się zebrać. To było najgorsze. Przynajmniej już przed sobą nie udaję”.

– Powodzenia! – mówią wszyscy chórem i ze szklankami w dłoniach idą do sali, żeby zająć najlepsze miejsca.

Niech tak się rozsiądą, myślę, żeby już nikt więcej się nie zmieścił na widowni. Widzę, że moja siostra i szwagier są lekko zmieszani, nie do końca rozumieją, dlaczego właściwie to robię, ale starają się dodać mi otuchy. Zawsze to lepsze od recytowania rodzajów przekąsek z oferty.

Za kilka minut zaczyna się impreza, a ja nie mam pojęcia, jak długo będą trwały występy innych uczestników. Muszę czymś zająć myśli. Na szczęście Kitty sprawdza się doskonale w roli zaworu bezpieczeństwa.

Pyta mnie, czy może oddzwonić do agencji ubezpieczeniowej w sprawie samochodu.

– Nie ma najmniejszego problemu – mówię. Krzątam się za barem, krojąc limonki, a ona odchodzi na bok i zaczyna negocjować wysokość składki za swojego fiata cinquecento.

– Że co? – mówi. – K jak kilo? Ach, rozumiem...

Zazwyczaj nie podsłuchuję, kiedy ktoś rozmawia przez telefon, ale teraz Kitty sprawia wrażenie tak zestresowanej, że nie mogę powstrzymać ciekawości.

– I... i jak insekt. Tyłek.

Marszczę czoło i przyglądam się jej zaintrygowana.

– Jeszcze raz tyłek. Yeti. Od początku? Kilo, insekt, tyłek, tyłek, yeti.

Zaciskam pięścią usta, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Kitty mamrocze jeszcze kilka słów, żegna się i kończy połączenie.

– Rany boskie, co to było? – wołam.

– Jezu, facet poprosił, żebym przeliterowała swoje imię przy pomocy alfabetu fonetycznego, a ja go nie znam. Boże, powiedziałam „tyłek”!

Niemal zginam się wpół ze śmiechu.

– Tyłek, tyłek, yeti? – powtarzam, zachłystując się oddechem.

– Nie przychodziło mi do głowy żadne inne słowo na T! Co za porażka.

– Ciekawe. Pod takim pseudonimem można występować w pornołach – odpowiadam.

W tym momencie zauważam Lucasa, który podchodzi do baru i jest wystarczająco blisko, żeby usłyszeć naszą rozmowę.

– A jeżeli cofną mi ubezpieczenie? – jęczy Kitty.

– Niby dlaczego?

– Niestosowne słownictwo?

– Nie sądzę, aby niestosowne słownictwo mogło być formalną podstawą do unieważnienia polisy. Kitty ponownie wyjmuję smartfona i szuka czegoś w Google’u.

– O nie! Powinnam była powiedzieć „kilo, India, tango, Yankee”.

– Tak, „tango” brzmi znacznie lepiej niż „tyłek”. I jeśli mam być szczerą, „insekt” też nie bardzo pasuje.

– Już nigdy nie zadzwonię na infolinię.

– Tylko pomyśl, jak ten facet musi się nudzić w pracy. Wyświadczyłaś mu przysługę, Kitty.

Nie możemy się powstrzymać i znowu wybuchamy śmiechem. Takie chwile sprzyjają zacieśnianiu więzi. Z czystym sercem mogę powiedzieć Devlinowi, że nie mam nic przeciwko zatrudnieniu Kitty.

– Georgino – odzywa się Lucas. – Wołają cię na górę. Wchodzisz...

Sploszona zerkam na zegarek. Jakim cudem czas tak mocno przyspieszył? Nagle żołądek podchodzi mi do gardła.

– A, okej.

Sięgam po schowaną pod barem torbę, z której wydaję pomięte notatki.

- Powodzenia – dodaje Lucas.
- To chyba dowód, że już całkiem mi odbiło. Skoro decyduję się na coś takiego...
- Ogarnia mnie coraz silniejsza trema i niewiele brakuje, żebym zaczęła szczekać zębami.
- Nie wiem, jaka jesteś, kiedy ci nie odbija.

Na pewno?

Kitty, która zniknęła za barem, wraca z kieliszkiem prosecco i wręcza mi go, jakby był amuletem, który ma mnie chronić podczas niebezpiecznej misji.

– Wypij – mówi. – I powodzenia!

Coraz bardziej ją lubię.

\*\*\*

Wspinam się po schodach z uniesionym wysoko kieliszkiem i przypominam sobie, jak mój ojciec powiedział kiedyś, że jestem urodzoną szpanerką, która nie cierpi być w centrum uwagi. Przed wejściem do sali stoi sztaluga z wypisanym tematem tygodnia – *Podziel się swoim wstydem: Mój najgorszy dzień w pracy* – i listą uczestników. Ktoś przekreślił moje nazwisko na Howspool.

Kiedy zaglądałam tu poprzednio, wszędzie piętrzyły się kartony, a teraz jest pełno ludzi. Większość publiczności siedzi, ale część tłoczy się w głębi przy niewielkim barze, za którym stoi Devlin. Dzięki Bogu Lucas został na dole.

Na pomalowanych zieloną farbą ścianach wiszą rzędy ozdobnych żarówek w stylu retro. W powietrzu wciąż unosi się woń stęchlizny. Nietrudno się domyślić, że jeszcze przed paroma tygodniami wszystko było okryte folią malarską.

Na końcu sali znajduje się niewielka scena, na której stoi statyw z mikrofonem. To się dzieje naprawdę. Co ja sobie wyobrażałam?

Konferansjerem jest Gareth, dwudziestokilkuletni redaktor z „The Star”, który przedstawił mi się wcześniej. Produkuje się, żeby zapełnić przerwę, i wzdycha z ulgą, kiedy pojawia się w drzwiach.

– Georgina? – mówi. – Georgina! Proszę o brawa dla Georginy, która wystąpi dzisiaj jako ostatnia.

Wchodzę na scenę i rozprostowuję dwie kartki papieru, omiatając wzrokiem widownię. Ludzie wiercą się na krzesłach i rozmawiają półgłosem. Dostrzegam również jurorów – kobietę i dwóch mężczyzn – siedzących niczym trzy mądre sowy. I owszem, jest wśród nich pan Keith. No to wszystko jasne. Nie mam nic do stracenia.

Otwieram usta, żeby odchrząknąć, i czuję na sobie wyczekujące spojrzenia publiczności.

– No to cześć... Ojej!

Przerywam, kiedy mikrofon sprzęga, wydając przenikliwy pisk.

– Cofnij się troszeczkę! – woła Gareth. – O, wystarczy.

– Wybaczcie... Może słyszeliście o czymś takim jak test kelnera? Otóż istnieje teoria, która głosi, że nie warto zadawać się z kimś, kto źle traktuje obsługujących go ludzi. Kiedy idziecie z kimś na randkę, nie oceniacie go na podstawie tego, jak odnosi się do was. Wiem, o czym mówię, bo pracowałam jako kelnerka i barmanka, roznosiłam drinki na bankietach, a przez krótki i bardzo zły czas byłam nawet hostessą w nocnym klubie... Tak, wiem, jak to brzmi, ale nic z tych rzeczy, chociaż niewiele brakowało.

Omiatam wzrokiem publiczność. Niemalże czuję duchowe wsparcie ze strony tych, którzy mnie znają, podczas gdy inni przyglądają mi się z chłodnym zainteresowaniem.

– Dwa lata temu pracowałam w pewnej uroczej knajpcie z żyrandolami, tapetami w złociste kwiaty i różowymi lodówkami. Serwowano tam Kir Royal, sałatkę z kurczakiem i tak wielkie kawałki ciasta czekoladowego, że na dobrą sprawę można było nie zamawiać tej sałatki. Największy ruch mieli popołudniami, w porze podwieczorku. Tuż przed świętami do lokalu przyszło kilkanaście kobiet z pobliskiego biurowca. Wszystkie urocze z wyjątkiem tej jednej, o aparycji jędzowatej pogodynki, z fryzurą na boba i ostrym makijażem. I to właśnie ona przywołała mnie do stolika. „Jestem weganką – mówi – i nie jadam potraw mącznych ani cukru, więc co możesz mi zaproponować”? A menu było pełne ciast, kremów, deserów owocowych i kanapek. Chyba oczekiwała ode mnie cudu. Nie miałam pojęcia, co mogłabym jej zaproponować. Ona chyba też się zorientowała. „Spytam kucharza – obiecałam

– chociaż czarno to widzę”, i poszłam do kuchni jak na ścięcie. Mieliśmy przedświąteczne urwanie głowy, prawie cztery tysiące gości z ulicy, a do tego rezerwacje dla dużych grup. W takich momentach, kiedy zjawiasz się w kuchni z jakimś idiotycznym pytaniem, sprawiasz tylko przyjemność kucharzom, którzy mogą się na tobie wyżyć. Powtórzyłam pytanie klientki, a oni wybuchli śmiechem. „Może sobie wydłubać plasterki ogórka z bagietki z tuńczykiem i majonezem”, usłyszałam. Spytałam powtórnie, czy na pewno nie mamy nic do zaoferowania, bo wiedziałam, że klientka nie byłaby usatysfakcjonowana takimi ogórkami. Wtedy szef kuchni wybuchł: „Nawet gdybym miał czas, żeby jej przyrządzić, czego chce, i tak nie mam pojęcia, czego chce, więc kłapa, zarówno dosłownie, jak i w przenośni, pojmujesz?”.

Pulsująca krew dudni mi w uszach, kiedy odrywam wzrok od kartki i zastanawiam się, czy to tylko sen, czy moje słowa rzeczywiście wzbudziły rozbawienie. Mówię dalej z odrobinę większą pewnością siebie.

– ...Nie powiem, brzmiał całkiem przekonująco, ale na niewiele mi się to zdało. Wróciłam na salę i wyjaśniłam klientce najbardziej pojednawczym tonem, na jaki potrafiłam się zdobyć, że bez uprzedniego specjalnego zamówienia niewiele możemy dla niej zrobić, w związku z czym jest nam niezmiernie przykro. Jędzowata pogodynka zaczęła płuć jadem. „To niedopuszczalne”, powiedziała. „W restauracji nie potraficie nic wymyślić? Więc mam iść głodna na firmową imprezę gwiazdkową?” Biadoliła, jakby była dziewczynką z zapalkami, a ja co najmniej Gordonem Ramsayem. A potem pokazała notkę wypisaną kursywą na końcu menu: *Jeżeli nie znaleźliście tego, na co macie ochotę, dajcie znać, a zrobimy wszystko, aby spełnić wasze życzenia!* W tamtym momencie byłam gotowa jej rzucić na talerz cokolwiek, co w mniemaniu tych wszystkich naiwniaków, wariujących na punkcie zdrowego odżywiania, powinno się znaleźć w menu, bo robi dobre wrażenie. Jednak wtedy dałabym zielone światło dla wszelkiej maści cudaków i malkontentów. Odpowiedziałam jedynie, że trafiła na gorący okres, w związku z czym możliwość wyboru jest ograniczona. Uśmiechałam się przy tym, zaciskając zęby, bo już wiedziałam, że mam do czynienia z żelazną damą, która tak łatwo nie da się zbić z tropu. Cała sala słuchała jej krzyków: „Ach, więc to moja wina! Co w takim razie mam zjeść?”. Chciałam poczekać, aż się uspokoi, chociaż wiedziałam, że to nie nastąpi. Nie uprzedziła nas pani o swoich dietetycznych ograniczeniach, wyjaśniłam, dlatego mamy ograniczone możliwości. A ona na to: „Wasze możliwości nie są ograniczone! Nie macie kompletnie nic do zaproponowania! Tak się traktuje wegan? W tych czasach i w ten szczególny dzień? Chciałabym porozmawiać z pani szefem”. Odpowiedziałam, że menedżerki nie ma, bo jest na zwolnieniu lekarskim.

Znowu przerywam i rozglądam się po sali. Szczęśliwym trafem mój wzrok napotyka Rava, który uśmiecha się od ucha do ucha i pokazuje uniesione kciuki.

– W tym momencie reszta towarzystwa przy stoliku zaczęła być wkurzona, bo zamiast przyjmować zamówienia, użerałam się z jedną klientką, która nie mogła zrozumieć, że nie jestem w stanie wyczarować jej orkiszowego risotto na mleku kokosowym, przyprawionego sierocymi łzami. Ogarnięta paniką, spytałam: „To może sałatka ogórkowa?”. Głośno posapując i cmokając z obrażoną miną, łaskawie przystała na moją propozycję. Poszłam do kuchni, gdzie ściągnęłam na siebie gromy, że pozwoliłam komuś zamówić danie spoza menu. Znowu krzyki, ale i tak nikt nie zamierzał kiwnąć palcem. A ja przecież obiecałam jej tę cholerną sałatkę. Kiedy jesteś między młotem a kowadłem, w pewnym momencie musisz wybrać mniejsze zło. W końcu sama zaczęłam siekać te nieszczęsne ogórki, a kucharze potrącali mnie złośliwie, gdy tylko przechodzili obok, rozwścieczeni, że panoszą się na ich terenie. Zaserwowałam moje dzieło, a jędzowata pogodynka spojrzała na mnie, jakbym podała jej rękę, którą właśnie się podtarłam.

Publiczność nagradza mnie salwą śmiechu. Szczerego śmiechu.

– Zostawiła nietkniętą sałatkę. Jej towarzyszki nie dały napiwku i wyszły, zerkając na mnie spode łba. Dwa tygodnie później dostałam wymówienie. Rzekomo z powodu mniejszego ruchu po sezonie i zmniejszenia liczby kelnerów, ale to tylko wymówka, bo tamta klientka wysmażyła skargę na „karygodną postawę kelnerki”. Pracownicy jej firmy regularnie odwiedzają ten lokal i mają tam otwarty rachunek, więc nie ma zmiłuj. Musiałam sprzedać część prezentów gwiazdkowych, żeby opłacić czynsz. Kilka tygodni później widziałam ją na mieście, pożerającą loda miętowego z czekoladą. – Zawieszam głos i kłaniam się lekko. – To by było na tyle.

Rozlegają się gromkie brawa. Schodzę ze sceny i jednym haustem opróżniam kieliszek prosecco. Czuję się zajebista. Kątem oka zerkam w kierunku stolika jurorów i widzę, że nawet pan Keith klaszcze, chociaż bez przekonania.

Zaczepiam rozpromienionego Garetha.

– O to chodziło? – pytam drżącym głosem.

– Jeśli chcesz zająć pierwsze miejsce, to tak.





– Komu teraz? – pytam, stając znów za barem.

Mogłoby się wydawać, że stand-upowy debiut w godzinach pracy narazi mnie na silny stres, ale powrót do nalewania drinków okazuje się doskonałym sposobem na uporanie się ze spadkiem formy po występie.

– Hej, chodź no tu! – Devlin przepycha się między klientami i obejmuje mnie niezgrabnie, wyciągając ręce nad kontuarem. – Nie widziałem, żeby ludzie tak dobrze się bawili od czasu, kiedy wyciekły moje nagie zdjęcia. Luke, ta dziewczyna jest fantastyczna!

Lucas stoi tuż obok, trzymając zgrzewkę butelek z tonikiem, i przyznaje zdawkowym skinieniem głowy. Minę ma cierpką jak trunek, który przyniósł.

– Wygrałaś? – pyta.

– Dowiemy się dopiero po trzeciej turze – wyjaśnia Devlin i spogląda na mnie. – Wystartujesz w pozostałych, prawda?

Wzruszam ramionami i się uśmiecham.

– Mam zamiar, o ile nie dałam plamy za pierwszym razem.

– Daleko ci było do tego.

Lucas zerka na mnie przelotnie i odwraca wzrok. Nagle doświadczam déjà vu. Patrząc na powściągliwy wyraz jego twarzy, przypominam sobie jego spojrzenie, gdy prezentowaliśmy przed klasą nasz wspólny esej zatytułowany *Czy „Wichrowe wzgórza” są historią odkupienia czy rozpaczy?* Nie zapytawszy go o zgodę, przytoczyłam jego słowa, żeby odejść od głównego tematu i wywołać rozbawienie. Jego mina mówiła wtedy: *To naprawdę ty? Tylko dlaczego teraz tak to przeżywam?* Oczywiście Lucas nie wie, kim jestem. Może ludzie przez całe życie zachowują ten sam wyraz twarzy i mają te same tiki, a ja zbyt poważnie się nad tym zastanawiam.

– To była prawdziwa historia czy ją wymyśliłaś? – pyta Devlin, wrywając mnie z rozmyślań i ściągając z powrotem na ziemię.

– Niestety wszystko wydarzyło się naprawdę, chociaż wolałabym, żeby tak nie było.

Wyświechtana anegdota, którą trochę upiększyłam. Problem polega na tym, że niewiele mi pozostaje z życia oprócz licznych anegdot. Nikt nie chce przeżywać katuszy tylko po to, żeby pozostawić po sobie zaprawione goryczą, zabawne wspomnienia jak komik Kenneth Williams.

– Luke, to było o jednej wegance... – zaczyna Devlin, ale Lucas nie ma podzielnej uwagi i ignoruje brata, zajmując się kolejnym klientem, który właśnie podszedł do baru.

Mimo euforii przemyka mi przez myśl: tak wiele by go kosztowało, gdyby okazał mi odrobinę zainteresowania?

– Tutaj jest! – woła Rav, prowadząc za sobą Clem, Jo, Esther i Marka. – Wybrałaś doskonałą historię, George, i opowiedziałas ją z idealnym wyczuciem publiczności.

Wszyscy naraz trajkoczą bezładnie, jak bardzo im się podobało, a ja pławię się w ich pochwałach. Muszę wziąć poprawkę na fakt, że znają mnie osobiście i cieszą się z mojego sukcesu, ale słyszę również autentyczny podziw. Rozpiera mnie radosna duma; nieznanne uczucie, które mogę porównać do promienia słońca po kilku tygodniach deszczowej pogody. Chociaż raz nie wpakowałam się w tarapaty. Świętuję swój małe triumf. Z własnej inicjatywy zrobiłam coś wartościowego. Czuję się... Och, to może zabrzmieć głupio, ale dla odmiany czuję się jak ktoś ważny. W dotychczasowych miejscach pracy zazwyczaj mogłam jedynie liczyć na tożsamość „serdeńka”, „żabci” albo „blond laski”.

Przyjaciele moszczą się w zacisznym boksie; nawet Esther i Mark postanawiają zostać dłużej,

„bo niańka ma zapłacone do dziesiątej”. Wieczór mija spokojnie, ale kiedy napełniam ostatnią z czterech szklanek, na które czeka facet w koszulce z logiem klubu FAC51, otwierają się drzwi i do środka wchodzi Robin.

Ma na sobie granatową kurtkę z szerokim kołnierzem – zapewne nową, bo widzę ją pierwszy raz. Jak zwykle otacza go aura pyszałkowatej beztroski, którą zdecydowanie widzę nie po raz pierwszy. Towarzyszy mu niski, łysiejący mężczyzna w beżowym płaszczu. Na moje oko nadziany gość, ale z tych, co się z tym nie obnoszą. Robin rozgląda się w ten typowy dla siebie sposób: jakby nie zaprzętał sobie głowy ludźmi i oczekiwał, że to inni mają na nim zrobić wrażenie. Emanuje wrodzonym poczuciem wyższości.

Jego wzrok pada na mnie zaledwie parę sekund po tym, jak sama go zauważam, więc nawet nie mam czasu, żeby dać nura pod bar albo czmychnąć na zaplecze.

– Cześć! – Robin szeroko otwiera oczy z zaskoczenia. – Nigdzie jej nie ma, a nagle jest wszędzie. Opanowuję się i wydaję resztę facetowi w koszulce FAC51.

– Cześć.

– Polecali mi tę knajpę – dodaje Robin, jakby się obawiał, że oskarżę go o nękanie.

– No i słusznie – odpowiadam tonem cyborga, dając jasno do zrozumienia, że nie mam ochoty na poufałości. – Czego panowie sobie życzą? – pytam ze sztucznym uśmiechem.

– A więc tak się będziemy traktować, Georgino? Jak obcy? A nawet gorzej, bo nie mam zamiaru przedstawiać się jeszcze raz.

Facet, który przyszedł z Robinem, spogląda na niego, po czym przenosi wzrok na mnie, a ja zaciskam zęby zażenowana nietaktownym zachowaniem mojego byłego.

– Mamy duży wybór piw słodowych – odzywam się, przekładając z ręki do ręki półlitrową szklankę.

Robin wzdycha, odchyła głowę i z dłońmi opartymi na kontuarze zaczyna oglądać plakietki nad kranami nalewaków. Sztynnieją mi plecy. Mniejsza o Keitha, który skalał to miejsce swoją obecnością; teraz odnoszę wrażenie, że Robin też próbuje znaczyć teren. Zachowuje się jak zdobywca.

– Myślę, że skosztuję First Blonde. Wydaje się odpowiednie w tej sytuacji. A ty, Al?

To musi być jego agent. Byłam świadkiem niejednej niemilej wymiany zdań, kiedy Robin trzymał komórkę niczym filiżankę herbaty i dopytywał, czy jego konkurenci zażądali wyższych honorariów.

– To samo – odpowiada Al z zakłopotaną miną.

Nalewam piwo i czekając, aż osiądzie piana, biorę pieniądze i wydaję resztę, a potem stawiam szklanki na kontuarze. Robin wpatruje się we mnie cały czas.

Wypiją kolejkę, może dwie, a potem sobie pójdą, pocieszam się w myślach. Oddycham głęboko. Obsługuję ich z szerokim uśmiechem przyklejonym do twarzy i nie zamierzam go zmieniać, dopóki nie zamkną za sobą drzwi. Stolik, przy którym siedzą moi przyjaciele, siostra i szwagier, znajduje się na przeciwnym końcu sali, więc żadne z nich jeszcze nie zauważyło obecności mojego byłego. Wyjmuję komórkę i piszę esemesa do Jo: *Robin tu jest. Powiedz wszystkim, żeby zachowywali się normalnie, jakbym nie wspominała o nim słowem od czasu naszego rozstania. xx*

A myślałam, że ten wieczór będzie stresujący z zupełnie innego powodu.

Jednak Robin szybko wychyla piwo i wraca do baru po następną kolejkę, trzymając pustą szklankę. Takie tempo nie wróży niczego dobrego. W picciu zawsze był słabym zawodnikiem i nie potrzebował wiele, żeby zalać się w sztok.

– Georgino, to Robin McNee – syczy dyskretnie Kitty. – W zeszłym roku widziałam go w telewizji.

Kitty obsłużyła go za drugim razem, podczas gdy ja udawałam, że jestem pochłonięta bez reszty przepłukiwaniem dozowników do butelek. Robin ani na chwilę nie odrywał ode mnie wzroku i wymownie przewracał oczami.

Kurczę, nie podoba mi się ta komedia. Zachowuje się tak, jakbym go bezlitośnie odtrąciła, a on świata poza mną nie widział.

– Tak, wiem – odpowiadam. – Skąd wiesz, że to on?

– Zupa Idiotów! Ta, ta, ta, tum, tum, tuw, zupa idiotów! – świergocze Kitty, próbując odtworzyć muzyczny motyw przewodni z programu *Dave Show*, w którym Robin jest stałym gościem. – Mój były go uwielbiał. Sześciopak piwa, kebab, *Zupa Idiotów* i nic mi więcej do szczęścia nie potrzeba, mówił.

– Nic dziwnego, że został twoim byłym – mówię z uśmiechem.

– A ty skąd go znasz?

– Jest moją nieodżałowaną pomyłką – wyznaję i gratuluję sobie w myślach odpowiedzi, która jest nieco zwodnicza, ale brzmi szykownie i trafia w samo sedno.

Niestety moje zadowolenie z siebie nie trwa długo.

Robin mówi podniesionym głosem, w którym słychać wyraźnie pijacką swadę. Na jego stoliku stopniowo przybywa szklanek z zaciekami piany, z których sterczą zmięte opakowania po przekąskach, lecz ani myślę ich zabierać. Zawsze miał słabą głowę, więc to, co teraz widzę, zwiastuje nadciągającą katastrofę. Z moich rachunków wynika, że jak dotąd wlał w siebie trzy duże piwa i doprawił je dwoma kieliszkami wódki – cholera, czy *The Wicker* musi serwować mocne alkohole w ozdobnych butelkach, które przyciągają wzrok i stanowią żartobliwe usprawiedliwienie dla picia na umór? A teraz podchodzi do baru po czwartą kolejkę. Nie pozwala robić tego Ałowi, żeby móc mnie nękać.

– Sześć funtów, czterdzieści dwa pensy – mówię, stawiając przed nim szklanki, ze szczerą nadzieją, że już po raz ostatni.

– Jak ci się udało wyłączyć uczucia i postawić mur? – pyta Robin.

Ignoruję go i odwracam się w stronę kasy. Oczywiście mogłabym odpowiedzieć, że niewiele miałam do wyłączania, i kazać mu spadać, ale mówiąc to, sama wpędziłabym się w pułapkę – dałabym mu pretekst, by z jeszcze większym przejęciem odgrywał zbitego psa.

Bo Robin właśnie testuje na mnie swój kolejny numer – nawet jeżeli jeszcze o tym nie wie – i z przyjemnością wciela się w rolę wzgardzonego kochanka.

– Nie jestem Justinem Bieberem, ale zazwyczaj to kobiety zakochują się we mnie, a nie ja w nich – wyznał mi, kiedy byliśmy razem. – To może być dla ciebie ciekawa inspiracja literacka.

Powinłam była odpowiedzieć, że ładnie to ujął, a przy najbliższej okazji wziąć nogi za pas, ale myślałam, że czegoś się od niego nauczę. Jako pisarka i jako zbuntowana indywidualistka. Och, *Horspool*, ty idiotko.

Ponieważ to ja z nim zerwałam, idę o zakład, że czuje się oszołomiony nową sytuacją, w której ktoś inny podjął tę decyzję. Przyznaję, zawsze podświadomie wiedziałam, że prędzej czy później kopnie mnie w tyłek. Nie byłam aż tak głupia ani zaślepiona, aby nie domyślać się, co mnie czeka, kiedy opowiadał mi o moich poprzedniczkach.

– Nie miałabyś ze mnie żadnego pożytku podczas festiwalu w Edynburgu, bo to targowisko komików wysysa ze mnie resztki sił. Nie czułbym się w porządku wobec ciebie. Dajmy sobie na razie wolność, a potem zobaczymy, czy uda nam się zacząć od nowa.

(Tłumacząc na nasze: jedzie sam, bo ma zamiar dobrać się do majątek pewnej małej pyskatej Amerykance i obniżyć koszty pobytu w hotelu na Starym Mieście, a trzy tygodnie to sporo kasy, kiedy musisz wynająć pokój w takim miejscu. Ale jeśli po powrocie do Sheffield poczuje się napalony i nie będzie miał nic innego do roboty, zawsze może się do mnie odezwać. Jej to pasuje, naprawdę nie ma nic przeciwko).

A teraz, kiedy go ubiegłam, wyolbrzymia tę przykrą niespodziankę do rozmiarów zawodu miłosnego.

– Nie mogę oderwać od ciebie wzroku – mówi półgłosem, kiedy wydaję mu resztę.

Na krótką chwilę irytacja bierze górę i opuszczam maskę uprzejmości.

– Bardziej się postaraj – warczę.

Dopiero teraz zauważam Lucasa, który od jakiegoś czasu stoi tuż obok. Mógł usłyszeć naszą wymianę zdań. W myślach przeklinam Robina.

– Wszystko w porządku? – zwraca się do mnie Lucas.

– Tak – odpowiadam błyskawicznie.

Wkurza mnie, że gdyby Robin był kobietą, jego zachowanie można by uznać za przejaw niestabilności emocjonalnej. Ale jako mężczyzna i do tego artysta odgrywa szlachetne cierpienie.

Tragiczny monodram o rozpaczy nad złamanym sercem.

– Czym mogę służyć? – odzywam się, gdy przy barze staje kolejny klient.

Robin wraca do stolika i widzę, jak podchodzi do niego facet w koszulce FAC51 w towarzystwie kolegi. O nie... Wspólne selfie? Autografy na podkładkach do piwa? Jowialne poklepywanie po plecach i uściski dłoni?

– Oni też rozpoznali Robina McNee – szepcze podekscytowana Kitty. – Lucas, wiesz, kto to jest?

– Obawiam się, że nie – odpowiada Lucas i zerka na mnie.

Teraz już nie mam wątpliwości, że podsłuchał moją rozmowę z Robinem.

Pięć minut później Robin wstaje i zataczając się, idzie po piątą kolejkę, napuszony po niedawnym pokazie gwiazdorskiej popularności. Kiedy nalewam mu piwo, teatralnym gestem opiera się o kontuar i kładzie podbródek na dłoni.

– George, och George. Daj się zaprosić na drinka, o nic więcej cię nie proszę. Tylko ten jeden raz, to mi wystarczy. Jeśli po naszej rozmowie nie zmienisz zdania, już więcej nie będę zwracał ci głowy. Masz moje słowo.

Kitty, która słyszy jego bełkotliwe błagania, rozdziawia ze zdumienia wyszminkowane usta.

– Możesz go obsłużyć? – szepczę do niej, odstawiając szklanekę. – Muszę do toalety.

Gdy tylko wracam, zasypuje mnie pytaniami.

– Robin McNee chciał się z tobą umówić? A ty go spławiłaś?

– No.

– Naprawdę nie dasz się skusić?

– Nie.

– Nie jest w twoim typie?

Kątem oka dostrzegam, że Robin znowu wstaje. Gdy ryzykuję spojrzenie w jego stronę, widzę, jak wywleka krzesło na środek sali i wspina się na nie.

Zamorduję go. Boże, pomóż mi, bo zaraz poleje się krew.

– Panie i panowie, czy mogę prosić o uwagę? – przemawia Robin.

Z trudem utrzymuje równowagę i wymachuje rękami jak zdesperowany autostopowicz, który usiłuje zwrócić na siebie uwagę przejeżdżających kierowców. Czuję wzbierające oburzenie; powinnam się otrząsnąć z odrętwienia i coś zrobić. Tylko co? Zerkam na Kitty. Jest oczarowana.

Wszystkie rozmowy natychmiast cichną.

– Dziękuję. Potrzebuję waszej pomocy...

Z kuchni wychodzi Lucas z telefonem w ręku i staje jak wryty na widok pijanego gościa, który urządza stand-up. Robi mi się niedobrze. Mam ochotę podbiec do Robina, nawrzeszczeć na niego i zmusić go, żeby zszedł z krzesła. Ale nie mogę sobie pozwolić na udział w jego przedstawieniu. Gdybym zaczęła się z nim szarpać, mógłby powtórzyć się incydent z Thorem, tyle że bez młota i peleryny. Jedna przepychanka z klientem może być pechowym zbiegiem okoliczności, dwie to nierozważny wybryk.

– Ta niesamowita kobieta ma na imię Georgina. – Robin wskazuje mnie palcem i wszystkie głowy obracają się w moją stronę. – Czyż nie jest piękna?

– Tak! – krzyczy piskliwie Kitty, ale gdy zauważa, jak z dezaprobatą kręcę głową, dodaje: – Przepraszam.

– Dosyć tego – zwracam się do Robina z usilnie tłumioną złością. Staram się nie podnosić zbyt głośno. – Nie żartuję. Zejdź z krzesła.

Ogarnia mnie ten rodzaj bezradności, którego rzadko doświadczamy, kiedy nie jesteśmy już dziećmi. Jak wtedy, gdy miałam siedem lat i na ulicy w centrum miasta wypuściłam napełniony helem balon w kształcie rekina. Patrzyłam, jak odlatuje unoszony prądami powietrza, i bardzo pragnęłam uwierzyć, że jakimś cudem o coś zahaczy i będę mogła go odzyskać. A jednak wiedziałam, że za chwilę na zawsze zniknie mi z oczu. Robin jest właśnie takim pieprzonym balonem, tylko że teraz popatrzyłabym z przyjemnością, jak smaży się na linii wysokiego napięcia.

– Szanowni klienci The Wicker – ciągnie Robin. – Potrzebuję waszego poparcia.

Nie przypominam sobie, aby Robin kiedykolwiek upodabniał się aż tak bardzo do postaci

z serialu *Czarna Żmija*. A może wyparłam to z pamięci jak wiele innych rzeczy.

– Otóż ja i ta niesamowita kobieta spędziłyśmy ze sobą sześć cudownych miesięcy. Wszystko zniszczyłem, gdy w zeszłym tygodniu poszedłem do łóżka z moją asystentką. Georgina przyłapała nas razem. Na gorącym uczynku. In flagranti delicto.

Jestem tak zażenowana, że spuszcza głowę, żeby przypadkiem nie napotkać czyjegós spojrzenia. Skończony skurwiel z tego Robina. Musi być teraz w swoim żywiole. Lucas przygląda mi się ze zmarszczonym czołem, jakby pytał: Co powinienem zrobić?

Boże, co za masakra.

Zerkam w stronę boksu, w którym siedzą moi goście i przyglądają się zająsci, szeroko otwierając usta ze zdumienia. Tego wieczoru załapali się na dwa przedstawienia w cenie jednego.

Przez salę przetaczają się pomruki i słyszę stłumione parsknięcie śmiechu. Al trzyma komórkę w uniesionej ręce i szczerzy zęby z głupkowatą miną. Jezu, czy on filmuje?

– Jakkolwiek nikczemny był ów postępek, nie przywiązywałem do niego większej wagi. I pal sześć, że posunęliśmy się do wiązania i karmienia lodami jak w niskobudżetowej wersji *Dziewięć i pół tygodnia*. Wyznam wam w sekrecie, że mnie zwykle wystarcza dziewięć i pół minuty.

Rozlegają się śmiechy i szmer rozbawienia. Niech go szlag.

– Jest mi wstyd, bo przez swoją głupotę naraziłem na szwank swój związek z Georginą. Nie boję się przyznać do błędu i błagam o wybaczenie. – Robin obraca się w moją stronę, podczas gdy Al, który wciąż trzyma komórkę w drżących rękach, robi ujęcie panoramiczne, podążając za jego ruchem.

– Georgino, Kocham cię...

Jego wyznanie wywołuje falę głośnych westchnień. Co jest, do cholery? Czy oni naprawdę nie potrafią odróżnić horroru od komedii romantycznej?

– Błagałem ją, żeby wróciła, ale na próżno. Czy ktoś z was zechce mi pomóc i spróbuje ją przekonać? Uważacie, że powinna dać jeszcze jedną szansę mężczyźnie, który jest gotów tak się dla niej poświęcić? Jeżeli tak, ręce w górę, proszę.

Zapada cisza i po krótkiej chwili wszyscy unoszą ręce. Znaczą wszyscy oprócz mnie oraz moich przyjaciół i rodziny. I oprócz Lucasa.

– Dziękuję wam! Dziękuję! – krzyczy Robin. – Jesteście wspaniali! Patrz na nich, Georgino!

Patrzę na Kitty, która trzyma rękę w górze i szczerzy się od ucha do ucha.

– I co teraz powiesz? Dasz się zaprosić na drinka? Tylko ten jeden raz?

Kręcę głową, a przez salę przetacza się pełne dezaprobaty buczenie.

– Może chociaż to przemyślisz? – Robin składa dłonie jak do modlitwy.

Czy jeśli ustąpię, zostawi mnie wreszcie w spokoju?

– Dobrze, przemyślę to – odpowiadam z kamienną miną.

Czuję się jak za dawnych czasów, kiedy akceptuję swój los z obojętnością i zachowuję się tak, jakby słowa kierowane pod moim adresem nie robiły na mnie najmniejszego wrażenia. Boże, jak ja nienawidzę tak się czuć.

– Hura! – Robin unosi i opuszcza pięść w triumfalnym geście.

Cieszy się ze swojego osiągnięcia tylko dlatego, że ma publiczność. Jeśli uważa, że publiczne upokorzenie, jako narzędzie presji, zdoła mnie złamać, życzę powodzenia. Wszyscy obecni już wiedzą, że przyłapałam go w łóżku z inną kobietą. To on zawinił, więc dlaczego ja czuję się bardzo obnażona? Robin próbuje mnie pociągnąć za sobą na dno. Do tej pory byłam tutaj po prostu sobą, a teraz jestem dla wszystkich tą kobietą, której Robin McNee przyprawił rogi. Czuję się nieczysta, skalana jego słowami.

– Nie wiem, jak wam dziękować – zwraca się Robin do swojej publiczności.

Nie zważając, że krzesło, na którym stoi, chwieje się złowieszczo pod jego nogami, kłania się nisko i zeskakuje na podłogę.

Rozlegają się gromkie brawa.

– No dawaj, Georgino! – krzyczy jakiś facet i gwizdże.

Po chwili salę wypełnia na nowo gwar rozmów, tymczasem Robin podchodzi do baru rozochocony swoim sukcesem.

– No i masz. Taka jest wola ludu, jak brexit.

– Spadaj – syczę przez zęby, uśmiechając się jak lalka brzuchomówcy, żeby zachować pozory.  
– Jak śmiesz...

Naszą rozmowę przerywa Lucas, który staje obok Robina i klepie go w ramię.

– Mógłbym cię prosić, żebyś wyszedł?

– Jakim prawem? – pyta oburzony Robin. – Kim jesteś?

– Właścicielem tego lokalu.

– Dlaczego mnie wyrzucasz?

– Bo przeszkadzasz innym klientom.

– Nie wyglądali na niezadowolonych.

– Tutaj nie ma demokracji, tylko moja łaskawa dyktatura. Żegnam.

– Jeśli mogę coś ci doradzić. – Robin nie daje za wygraną. – Powinieneś spojrzeć na tę sytuację z szerszej perspektywy. Tutaj ważą się losy wielkiej miłości, a ty możesz odegrać w tej historii ważną rolę. Niekoniecznie bezdusznego szynkarza.

– Myślę, że pomyliłeś mój pub z portalem randkowym.

Lucas odprowadza Robina do stolika i podaje mu kurtkę przewieszoną przez oparcie krzesła. Potem szybkim ruchem podnosi z blatu komórkę Ala.

– Mógłbyś usunąć film, który nakręciłeś? – mówi.

– Mam prawo filmować, co mi się podoba! – zaperza się Al.

– Ale nie w tym lokalu bez mojej zgody, chyba że chcesz zapłacić grzywnę. No więc jak, płacisz czy usuwasz?

Al posapuje ze złością i przeklina pod nosem, ale wyciąga rękę po telefon i zaczyna przesuwac palcem po ekranie. Lucas zerka mu przez ramię i z satysfakcją kiwa głową, a potem we trzech ruszają w stronę drzwi.

– Chwileczkę, przepraszam! – Gareth z „The Star” zatrzymuje ich w pół drogi. – Robin McNee, prawda? Może chciałbyś wziąć udział w naszym konkursie? Mógłbyś pomóc jurorom!

Wymachuje Robinowi przed nosem ulotką. Ten bierze ją i omiata wzrokiem.

O nie.

– A może chciałbyś wystąpić w przyszłym tygodniu? – ciągnie Gareth. – Pierwszy etap ci umknął, ale nie ma sprawy... Pełny luz, blisko do baru, coś w stylu „mikrofon dla każdego”. Jestem pewien, że zrobisz wielką furorę.

Boże, jak on się mizdrzy.

– Tutaj? Jakie jest honorarium? – wtrąca Al, krzywiąc się z dezaprobatą. – Wiesz, z kim rozmawiasz?

– Przepraszam, ale ci panowie właśnie wychodzą – oświadcza Lucas, po czym bezceremonialnie wypycha Robina i jego agenta za drzwi.

– Ten facet jest nominowany do edynburskiej nagrody komediowej Perriera! – naskakuje na niego Gareth. – Świetnie się zapowiada.

– Może się zapowiadać, gdzie tylko zechce, byle nie w moim pubie – odpowiada Lucas.

Dziennikarz kręci głową z rezygnacją.

Targają mną sprzeczne uczucia. Z jednej strony mam wyrzuty sumienia za ten incydent, który nie przysłużył się reputacji firmy, a z drugiej jestem wdzięczna Lucasowi za wybawienie mnie z opresji, chociaż odnoszę wrażenie, że nie czuje do mnie nic oprócz mieszanki niesmaku i politowania.

Moi przyjaciele i siostra z mężem, którzy ze swojego stolika w głębi sali nie widzieli, co zaszło przy drzwiach, za to ich uwadze nie uszło wystąpienie Robina, postanawiają wymknąć się taktownie, żeby oszczędzić mi skrępowania.

– Trzeba było go zakrzyczyć i zrzucić z tego krzesła – mówi Clem. – Ale Jo powiedziała, że nie chciałabyś takiej zadymy.

Przygnębiona kiwam głową.

Esther i Mark zastanawiają się, jak zareagować. Żałuję, że nie przerwałam Robinowi, że nie rzuciłam się na niego z krzykiem i nie stłukłam na krwawą miazgę. Tego wieczoru próbowałam zrobić coś twórczego i śmiałego, ale ten upokarzający incydent zniweczył moje wysiłki.

Kiedy wychodzą ostatni goście, zabieram się za mycie podłogi i widzę zamieszczony na tablicy ogłoszeń temat kolejnego etapu konkursu *Podziel się swoim wstydem: Twoja najgorsza randka*.

Rozpadało się i Lucas, który poszedł wynieść śmieci, wraca przemoczony. Strząsa krople deszczu z czarnych włosów i odciąga ciężki od wody podkoszulek, który bezwładnie opada, przywierając z powrotem do ciała. Po wybryku Robina nie jestem w stanie wykrzesać z siebie ani odrobiny namiętności, ale wciąż potrafię się zdobyć na obiektywne uznanie dla męskiej urody. Lucas zauważa, że gapię się na niego, i wskazuje głową na wiszący plakat.

– Ten gość nie ma tu wstępu, więc się nie obawiaj.

– Dzięki – mówię. – I dziękuję, że się go pozbyłeś. Wciąż czuję się upokorzona. I wściekła. Ale przede wszystkim upokorzona.

– Nie masz za co dziękować. Każdy oszołom, który nęka mój personel, automatycznie dostaje szlaban.

Mam ochotę jeszcze raz mu podziękować, ale zabrzmiałoby to idiotycznie, więc nic nie mówię.

– To tylko oszołom, zgadza się? – pyta Lucas z wahaniem, kołyszając kluczami, a Keith kręci się przy jego nogach. – Chyba że jest inaczej, bo szamoczesz się z nim jak Taylor z Burtonem i w przyszłym tygodniu znowu będzie twoim chłopakiem.

– O Boże, nie! – zaprzeczam gorliwie. – Absolutnie nie!

– No dobra.

Najwyraźniej Lucas próbuje mierzyć mnie i człowieka, którego przejrzał na wylot w kilka sekund, tą samą miarą. Nie ulega wątpliwości, że tracę w jego oczach. Ogarnia mnie rezygnacja. We własnych oczach też tracę.



Dzięki pracy w branży usług gastronomicznych tak bardzo przywykłam do skwierczącej od napięcia atmosfery pożądania i lubieżnej napastliwości, że nauczyłam się nie zwracać na nią uwagi, podobnie jak na szum klimatyzatorów, który dobiega nieustannie z pobliskiej fermy larw. Ale dopiero w The Wicker przekonałam się, że mężczyźni też mogą być obiektem niewybrednych zalotów. Lucas McCarthy bardzo szybko zaczął wzbudzać zainteresowanie żeńskiej klienteli. Niektórym facetom też zapewne wpadł w oko, ale ci nie zachowywali się tak ostentacyjnie.

Tymczasem kobiety podsuwają mu numery telefonu zapisane na podkładkach do piwa albo, kompletnie naprute, składają mu niedwuznaczne propozycje, kiedy bar pustoszeje przed zamknięciem. Przychodzą w grupach, szepczące i rozchichotane, i roztańczają silną woń wody toaletowej Jo Malone. Starają się zająć konkretny stół, aby mieć najlepszy widok. Wciąż wypytują Kitty i mnie, kim jest ten przystojny brunet i czy ma dziewczynę. Dowiadują się, czy będzie pracował tego wieczoru, a gdy odpowiadam przecząco, natychmiast markotnieją zawiedzione.

Jeżeli Lucas coś zauważa, nie daje nic po sobie poznać, a jego poważna i opanowana postawa jest barierą nie do pokonania dla wszystkich umizgujących się dziewczyn. Na otwarte propozycje reaguje wzruszeniem ramion i uśmiechem, zbywając je żartobliwym: „Nie dostanę aż tyle wolnego. Jeszcze kolejkę?”.

Dzisiejszego wieczoru znowu jest pod ostrzałem, gdy stoi na końcu baru przywróconego do dawnej świetności wysiłkiem muskularnych męskich rąk, które oszlifowały toporne kanciaste fryzy i stworzyły bogactwo urokliwych ornamentów.

Nie można tego samego powiedzieć o dwóch trzydziestolatkach, które, mogłabym przysiąc, potajemnie strzelały mu fotki. Zdjęcia Lucasa robią furorę w grupach na WhatsAppie, opatrzone oblizującymi się emotkami, a on o niczym nie ma pojęcia. Poczuję się do chronienia go, co niewątpliwie wynika z mojej empatii – sama aż nazbyt dobrze wiem, jakie to uczucie, kiedy podszczypuje cię jakiś obleśny podstarzały typek.

Któregoś dnia w środku tygodnia, kiedy kończymy pracę, Lucas schodzi na dół z lekko wilgotnymi po prysznicu włosami, otwiera butelkę piwa i pociąga łyk.

– Twój adorator odzywał się do ciebie od soboty? – pyta, wskazując głową plakat *Podziel się swoim wstydem*. – Nie chcę wydawać się wścibski.

Natychmiast ogarnia mnie zakłopotanie.

– Nie, dzięki Bogu – mamroczę.

Okazuje się, że Lucas jednak nie pozostaje obojętny na moje problemy, chociaż nie jestem do końca pewna, czy powinnam się z tego cieszyć, czy wręcz przeciwnie. Dzień po tym żenującym incydencie przyjaciele podnosili mnie na duchu telefonami i esemesami, których motywem przewodnim było „Pieprzyć go”. Jo zdobyła się na szczere wyznanie:

– A już myślałam, że tylko ja mam przeprawy z Philem.

– Ty to masz szczęście do facetów – zawyrokowała Esther w typowy dla siebie sposób, ale potem dodała bardziej życzliwym tonem: – Odezwij się, jeśli będziesz chciała porozmawiać. Nikt nie będzie tak traktował mojej siostry.

Jestem jej wdzięczna, nawet jeżeli tylko mówi tak przez uprzejmość.

Bardziej łudzę się nadzieją, niż wierzę, że milczenie Robina okaże się trwałym stanem rzeczy.

– Nie chcę wywoływać wilka z lasu, ale mam złe przeczucia co do niego – dodaje Lucas.

– Ha, no tak. Obyś się mylił.



Lucas milczy, czekając, aż powiem coś więcej. Uświadamiam sobie, że okazuje w ten sposób przyjazne nastawienie, a prawdopodobnie również próbuje mnie lepiej poznać.

– Jeszcze raz ci dziękuję, że tak szybko go wykopałeś – mówię. – On jest potwornie złośliwy. Robi podłe rzeczy i niczym się nie przejmuję. Odgrywa komedię, nawet jeżeli konsekwencje jego błazeństw wcale nie są śmieszne. Ale chyba tacy właśnie są komicy.

Lucas wyraźnie się rozluźnia.

– Tak, doszedłem do podobnego wniosku – mówi. – Tak, jak powiedziałem mojemu bratu: to była próba uzyskania przewagi pod pozorem wyznania miłości. Facet nachodzi cię w pracy i opowiada publicznie o twoim życiu osobistym. To ewidentny akt agresji.

Przytakuję z ożywieniem, chociaż lekko ściska mnie w dołku na myśl, że tak uroczy człowiek jak Devlin dowiedział się o mojej kompromitacji. Devlin wrócił już z Irlandii i od poniedziałku majstruje przy wyposażeniu kuchni, więc na razie tylko Lucas i ja stoimy za barem.

– Racja – przyznaję. – Nie zależy mi, żebym do niego wróciła. Chce tylko postawić na swoim.

Czuję nieprzyjemny skurcz w żołądku, kiedy przypominam sobie, jak Robin uraczył wszystkich szczegółami swojej schadzki, którą mu przerwałam. Słuchając tego, Lucas musiał sobie pomyśleć, że moje życie osobiste, jak to ujął, jest kompletną porażką.

Chociaż wołałabym, żeby nie był świadkiem wybryku Robina, jestem mu wdzięczna za odpowiedzialną i dojrzałą postawę – w końcu zechciał poświęcić czas, żeby wyrobić sobie własną opinię, a przecież mógł wyciągnąć pochopne wnioski i uznać, że sama jestem sobie winna.

– Nie chcę cię niepokoić, ale twój były nie zrobił na mnie wrażenia kogoś, kto łatwo odpuszcza – mówi Lucas. – Jeżeli dysponuje czymś, co mógłby wykorzystać przeciwko tobie... no cóż. Lepiej, żebyś uprzedziła jego ruch i zagroziła mu pozwem albo połamaniem kości.

Podejrzewam, że ma na myśli nagie zdjęcia, i czuję, jak twarz oblewa mi rumieniec. Lucas odwraca wzrok pod pretekstem zabawy z Keithem i gdy przez dłuższą chwilę unika mojego spojrzenia, nabieram pewności, że chodziło mu o pornograficzną zemstę. Na szczęście Robin i ja jesteśmy odrobinę za starzy, a ja odrobinę zbyt pruderyjna na takie zabawy.

A poza tym zawsze zdawałam sobie sprawę, że Robin jest lekkomyślny i roztrzepany – gdyby komuś zdarzyło się przez przypadek opublikować zdjęcia moich pośladków w koronkowej bieliźnie na WhatsAppie w grupie *Treking Góry Pennińskie: wrzesień*, byłby to właśnie on.

– Nie, Robin nie ma żadnych poufnych ani niecenzuralnych materiałów. Dzięki Bogu nie ciągnie mnie do robienia *belfies*, bo chyba tak się na to mówi.

Lucas krzywi się z niesmakiem.

– Nawet nie znam tego słowa i wolę nie zadawać więcej pytań.

– A jak jest z tą grzywną za filmowanie? – odzywam się po chwili wahania. – To prawda, co powiedziałeś jemu agentowi?

– Nie. Lokal jest terenem prywatnym, ale otwartym dla klientów, więc facet miał prawo filmować. Ale pomyślałem, że wołałabyś, żeby to nie zostało uwiecznione.

– Oczywiście. Ale mówiłeś z takim przekonaniem.

– Tak trzeba robić, żeby ci uwierzyli.

Kolejny raz dziękuję Lucasowi. Bardzo szczerze i z odrobiną podziwu. A jednak zaczynam się zastanawiać, czy w taki sam sposób nie skłonił mnie, żebym w coś mu uwierzyła.

– Dosyć! Nie mogę pracować w takich warunkach! – oświadcza Devlin, przekrzykując Eda Sheerana.

Po wyjściu ostatnich gości porzuca swoją dłubaninę w kuchni, żeby pomóc mi w sprzątanii. Znika na chwilę za barem i salę wypełniają ogłuszające dźwięki *Sweet Child O' Mine* Guns N' Roses.

Dev i ja od razu przypadliśmy sobie do gustu i świetnie się dogadujemy. Obydwoje zdajemy sobie sprawę, że w pracy nie ma miejsca na biadolenie i strzelanie fochów. Kiedy trzeba się zmierzyć z jakimś niewdzięcznym zadaniem, lepiej do niego podejść od pozytywnej strony – narzekanie może jedynie sprawić, że udręka stanie się jeszcze większa.

– Schowaj też mój przysmak! – woła Devlin, kiedy wkładam do lodówki pojemniki z dodatkami do drinków, po czym rzuca w moim kierunku czerwoną pomarańczę.

Chwytam owoc i kładę na barze.

– Łatwizna – mówię. – Następnym razem górą poproszę.

Wiem, że Lucas mnie obserwuje. Wcześniej wpatrywał się w ekran komórki, ale teraz przenosi wzrok na mnie. Czuję mrowienie na skórze.

Robię wyskok i łapię kolejną pomarańczę.

– Niezła jesteś. Niech zgaśnie, na boisku zawsze czaiłaś się pod koszem.

Śmieję się i odbieram jeszcze jedno podanie.

– Poradzicie sobie beze mnie. – Lucas wzdycha, po czym odrywa się od ściany i znika na schodach prowadzących na piętro.

Wycieram stoliki, podczas gdy Devlin opłukuje pod kranem ociekacze, potem wrzuca puste butelki do kubła, a na koniec zabiera się za podliczanie utargu. Wyjmuję ze zmywarki partię kieliszków do wina i ustawiając je na półkach, zbieram się na odwagę i dzielę swoimi spostrzeżeniami na temat różnic w usposobieniu braci McCarthych.

– O tak – przyznaje Dev. – Jestem bardziej rubaszny, ale Luke ma duże poczucie humoru. Bywa bardzo ironiczny. Ironia i groteska to jego specjalność.

– Jasne, ale nie to miałam na myśli – odpowiadam. – Chodziło mi raczej o jego zamknięcie się w sobie. Świetnie mi się z nim pracuje – dodaję pospiesznie w obawie, że mogłabym popsuć nasze stosunki, tak otwarcie krytykując Lucasa.

– I tak nie jest teraz w szczytowej formie.

– Nie...? – pytam ostrożnie.

Devlin pociąga łyk kranówki ze szklanki do piwa.

– Nie – mówi, kręcąc głową. – Nie po takich przejściach.

Absolutnie nie podejrzewam Devlina o złe zamiary, ale odnoszę wrażenie, że nie grzeszy dyskrecją, co może doprowadzić do kolejnych tarć między braćmi. Zwłaszcza że ten młodszy jest tajemniczy jak ucieleśnienie zagadki Sfinksa.

Teraz już nie mogę powstrzymać ciekawości i muszę go spytać. Zwłaszcza że czuję się do tego jawnie sprowokowana.

– Przejściach...?

– Ze swoją żoną – wyjaśnia Devlin.

Słowo *żona* przyprawia mnie o zamroczenie jak cios między oczy. Lucas i żona? Ten chłopak w wyblakłym podkoszulku i glanach, który pisał ze mną wypracowanie, nie może mieć żony!

To doprawdy zdumiewające, szczególnie mając na uwadze atrakcyjność Lucasa, ale do tej chwili w ogóle nie dopuszczałam myśli, że może być z kimś związany. Kiedy pojawił się na nowo w moim życiu, nie towarzyszyła mu żadna kobieta, dlatego wysłałam z założenia... Pobożne życzenie? Sama nie wiem.

Owszem, przez jakiś czas podejrzewałam, że do pubu wkroczy dumnie jakaś zjawiskowa istota o hebanowych włosach i ze szkockim akcentem zapyta o Lucasa, a potem pójdzie na górę jak ktoś, kto jest u siebie i nie musi pukać do drzwi. Myślałam nawet, że potem Lucas zniknie na czterdzieści osiem godzin, a ja długo będę starała się o tym nie myśleć. Ale nie żona. Aż tak bardzo nie poniosła mnie fantazja.

– Twój brat jest żonaty? – pytam i mam nadzieję, że mój głos brzmi swobodnie.

Nie widziałam u niego obrączki.

– No cóż, był. Jest wdowcem. Jego żona zmarła.

Bezgłośnie otwieram i zamykam usta.

– W zeszłym roku. To się stało tak nagle. Guz mózgu. Zaledwie osiem tygodni po diagnozie.

– Devlin kręci głową. – Lucas nie jest zbyt wylewny, więc trudno powiedzieć, co przeżywa. Nalegałam na kupno tego lokalu, bo pomyślałam, że przyda mu się jakaś odskocznia; coś, co odwróci jego uwagę. Nigdy nie podobało mu się w Sheffield, więc byłem zaskoczony, kiedy się zgodził.

– Bardzo mi przykro. Nie wiedziałam.

– Tylko się nie wygadaj, dobrze? – zastrzega Devlin. – Lucas nie jest skory do zwierzeń, a ja chyba nie powinienem był o tym mówić.

– Oczywiście, bez obaw.

Cały czas staram się bardzo skrupulatnie ukrywać moje zainteresowanie Lucasem przed jego bratem – i w zasadzie przed wszystkimi – ale jedna rzecz intryguje mnie tak bardzo, że nie mogę się opanować.

– Jak miała na imię? – pytam. – Znaczy jego żona?

– Niamh. Nazwaliśmy tak naszą córkę na jej cześć. Wiesz, wymawia się *Niv*, ale gaelicka pisownia jest taka zwariowana.

– Pięknie.

Devlin przytakuje i uśmiecha się smutno.

Nie potrafię na niczym się skupić, a kiedy idę do taksówki, w głowie mam kompletny chaos. Jest mi potwornie głupio na myśl o tym, co przeżywałam, kiedy Lucas mnie nie rozpoznał. Bolała mnie moja urażona duma. Pękło mi serce, kiedy odkryłam, jak łatwo udało mu się zapomnieć o tym, co dla mnie było takie ważne. Czułam się, jakbym sobie zasłużyła na cierpienie. Teraz uświadamiam sobie swoje zachowanie. Jestem taka małostkowa, zapatrzona w siebie i żałosna.

Oczekiwałam, że Lucas będzie się przejmował dziewczyną, z którą migdalił się w ostatniej klasie. Tymczasem on przeżywał stratę miłości swojego życia.

Tak jak przypuszczałam, jest piękną kobietą. Znaczy: była.

Patrzę w głęboko osadzone brązowe oczy Niamh, kiedy przyglądam się, jak wypoczywa na wakacjach, bawi się na weselach i udaje zaskoczenie, otwierając prezent na firmowych mikołajkach. Nie znałam jej, a mimo to nie mogę uwierzyć, że odeszła. Nie żeby śmierć była łatwa do zaakceptowania, ale ekscytujące i swobodne życie pozagrobowe, jakie zyskujemy dzięki technologii cyfrowej, czyni ją jeszcze bardziej niepojętą. Ojciec nie byłby tym zachwycony.

Nie zwlekając, zaczęłam szukać Niamh w sieci.

Po powrocie do domu przeczytałam najnowszy liścik miłosny od Karen:

- Chlebek naan czosnkowy (1) – brak;
- Sos sojowy – ¼ butelki zużyta + uszkodzona nakrętka;
- Płatki owsiane – opakowanie jest dziwnie wilgotne: jakieś pomysły?

Mam całe mnóstwo pomysłów, Karen. Między innymi na twoje przypadkowe samounicestwienie podczas przyrządzania jagodowych tartinek.

Poszłam do swojego pokoju, usadowiłam się na łóżku z laptopem na kolanach i zalogowałam się na Facebooku, żeby odszukać Niamh McCarthy – nawet jej imię i nazwisko mają urzekająco melodyjne brzmienie.

Od razu znalazłam publiczny profil poświęcony jej pamięci. Mogłam przeglądać wszystkie posty i czytać wpisy żałobników. Jak przypuszczałam, Lucas nie udziela się w sieci, ponieważ nie został oznaczony w tagach. Nie było go również na żadnym z licznych zdjęć, co wydało mi się trochę dziwne.

Jednak nie trafiłam na inną Niamh, czego jestem całkowicie pewna – nie tylko daty się zgadzają, ale od czasu do czasu ktoś wspomina mimochodem o Lucasie, zapewniając, że modli się za niego i takie tam.

Zmarła żona Lucasa miała wydatne kości policzkowe, a jej usta z wyraźnie zarysowanym łukiem Kupidyna nieustannie rozchyłały się w uśmiechu rozbawienia. Na zdjęciu profilowym, uchwycona z nienacka podczas jakiejś aktywności na świeżym powietrzu, śmieje się radośnie, a kosmyki rozwianych ciemnobrązowych włosów smagają jej zarumienioną twarz. Przeglądam obszerną galerię zafascynowana i podekscytowana jak podglądaczka. Kiedy patrzę na fotografię z dosyć ciemnym tłem, widzę w monitorze laptopa własne odbicie. Wyglądam jak majaczące widmo. To ja, Katy...

Osiem tygodni śmiertelnej choroby. Lucas wciąż musi być wstrząśnięty. Nie potrafię sobie wyobrazić, co przeżywa.

O śmierci taty dowiedziałam się od Esther, która zadzwoniła do mnie, stojąc przed szpitalem Royal Hallamshire. Odebrałam telefon w bibliotece uniwersyteckiej i raz po raz powtarzałam „Co?”, bo

moja siostra zakomunikowała mi coś tak koszmarnego i niewyobrażalnego, że nie potrafiłam tego pojąć. Jak mi później wyznała, początkowo miała zamiar powiedzieć, że tato jest w stanie krytycznym. Nie chciała, żebym była sama, kiedy dotrze do mnie ta tragiczna wiadomość, ale nie potrafiła znieść myśli, że mogłaby obudzić we mnie złudną nadzieję. Nie pamiętam, jak wracałam pociągiem do domu z Newcastle. Jednak pożegnanie rodziców na zawsze jest inne. Podświadomie jesteśmy na to przygotowani. Strata partnera tuż po trzydziestce zawsze jest zaskoczeniem.

Niamh, jak informuje jeden z wpisów, była „lekarką za dnia, poetką w nocy”. Urodziła się w Galway, mieszkała w Dublinie. Żyła trzydzieści trzy lata. Na jednym ze zdjęć głaszcze Keitha. Z komentarzy pod spodem wynika, że był miłością jej życia.

Nie widać po niej oznak choroby. Domyślam się, że jej choroba nie trwała długo.

Na zdjęciu z Berlina trzyma kufel piwa i wyciąga do obiektywu uniesiony kciuk. Jest ubrana w kwiecistą sukienkę na ramiączkach, ma zaczesane do tyłu włosy i przechyla głowę na bok. Nagłówek głosi: *Ślub Tary i Terry'ego*. Pozując z niemowlęciem na rękach, przyciska wyszminkowane usta do pucołowatego policzka. Opis: *Rupert już się zakochał w cioci Niamh*. Na zdjęciu zatytułowanym *Ale będzie wyżerka* jej wysoka, szczupła sylwetka wyróżnia się z grupy uśmiechniętych ludzi, którzy pochylają się nad półmiskiem z jagnięcymi szaszłykami.

Dlaczego nigdzie nie widać Lucasa? Czyżby nie lubił stać przed obiektywem? Nie sądzę, aby wychodził na zdjęciach niekorzystnie.

Zaraz... ukrył się w galerii o nazwie @ *Dun Laoghaire* – mam go! Czuję gwałtowny skurcz w żołądku na widok Lucasa rozluźnionego w domowych pieleszach, co wydaje się niedorzeczną reakcją, bo przecież wcale mi na nim nie zależy. I vice versa.

Lucas siedzi na sofie z rękami rozłożonymi na oparciu i patrzy w obiektyw. Nieco archaiczna, pluszowa tapicerka w brzoskwiowym kolorze pozwala się domyślać, że jest w domu rodziców lub nawet dziadków. Niamh w pasiastym podkoszulku i džinsach siedzi obok niego ze skrzyżowanymi nogami i uśmiecha się promiennie. Twarz Lucasa wyraża uprzejmą aprobatę, ale dostrzegam w niej jakiś utajony żal. Doświadczam dziwnej telepatii. Jak dawniej, kiedy mieliśmy po osiemnaście lat i wydawało mi się, że potrafię czytać w jego myślach. Ha, ha, z nas dwojga tylko ja miałam taką moc, przypominam sobie.

Boże, ale on jest olśniewający. Czuję się niemal rozdrażniona, bo to ja pierwsza zwróciłam uwagę na delikatny blask jego skóry, głęboką czerń włosów i przenikliwość spojrzenia. To tak, jakby kultowy zespół, który kiedyś uwielbiałam, okupował teraz pierwsze miejsca na listach przebojów, a mój status wiernej fanki rozplynął się w morzu uwielbienia innych.

Całkiem możliwe, że Lucas musiał opuścić Irlandię, bo gdy niespodziewanie stał się samotny i był pogrążony w żałobie, nie mógł się opędzić od pocieszycielek. Dowiedziawszy się o tej straszliwej tragedii, całkowicie zrewidowałam mój niedawny osąd na temat jego zachowania. I pomyśleć, że miałam czelność go krytykować, bo nie przejawiał radości życia. Wzdrygam się zażenowana własną postawą.

Kiedy czytam o pełnej wigoru, czarującej Niamh, która była światłem jego życia, doświadczam czegoś nienaturalnego. Jest to tak irracjonalne i małoduszne uczucie, że ogarnia mnie niesmak i w końcu przyznaję się przed samą sobą.

Jestem o nią zazdrosna.



*Esther, nie powiedziałaś mamie ani Geoffreyowi o sobotnim wybryku Robina, prawda?*

*Nie. A co?*

*Zaprosili mnie na „kawę i ciastko”, ale mama nie chce mi powiedzieć, z jakiej okazji. Czuję, że zanoszą się na „musimy o czymś porozmawiać”. Gx*

*Ja się nie wygadałam. Wspomniałam tylko, że twój występ był bardzo udany, więc może chcą ci pogratulować.*

*Ha, ha, ha, ha. Jasne. X*

Chowam komórkę do kieszeni, nadal – choć już trochę mniej – zaniepokojona. Mama często suszy mi głowę, ale nigdy nie stara się być tajemnicza.

Geoffrey ubrany w woskowaną kurtkę khaki zauważa mnie i rusza w moją stronę przez ulicę. Jego zacięta stanowcza mina nie wróży niczego dobrego. Nie wygląda to tak, jakby się wybrał na beztruską przechadzkę.

– Cześć! Gdzie mama? – pytam z rezerwą.

Mam nadzieję usłyszeć, że właśnie parkuje samochód, chociaż o ile mi wiadomo, Geoffrey nie pozwoliłby, żeby kobieta go wozila.

– Została w domu.

– Och... Żle się czuje?

– Tak, trochę dokuczają jej pogoda – odpowiada z zakłopotaniem.

O Boże, czyżby się pokłócili? Dlaczego nie odwołali spotkania? Kulę się w sobie na myśl o towarzyskim sam na sam z ojczymem. Miałam nadzieję, że nigdy nie będę musiała przez to przechodzić. Niechętnie idę za nim do kawiarni, starając się, aby mimowolny grymas nie zdradził mojego nastawienia.

Geoffrey pobrzękuje drobnymi w kieszeni i ostentacyjnie wpatruje się w witrynę z ciastkami.

– Co by tu wziąć? Te croissanty wyglądają całkiem apetycznie. A może tarta z kiwi...?

– Hm...

Nie mam specjalnej ochoty na słodczyce, ale czuję, że powinnam okazać dobrą wolę, więc decyduję się na eklera i kawę.

– A ja chyba poprzestanę na herbacie – oświadcza Geoffrey, kiedy mówię mu, co wybrałam.

Wspaniale. Widzę, że niespecjalnie się przykłada do odgrywania swojej roli w tej farsie. Stuka knykciami w oszkloną ladę, żeby złożyć zamówienie, ale znużona kelnerka wyjaśnia mu, że obsłuży nas przy stoliku. W stosunku do obcych Geoffrey nie zachowuje się wprawdzie opryskliwie, lecz zawsze jest trochę zbyt przesadny w gestach. Teraz puszcza do mnie oko jak nastolatek, dając wyraz swojemu zakłopotaniu. Nie mam wątpliwości, że wyłożyłby się na teście kelnera.

W drodze do stolika mijamy faceta po sześćdziesiątce, który je tartę z kremem jajecznym i czyta gazetę. Patrząc na niego, przypominam sobie wspólne wypadki z tatą, ale odgarniam te obrazy, gdy tylko się pojawiają, bo świat, w którym zastąpił go Geoffrey, jest wykoślawiony i już zawsze taki pozostanie. Nie ma sensu rozdrapywać rany, która i tak nigdy się nie zagoi.

Kiedy kelnerka przynosi nasze zamówienie, odgryzam małe kęsy eklera, po czym sięgam po serwetkę i wycierając czekoladę z palców, zastanawiam się, skąd wytrzasnąć temat na półgodzinną rozmowę z ojczymem.

– Czy mama była u lekarza? – zagaduję wreszcie. Geoffrey, który właśnie dmucha na gorącą herbatę, kręci głową. – Mogłabym do niej zajrzeć – proponuję.

– Nie, nie, nie! Nie ma potrzeby. Właściwie cały czas śpi, a do jutra na pewno jej przejdzie.

Z tej nerwowej odpowiedzi wnioskuje, że mamie nic nie dolega. Albo obydwójce zaaranżowali spotkanie w takiej formie, albo Geoffrey sam coś uknuł.

– Jakie ma objawy? – nie odpuszczam.

– Rozstrój żołądka. Trochę to krępujące i raczej wolałaby, żebym o tym nie opowiadała. Daj swojej mamie dzień wolnego od bycia mamą, co?

Oto kwintesencja Geoffreya. Ten człowiek jest tak toksyczny, że mógłby służyć do odstraszenia owadów. Okazuje się, że moja naturalna troska o matkę została odebrana jako przejaw nachalności. Ale przynajmniej nie powiedział, że „wpadła na drzwi”. Zastanawiam się przez chwilę, czy byłby zdolny do przemocy, i dochodzę do wniosku, że w sumie pasują mi do niego tortury psychiczne.

– Dzięki temu mamy okazję nadrobić zaległości – dorzuca fałszywie przymilnym tonem.

Uświadamiam sobie, że dałam się nabrać. Niech jeszcze ktoś powie: „A jednak co nieco was łączy”. Ogarnia mnie złość i staję się przesadnie ostrożna.

– Jak się miewasz? – podejmuje nowy wątek.

– W porządku, dziękuję – mówię zdecydowanie. – A ty?

– Ach, no wiesz, byle do przodu. Nadal pracujesz w tym pubie?

Głupie pytanie. Przecież wie, gdzie pracuję.

– Tak.

– Dobrze ci tam idzie?

– Dobrze, a nawet wspaniale – odpowiadam. – Uwielbiam takie klimaty. Najprawdziwszy wiktoriański zabytek, ale z nowoczesnymi udogodnieniami. I właściciele są w porządku. That's Amore się nie umywa. Jedzenie też smaczne. Zupy, kanapki i tak dalej; postawili na prostotę i trzymają poziom. Żadnych dziwacznych kombinacji, typu tajski bufet plus weneckie przekąski. – Omal nie proponuję, żeby wpadli tam kiedyś razem z mamą i czegoś spróbowali; powstrzymuję się w ostatniej chwili.

– Czy praca w pubie naprawdę może cieszyć? – pyta Geoffrey pochylony nad pasztetem wieprzowym z jajkiem pieczonym w keksówce, jakby uważał, że plotę kompletne bzdury.

Mój gniew przybiera na sile. Spotkania w cztery oczy zawsze wiążą się z ryzykiem, bo nie ma w pobliżu nikogo, kto mógłby obie strony pohamować.

– Owszem, jeżeli dobrze się tam czujesz, a klienci i szefostwo są sympatyczni.

Miesza herbatę i rozgląda się po sali w milczeniu, które ma wyrażać powątpiewanie albo obojętność. Ilekroć jestem w towarzystwie Geoffreya, utwierdzam się w niechęci do niego. Moja antypatia wynika z faktów. Obawiałam się, że jawna wrogość do ojczyma po prostu bardziej mi odpowiada, ponieważ wyraża lojalność wobec taty i czyni mnie bardziej błyskotliwą od siostry – stylowo kontrastuje z jej polityką ustępstw. I że skorzystam z przewagi, którą Esther nazywa „przywilejem młodszego rodzeństwa” – to znaczy, że ona powinna być rozsądna, a ode mnie nikt tego nie oczekuje.

Takie, a nie inne nastawienie nie wzięło się jednak znikąd – mieszanka nadętego lekceważenia i nieskrywanej pogardy w zachowaniu Geoffreya jest skrajnie odpychająca. Kiedy mówię, że nie odnosi się do ludzi opryskliwie, tak naprawdę oceniam to w kontekście jego statusu – jest mężczyzną, z pieniędzmi i w takim wieku, w jakim określony poziom opryskliwości jest akceptowalny i stanowi swego rodzaju uprawnienie społeczne, podobnie jak zniżka na przejazd komunikacją miejską.

– Ale nie zapewnia ci perspektyw na przyszłość, prawda?

– No cóż... kiedyś mogłabym zarządzać lokalem – odpowiadam. – Właściciele pochodzą z Irlandii, więc...

Geoffreya nie interesuje moja odpowiedź.

– Wpadłem na pewien pomysł – wchodzi mi w słowo. – A gdybym tak załatwił ci posadę w swojej dawnej firmie? Praca w sekretariacie. Musiałabyś najpierw zrobić kurs bezwzrokowego

pisania, ale dzięki moim układom na pewno wszystko pójdzie gładko. Kenneth, były wspólnik w firmie, wprowadził tam dwie córki, choć jedna z nich wygląda jak straszycło. Wszędzie ma pełno kolczyków i obrzydliwe tatuaże. Nie wyobrażam sobie, żeby ci odmówili, jeżeli trochę się podciągniesz w zakresie zadań biurowych. Co ty na to? – pyta, lecz gdy tylko otwieram usta, mówi dalej: – Twoja matka uważa, że to fantastyczny pomysł. Kazała mi przekazać, że jak się zdecydujesz, zabierze cię na zakupy. Trzeba ci sprawić trochę nowych ciuchów. – Wskazuje palcem różową kurtkę na oparciu krzesła. – Coś bardziej odpowiedniego dla kobiety, której stuknęła trzydziestka.

A więc to tak. Geoffrey został wysłany z misją, żeby uporządkować mi życie. Czy żaden z elementów tego planu nie wydał się matce kompletnie beznadziejny?

– Mogłoby być tak jak w *Pretty Woman*. – Uśmiecham się słodko, teraz już pewna, że przejrzałam jego zagranie. – Też byłabym wdzięczna, gdyby jakiś bogaty biznesmen wybawił mnie od nędznej egzystencji w półświatku.

Geoffrey robi zaskoczona minę, po czym zdobywa się na przelotny grymas, którym odwzajemnia uśmiech. Zapewne w jego mniemaniu jest całkiem prawdopodobne, że skończę pod latarnią.

– Powinnaś nieco złagodzić swój, hm, anarchistyczny dowcip, kiedy podejmiesz pracę. W firmie nie wszyscy będą cię rozumieć.

Przełykam ślinę i z trudem staram się nie zwracać uwagi na upokarzające obelgi, w które Geoffrey ubrał swoją ofertę.

– To bardzo miłe z twojej strony i na pewno się zastanowię nad tą propozycją – obiecuję.

– Ach, grzecznie mnie spławiasz. Daj spokój, Georgino. Owszem, mam dwa razy więcej lat niż ty, ale to jeszcze nie powód, żebyś traktowała mnie z góry jak stetryczalego pryka.

Nie chcę się kłócić, lecz Geoffrey nie pozostawia mi wyboru. Odsuwam talerzyk z eklerem, bo najwyraźniej fazę udawania mamy już za sobą.

– Jakiej odpowiedzi się spodziewasz? „Tak, dziękuję, lecę zacząć od poniedziałku. Oleję The Wicker, zaraz wyślę im rezygnację esemesem?” Mam zobowiązania i już podjęłam pracę.

– Och, na litość boską, rzeczywiście jesteś niezastąpiona w jakiejś parszywej spelunie! Na pewno twój szef zacznie przeczesywać Yorkshire w poszukiwaniu innego wyjątkowego osobnika z przeciwnymi kciukami, który umie postawić szklankę na blacie i liczyć monety. To będzie jak nabór do talent show, ha, ha, ha!

Krew już od dawna się we mnie gotuje, teraz zaczyna kipieć. Jak on, kurwa, śmie?

– Mam pomysł – ripostuję. – Może zaczniesz mnie traktować z szacunkiem jak inteligentną dorosłą kobietę, a ja spróbuję to odwzajemnić i zobaczymy, co z tego wyjdzie?

– Problem w tym, moja droga, że sama nie traktujesz siebie z szacunkiem. W wieku trzydziestu lat nie masz żadnego zawodu, niczego się nie dorobiłaś, szlajasz się po mieście jak nastolatka i przyprowadzasz do domu jakichś niewydarzonych typków, żeby przedstawiać ich rodzicom. Przysparzasz zmartwień matce. Jesteś egoistką.

– Doprawdy? A to niefart. Bo ona też mnie martwi.

– I jeszcze ten twój ośli upór. Dlaczego odtrącasz kogoś, kto chce ci pomóc? Masz jeszcze szansę odmieć swój los, ale musisz się pospieszyć.

Wstaję i zaczynam zbierać rzeczy, między innymi rażąco tandetną różową kurtkę.

– Geoffrey, dziękuję, że poświęciłeś mi czas, ale nie zamierzam dalej słuchać tych nieprawdopodobnie zrozumiiałych i nietaktownych tekstów. A w dodatku śmiesz mi wytykać, że moje życie jest porażką.

– A nie jest?

– Och, wiesz co? Wal się.

Twarz Geoffreya przybiera barwę nasyconej purpury. Niespokojne ruchy jego oczu nie pozostawiają wątpliwości, że wszyscy goście przy sąsiednich stolikach przysłuchują się naszej rozmowie.

– Nie waż się teraz wychodzić, bo gorzko tego pożałujesz – syczy złowrogo.

Typowy mężczyzna, któremu nie mieści się w głowie, że kobieta może postąpić wbrew jego woli. W końcu tracę panowanie nad sobą i wybucham:

– Za kogo ty się, do cholery, uważasz? Za mojego ojca?

– O nie, broń Boże. – Ostentacyjnie odchyła się do tyłu. – Jestem po stokroć lepszy od tego beznadziejnego lowelasa.

Wychodzę. Na szczęście dla Geoffreya. Bo cokolwiek o mnie myśli, to łaskawsza reakcja w porównaniu z tym, co usłyszałby, gdybym się stamtąd nie ruszyła.

A więc mama wiedziała o romansie ojca. Nie ma to jak odkryć coś takiego. Geoffreya natomiast guzik obchodziło, czy ja też wiem albo czy chciałabym się dowiedzieć.

Już nie czuję do niego zgryźliwej niechęci. Teraz to czysta nienawiść.





W drodze do domu przebieram nogami dwa razy szybciej niż zwykle. Spocona od wysiłku i złości odtwarzam w głowie przebieg spotkania, które, jak się spodziewam, wywoła w mojej rodzinie falę oburzenia.

Przecinając Cobden View Road, przypominam sobie rozmowę z zamierzchłej przeszłości.

Tamten dzień nie należał do wybitnych w krótkiej historii naszego młodzieńczego zauroczenia. Nie wyróżniał się niczym, co zasługiwało na miejsce w zestawieniu znaczących wydarzeń – chociaż dla Lucasa, jak się okazuje, nic nie miało głębszego znaczenia. Ale nawet dla mnie był to czas pozbawiony treści, prozaiczne wypełnienie między chwilami uniesień, kiedy nie dzieje się nic godnego uwagi. Trudno się więc dziwić, że przypominałam sobie o tym dopiero teraz.

Żar lał się z nieba i gdy siedliśmy w ogrodzie botanicznym, nawet brzęczenie pszczół wydawało się ospałe od gorąca. Mieliśmy się zastanawiać nad postacią Edgara Lintona: czy jest życzliwy i czy Katy go wykorzystuje, żeby dręczyć Heathcliffa.

– To takie seksistowskie pytania – powiedziałam, kiedy ożywczy podmuch wiatru zaszeleścił naszymi notatkami. – Jakby wszystko, co robi Katy, należało postrzegać przez pryzmat uczuć Heathcliffa. Właśnie dlatego sobie z tym nie radzę. Wydaje się, że tylko na niej spoczywa odpowiedzialność za błędne decyzje. Że to ona musi dbać za dwoje o ich miłość.

– Przecież Katy zakochuje się w kimś innym i wychodzi za niego, chociaż wie, że to Heathcliff jest tym jedynym. Taki postępek to zabójstwo dla romantycznej miłości.

Lucas był taki elokwentny i uparcie obstawał przy swoim, natomiast w szkole rzadko zabierał głos. Wyprowadził mnie z błędu, bo zawsze uważałam, że interesujący ludzie są wygadani.

– Za to Heathcliff staje się potworem – zauważyłam. – I można by pomyśleć, że to też wina Katy.

– Moim zdaniem Heathcliff jest przekonany, że nigdy nie postąpiłby tak jak ona. Nikt poza nią nie rozпалиłby jego serca, dlatego nie potrafi wybaczyć tej słabości. Jej decyzja doprowadza go do furii. Wścieka się, bo wie, że zdawała sobie sprawę ze swojego błędu, a jednak go popełniła. Nie nadąża za jej tokiem rozumowania.

– Tak samo jak mój ojciec, kiedy uczy mamę jeździć. – Roześmiałam się, ale bez przekonania, bo żart nie należał do szczególnie wyszukanych.

Po piętnastu minutach roztrząsania podtekstów naszej lektury szybko zaczęliśmy znowu badać, jak daleko możemy się posunąć w nieporadnym obmacywaniu i jak blisko strategicznych części ciała mogą się zapuścić nasze palce, gdy już się wślizgną pod wierzchnią warstwę ubrania. Kiedy podniecenie zbyt mocno się rozkręciło, jedno z nas przerywało, żeby rozpocząć kolejną rundę dyskusji o literaturze. Wtedy przystopował Lucas. Pamiętam jego czerwone wyblakłe tenisówki z brudnymi sznurówkami i rękę, która mnie obejmowała, gdy wciąż opierałam mu głowę na ramieniu.

Jak on to robił, że smakował tak wybornie i tak urzekająco pachniał? Odkryłam, że to, co nazywają chemią, nie jest tylko zwariowaną sztuczką ze starych musicali, w których on i ona idealnie się zgrywają. Przekonałam się na własnej skórze, że to jakieś pierwotne przyciąganie.

Lucas wymamrotał coś z twarzą zanurzoną w moich włosach.

– Co? – odezwałam się. – Nie słyszę cię.

– Powiedziałem, że jesteś taka delikatna...

– Delikatna?

To słowo zabrzmiało dziwnie w ustach osiemnastolatka. Lucas też musiał to poczuć, bo kiedy spojrzałam mu w oczy, zauważyłam, że się zawstydział.

- Znaczy: masz drobne kości – dodał, otaczając mój nadgarstek kciukiem i palcem wskazującym. Byłam wniebowzięta, choć również zaskoczona.
- Moja mama twierdzi, że jestem misiowata – odparłam.
- Parsknął śmiechem.
- Naprawdę? Chyba żartowała, co?
- Nie, ona zawsze mówi serio.
- Takie określenie pasuje do niedźwiedzia. Nie wyglądasz jak Paddington.
- Poza tym jej zdaniem mam zbyt szeroki nos, żeby uchodzić za klasyczną piękność.

Parę tygodni wcześniej nie odważyłabym się na takie wyznanie, bo jeszcze zaczęłyby nazywać mnie w myślach Panną Kulfoniastą. Ale ogarnięta niepohamowanym miłosnym porywem nabierałam coraz głębszego przekonania, że Lucas jest zachwycony moim wyglądem, i chciałam, żeby wiedział o mnie wszystko. Chęć bycia „interesującą” wygrała z poczuciem obciachu wynikającego z przyznania się do takich drobnych mankamentów. A zatem próżność też odegrała w tym pewną rolę.

Lucas zmarszczył czoło i spojrzał na mnie badawczo.

– Co za dziwne podejście. Nawet gdybyś miała nos wielkości kartofla, a nie masz, nie powinna ci wytykać takich rzeczy.

– „Jesteś ładna, Georgino, ale trudno cię uznać za piękną, dlatego nie oczekuj, że osiągniesz coś w życiu dzięki urodzie” – wyrecytowałam, naśladując głos matki. – „Bądź więc miła i mierz siły na zamiary. Mężczyźni łatwo dają się omamić i zawsze wybierają lepszą opcję”.

Faye Dunaway w *Najdroższej mamusi* nie zagrałaby tego lepiej.

– No nie, poważnie? Przecież to okropne – obruszył się Lucas. Widziałam, jaki jest przejęty, i zaczęłam żałować, że odważyłam się na taką szczerość. Mama była w wyjątkowo podłym nastroju tamtego dnia, kiedy mi to powiedziała. Nie sądziłam, aby po czymś takim kiedykolwiek udało się jej zyskać sympatię Lucasa. Tego nie wzięłam pod uwagę. – Dlaczego twoja mama mówi takie rzeczy?

Lucas głęboko przeżywał moje upokorzenie. Musi mnie kochać całym sercem, pomyślałam. Przypomniało mi się, jak rok wcześniej omawialiśmy *Otella*, tylko że wyobraziłam sobie Lucasa w roli Desdemony. „Ona kochała mnie dla przygód moich, a jam ją kochał za litość nad nimi”[3]. Wtedy nie pamiętałam, że ta historia nie skończyła się dobrze.

– Takie nastawienie jest typowe dla całego jej pokolenia – oznajmiam nieco afektowanym tonem znużonej życiem dojrzałej kobiety. – Za młodu była prawdziwą piękną, nigdy nie pracowała, wyszła za mąż w wieku dwudziestu jeden lat. Uważa, że moje perspektywy zależą wyłącznie od wyglądu, bo w jej przypadku tak było. Jakby życie polegało wyłącznie na tym, żeby znaleźć sobie ustawionego męża i rodzić mu dzieci. – Przerwałam, aby zaczerpnąć tchu. Jeszcze nigdy nie zwierzałam się z tego nikomu oprócz Jo. – Nie jest szczęśliwa z moim ojcem, ale nie odejdzie od niego, bo nie chce zostać rozwódką po pięćdziesiątce i skazać się na niższy standard funkcjonowania. W każdym razie tak twierdzi, kiedy się kłóci. Ale nie jej wina, że wygarnia mi mankamenty. Sądzi, że w ten sposób mnie ostrzega i chroni, żebym nie skończyła tak jak ona.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– To jest jej wina – odezwał się w końcu Lucas.

– Czuje się nieszczęśliwa, bo podjęła błędne decyzje – odparłam. – Nieszczęśliwi ludzie próbują ciągnąć innych w dół. – Nie miałam pojęcia, skąd to wszystko wiem. Lucas potrafił sprawić, że zaskakiwałam samą siebie.

– Gdybym był nieszczęśliwy z powodu złych decyzji, spróbowałbym naprawić to, co zepsułem – powiedział. – Nie zatruwałbym otoczenia.

Urzeczona oczywistością i prostotą tej deklaracji przyznałam mu słuszność skinieniem głowy i spojrzeliśmy sobie w oczy, uśmiechając się promiennie.

Po czwartym nieodebranym połączeniu dostaję od Esther związłego esemesa:

*Dlaczego mnie unikasz? Nic złego nie zrobiłam.*

Spuszczam z tonu i dzwonię do niej następnego dnia rano w drodze do The Wicker.

– Cześć.

– Nareszcie!

– Idę do pracy, więc za chwilę będę musiała skończyć – uprzedzam.  
– Zręczny wybieg – zauważa siostra.  
– Słuchaj, jeśli zamierzasz prawić mi morały, to lepiej sobie odpuść. Nigdy więcej nie odezwę się do tego palanta.

– Masz na myśli Geoffreya?

– Tak, mam na myśli Geoffreya.

– Co to za hałasy?

– Przejeżdża autobus i szczeka pies.

– Ciągle zapominam, że jesteś bez samochodu – komentuje Esther, z czego wyraźnie słyszę tylko drugą część zdania, bo skręcam w bardziej zaciszną ulicę.

– Drugi Geoff.

– Nie dziwię się, że jesteś rozdrażniona. Też bym się wściekła. Ale bez względu na efekty Geoffrey nie miał złych zamiarów...

– Jeśli idziemy w tę stronę, żeby go oczyścić, to porozmawiamy także o moich zamiarach. Chciałam spokojnie zjeść eklera, a tymczasem dowiedziałam się, że jestem tępą dzirą, która zrujnowała życie rodzinie.

– Nie musisz mnie atakować. Ja tylko próbuję załagodzić sytuację.

– Jeżeli w obliczu niesprawiedliwości jesteś neutralna, stajesz po stronie oprawcy.

– O Boże, czy nie spędzasz zbyt wiele czasu na Twitterze? – pyta rozbawiona.

Słyszę jej chichot i niechętnie wykrzywiam twarz w uśmiechu. Myślałam, że na nią naskoczę i aż będę się krztusić z oburzenia, ale przez noc zdążyłam trochę ochłonać. Mimo to nie potrafię się zdobyć na rozmowę z mamą. Nie chcę słuchać jej wyjaśnień; nie jestem jeszcze gotowa, aby w nie uwierzyć.

– Wiesz, co najbardziej mnie zapienia? Ten palant miał czelność mi zarzucać, że przysparzam mamie trosk. Kto mu dał prawo mówić takie rzeczy? Cóż, mogłam mu powiedzieć, że matka też przysparza nam trosk, bo wyszła za obleśnego starego despotę.

– Ostrzegałam ją, że to głupie posyłać Geoffreya z taką misją. Początkowo chyba nie było tego w planach, potem jednak on przejął inicjatywę.

– Ha, ha, dobre sobie!

– Myślę, że poczuł się ważny, bo znalazł ci pracę.

– Ech, wyobrażasz sobie, jaki to byłby koszmar, gdybym przyjęła tę ofertę? Zaczęłyby mnie tyranizować, besztać na każdym kroku... Chce mieć nade mną władzę tak jak nad mamą.

– Ostrzegałam ją, że ten pomysł to idealny przepis na katastrofę – stwierdza. Wiem, że w mniemaniu Esther to ja stanowią podstawowy składnik takiego przepisu, więc powstrzymuję się od komentarza. – Mogę cię prosić, żebyś wzięła pod uwagę coś, co nawet nie przysłoby ci do głowy? – ciągnie. – Mama nas potrzebuje.

– Wiem.

– Ale mówię całkiem poważnie, Gog. Ona żyje w toksycznym związku i całkiem możliwe, że pewnego dnia znajdzie w sobie dość siły, by postawić się Geoffreyowi. Tyle że nie zdecyduje się na to, jeśli będzie skłócona ze swoimi córkami.

– Chyba nie sądzisz, że on...

– Że ją bije? Nie, absolutnie. W przeciwnym razie już dawno bym interweniowała. Ale istnieją inne formy przemocy.

– Więc co twoim zdaniem powinnam robić?

– Utrzymuj w miarę poprawne stosunki z Geoffreyem, żeby wszystko jako tako się układało. Tutaj chodzi o dużo większą stawkę. Trudno z nim wytrzymać, ale jest naszym ojczymem i nic z tym nie zrobimy. Za to możemy wspierać mamę i próbować jej uświadomić, że facet nie ma prawa nią pomiatać tylko dlatego, że trzyma kasę.

Dochodzę już do pubu; podciągam przybrudzony różowy mankiet, żeby spojrzeć na tani plastikowy zegarek Casio w nostalgicznym stylu lat osiemdziesiątych.

– No nie wiem. Nie przeczę, że się znasz na takich sprawach, ale nie sądzę, abym wiele zmieniła, udając, że nim nie pogardzam.

– Mylisz się – odpowiada. – Ten gość uwielbia pochlebstwa. A ty potrafisz być bardzo czarująca, kiedy zechcesz, nawet jeżeli udajesz.

Parskam śmiechem.

– Geoff ma o mnie lepsze zdanie! Nie podejrzewa, że w ogóle potrafię udawać życzliwość.

– Widzisz, ja myślę bardziej racjonalnie, ty kierujesz się emocjami. Kocham cię za to, że idziesz za głosem serca, ale teraz proszę, żebyś była bardziej wyrachowana.

– Niby jak? Oczekujesz, że zrobię Geoffreycowi łaskę?

– Georgino! Ech...

– A nie mógłby się nabawić porządnej miążdżycy? Będziemy mu podsuwać dwa razy więcej słodczy w święta i namówimy go, żeby sobie zafundował harleya z okazji kryzysu wieku średniego.

– Jeśli Geoffrey przechodzi teraz kryzys wieku średniego, to oznacza, że pożyje ze sto trzydzieści cztery lata.

– Zmumifikowany we własnej ślinie. Boże uchronij.

– A na razie mogłabyś odebrać telefon od mamy? W kółko wysłuchuję jej narzekań.

Na myśl o rozmowie z matką czuję bolesny ucisk w gardle.

– Chyba potrzebuję jeszcze trochę czasu. Swoją drogą, Geoffrey nie oszczędził również taty – wyrzucam z siebie bez zastanowienia. – Nie zamierzam wdawać się w szczegóły, ale chcę, żeby Esther zrozumiała, jak bardzo jestem wściekła.

– Och, co takiego nagadał?

– Że nasz ojciec był beznadziejny – odpowiadam. Nie potrafię na poczekaniu zastąpić „lowelasa” żadnym słowem, które miałoby podobną wagę, ale było pozbawione tego znaczenia. – Że nas zawiódł i nie dorasta Geoffreycowi do pięt.

– Hmm, no cóż, nie powinien tak się wyrażać, ale gdyby usłyszał opinię mamy...

– Przestań. Nic nie usprawiedliwia takich uwag pod adresem taty.

– Też mi go brakuje, ale daleko mu do wzorowego męża i ojca.

– Spoko, ale to my mamy prawo go oceniać, a nie jakiś kryptofaszysta z zaczeską.

Esther wybuchła pogodnym śmiechem. Mój nastrój natychmiast się poprawia. Kończymy rozmowę; wyłączam telefon, po czym otwieram ciężkie drzwi. Od razu napotykam spojrzenie Lucasa, który stoi za barem i popija kawę.

– Dzień dobry – rzuca. – Wszystko w porządku?

– Tak.

Czy tylko mi się wydawało, czy dostrzegłam porozumiewawczy błysk w jego czarnych oczach, które chyba zawsze patrzą z wyrzutem? Czy rzeczywiście mówił poważniejszym tonem niż zwykle? Słyszał, jak rozmawiałam przed wejściem? Już wie, że Devlin zdradził jego tajemnicę?

Gdy poznałam prawdę o tragedii, jaka mu się przydarzyła, początkowo zamierzałam zmienić swoje nastawienie do niego. Teraz jednak dochodzę do wniosku, że gdyby chciał, żebym go traktowała jak cierpiącego wdowca, powiedziałby mi o Niamh. A skoro postanowił zachować to dla siebie, powinnam uszanować jego wybór i odnosić się do niego z taką samą swobodą jak wcześniej.

Obok niego niespodziewanie pojawia się Dev – pewnie coś robił schylony za barem – i wskazuje na mnie.

– Ojej, zanosi się na kupę! – woła.

Patrzę na niego zdumiona i dopiero po chwili uświadamiam sobie, że jego palec jest wymierzony w Keitha, który siedzi w kącie.

– Keith czasem siada w takiej dziwnej pozycji – wyjaśnia Lucas. – Chyba że masz na myśli Georginę.

Devlin parska śmiechem.

– Zabrać go na spacer? – pytam, żeby odpędzić wizję, w której załatwiam potrzebę fizjologiczną na progu The Wicker.

– Nie! – protestuje gwałtownie Lucas podniesionym głosem, po czym dodaje już łagodniej:

– Nie, dziękuję. Ja się z nim przejdę. – Wychodzi zza baru i przypina smycz do obroży. – Chodź, mały – zwraca się do Keitha. – Odetchnijmy świeżym powietrzem, bo wujek Devlin podejrzewa cię o niecne

zamiary.

Drzwi zatrząskują się za nimi, a mnie owiewa cytrusowy aromat wody po goleniu, połączony z zapachem wilgotnej sierści. Nigdy nie podejrzewałam, że tak mocna kombinacja olfaktoryczna przypadnie mi do gustu.

– Nie bierz tego do siebie – odzywa się Devlin. – Mój brat jest nadopiekuńczy w stosunku do tego sierściucha.

Czuję się jeszcze gorzej, bo nie przypuszczałam, że było po mnie widać, jak dotknęła mnie reakcja Lucasa. Znowu powraca wspomnienie tamtego upalnego popołudnia w ogrodzie botanicznym. Mam nadzieję, że nigdy nie będę tak pijana, żeby wygarnąć Lucasowi: „Kiedyś chciałeś, żebym dotykała dużo więcej niż twojego psa”.



– Chodzi o to, że ma dla mnie czas tylko od poniedziałku do środy. Nie jestem dla niej aż tyle warta, żeby załapać się na termin od czwartku do soboty. Widocznie to zbyt duży przywilej jak dla mnie.

Clem próbuje wyjaśnić mi i Jo – która właśnie robi mi fryzurę – dlaczego jej niby-przyjaciółka Sadie nie zasługuje na miano prawdziwej przyjaciółki. Opowieść o przekrętach i machinacjach w scenarii stylowego butików naprawdę robi na mnie wrażenie.

– A jeśli faktycznie tylko w te dni może się z tobą umówić? – sugeruję.

– Phi! Nic podobnego – obrusza się Clem. – Zawsze wyjeżdża w weekendy i publikuje otagowane zdjęcia. Rozumiem, że wszyscy mamy przyjaciół drugiej i trzeciej kategorii, ale nie wypada tego tak dobitnie podkreślać. To nieeleganckie.

Clem często stwierdza z głębokim przekonaniem: „Wszyscy robimy to” albo „Wszyscy skrycie marzymy o tamtym”. Kiedyś czułam się takimi tekstami onieśmielona, dopóki nie uzmysłowiłam sobie, że moja kumpela lubi przesadzać. Zresztą podobnie jak z wyglądem. Teraz ma włosy w stylu bouffant i mocno umalowane oczy, złote półbuty z obcasem i krótki kożuszek; w dłoni trzyma elektronicznego papierosa, spowijając nas kłębami waniliowej pary.

– Swoją drogą doskonale wyglądasz – dodaję. – Na kogo dzisiaj się zrobiłaś?

– Dziękuję. Na Anitę Pallenberg, która przylatuje z Nowego Jorku do Londynu na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych z Keithem Richardsem i małą kostką haszyszu ukrytą w torbie.

Jej stylizacjom zawsze towarzyszą krótkie historyjki. „Michelle Pfeiffer w *Człowieku z blizną* po powrocie do Tulsy, gdzie zamierza udać się na odwyk” albo „Panna Moneypenny na pogrzebie Bonda (który żyje i ona o tym wie)”.

Cieszę się, że poznałam Clem, kiedy miałam niewiele ponad dwadzieścia lat, bo teraz by mnie odstraszyła. Z wiekiem człowiek coraz bardziej stara się unikać ryzyka.

Służy nam jej towarzystwo i chyba z wzajemnością. Clem niczym sok cytrynowy ze szczyptą soli stanowi wyraziste dopełnienie przesłodzonej harmonii między mną a Jo, my natomiast chronimy ją przed wpływem podobnych do niej anorektycznych „influencerek”, które nieustannie próbują się prześcigać i zwalczać nawzajem. Z wyglądu i zachowania jest jedną z nich, ale w głębi serca nie ma z nimi wiele wspólnego.

Pomijając wszystko inne, rola nastawionej na rywalizację primadonny wydaje mi się strasznie męcząca. Na szczęście nie spotykam takich zbyt wiele, bo jestem na to zbyt przeciętna, co w tym wypadku mogę poczytać sobie za zaletę.

Jesteśmy w salonie Jo, która upiera się, żeby wymodelować nam fryzury przed wieczornym spotkaniem w pubie. Trzydzieste pierwsze urodziny Rava są okazją do zrobienia się na bóstwo. Clem chce wyglądać tak, jakby przed chwilą się obudziła, więc lekceważąco macha ręką.

– Wyobraź sobie lot przez Atlantycką, a potem tonę suchego szamponu.

Na dzisiejszy wieczór wybrałam spinkę do włosów z kwiecistym ornamentem, wykończoną sztucznymi perłami i diamentami; wypatrzyłam to cacko w sklepie Clem, a ponieważ Jo uwielbia wyzwania, poprosiłam ją, żeby uczesała mnie jakoś, wykorzystując ten dodatek.

– Masz typ włosów, który lubię najbardziej. – Jo mierzwi mi grzywkę palcami. – Złocisty blond w gwiazdorskim odcieniu; coraz rzadziej się taki spotyka.

– Kurczę, mam ochotę znowu sięgnąć po perhydrol – wtrąca Clem, patrząc z podziwem, jak Jo dokonuje cudów za pomocą szczotki i suszarki.

Mieszczący się na granicy Crookes i Broomhill zakład fryzjerski naszej przyjaciółki nazywa się

– choć trudno w to uwierzyć – Strzyżenie i Głędzenie. Kiedy dostała kredyt na rozpoczęcie działalności i wynajęła lokal, byłam pewna, że wszystko pójdzie na marne z powodu niefortunnego doboru słów. To znaczy właściciele takich knajp jak Wegeneracja albo Kebabistan uwielbiają podobne zabawy językowe, ale...

– Fatalny pomysł – powiedziałam jej wtedy. – Tak jakbyś chciała obrazić swoje klientki, zaznaczyć, żeby tyle nie paplały.

– Wręcz przeciwnie! Chodzi o to, że tu mogą się zrobić na bóstwo, a przy okazji do woli ponarzekać. Wygadać się. Wylać swoje żale.

– Nie, Jo, nic podobnego. To tak jakby nazwać masarnię Świńskie Kawały albo coś w tym rodzaju.

– Nie, bo to się kojarzy z historyjkami o pieprzeniu. Moja nazwa jest zupełnie niewinna.

Sfrustrowana przyłożyłam dłoń do twarzy. Jo uparcie obstawała przy swoim.

Siedem lat później Strzyżenie i Głędzenie codziennie ma pełno klientek. Studentki przystają przed witryną, żeby sfotografować szyld, a zdjęcia zaczynają krążyć w sieci każdej jesieni, kiedy zaczyna się nowy semestr.

Nie zgodzę się, że nazwa była jednak trafiona, choć teraz to i tak bez większego znaczenia, bo Jo przyciąga do siebie klientelę swoją życzliwością i talentem. Przygotowuje własny szampon, stylizuje fryzury i obcina długie loki studentkom, które postanawiają odkryć siebie na nowo, na przykład skracając włosy i farbując je na pastelowy błękit z odrobiną różu.

– Podobnie było z Pet Shop Boys albo corn dogami – stwierdził Rav, kiedy Jo kupiła dom i stało się jasne, że proctwo o marketingowym samobójstwie się nie spełniło. – Kiedy produkt jest dobry, ludzie zapominają o nazwie. Traktują ją jak dodatek. Klucz do przyjemności.

– Corn dogi nie mają nic wspólnego z przyjemnością – wtrąciła Clem.

– Jeszcze kawał życia przed tobą – odparł Rav.

Opowiadam przyjaciółkom o konfrontacji z Geoffreyem, pomijając ten sam szczegół związany z tatą, który zataiłam przed Esther.

– Żartujesz? – bełkocze Jo z ustami pełnymi wsuwek, którymi po mistrzowsku upina mi kolejne pasma. – Powiedział ci, że nie masz perspektyw na przyszłość?

– Tak, ale jeżeli się pospieszę i pójdę do pracy, którą mi załatwił, mogę jeszcze odmienić swój los. A poza tym szlajam się po mieście jak nastolatka i niczego się nie dorobiłam. Dlaczego rodzicom się wydaje, że mogą wchodzić z butami w życie dziecka? Wyobraź sobie, że mówisz komuś coś takiego: „Jesteś starą panną, cienko przedziesz i nie zdobyłaś żadnego zawodu. Aha, no i trochę obrosłaś w tłuszcz”. Przecież to istne barbarzyństwo.

– Nic dodać, nic ująć, kurna – odzywa się Clem, dźgając powietrze elektronicznym papierosem dla podkreślenia swoich słów. – Gdybyś wyjeżdżała do wszystkich z takimi tekstami, uznałby cię za socjopatkę. Niektórzy myślą, że skoro trzydzieści lat temu odbyli stosunek bez zabezpieczenia, mają prawo mówić wszystko swoim dorosłym dzieciakom.

– A ja nawet nie jestem córką Geoffreya! Koles jest w opór złośliwy. Wielki przybrany ojciec. Uwielbia nas rozstawiać, choć do wychowania nie przyłożył ręki. – Czuję się trochę skrępowana, kiedy ciskam gromy i patrzę na swoje odbicie w lustrze. Mam fryzurę Daisy Buchanan i twarz Eny Sharples.

– Ale to oczywiste, że gdybyś wzięła tę robotę w biurze, to byłoby gadanie, dlaczego nie masz chłopaka. A gdybyś znalazła sobie chłopaka, zaczęliby się czepiać, czemu tak bez ślubu, że trzeba kupić dom, a kiedy dziecko, a potem: kiedy drugie dziecko. Nigdy im nie dogodzisz – mówi Clem. – U mnie ciotka właśnie taka jest, a swoje córki traktuje jako punkt odniesienia dla moich osiągnięć. Zawsze nas ze sobą porównywała, odkąd zaczęłyśmy chodzić. Najlepiej nie zwracać uwagi na takich ludzi.

– I co zamierzasz zrobić? – pyta Jo.

– Nie mam pojęcia. Jeżeli Geoffrey mnie nie przeprosi, czego nie potrafię sobie wyobrazić, to nie wiem, jak się zachowywać w jego obecności. Esther uważa, że powinnam udawać życzliwą, żeby pomóc mamie.

– Co twoja mama w nim widzi?

– Tylko jedno: kasę. Ech, chciałam was prosić, żebyście nigdy mi nie pozwoliły się umówić

z bogatym facetem, ale to raczej mało prawdopodobne, że takiego znajdę.

– No fakt, Robin niespecjalnie śmierdział groszem – zauważa Clem.

– Robina nie biorę pod uwagę; ten związek w ogóle nie miał przyszłości i lepiej bym wyszła na inwestycji w piramidę finansową, niż gdybym spodziewała się po nim stabilizacji.

– Musisz go unikać za wszelką cenę – radzi Jo.

– Nie, powinna iść z nim na tego drinka i powiedzieć mu, żeby zostawił ją w spokoju – uznaje Clem. – Tylko jeszcze zabrać ze sobą kogoś, kto groźnie wygląda.

– Jak ty?

– Nie, myślałam o kimś, kto... przynajmniej teoretycznie... mógłby frajerowi oderwać rękę i wepchnąć mu ją w tyłek.

– Czyli jak ty.

– Spadamy stąd, więdźmy, i to szybko! – mówi Rav, kiedy wysiadamy z taksówki i stajemy w drzwiach pubu, w którym zamierzaliśmy spędzić wieczór. – Właśnie jakiś fiut wystrojony niczym Sergio Pizzorno z Kasabian zapłacił za kolejkę swoim zegarkiem. – Trzeba znaleźć inne miejsce na sabat.

Popełniliśmy błąd, wybierając na specjalną okazję nowy bar w mieście, bo co prawda nowość może oznaczać wyjątkowość, ale zapomnieliśmy, że również pociąga za sobą całą masę niespodzianek. W tym przypadku rozczarowanie. Brak krzeseł nie zachęcał, a muzyka grała tak głośno, że musielibyśmy do siebie krzyżeć.

– Pieprzona jaskinia hipsterów. – Clem omiata krytycznym spojrzeniem tapicerowane stołki barowe i świeczniki ze staromodnymi edisonowskimi żarówkami.

Kiedy wypuszcza waniliową chmurkę z kącika ust, wygląda jak postmodernistyczna Bette Davis, tylko elektroniczny papieros, który trzyma między szczupłymi palcami, przywodzi niepokojące skojarzenie z aplikatorem do tamponów. Sama też nie wygląda jak przeciwieństwo hipsterki, jeśli mam być szczerą.

– Poszukajmy miejsca, gdzie będziemy słyszeć własne myśli, ale nie poczuje się jak skończeni idioci w tych eleganckich ciuchach – odzywa się Rav. – Jakiegoś swojskiego i stylowego zarazem.

Rav ma na sobie wełniane spodnie w kolorze pastelowego fioleto, więc nie możemy iść do Bull & Badger albo podobnej knajpy; tam stali bywalcy uznaliby go za ciotę i nie omieszkali tego głośno zakomunikować.

– Zaraz, zaraz... – Jo zerka na mnie. – A co powiecie na The Wicker?

– Cholera jasna, mam dzisiaj wolne! – protestuję.

Ale gdy tylko wypowiadam te słowa, zaczynam myśleć: zobaczę się z Lucasem. Kiedy będę wstawiona. Czuję motyle w brzuchu. Mogę sobie powtarzać wszystkie te przegadane kłamstwa, ale instynktowne reakcje ujawniają całą prawdę.

– Ej, to doskonały pomysł – woła Clem. – Jest tam całkiem ładnie i będą koło nas skakać ze względu na Georginę.

Rav chwytą mnie za poły kurtki.

– Dwie kolejki, nie więcej – zapewnia. – Tylko żeby się rozgrzać na dobry początek.

Przewracam oczami i odgrywam scenkę, w której łaskawie ulegam namowom. Clem odblokowuje ekran smartfona, żeby wezwać taksówkę. Dziesięć minut później jesteśmy w moim miejscu pracy.

– Wybierzcie sobie stolik, a ja zaraz wam coś przyniosę – proponuję, gdy całą gromadką wchodzimy do środka.

Lucas marszczy czoło na widok mojej ekstrawaganckiej fryzury i mocnego makijażu.

– Myślałem, że dzisiaj nie pracujesz.

– Moi przyjaciele chcieli tu zajrzeć – wyjaśniam i robię cierpiętniczą minę, na którą reaguje szczerym śmiechem. – Rav ma dzisiaj urodziny i jesteśmy w drodze do Leadmill.

– Rozumiem. Siadaj sobie, podam wam drinki. Dopóki nie zacnie się ruch, będziecie mieli obsługę kelnerską.

– Dziękuję! – mówię z uśmiechem.



Lucas też się uśmiecha i przez krótką chwilę jego wzrok sunie w dół, omiatając moją kreację. Mam na sobie koronkową suknię balową w kolorze burgunda, z głębokim dekoltem na plecach – zamek sięga prawie do majtek, więc dobranie odpowiedniej bielizny było prawdziwym utrapieniem. Usztywniany gorset bez ramiączek jest tak ciasny, że aż zaczynam się obawiać, czy nie odkształci mnie na stałe. Kiedy wciskałam się w ten strój, nawet przez myśl mi nie przeszło, że będę w nim paradować przed Lucasem. Nie przypuszczałam, że poczuję się tak skępowana. Przypominam sobie inny wieczór i inną czerwoną suknię.

– O Boże, Georgino, wyglądasz jak gwiazda filmowa! Co nie, Lucas? – krzyczy piskliwym głosem Kitty. – Ho, ho, taka zgrabna laska... Z początku cię nie poznałam.

Wybucham śmiechem.

– Och... dzięki.

– Ładna fryzura – wtrąca powściągliwie Lucas, który zaczyna nalewać piwo dla Rava.

Mamrocze w odpowiedzi, że przyjaciółka jest fryzjerką, a w mojej głowie rozbrzmiewają echem jego słowa sprzed lat: „To twoje prawdziwe włosy? Znaczy chodziło mi o kolor...”.

– Dokąd się wybieracie? Do Leadmill? Faceci rzucą się na ciebie jak gołębie na frytkę – mówi Kitty.

Lucas i ja odruchowo zerkamy na siebie, ale nie jestem pewna, czy to przelotne spojrzenie wyraża jakąś głębszą treść. Ruszam w stronę stolika świadoma aury, jaką roztaczam. Czy tylko sobie wyobrażam, że czyjeś oczy wędrują po mojej nagiej skórze od karku w dół pleców, przyprawiając mnie o ciarki?

Telefon Jo leży na blacie i wibruje raz po raz, gdy przychodzą kolejne wiadomości od Phila.

– Nie pozwólcie mi odpisać – prosi Jo i zerka na wyświetlacz, po czym dodaje: – Ale słusznie postępuję, prawda? Jestem tego pewna na dziewięćdziesiąt dziewięć procent, a potem sobie myślę: rzuciłaś go, bo zaprosił cię na wesele.

– To nie tak – odpowiadam. – Rzuciłaś go, bo domagał się praw, czasu i zaangażowania emocjonalnego i jednocześnie się zarzekał, że nie jest gotów na rolę partnera, przez co marnował twoją energię i powstrzymywał cię przed znalezieniem kogoś, kto chciałby odegrać taką rolę w twoim życiu.

– Rany, ale elokwentna gadka. A przecież tylko wyszliśmy balować całą noc – zauważa Clem.

– Dobrze mówisz – zwraca się do mnie Jo. – Myślisz, że ktoś może się zmienić?

Clem napotyka moje spojrzenie i robi wymowną minę.

– Rav, ty na pewno znasz odpowiedź – draży Jo.

– Hmm, no cóż, jako psycholog powiem, że tak, ludzie mogą skupić uwagę na pewnych zachowaniach i starać się ich nie powtarzać, jeżeli tego chcą. Nie miałbym pracy, gdyby tak nie było. Natomiast prywatnie uważam, że w zasadniczych sprawach nikt nigdy się nie zmienia. Charakter zawsze pozostaje taki sam.

– Więc muszę się zorientować, czy problem Phila tkwi w jego nawykach, czy charakterze?

– Raczej musisz wyhaczyć kogoś innego i żyć dalej – wtrąca Clem.

– Dobry wieczór. Co dla kogo?

Gdy Lucas stawia przed nami szklanki, wszyscy unoszą wzrok i przyglądają mu się z zaciekawieniem.

– Cześć. Clem – przedstawia się moja przyjaciółka, wyciągając do niego rękę. – Chyba się nie spotkaliśmy na występie George. Chcesz się przyłączyć do naszej filozoficznej dyskusji? Jak myślisz, czy człowiek może się zmienić?

– Czy człowiek może się zmienić? – powtarza z namysłem.

– No? – potakuje Clem, a ja zasłaniam twarz szklanką.

– Moim zdaniem nie, zdecydowanie nie – odpowiada Lucas. – I co? Zbyt nihilistyczny pogład?

– Takich facetów lubię – oznajmia Clem.

Patrzę na nią, wytrzeszczając oczy ze zdumienia.

– A dlaczego tak uważasz? – zaciekawia się Rav.

– Doświadczenie mi podpowiada, że to, co nazywamy zmianą, jest tylko zgłębianiem własnej natury. Ale przed naturą nie uciekniesz – wyjaśnia, przyprawiając mnie o ciarki. – No to masz niezły

ubaw jako solenizant, co?

Rav parska śmiechem.

– Ile za to? – pytam pospiesznie, wskazując na szklanki.

– Wystawię rachunek i jutro się rozliczymy – oznajmia, a ja przeczuwam, że ten rachunek w ogóle się nie zmaterializuje. Tymczasem Lucas już odrywa ode mnie wzrok i patrzy na moich przyjaciół. – Bawcie się dobrze – mówi, po czym zwraca się do Rava: – Och, no i wszystkiego najlepszego!

– Wielkie nieba – szepcze Clem, gdy Lucas odchodzi od naszego stolika.

– On jest taki przystojny, że to się w głowie nie mieści – wtóruje jej Jo.

– Święta racja – dodaje Clem. – Czuję, że chyba moja macica się rozszerzyła.

– Ciii – syczę. – Zamknijcie się, na litość boską.

Dlaczego nie wzięłam pod uwagę, że do czegoś takiego może dojść? W sobotni wieczór Lucas nie wpadł w oko moim przyjaciółkom, więc całkowicie zapomniałam o zagrożeniu i stałam się beztroska. Teraz muszę znaleźć sposób, żeby im zakomunikować, że nie jestem zainteresowana tym mężczyzną, ale niech nawet nie próbują się do niego zbliżyć.

– Kurczę, dlaczego nam o nim nie powiedziałaś? – Clem odprowadza wzrokiem Lucasa, który idzie za bar.

– Owszem, powiedziałam – odpowiadam półgłosem. – To jest ten kolega ze szkoły.

– Chwileczkę, to z nim siedziałaś na angielskim? – odzywa się Jo. – Czemu go nie skojarzyłam?

– To ten, który cię nie pamięta? – wtrąca Rav, a ja kiwam głową. – Nie wygląda mi na zapominałki.

– No cóż... – Biorę głęboki wdech, zbieram się w sobie i dodaję nonszalancko: – Jaki mógłby mieć powód, żeby udawać, że mnie nie pamięta?

Wprawdzie już ustaliliśmy w Rajput, że Lucas mógł mieć wiele powodów, ale podejmuję jego grę i przybieram zdecydowany, nieznoszący sprzeciwu ton. Co intrygujące, osiągam pożądany efekt, choć zapewne nie bez pomocy Kitty, która przynosi nam gratisowe shoty.



– Nie chciałbym popadać w melancholię, ale odhaczając kolejny rok, zaczynam się zastanawiać, ile jeszcze lat mi zostało do czasu, gdy moje dążenia staną się godne pożałowania – krzyczy Rav z ustami przy moim uchu, gdy wyruszamy na podbój parkietu.

– Nie dołuj się. Zawsze były godne pożałowania.

Z naszej czwórki zostaliśmy tylko my dwoje – Clem flirtuje z sobowtórem Jarvisa Cockera, a Jo wyszła na zewnątrz odebrać telefon od Phila. Podejrzewamy, że pojednanie to tylko kwestia czasu.

– On jest dla niej jak Bobby dla Whitney – podsumowała Clem. – Miejmy nadzieję, że Jo nie zacznie przez niego wciągać.

Rav zamienił kilka słów z Julią, przyjaciółką kolegi z pracy, która patrzyła na niego, jakby się jej podobał.

– Nic nas nie łączy – zapewnia, kiedy mu o tym wspominam.

„Nic nas nie łączy” jest tekstem, który zawsze rzuca, gdy chce uciąć niewygodny wątek dotyczący relacji damsko-męskich.

– Mówiłeś, że chcesz poznać niespotykane błyskotliwą kobietę; mogłaby nosić czerwony kapelusz, wybrałaby się na trekking do Machu Picchu i tak dalej?

– Tak, a co?

– Ty jesteś niespotykane błyskotliwy, byłoby ci do twarzy w czerwonym kapeluszu i możesz polecieć do Peru, kiedy tylko zechcesz. Dlaczego się tym nie zadowolisz i nie zaakceptujesz laski, która nie spełnia tych warunków? Pozwól, żeby wniosła coś nowego.

– Sugerujesz, że tą moją wymarzoną kobietą jestem ja sam? I teraz potrzebuję kogoś innego? – upewnia się Rav.

– Otóż to.

– Hmm, znaczy chyba... rozumiem.

Piętnaście minut później Rav bawi się na parkiecie w środku kółeczka, a Julia ogarnięta imprezową gorączką krąży wokół niego.

– Ładna fryzura. Taka jakby... balowa? – mówi jakiś mężczyzna z amerykańskim akcentem. Obracam się i widzę barczystego brodacza w różowej koszuli. Wygląda na trzydzieści kilka lat i ma szczerą, przyjazną twarz. – Ed. – Wyciąga rękę.

– Georgina.

Ed pochodzi z Minnesoty i przeprowadził się tu, żeby wykładać literaturę amerykańską na uniwersytecie. Rozmawiamy z ożywieniem o pisaniu i o Sheffield. Przekrzykując muzykę i osłaniając usta zgiętą dłonią, mówię mu o konkursie *Podziel się swoim wstydem*. Potem Ed przez dwadzieścia minut opowiada mi o swoich rodzinnych stronach. I przez kolejne dwadzieścia minut też. Widocznie ja wyczerpałam już wszystkie tematy.

Nagle dostrzegam w Edzie z Minnesoty duchy swoich związków z przeszłości. Nieczęsto zdarza się nam wychodzić poza schematy, które sami tworzymy, i przyglądać się im z zewnątrz. Ed nie jest niczemu winien, ale uświadamiam sobie, że właśnie tak zaczynał się każdy mój romans w ostatniej dekadzie – jakiś w miarę sympatyczny facet okazuje mi zainteresowanie, a ja czuję się zobowiązana, aby je odwzajemnić. „Daj mu szansę”.

Już wiem, że na pierwszą randkę umówimy się w pizzerii, a na drugiej, po której wylądujemy w łóżku, będziemy pić wino. Wyobrażam sobie, jak siedzę okrakiem na jego zwalistym ciele i wydaję pozorowane jęki, żeby mieć to już za sobą, podczas gdy on ugniata moje piersi, jakby wyrabiał ciasto.

Potem desperacko usiłuję sobie wmówić, że dopełniamy się nawzajem i jestem w nim zakochana, i prawdopodobnie „to jest to”, jeżeli, jak to mówi mama, planuję dzieci. Po czterech miesiącach, kiedy Ed rozważa, jakie wczasy powinniśmy wykupić na przyszłe lato – co wydaje się równie zachęcającą perspektywą jak odsiadka w zakładzie karnym Barlinnie – dochodzę do wniosku, że najwyższy czas zakończyć tę relację, zanim naprawdę go zranię. Uświadamiam sobie, że nie zostanę pisarką, spotykając się z pisarzem. Dotyczy to również komików i w zasadzie wszystkich innych zawodów.

Ed czeka z komórką w dłoni. Absolutnie to nie jego wina, że przeżyłam cały nasz romans w czasie potrzebnym na wyjęcie telefonu z mojej ozdobionej paciorkami kopertówki.

– Oczywiście dam ci numer, ale w tym momencie nie umawiam się z nikim i nie jestem tym zainteresowana – uprzedzam go lojalnie. – Gdybyś jednak kiedykolwiek zechciał poznać życie w tym mieście z punktu widzenia kelnerki, potrzebował jakiejś opinii z pierwszej ręki albo miał ochotę na piwo w miłym towarzystwie, to możesz na mnie liczyć.

– Nie brakuje mi kolegów – odpowiada Ed, ale zapisuje numer.

– Szczęściarz z ciebie. – Słyszę pulsującą klawiszową przygrywkę, po której Robyn zaczyna śpiewać *Dancing on my own*. – Przepraszam, uwielbiam ten kawałek!

Może i jestem zbyt dosłowna, gdy tańczę sama przy piosence o takim tytule, ale tak czy siak czuję się świetnie. Pewnie już więcej nie przydarzy mi się coś takiego – nie poczuję się dowartościowana zainteresowaniem ze strony mężczyzn i nie polecę na pierwszego lepszego, jaki się nawinie. W spławianiu sympatycznych facetów nie ma nic złego. Akceptuję siebie taką, jaka jestem.

Kiedy zaczyna się drugi refren i wpadam w błogi trans, nagle czuję klepnięcie w tyłek. Oglądam się przez ramię i widzę Eda, który podśpiewuje, przekręcając tekst, i ociera się o mnie biodrami.

Wzdycham zrezygnowana.



Nie mam już wątpliwości, że Bitwa nad Eklerem, którą stoczyłam z Geoffreyem, była złym posunięciem, kiedy odbieram wiadomość od Marka. Mejl przychodzi w poniedziałek o nieludzkiej godzinie, o czym informuje mnie dźwięczny sygnał komórki, ale ponieważ tekst nie mieści się na wyświetlaczu, schodzę do kuchni, żeby odpisać z komputera i zaparzyć sobie mocnej kawy.

Moja suknia gwiazdy filmowej wisi pomięta na wieszaku, a ja wróciłam do rzeczywistości po krótkim interludium w postaci okrutnego kaca. Nie obyło się jednak bez dreszczyku emocji – kiedy leżałam w dresie i przez otwory w okładzie chłodzącym oglądałam *Jezioro marzeń*, wymieniłam z Lucasem kilka esemesów. Potem przeczytałam je sześć razy.

*Powinłam ci podziękować czy cię pozwać za to, w jakim jestem dziś stanie? Potrzebuję całkowitej transfuzji krwi jak Keith Richards #SambucaGratis*

*Ha, ha! Boli głowa? Mam nadzieję, że dobrze się bawiłaś (i nie spadłaś z palmy kokosowej).*

*Bawiłam się świetnie i dziękuję za specjalną obsługę. (Z jakiej palmy?)*

*(Taki żarcik z Keithem Richardsem. Poszukaj w sieci, jeżeli masz siłę). Cała przyjemność po mojej stronie x*

Nie przypomina to korespondencji Francisa Scotta Fitzgeralda i Zeldy, ale niespodziewany pocałunek na pożegnanie jest ciepłym akcentem, którego zamierzam się trzymać.

Karen też postanowiła do mnie napisać. Spoko.

*Dzień dobry,*

*twój żółw sprawia, że czuję się nieswojo. Wczoraj wieczorem gapił się na mnie, kiedy jadłam kolację. I zalatuje od niego kapustą. Czy możemy go przenieść gdzie indziej? Nie musi zajmować honorowego miejsca obok telewizora.*

*PS*

*Czy to normalne, że jego palce wyglądają jak szpony dinozaura?*

Biedny Jammy. Zaglądam do niego, głaszczę jego szorstki łuskowaty łepok i daję mu trochę sałaty. Wiedziałam, że Karen najpierw zgodzi się na niego, potem go wykopie. Kosztowało mnie to sporo nadskakiwania, prezentów i zapewnień, że będę dokładała więcej do rachunków, bo oczywiście żółwie pochłaniają mnóstwo ciepła i wody. A teraz Jammy musi się przeprowadzić do salonu – bo nie ma mowy, żebym zdołała przenieść jego terrarium po wąskich schodach na górę.

Otwieram stary laptop Della i jeszcze raz czytam elaborat Marka. Esther traktuje swojego męża niczym tajną broń, ilekroć chce mi coś wyperswadować. Zważywszy na jego niechęć do konfrontacji, wykorzystuje go oszczędnie – ma świadomość, że zbyt częste używanie osłabia efektywność. Pamiętam, że ostatnio Mark usiłował pośredniczyć w zawarciu porozumienia, kiedy nie zgadzałam się założyć etoli z prawdziwego futra – z pyszczkiem przerażonego gryzonia o pożółkłych zębach służących za spinkę – którą mama wybrała dla mnie, kiedy byłam jej druhną.

*Cześć, G! Mam nadzieję, że wszystko u ciebie w porządku. Przejdę od razu do rzeczy. Zazwyczaj nie angażuję się w tego typu sprawy, ale twoja mama dostaje szału, bo unikasz jej po ostatnim spięciu z Geoffreyem, a mojej żonie obrywa się rykoszetem. Esther nie chce na ciebie naciskać, żebyś sobie nie pomyślała, że jest przeciwko tobie. Ale czy byłabyś uprzejma powiedzieć swojej mamie chociaż tyle, że potrzebujesz trochę czasu, żeby ochłonąć po tym wszystkim? Nie mówię ci, co masz robić. Jestem tylko zwyczajnym szwagrem, który stoi przed dziewczyną i prosi ją, żeby go pokochała przynajmniej na tyle, by nie musiał wysłuchiwać głądzenia w domu.*

*Z czego to? Cztery wesela i pogrzeb?*

*Uściski, Mark xx*

*Cześć, Mark. W porządku. Tylko przez wzgląd na ciebie.*

*Xx*

*PS*

*To było Notting Hill.*

Mark najwyraźniej siedzi przy biurku i potrzebuje rozrywki, bo odpisuje szybciej, niż mój toster opieka grzanki.

*Ach tak, ten z tą aktorką...*

*M*

*We wszystkich występują jakieś aktorki.*

*G*

*Nie, znaczy film był o aktorce. No i chciałbym zapytać, jak sobie radzisz w The Wicker. Przeważnie mam do czynienia z Devlinem i wygląda mi na przyzwoitego faceta. Poznałem go, kiedy szukał kogoś do prowadzenia księgowości.*

*Jest cudowny i jego pub też. Jeszcze raz wielkie dzięki! x*

*Uśmiełem się, kiedy przyszedł do mnie z bratem, bo spodziewałem się potentatów w prążkowanych garniturach, a oni wyglądali jak rockmani po godzinach. Ale tak to jest, kiedy ktoś się dorabia na prowadzeniu knajpy albo klubu. Większość naszych klientów jest o wiele bardziej bezbarwna. Oj, nie powinienem pisać takich rzeczy na firmowej poczcie. Kasowanie nastąpi za 3, 2, 1...*

*Potentatów? Mają tylko dwa puby w Dublinie, prawda?*

Czekam na odpowiedź, przeżuając w zadumie kromkę razowca z pastą z ekstraktu drożdżowego Marmite. Mam nadzieję, że Mark mnie oświeci i że tylko żartował z tym kasowaniem mejla.

*Nie jesteś materialistką, moja droga uroczą szwagierko! Bracia McCarthy mają „tylko” trzy lokale w centrum Dublina, na własność, nie w dzierżawie – wiesz, po ile tam chodzą nieruchomości? – i jeden kilkanaście kilometrów dalej, na przedmieściu zwanym Dun Laoghaire. Dla lepszego wyobrażenia, jest to okolica, w której rezydencję ma Bono. Majątek wart miliony. Odziedziczyli rodzinny interes po ojcu, taka mała dynastia. No cóż, obowiązki wzywają – sprawozdanie roczne, czysta*

*przyjemność. Dzięki, że jesteś ludzka jak zawsze. Mx*

Zamykam laptop i przetwarzam w głowie świeżo zdobyte informacje, rewidując swoje wyobrażenie o braciach McCarthych. Wiedziałam, że dobrze im się powodzi, ale żeby byli aż tak nadziani? Nie rzuciło mi się to w oczy. Zresztą Mark wspomniał, że nie ubierają się jak bogacze.

Trochę to małoduszne z mojej strony, ale zastanawiam się, czy ich niewymuszona wspaniałość ma swoje źródło w tym, że sami narzucają sobie tempo, nie muszą się martwić o przyływ gotówki i nie prześladuje ich nikt stojący wyżej w hierarchii. Napominam się w myślach, że w tak sprzyjających warunkach równie dobrze mogliby zostać małymi dyktatorami, gdyby wykazywali takie skłonności.

Kiedy biorę prysznic, ubieram się i maluję, nie mogę przestać skupiać się na tym najnowszym odkryciu. Mam przecucie, że Lucas cieszyłby się w szkole zupełnie inną pozycją, gdyby klasowe towarzystwo wzajemnej adoracji znało go od tej strony. Ale nigdy nie wspomniał o rodzinnej fortunie, nawet mnie. Godne podziwu, trzeba przyznać. I pomyśleć, że nawet ja wtedy uchodziłabym za lepszą partię. Ha, ha. Tylko z czyjej perspektywy.

Żałuję, że już nie palę, kiedy w drodze do pracy biorę głęboki wdech i dzwonię do mamy. Podobnie jak Esther uważam, że obiektywnie narzucone ograniczenie czasu kontaktu jest dobrym rozwiązaniem. Szybko jednak się orientuję, że rozmowa nie będzie zbyt przyjazna, bez względu na to, ile potrwa.

– Nareszcie! – woła mama. – Zastanawiałam się, czy jeszcze kiedykolwiek się do mnie odezwiesz.

Ton jej głosu sprawia, że natychmiast cofam się w czasie i znowu mam czternaście lat. Cóż, siła przyzwyczajenia.

– Tak, akurat.

– Mogłaś to rozegrać w bardziej eleganckim stylu, zamiast najzwyczajniej w świecie izolować się ode mnie.

– Byłam bardzo zajęta i nie chciałam się kłócić.

– Nie musimy się kłócić, jeśli tylko przeprosisz Geoffreya. Już mu minęła złość i podchodzi do tej sprawy bez emocji. Co za szczęście, że ktoś taki z nami jest.

Staję jak wryta na środku Northfield Road i otwieram usta ze zdumienia.

– Słucham? To on powinien mnie przeprosić!

– Niby za co?

– Hmm, zastanówmy się... – odpowiadam. – Nazwał mnie egoistką, naśmiewał się z mojej pracy i sugerował, że źle się prowadzę. Powiedział, że moje życie jest porażką, i nazwał tatę... dupkiem.

Mama milczy przez chwilę; no tak, to oczywiste, że Geoffrey nie podzielił się z nią tymi szczegółami.

– Zabawne, ale z jego relacji wynika, że to ty zachowałam się agresywnie. Z pogardą odrzuciłaś jego wspaniałomyślną propozycję, byłaś opryskliwa i pozwalałaś sobie na niewybredne żarty, że wolałabyś raczej parać się prostytutką niż w ogóle rozważyć pracę w biurze. Nie wiem, skąd u ciebie to poczucie wyższości, młoda damo, bo według mnie nie masz nic do stracenia, jeżeli się zgodzisz.

Jak powiedzieć, że jej mąż jest perfidnym kłamcą?

Mama trzyma stronę Geoffreya nie tylko dlatego, że zawdzięcza mu utrzymanie i poczucie bezpieczeństwa. Bezkrytycznie wierząc w jego wersję wydarzeń, nie pozostawia żadnych złudzeń – chce, żebym była taka jak ona i przyjęła ciepłą posadkę w biurze pod czujnym okiem wspaniałego mężczyzny. Nie musiałabym długo czekać, aż zacząłby mnie swatać z jakimś znerwicowanym i tępowym synem prezesa. „To bardzo błyskotliwy młodzieniec, który pnie się po szczeblach korporacyjnej kariery. W twoim wieku mogłaś trafić o wiele gorzej”.

– Mam już pracę i bardzo ją lubię, a po tym, jak potraktował mnie Geoffrey, nie chciałabym nic mu zawdzięczać – cedzę przez zęby.

Zapada milczenie; mama cmoka z dezaprobatą.

– Geoff i ja doprawdy nie pojmujemy, dlaczego tak uparcie wzbranasz się przed przyjęciem

naszej pomocy.

– Jeżeli chcesz mi pomóc, będę wdzięczna za odrobinę wiary we mnie i wsparcia emocjonalnego.

– Georgino, stuknęła ci trzydziestka i wciąż pracujesz jako kelnerka, nie masz oszczędności, widoków na emeryturę, domu ani partnera. Co właściwie mam wspierać?

– Mnie jako osobę. To nie wystarczy? – odpowiadam, udając opanowanie, chociaż chce mi się płakać. – Jestem szczęśliwa.

– Czyżby?

– Tak – potwierdzam chrapliwym głosem.

– I powinnaś się zastanowić, czy Robin jednak nie zasługuje na drugą szansę.

– Że... co? Robin? Dlaczego? Przecież go nie znosiłaś.

– Wpadłam na niego w Waitrose w zeszłym tygodniu. Obydwoje sięgaliśmy po ten sam słoik masła orzechowego, ha, ha. Nic ci nie powiedział?

Czuję nerwowe ssanie w żołądku, a moje dłonie natychmiast robią się mokre od potu. Ściskam komórkę tak mocno, że omal jej nie zmiażdżę.

– Nie, nie powiedział. – Z trudem zachowuję spokój. Nie mogę dać po sobie poznać, jak bardzo jestem zszokowana.

– Hm, dziwne – ciągnie mama. – Wyjaśnił mi, że wasze relacje miały dosyć swobodny charakter i że bardzo się zirytowałaś, kiedy ci to wyznał, dlatego się rozstaliście, ale teraz się zreflektował i zależy mu na stabilnym związku. Myślę, że mówi poważnie. Czasami mężczyzna potrzebuje odpowiedniej partnerki, żeby dorosnąć i się ustatkować.

Robi mi się niedobrze, kiedy sobie wyobrażam to przedstawienie w alejce z przyprawami i pastami kanapkowymi.

– Czemu tak nagle go wzięło na zwierzenia?

– Uświadomił sobie, że opacznie postrzegamy jego zamiary względem ciebie. Może nie chce, abyś o tym wiedziała, ale naprawdę mu na tobie zależy. I w ogóle nie zdawałam sobie sprawy, że pochodzi z takiej porządnej rodziny.

– Jak długo rozmawialiście?

– Tylko pięć minut. Bardzo się cieszył z tego spotkania.

Nie wątpię.

– Porządna rodzina... – Śmieję się w duchu. Pewnie coś napomknął o wielkiej fortunie i mama od razu zmieniła zdanie na jego temat. Dopieścił też ego Geoffreya, okazując mu szacunek należny członkowi wioskowej starszyny. Teraz, kiedy oddał im głęboki pokłon, uniżenie zabiegając o aprobatę, i podzielił się poufną informacją, żeby przypieczętować układ, obydwójce są gotowi wesprzeć jego starania. Cała ta intryga sprawia, że czuję się brudna. – Mamo... – Urywam i próbuję się skupić. – Czy powiedziałaś wtedy Robinowi, gdzie pracuje? Wspomniałaś mu cokolwiek o The Wicker?

– Cóż... całkiem możliwe. O tak, na pewno przewinął się ten wątek, kiedy Geoffrey wspomniał o propozycji pracy dla ciebie. I Robin też uważa, że zatrudnienie się w porządnym biurze to doskonały pomysł, gdybyś chciała wiedzieć.

Ostatnie zdanie mama wypowiada podniosłym tonem iluzjonisty, który wyciąga królika z kapelusza. Jak może być tak ślepa, aby nie dostrzec, że obydwójce padli ofiarą manipulacji? Kto tak radykalnie zmienia swoje nastawienie? Ogarniają mnie mdłości. Kiedy zostaje mi jeszcze pięć minut do celu, pospiesznie kończę rozmowę, wymawiając się pracą. Chcę na spokojnie przeanalizować wszystko, co usłyszałam. Lucas miał rację. Robin jest wcieleniem zła i nie spodziewam się, aby dał za wygraną, o ile go nie powstrzymam.

Pilnie potrzebuję odskoczni od przytłaczających problemów i The Wicker czynnie podsuwa mi komiczny przerywnik.

– Tylko bez gwałtownych ruchów! – instruuje Devlin dwóch zasapanych i stękających mężczyzn, którzy stawiają obok kominka szafę grającą Wurlitzer.

– Co zamierzacie z tym zrobić? – pyta zaskoczony Lucas.

Jego brat poklepuje kolorową obudowę i promienieje dumą niczym świeżo upieczony ojciec.

– No powiedz, czyż nie jest nadzwyczajna?



– Raczej upiorna. Na cholere ci ona?

Kitty i ja wymieniamy rozbawione spojrzenia. Bracia McCarthy nieustannie o coś się sprzecają.

– Żeby grała.

– Jasne, może jeszcze zawiesimy wielki telewizor i puścimy Sky Sports? – utyskuje Lucas. – Ech, teraz w kółko będziemy słuchali Metalliki i Girls Aloud.

– A co w tym złego?

– Wykluczone, Dev. Zadzwoń, żeby zabrali ją z powrotem. Na litość boską, reklamujemy się wszędzie jako tradycyjny pub z piwami rzemieślniczymi. To może jeszcze zawieśmy zieloną koniczynkę nad wejściem i załatwione? Albo zacznijmy sprzedawać koktajle we wszystkich kolorach tęczy?

– Nie zastanawiasz się czasami, czy branża gastronomiczna rzeczywiście jest twoim powołaniem?

– Tu chodzi o poczucie estetyki, Dev, jeśli w ogóle masz pojęcie, co to takiego – odpowiada Lucas, który wydaje się bardziej drażliwy niż zwykle.

Kiedy wychodzi, prowadząc za sobą Keitha, Devlin głośno wzdycha z oburzeniem, a ja i Kitty parskami śmiechem.

– Pomyślałabyś, że taki przystojniak jak Lucas nadal jest do wzięcia? – odzywa się Kitty, gdy Devlin zaczyna krzątać się na górze i zostajemy tylko we dwie.

– Może kogoś ma – odpowiadam ostrożnie i popijam łyk wody.

– Nie, jego żona nie żyje, a on nie spotyka się z żadną dziewczyną.

Jezu, Devlin.

– Jego brat ci powiedział? – pytam.

– Nie, Lucas. Raz go zagadnęłam, czy ktoś za nim tęskni w Dublinie. Powiedział, że nie, więc ja na to, że chyba jest żonaty, a on wtedy, że był, ale żona zmarła. No i potem wyszło, że na raka. Spytałam, czy się z kimś umawia. Zaprzeczył.

– Może jeszcze nie jest gotowy po stracie żony.

– Nie, powiedział, że nie o to chodzi, że jak najbardziej jest gotowy, ale nie poznał nikogo odpowiedniego. Poza tym w ogóle odnosi się do ludzi... scenicznie? No, na większości, jak twierdzi, można tylko się zawieść.

– Odnosi się scenicznie?

– Nie, nie. To było jakieś inne słowo na „s”.

– Sceptycznie?

– No właśnie!

Czasem rozmowa z Kitty wymaga poruszania się w dwóch wymiarach, co kosztuje mnie sporo wysiłku.

– Nie sądziłam, że Lucas jest taki rozmowny – zauważam kwaśno. Czuję się trochę urażona tym, że otworzył się przed moją koleżanką, a nie przede mną.

– Wcale nie jest, bo potem go zapytałam, jakie dziewczyny są w jego typie, a on uciął temat. Oznajmił, że wolałby nie rozmawiać o swoim życiu osobistym, na dziś wystarczy, i czy pomyślałam, żeby przechylić kega z Pale Riderem.

– Aha.

– Ale nie sądzisz, że przez tę tragedię z żoną jest jeszcze bardziej apetyczny? – Kitty skubie końcówkę słomki swoimi króliczymi jędynkami.

– Ha, ha, co?

– No wiesz, widzisz, że jest smutny, i masz ochotę się z nim przespać, żeby go trochę pocieszyć – tłumaczy. Omal nie krztuszę się wodą. – Ale co w tym złego? – pyta, zdziwiona moją reakcją. – Trzeba sobie pomagać!

– Tak, ale nie należy... wyjeżdżać z tego typu tekstami.

Szkoda, że nie jest to dla mnie po prostu śmieszne.

A jeśli Kitty złoży Lucasowi taką propozycję? A jeśli on się zgodzi? A jeśli na podobny pomysł wpadnie kolejna dziewczyna, którą tu zatrudnią? Po raz pierwszy wyobrażam sobie, że Lucas idzie do łóżka z inną pracownicą, a ja następnego dnia muszę wysłuchiwać pikantnych opowieści o nocy

z szefem i udawać rozbawienie. Mogę znieść wypisywanie numerów telefonu na podkładkach do piwa, bo takie zaloty natrafiają na mur obojętności. Ale gdy tyle kobiet bez przerwy startuje do Lucasa, wydaje się nieuniknione, że wcześniej czy później którejś ulegnie.

– Georgino. – Devlin wyrywa mnie z zadumy, kiedy pojawia się pokryty cieniutką warstwą szarego pyłu. – Mogłabyś zajrzeć na górę i spytać Lucasa, czy hydraulik będzie o czwartej? Tylko krzyknij do niego, kiedy będziesz na schodach.

Kiwam głową i czuję dreszcz podniecenia niczym małe dziecko, któremu pozwolono się zapuścić w jakieś zakazane miejsce. Do mieszkania na piętrze prowadzą drzwi po lewej stronie baru, po prawej znajduje się wejście do sali.

– Lucas? Lucas? – wołam niepewnie, idąc po schodach.

Zero odpowiedzi. Delikatnie pukam w uchylone drzwi. Nadal nic. Zaglądam do środka.

Słyszę Lucasa, który po chwili wychodzi z sypialni, przyciskając komórkę do ucha. Wzdrygam się na jego widok – nie ma na sobie nic oprócz niedużego ręcznika owiniętego wokół bioder, który przytrzymuje dłonią. Przez kilka tygodni dotykaliśmy się nawzajem, wsuwając sobie ręce pod ubrania, ale nigdy nie widzieliśmy się nago czy nawet półnago. Odwracam głowę i zasłaniam oczy jak bohaterka komedii *Cała naprzód*.

– ...mam gdzieś, czego twoim zdaniem chciałaby Niamh, jak również czego chciała, kiedy żyła, więc powoływanie się na wolę mojej zmarłej żony mija się z celem. Cóż, nie ma jej wśród nas i niczego nie może wymusić, więc wszystko zależy ode mnie. Pogódź się z tym.

Czuję wypieki na twarzy. O nie, tylko nie to. Jeśli się zarumienię, wyjdzie na jaw, że podniecił mnie widok jego obnażonej piersi i nieosłoniętego podbrzusza. Gdybym spojrzała jeszcze raz i pomachała, żeby zauważył moją obecność...

Obracam z powrotem głowę. Ach! Bez wątpienia nabrał ciała przez te lata... W końcu mnie dostrzega, jego rozpalone wściekłością oczy rozszerzają się ze zdumienia, a ja cofam się niezdarnie, mamrocząc przeproszającym tonem, że nie chciałam przeszkadzać.

Mam ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu, ale również zżera mnie ciekawość. O co chodziło w tej rozmowie? Przystaję na krótką chwilę, żeby zastanowić się nad sensem tego, co usłyszałam, i próbuję znaleźć jakiś kontekst, w którym te szokujące słowa okazałyby się nieszkodliwe albo przynajmniej uzasadnione. Nie przeszłoby mi nawet przez myśl, że Lucas mógłby tak arogancko wypowiadać się o żonie. To ostatnia rzecz, jakiej się po nim spodziewałam.

Lekko oszołomiona zbiegam na dół. Z pewnością byłoby mi łatwiej przeanalizować tę sytuację, gdybym zobaczyła Lucasa w bardziej kompletnym stroju. Nie wykluczam też, że choć dał się poznać od najlepszej strony jako szef, wcale nie musi być miły dla osób w swoim najbliższym otoczeniu. Owszem, zareagował wspaniale na moje problemy z Robinem, ale jestem już na tyle dojrzała, aby wiedzieć, że ludzie są skomplikowani. W jednej sytuacji ktoś może być wybawcą, a w innej wcieleniem diabła. Właściwie nie znam Lucasa i muszę sobie o tym często przypominać. Przywołuję się do porządku, kiedy myślę o nim tak jak dawniej i wyobrażam sobie, że między nami wytwarzała się swego rodzaju swobodna zażyłość.

– No i co z tym hydraulikiem? – pyta Devlin, kiedy pojawia się na dole.

Przepełnia mnie poczucie winy, chociaż nie zrobiłam nic złego.

– Nie wiem – odpowiadam. – Lucas rozmawiał przez telefon.

– Dobra, nie przejmuj się. Spytam go za chwilę. Właśnie gadaliśmy z Kitty o pamiętnikach. Prowadziłaś kiedyś takie zapiski?

– Ależ oczywiście! – przytakuję z zapalem, starając się skierować swoje myśli na inne tory. – To był mój ostatni twórczy poryw, jeśli nie liczyć tego konkursu w zeszłym tygodniu. – Ech, chętnie zobaczyłabym twoją minę, gdybyś się dowiedział, że najbardziej pikantne fragmenty dotyczyły twojego młodszego brata. Chociaż wołałabym zobaczyć jego minę.

Dev trąca Kitty.

– Też powinnaś spróbować – mówi. – Dziś żałuję, że sam tego nie robiłem.

– Boże, teraz nikt już nie prowadzi pamiętników! – protestuje Kitty. – Czy ja wyglądam na jakąś wiktoriańską panienkę? Już to sobie wyobrażam, jak siedzę w wielkiej trupiej koszuli, podjadam

babeczki i trzymam stalówkę z piórem na końcu.

– Co to jest, u licha, trupia koszula? – wcinam się w jej wyobraźnię. Nad tym, dlaczego zdaniem mojej koleżanki pochodzę z minionej epoki, na razie wolę się nie zastanawiać.

– Taka biała, którą dawniej zakładało się starszym ludziom do trumny, a oni potem w niej straszili. No wiecie, jak w *Opowieści wigilijnej muppeta*.

– Ha, ha, muppetów – wtrąca Devlin. – A Charles Dickens niech spoczywa w pokoju.

– Wiem, kim jest Charles Dickens!

– Tak? No to przepraszam.

– To ten niebieski misiek z wielkim nosem, który opowiada całą historię – wykrzykuje z pełnym przekonaniem. Devlin i ja wymieniamy porozumiewawcze spojrzenia i wybuchamy śmiechem. – Ech, odwalcie się – obrusza się Kitty.

Przy barze pojawia się Lucas, już w kompletnym stroju, i moje rozbawienie natychmiast znika. Pospiesznie znajduję sobie zajęcie i skupiam całą uwagę na sprzątanii. Czuję, że Lucas stara się pochwycić moje spojrzenie, jakby chciał się co do czegoś upewnić albo rozproszyć obawy, ale zręcznie unikam patrzenia w jego stronę. W końcu dopada mnie, kiedy sięgam po kubełek do lodu.

– Georgino, znalazłabyś trochę czasu na krótką rozmowę? Dziś wieczorem po zamknięciu? Przyjdź do mnie na górę o wpół do jedenastej.

– Eee...

Nie spodziewałam się takiej propozycji, więc natychmiast ogarnia mnie zakłopotanie. Nie jestem przekonana, czy chcę słuchać jego wyjaśnień. Jednak nie potrafię na poczekaniu wymyślić, dokąd pilnie musiałabym się udać w czwartek przed północą. Zaledwie parę godzin wcześniej nie wahałabym się ani chwili, gdyby nadarzyła się taka okazja i mogłabym zwiedzić jego posiadłość. Ale teraz znowu nachodzą mnie wątpliwości, czy znam Lucasa McCarthy'ego, a nie chcę, żeby po raz drugi przeżuł mnie i wypluł.



Kończę pracę i po raz drugi tego dnia wspinam się po schodach do mieszkania na górze, ale teraz nie jestem już tak beztraska jak poprzednio. Drzwi są zamknięte; Lucas otwiera mi, kiedy pukam.

– Napijesz się czegoś? – proponuje.

– Chętnie, herbatę poproszę.

– Może dasz się skusić na whisky? Nie każ mi pić samemu.

Wzruszam ramionami.

– No dobra.

Nie podoba mi się jego przymilność, która zalatuje nieudolnym kręctwem. Mów sobie o swojej zmarłej żonie, co chcesz, myślę, ale mnie w to nie mieszaj. Kiedy wychodzi do kuchni, omiatam wzrokiem nieduże, urządzone po spartańsku wnętrze. W jednym kącie salonu znajduje się telewizor, w drugim paproć w doniczce. Opadam na sofę przed stolikiem do kawy, na którym piętrzą się różne dokumenty firmowe, arkusze kalkulacyjne i rachunki. Po raz pierwszy dociera do mnie, że prawdopodobnie Lucas czuje się bardzo samotnie z dala od rodzinnego miasta w tej ciasnej kawalerce nad pubem, który pochłania tak wiele jego czasu.

Wchodzi Keith, głośno stukając pazurami na drewnianej podłodze; jak zwykle witam go wylewnie. Gdy sadowi się u moich stóp, głaszczę go po karku.

Lucas wręcza mi szklaneczkę i siada naprzeciwko mnie w wiklinowym fotelu.

– Wiesz, chodzi o to, co usłyszałaś, kiedy rozmawiałem przez telefon – zaczyna i robi krótką pauzę. – To nie jest normalne, gdy ktoś mówi, że ma gdzieś swoją zmarłą żonę. Dev się przyznał, że opowiedział ci o niej. – Przewraca oczami, ale się uśmiecha.

Przytakuję skrzepowana.

– Naprawdę nie musisz się tłumaczyć – odpowiadam nieco afektowanym tonem. – To nie moja sprawa. Wolałabym się nie wtrącać.

– Pozwól mi jednak wyjaśnić tę sytuację.

Pociąga łyk ze szklaneczki, a ja idę za jego przykładem, bo nie wiem, co odpowiedzieć. Tamte jego słowa wydawały się naprawdę odrażające, ale czy Lucas chciałby się tłumaczyć, gdyby rzeczywiście był niegodziwcem? Może tak działa psychika socjopaty – zależy mu na kontrolowaniu własnego wizerunku.

– Rozmawiałem z Owenem, moim przyjacielem w Dublinie... Właściwie byłem przyjacielem. Niamh miała z nim romans na krótko przed śmiercią.

Otwieram usta i ciężko przelękam ślinę.

– Och...

Inaczej sobie to wszystko poukładałam w głowie. Stworzyłam wizerunek Niamh jako postaci tragicznej i oddanej żony. W ogóle nie brałam pod uwagę jej niewierności. Nigdy bym nie pomyślała.

– Dowiedziałem się o tym kilka tygodni przed wykryciem jej choroby, ale spotykali się już od dłuższego czasu. Niamh często spędzała wieczory poza domem, z przyjaciółkami, jak mówiła; raz to wydało mi się szczególnie podejrzane, więc poszedłem za nią do baru, gdzie zastałem ją zapatrzoną w Owena.

– O Boże.

Lucas odchyła się na oparcie fotela.

– Ale i tak się nam nie układało – ciągnie. – Pobraliśmy się zbyt młodo i tylko dlatego, że jej rodzina nalegała, abyśmy nie żyli w grzechu. To nie było udane małżeństwo. Brakowało w nim

przyjaźni, na której wszystko powinno się opierać, prawda? – Zawiesza głos. Chrząkam nerwowo i przytakuję. – Mógłbym jeszcze wiele dodać, ale o zmarłych nie mówi się źle. W każdym razie wiedziałem, że nasz związek jest bez szans, jeszcze zanim wypłynęła ta sprawa z Owenem. To tylko potwierdzało moje obawy. Oczywiście, lepiej, gdyby obyło się bez udziału człowieka, którego znałem tak dobrze, ale cóż zrobić?

Kiwam głową, jakbym go rozumiała, chociaż właściwie niczego nie rozumiem. Czuję przyjemne ciepło i mrowienie, gdy alkohol rozlewa się w żołądku.

– A wtedy się dowiedziała, że jest chora?

– Tak. Uzgodniliśmy, że się wyprowadzi, a potem poszła na rutynowe badanie, bo od jakiegoś czasu dokuczały jej bóle głowy, i dowiedziała się, że nie ma nadziei. Operacja guza nie wchodziła w grę. – Głos Lucasa staje się coraz bardziej chrapliwy. Jego słowa jeszcze nie całkiem do mnie docierają. Tej nocy na pewno nieprędko zasnę; będę próbowała sobie wyobrazić, jak się czuł. Najpierw go opuściła, potem się okazało, że jej dni są policzone. – Dawali jej sześć tygodni. Przeżyła osiem. Zaproponowałem, żeby spędziła ten czas z Owenem.

– Doprawdy szlachetna postawa. – I na wypadek gdyby pomyślał, że sobie z niego kpię, dodaję: – Serio. Zachowałeś się wspaniałomyślnie.

– Tak to mogło wyglądać. Ale nie było w tym nic szlachetnego. Kiedy mi powiedziała, że jest śmiertelnie chora, lecz to niczego między nami nie zmienia, poczułem ulgę. Owszem, cierpiałem, ale żaden guz nie mógł wskrzesić naszej miłości i zabić ran. Byłoby mi o wiele trudniej, gdybym od niej usłyszał: wybac, oddaliśmy się od siebie i sypiałam z twoim przyjacielem, ale czy możemy znowu być mężem i żoną przez ten czas, jaki mi pozostał? Nie wiedziałbym, jak postąpić – przyznaje. Znowu przytakuję, jakbym go rozumiała. – Ale chciała również, żebyśmy wszystko zachowali w tajemnicy. Zdawała sobie sprawę, że jej rodzina i przyjaciele surowo ją osądzą za romans z Owenem. Mieliśmy przez to przejść, do samego końca trzymając wspólny front.

– I nikt nie wiedział, że się rozstaliście?

– Nikt. Dopiero po pogrzebie wyjawilem prawdę Devlinowi, który już wcześniej ogłosił, że zamierzają z Mo nazwać swoje dziecko Niamh na jej cześć, i nie mógł się z tego wycofać. Ale jakkolwiek patrzeć – Lucas pociera oczy i uśmiecha się smutno – samo imię nie jest brzydkie, a oni lubili moją żonę. – Kiedy jest zmęczony, jego irlandzki akcent staje się bardziej wyrazisty. – A co się tyczy tamtej szczerzej wymiany poglądów... Kiedy Niamh przeprowadziła się do Owena, zabrała ze sobą Keitha. Nie potrafiłem się sprzeciwić. Ale po jej śmierci koleś nie zamierzał go oddać. Powiedział, że Niamh chciała, żeby go zatrzymał, że taka była jej ostatnia wola. Odparłem, że Keith nie należał do niej, aby dawała go komuś w prezencie. Jak się zapewne domyślasz, Owen bardzo wtedy cierpiał i nie myślał trzeźwo.

– Jasne... A Keith jest twój, prawda?

– Oczywiście. Wychowywałem go od szczeniaka. No i tutaj zaczyna się akcja jak z filmu Shane'a Meadowsa. Devlin i ja musieliśmy wykraść psa. Mój brat zbajerował jednego faceta, który robił jakiś remont w mieszkaniu Owena, dostał od niego zapasowy klucz, a potem zaczekaliśmy na odpowiedni moment, zakradliśmy się i po sprawie.

– Niesamowite!

– Tak. Wkrótce potem przeprowadziliśmy się do Sheffield. Tu gniew mojego dawnego kumpla już tak łatwo nas nie dosięgnie. A Owen jest... cóż, nie przebiera w słowach. Myślę, że to najlepiej oddaje jego charakter.

– Nie wstyd mu za to, że sypiał z twoją żoną i próbował sobie przywłaszczyć twojego psa?

Lucas upija spory łyk whisky.

– Wręcz przeciwnie. Twierdzi, że w końcu uwolnił Niamh od złego męża, żeby zaraz potem ją stracić, i uważa się za ofiarę. Rozumiem go, bo ją kochał i teraz przechodzi piekło. Ale powiedział też...

– Lucas zawiesza głos i zbiera się w sobie. – Powiedział, że do powstania nowotworu prawdopodobnie przyczynił się stres wywołany naszymi kłótniami. Owszem, podnosiliśmy na siebie głos, próbując rozwiązać problemy, ale nie uwierzyłem ani na chwilę, że to ją zabiło. Mimo wszystko usłyszeć coś takiego? Że wpędziłem ją do grobu?

– Och, to... – Ciężko przełykam ślinę. Z początku nie chciałam mieć z tą sprawą nic wspólnego, ale teraz słucham zwierzeń Lucasa jak serdeczna przyjaciółka, której wsparcia potrzebuje. – Nieszczęśliwe pary ciągle skaczą sobie do gardła i mówią rzeczy, których potem najczęściej żałują. A ty właśnie się dowiedziałaś, że żona cię zdradza z twoim przyjacielem. Trzeba być całkowicie pozbawionym empatii, żeby obwiniać cię za jej śmierć... Co za skurwiel.

– Dzięki za dobre słowo. – Lucas dopija alkohol. – Nie masz nic przeciwko, żebym sobie jeszcze nalał? Może chcesz?

Przytakuję i podaję mu szklaneczkę. Kiedy wychodzi, w salonie słychać tylko ciche pochrapywanie dobiegające z posłania w kącie.

– Ach, więc dlatego wolałeś, żebym nie wyprowadzała Keitha na spacer? – pytam.

– Co? Aha, tak. Nie spuszczam go z oczu, na wypadek gdyby Owen coś wykombinował. Ten facet jest nieprzewidywalny. Mam nadzieję, że w miarę subtelnie cię powstrzymałem.

– Nie byłeś subtelny – odpowiadam ze śmiechem.

– Przepraszam. – Przez krótką chwilę milczy. – Nie wiem, jak przeżywać tę żalobę. Raczej trudno znaleźć poradnik poświęcony opłakiwaniu osób, które kiedyś budziły w nas mordercze instynkty.

– Spróbuj porozmawiać z terapeutą. To pomaga.

– Naprawdę?

– Mnie pomogło – mówię. – Terapeutka porównywała śmierć osoby, z którą łączyły nas skomplikowane relacje, do zakażonej rany. Czysta rana też boli, ale łatwiej się zabliznia. Natomiast kiedy w uraz powstały jak po wybuchu szrapnela wdaje się infekcja, gojenie trwa dłużej i zostają brzydkie blizny. Trzeba się z tym pogodzić.

Nigdy nawet nie ośmieliłabym się pomyśleć, że pewnego dnia powtórzę te słowa Lucasowi McCarthy'emu. Podczas sesji z Fay mówiłam o dwóch ważnych mężczyznach i teraz jeden z nich siedzi naprzeciwko mnie.

Lucas pochyła się w moją stronę.

– Mogę zapytać, kogo straciłaś?

– Tatę.

– I dlatego poszłaś na terapię?

Chociaż mogłabym poprzestać na okrojonej wersji, już wiem, że – nie licząc Fay – Lucas będzie pierwszą i jedyną osobą, która usłyszy tę historię w całości.

Jestem trochę przytępiona po dwóch szklaneczkach szkockiej, ale i tak muszę panować nad emocjami.

– Byłam bardzo mocno związana z tatą – zaczynam.

– George, nie musisz o tym opowiadać – zastrzega Lucas.

– Mhm, ale chcę. Otóż przyjechałam raz z uczelni do domu. Kojarzysz klimat? Przywiozłam wór prania z całego miesiąca i ogólnie czułam się jak książkowa postać, która wraca w rodzinne strony odmieniona po epickiej podróży.

Lucas śmieje się cicho.

– No pewnie, taki drugi Bilbo albo Frodo.

– Uprzedziłam mamę, że przyjeżdżam w weekend, ale ona nie poinformowała o tym taty. Rodzice nie rozmawiali ze sobą i był to swego rodzaju znak rozpoznawczy ich małżeństwa. Gdyby ojciec wiedział, cieszyłby się na mój przyjazd, kupiłby wino i rybę z frytkami na kolację. Spodziewałam się takiego uroczystego powitania, tymczasem kiedy przekroczyłam próg domu zmęczona podróżą z Newcastle, nie zastałam nikogo. Ale niespecjalnie się tym przejęłam. Rzuciłam brudy koło pralki, zrobiłam sobie kanapkę grubą na pięć kromek i poszłam do swojego pokoju, żeby ją spałaszować.

Lucas znowu się uśmiecha, a mnie się wydaje, że widzę w jego oczach autentyczną czułość.

– A potem, ponieważ na studiach ciągle nie dosypiałam, musiałam się zdrzemnąć. Kiedy się obudziłam, usłyszałam głos taty. Zakradłam się na dół i już miałam krzyknąć „Niespodzianka!”, kiedy się zorientowałam, że ojciec nie mówi do żadnego z domowników. Stał w holu i rozmawiał przez telefon stacjonarny.

Upływ czasu nie złagodził szoku. Nawet teraz, dwanaście lat później, jestem tak samo

wstrząśnięta jak wtedy. I do tego czuję się jak zdrajczynie, kiedy o tym opowiadam. Nagle uświadamiam sobie, dlaczego trzymałam ten incydent w tajemnicy. Chciałam chronić tatę.

– Nie ulegało wątpliwości, że rozmawia z kobietą – ciągnę. – I na pewno wolałbyś nie słyszeć tych rzeczy z ust własnego ojca. Mówił, co jej robi i co chciałby, żeby ona jemu zrobiła. Boże, czysta pornografia. Większość udało mi się wyprzeć z pamięci, ale przewijały się soczyste słowa.

– O nie. – Lucas przykładła dłoń do czoła. – To musiało być... straszne.

– Zgadza się. No więc stałam na schodach i nie mogłam się poruszyć, żeby mnie nie usłyszał ani nie zobaczył; powoli oswajałam się ze świadomością, że ojciec ma kochankę. – Przerывam na chwilę, żeby uspokoić oddech. – Potem tata odłożył słuchawkę, zobaczył mnie i strasznie się wściekł, że podsłuchiwałam; w ten sposób chyba próbował odwrócić uwagę od swojej wpadki. Byłam przerażona, mimo to też na niego naskoczyłam i wygarnęłam mu, jak podle się zachował wobec mamy, mnie i mojej siostry, jakim jest okropnym mężem i ojcem. – Oddychaj głęboko, Georgino, powtarzam sobie. Tak jak radziła ci Fay. – A on stał i słuchał. Na nic innego nie potrafił się zdobyć. Unikałam go przez cały weekend, potem wróciłam do Newcastle. Rozbita w drobny mak. – Znów przerywam, żeby głęboko zaczerpnąć powietrza. – Dzień później zadzwonił ojciec i pojedynawczym tonem zaproponował, że do mnie przyjedzie. Powiedziałam mu, żeby się odpieprzył.

I kiedy myślę o tym wszystkim, co przeszłam, nagle się załamuję. Kończę ostatnie zdanie i ukrywam twarz w dłoniach, a moimi ramionami wstrząsa szloch. Przez większość czasu przechowuję to wspomnienie zamknięte w sejfie i staram się wciąż gubić klucz. Ale gdy zaglądam do środka, odnoszę wrażenie, że demony przeszłości mnie pożerają.

Lucas siada na skraju sofy i mnie obejmuje; bez zastanowienia wtulam twarz w jego ramię, wdycham przyjemny zapach koszuli. Jest bardziej rozrośnięty i barczysty niż tamten chłopiec, z którym kiedyś się obściskiwaliśmy w ogrodzie. Chciałabym się zatracić w jego objęciach nie tylko przez wzgląd na to, jak wiele dla mnie znaczył. Jest mi tak dobrze, kiedy ktoś mnie przytula. Dzięki temu nieustający ból serca staje się mniej dokuczliwy.

– Przepraszam. Opowiadałeś o swojej żonie, a teraz ja się mazgaję. – Od płaczu mam głos wyższy o trzy oktawy.

– Spokojnie, w porządku – mówi Lucas kojącym tonem i głaszcze mnie po plecach. – Płacz to nic złego.

Wyjmuję chusteczkę z paczki, którą mi podaje, i ocieram łzy. Chociaż tak bardzo starałam się przy nim nie rozplakać, teraz czuję się dużo lepiej. Nagle Keith wydaje jękliwe westchnienie, które brzmi jak wyraz konsternacji, i obydwójce parskamy śmiechem. W końcu Lucas wraca na fotel. Oddycham jeszcze trochę spazmatycznie, wciąż gniotąc w dłoniach chusteczkę.

– Potem... kilka tygodni później zmarł. Rozległy zawał serca. Nie zdążyliśmy się ze sobą pogodzić. Kiedy rozmawialiśmy po raz ostatni, kazałam mu się odpieprzyć. – Pochlipuję i robię głośny wdech.

Lucas wzdycha z przejęciem.

– O nie...

– Nigdy nie powiedziałam mamie ani siostrze o naszej kłótni, no bo jak bym mogła? – ciągnę. – Pochowałyśmy tatę co najmniej ćwierć wieku za wcześnie i pal licha, że sobie używał na boku, w dodatku nie wiadomo z kim... Cóż, zostałam sama z tą wiedzą. A on już nie mógł się bronić. Więc domyślałam się, co czuleś, kiedy rozstaliście się z Niamh, a ty musiałeś zachować to w tajemnicy. Ja też nie mogłam nikomu wyznać, że chociaż uwielbiałam tatę i byłam jego oczkiem w głowie, nasza ostatnia wymiana zdań nie przebiegała w przyjaznej atmosferze. – Ocieram rękawem łzy, które ściekają mi po policzkach.

– Ach... – Lucas spuszcza wzrok i zauważam, że jemu także szklą się oczy.

– Ale to jeszcze nie koniec historii. – Sięgam po whisky. – Przeżyłam taką traumę, że podczas egzaminów na koniec pierwszego roku dostałam ataku paniki i już nigdy nie wróciłam na uczelnię. To mojemu tacie zależało, żebym poszła na te studia. Nawet teraz się wzdrygam, kiedy widzę zdjęcie z uroczystości rozdania dyplomów, na którym ktoś stoi w birecie z rodzicami po bokach. Byłam tak głęboko przekonana, że uda mi się to osiągnąć. I też się myliłam.

– Co za okrutny los... Bardzo mi przykro.

Siedzimy w milczeniu i wsłuchujemy się w pochrapywanie Keitha.

– Wspomniałaś, że byliście bardzo ze sobą zżyci, tak? – odzywa się Lucas.

– Mhm.

– W takim razie twój ojciec wiedział, że go kochasz. I też cię kochał. Jak myślisz, co by ci powiedział, gdybyście dostali jeszcze pięć minut na rozmowę? Czy: „Nie wierzę, że byłaś na mnie wściekła, kiedy widzieliśmy się ostatni raz”? – Daje mi czas do namysłu, więc zastanawiam się nad odpowiedzią i wreszcie kręcę głową. – No właśnie: nie. Powiedziałyby: „Bardzo mi przykro, że cię zawiodłem”. Ale ty nie potrzebujesz jego przeprosin. Ani on nie potrzebowałby twoich.

Jest w tych słowach tyle przenikliwości i wycucia, że aż mnie zatyka.

– Dziękuję – mówię w końcu. – Bardzo ci dziękuję, bo nawet nie wiesz, jak potrzebowałam tych słów.

Lucas przygląda mi się z uwagą.

– To się stało, kiedy miałaś osiemnaście lat, dobrze pamiętam?

– Tak, osiemnaście. Studiowałam na pierwszym roku.

Z początku jestem święcie przekonana, że tej informacji o wieku przypisuje jakieś głębsze znaczenie. Jednak moje przypuszczenia szybko się rozwiewają. Zaraz, zaraz, myślę, czyżby coś mu zaświtało? Jakiś przebłysk wspomnień? Jakby wyteżał pamięć, próbując mnie umiejscowić gdzieś w przeszłości, kiedy pojawiło się nowe skojarzenie.

– Kilka miesięcy wcześniej skończyłam liceum – dodaję, żeby go naprowadzić na właściwy trop.

– W tym wieku ludzie ciężko przeżywają wszelkie kryzysy.

– I to bardzo. Nie wiemy, kim sami jesteśmy, a oczekujemy od swoich rodziców, żeby cały czas byli sobą.

– Racja – przyznaje Lucas. – Nie sądzę, abym do dwudziestego piątego roku życia znał samego siebie czy w ogóle kogokolwiek. Chociaż z perspektywy czasu taka błoga naiwność wydaje się całkiem przyjemna.

Czy my rozmawiamy szyfrem?

– Och, a skoro już mowa o niewiernych mężczyznach... – zmieniam temat, choć niekoniecznie mam ochotę roztrząsać ten nowy. – Nie myliłeś się co do Robina. Spotkał moich rodziców w supermarkecie i odegrał przed nimi scenkę pod tytułem: „Tak bardzo mi zależy na Georginie”. Czyli wiedział, gdzie pracuję, kiedy tu przyszedł.

– Jezu. Ale nie powiem, że jestem zaskoczony.

– Założyłam, że natknął się na nich przypadkowo, a nie jechał za nimi specjalnie do Waitrose, żeby zaaranżować to spotkanie; teraz jednak już nie jestem tego taka pewna. Jemu się wydaje, że w imię jakiejś wydumanej przez niego miłości może sobie pozwalać na różne wybryki.

– Cóż, lepiej bądź ostrożna – odpowiada Lucas. – Przekonałem się, że w imię miłości ludzie są zdolni do znacznie gorszych rzeczy niż pod wpływem zwykłej wrogości.

Powtarzam w myślach te słowa raz za razem, patrząc na ciemne ulice za oknami taksówki, którą wracam do domu. W końcu tracę orientację, czy tylko mi się przywidziało, czy kiedy padły z ust Lucasa, nasze spojrzenia rzeczywiście wyrażały całkowite wzajemne zrozumienie. Tego wieczoru coś się zmieniło między nami. Tylko nie do końca wiem, co takiego powstało.





Rozwiązanie konfliktu z Geoffreyem niczego nie rozwiązuje; jest to raczej impas niż zawieszenie broni – ani on nie zamierza przeprosić, ani ja się do tego nie kwapię.

Byłabym szczęśliwa, gdybym już nigdy w życiu nie musiała oglądać tego starego capa czesanego na pożyczkę. Niestety muszę go jakoś znosić, jeżeli chcę utrzymywać kontakt z mamą. Tymczasem w najbliższy weekend szykuje się kolejna okazja do spotkania – proszony obiad u Esther – i znowu staję przed dylematem, czy przyjąć zaproszenie, czy zbojkotować rodzinny zjazd. Zastanawiam się nad różnymi wykrętami lub nawet jawną odmową, a potem zadaję sobie pytanie: dlaczego Geoffrey zawsze bywa na takich imprezach, podczas gdy ja zachowuję się jak wygnaniec? Pieprzyć go.

Esther mówi, że gdybym pół godziny przed oficjalnym rozpoczęciem już siedziała przy stole w jadalni, kiedy wszyscy dotrą, zyskałabym przewagę. Z wdzięcznością przystaję na jej propozycję. Niestety obie zapominamy, że Geoffrey zalicza się do tej kategorii koszmarnych gości, którzy potrafią przyjść nawet czterdzieści pięć minut wcześniej i nie uważają tego za rażący nietakt, ale przejaw niesłyszanej operatywności. Kiedy wysiadam z taksówki, jego lśniące nowe volvo stoi na podjeździe niczym automobil Pana Ropucha.

Bardzo mnie to irytuje, że mama jest bezwolną pasażerką w jego samochodzie, zarówno w sensie dosłownym, jak i w przenośni. Mam nadzieję, że nigdy nie wyjdę za kogoś, komu nie odważę się powiedzieć: „Siadaj, nie zjawimy się godzinę przed czasem, żeby pani domu zgrzytała na nas zębami i musiała zrezygnować z prysznic, który sobie zaplanowała”.

– Cześć – zwracam się do wszystkich, stojąc w drzwiach salonu.

– Czeeeeś, ciociu Georgino! – woła śpiewnie Milo.

Geoffrey z nadąsaną miną pospiesznie unosi do ust kieliszek i odwraca ode mnie wzrok; mama i Mark odpowiadają na moje powitanie. Siadam przy stole, a nienaturalnie podekscytowana Esther wybiega, żeby przynieść mi wino.

– Co u ciebie słyszać? – zagaduje Mark.

Zaczynamy luźną pogawędkę. Widzę, jak mama wytęża umysł, próbując znaleźć temat, który byłby odpowiedni dla wszystkich zebranych i jednocześnie całkowicie neutralny. Mam ochotę podzielić się z nią mądrością, którą odkryłam, będąc z Robinem – jeżeli twój partner sprawia, że jest ci o wiele trudniej odnaleźć się w towarzystwie, prawdopodobnie wybrałaś sobie niewłaściwego towarzysza.

– Spójrz, Esther. Już jest, i to punktualnie! – Mark podchodzi do okna i pokazuje przystosowaną do przewozu niepełnosprawnych furgonetkę, która zatrzymuje się na podjeździe.

– To cud, chyba że dom opieki się pali – odpowiada moja siostra.

Tymczasem w drzwiach samochodu ukazuje się Nana Hogg, po czym z wielkim rabanem i wysiłkiem – wyłącznie cudzym – zasiada na wózku inwalidzkim i wjeżdża do domu. Od progu obwieszcza, że chce siedzieć na sofie, więc Geoffrey musi ustąpić jej miejsca i czyni to z wielkim niezadowoleniem, co tylko potęguje mój zachwyty. Nana wyjmuje robótkę ręczną – jeża z miękkiej ciemnoróżowej włóczki – i zaczyna klekotać drutami.

– Swoją drogą, to świetny pomysł, żeby w urodziny waszego taty iść na jego grób z Milo – zwraca się do mnie Mark. – Zwolnię się wtedy z pracy; Esther pewnie też nie będzie miała z tym trudności.

– Najmniejszych – potwierdza siostra. – A wychowawczynie mówi, że Milo może sobie pozwolić na dzień wolnego.

– Patsy i Geoff, będzie nam miło, jeżeli się przyłączycie – dodaje Mark. – Po wizycie na

cmentarzu planujemy wstąpić gdzieś na lunch.

Jego prostolinijna uprzejmość okazuje się w tych okolicznościach podstępnyim zagranem. Gdybym ja złożyła tę propozycję, miałyby to ukryty podtekst. Mark jest autentyczny, co sprawia, że Geoffrey wygląda na jeszcze bardziej dotkniętego.

– Na pewno mogliśmy się z wami zabrać – odzywa się mama z zakłopotaną miną.

– Po co? – pyta Geoffrey udręczonym tonem.

Wytrzeszczam oczy ze zdumienia. Czy on naprawdę zamierza robić z siebie idiotę z tego powodu, i to przed publicznością? Tego się nie spodziewałam. Wściekłość nie pozwala mu znaleźć żadnej pokrętej wymówki. Trudno, takie prawa wojny.

– W tym roku obchodziłyby sześćdziesiąte piąte urodziny – tłumaczy mama.

– Ale nie ma go wśród nas, prawda?

Zapada niezręczna cisza, którą rozprasza jedynie ciche pobrzękiwanie, gdy Esther dolewa wina do kieliszków.

– Chodzi ci o to, że nie wstanie z grobu, żeby nam podać ciasto marchewkowe? – Po raz pierwszy tego dnia zwracam się do Geoffreya, który jest wyraźnie oburzony moją śmiałością. – Faktycznie przypał.

– Nie ma potrzeby tam jechać – oświadcza, patrząc na mamę i ostentacyjnie mnie ignorując.

– Mama może wybrać się na cmentarz sama, jeśli zechce – wtrącam.

– Najwyższy czas, abyś zamilkła, bo tylko wszczynasz kłótnie – rzuca mi Geoffrey, po czym znów zwraca się do żony: – Nie powinnaś jechać na grób tego odrażającego bawidamka, zwłaszcza że ta cała wyprawa jest tylko pokazówką. Po prostu im powiedz, że nie chcesz, Patsy. Dosyć tego. Są na tyle dorośli, aby to zaakceptować.

O rany. Mówi to, co powiedział mi, tyle że teraz przy wszystkich. Ja już to wiem i mama też powinna się zorientować. Ale czy Esther miała o czymkolwiek pojęcie? Zerkam w jej stronę – patrzy na mnie oszołomiona. Nie potrafię nic wyczytać z jej spojrzenia, w równym stopniu wygląda na zszokowaną, jak i zaniepokojoną.

– Co to wabidamek? – pyta Milo.

– Sam jesteś odrażający! – odzywa się nagle Nana Hogg, piorunując Geoffreya wzrokiem. – Tak, odrażający.

Wszyscy obracają ku niej głowy. We wzburzeniu całkowicie zapomniałam o jej obecności i podejrzewam, że reszta towarzystwa tak samo.

– Babciu... – próbuje zaingerować Mark.

– Przestań jej rozkazywać. – Staruszka wymierza jeden z drutów we mnie. – Tak jak to robisz z nią – dodaje, pokazując drugim drutem na mamę.

Niech mnie jasna cholera. Nana Hogg dała czadu.

Geoffrey robi się purpurowy.

– Nie będę się zniżał do urągania leciwej damie, aczkolwiek...

– Znałam już takich jak ty – przerywa mu Nana. – Mąż mojej przyjaciółki Margie, Hamish, kazał jej i dzieciom jeść chleb maczany w barszczu, a sam obżerał się stekami i przepuszczał wypłaty u bukmacherów. Wypisz, wymaluj ty. Wyjątkowo podły sort.

– Babciu, naprawdę wystarczy... – powtarza Mark desperackim tonem.

Zaczynam cicho się śmiać. To silniejsze ode mnie, nie próbuję być arogancka czy zachowywać się bulwersująco. Po prostu cała ta sytuacja mnie wręcz zachwyca.

– Na jakiej podstawie zarzucasz mi, że jestem złym mężem? – pyta Geoffrey.

– Tyranizujesz ją. Pozwól Patsy iść na grób męża.

– Ależ wcale jej tego nie zabraniam.

– Przed chwilą powiedziałeś, że nie powinna iść – wtrącam. – A do tego obraziłeś mojego ojca. Nazwałeś go bawidamkiem.

– Tak, i zastanawiam się, które z jego dzieci odziedziczyło po nim te skłonności.

Zszokowana rozdziawiam usta.

– Nie waż się mówić w ten sposób do mojej siostry! – wybucha nagle Esther; wszyscy aż

wstrzymują oddech ze zdumienia.

Zaczyna się prawdziwa rzeź, niczym w ostatnim akcie jakiejś rodzinnej tragifarsy. Mama wygląda jak kamienny posąg z wytrzeszczonymi oczami. Mark w ciągu paru minut postarzał się o rok.

– Nic w tym złego, że człowiek trochę sobie poużywa – wyrokuje Nana Hogg. – Gdybym miała jej ciało, też bym korzystała z życia.

– Dobra, dosyć tego. – Geoffrey wstaje od stołu, wychodzi z salonu i ostentacyjnie zdejmuje kurtkę z wieszaka w holu.

Ubiera się i wychodzi na zewnątrz, podczas gdy mama wciąż siedzi nieruchomo. Instykt każe jej stanąć po stronie męża, ale nawet ona zaczyna się wahać. Widzimy przez wykuszowe okno, jak Geoffrey czeka w samochodzie z pracującym silnikiem i otwartymi drzwiami po stronie pasażera, aż mama posłusznie przybiegnie.

– Może powinnam wyjść i z nim porozmawiać – zwraca się Esther do Marka, ale on tym razem tylko wzrusza ramionami.

Nana Hogg dalej beztrząsco robi na drutach.

– Mamo – odzywam się. – Nie musisz spełniać jego poleceń. Zachował się jak skończony gbur. Poczekaj, aż mu przejdzie przez noc, i wróć jutro do domu.

– George ma rację – popiera mnie siostra.

Mama spogląda na nas, potem obraca wzrok do okna i przygryza wargę. Nagle Geoffrey zatrząskuje drzwiami i volvo rusza gwałtownie, wyrzucając spod tylnych kół fontanny żwiru.

– Georgino, masz papierosy? – pyta mama i jest to ostatnia rzecz, jaką spodziewałam się od niej usłyszeć.



Stoimy w ogrodzie, trzęsąc się z zimna, i palimy mentolowe fajki, które Esther znalazła na dnie szuflady. Nigdy nie przypuszczałam, że zawiodę mamę, bo nie będę jej mogła poczęstować marlboro light.

– Bardzo mi przykro, że musiałaś dowiedzieć się o tym w taki sposób – mówi Esther.

– Ależ ja wiedziałam – odpowiadam. – Nie miałam pojęcia, że wy wiecie. Jak się dowiedziałyście?

– Raz przypadkiem zobaczyłam ich razem, kiedy tata miał być u Grahama – wyjaśnia siostra.

– Byłam z koleżankami na mieście, aż tu nagle patrzę, a oni wychodzą ze sklepu, trzymając się za ręce. Wróciłam do domu i powiedziałam o tym mamie. Miałam chyba z dziesięć lat.

A więc tak długo to trwało.

– A ja i tak wiedziałam – dodaje mama. – Prawie od początku. Myślał, że może wracać i pachnieć damskimi perfumami, a ja niczego nie zauważę. Głupi sukinsyn.

– A skąd ty wiesz? – pyta Esther.

– Przyłapałam tatę, jak... – przerywam i szybko decyduję się na łagodniejszą wersję – ...umawiał się z nią przez telefon. To był mój pierwszy weekend w domu, odkąd wyjechałam na studia. Strasznie się o to pokłóciliśmy, a potem zmarł. Pomyślałam, że powinnam zachować to dla siebie. Zresztą taty i tak już nie było.

– My z kolei czułyśmy, że za wszelką cenę musimy ukryć to przed tobą. Zawsze byłaś tak blisko z tatą. Nie chcieliśmy go strącać z piedestału.

– Dziękuję – mówię, marszcząc czoło.

Zaczynam patrzeć na nie inaczej, kiedy uświadamiam sobie, że próbowały mnie chronić.

Mama wydymuje długi obłok dymu. Dziwnie widzieć ją z papierosem. Wiem, że paliła jako dwudziestolatka, ale rzuciła, kiedy zaszła w pierwszą ciążę, a potem już nie zaczęła na nowo.

– Ta kobieta miała na imię Grace – odzywa się po chwili. – Ojciec poznał ją w pracy i spotykali się od czasu do czasu przez dziesięć lat. Nie potrafił z nią zerwać. Nigdy nie wyszła za męża, więc była na każde jego skinienie.

– Zachował się wyjątkowo podle – stwierdzam. – Zarówno wobec ciebie, jak i wobec niej. Nie podoba mi się, że sypiała z tatą, ale na pewno wierzyła, że ją kocha i kiedyś nas dla niej zostawi.

– Nie sądziłam, że tak to widzisz. Spodziewałam się raczej wyrzutów, że czuł się przy mnie nieszczęśliwy.

Kocham mamę, ale czasami wprost trudno mi uwierzyć, że łączą nas te same geny.

– Robić wyrzuty? Tobie? – pryham. – Przecież nie twoja wina, że cię zdradzał.

Kiwa głową.

– Mimo wszystko się cieszę, że tak długo o jego związku nie wiedziałaś. To odkrycie kosztowało cię sporo nerwów, prawda? – Trąca Esther łokciem.

Siostra przytakuje i spuszcza wzrok.

– Było mi bardzo trudno patrzeć na niego w taki sam sposób – przyznaje, grzebiąc w ziemi czubkiem buta.

Teraz zaczynam rozumieć, dlaczego tak się puszyła jako nastolatka, reagowała złością na moje zażyłe stosunki z ojcem i trzaskała drzwiami.

– Ale spójrzcie, Geoffrey nagle zaczął rozpowiadać o tym romansie – dodaje Esther. – Ciekawe dlaczego? Przecież nie stawiamy ojcu pomnika, tylko wybieramy się na cmentarz.

– Myślę, że jest zwyczajnie zazdrosny – oświadcza mama.  
– O zmarłego? – pytam kpiąco, po czym zastanawiam się, czy nie przemawia przeze mnie hipokryzja; dobrze pamiętam, jak się czułam, oglądając zdjęcia Niamh.  
– Wiem, że czasem trudno z nim wytrzymać, ale muszę być ostrożna. To on kontroluje finanse.  
– Spora część tego majątku należy do ciebie – zauważa Esther. – Nie jesteś bezsilna. Powiedz mu, żeby się opamiętał.

– To nie takie proste.  
– Nie twierdzę, że to proste, ale nie pozwól mu, żeby ci wchodził na głowę.  
– Możesz liczyć na nasze wsparcie, mamó – zapewniam.  
– To bardzo miłe z waszej strony, ale obie musicie dbać o własne sprawy. Nie chcę być dla was ciężarem.

– Wcale nie byłabyś ciężarem – protestuję i nagle wzruszenie ściska mnie za gardło. Nawet nie potrafię sobie przypomnieć, kiedy łączyła nas wszystkie tak serdeczna więź.

– Zawsze masz u nas zupełnie odrębny pokój. – Esther chwyta mamę za ramiona.

Po raz pierwszy zdaję sobie sprawę, jak bardzo może ograniczać brak pieniędzy. Nie jestem w stanie udzielić mamie takiego samego wsparcia, czy mi się to podoba, czy nie.

– Pora wracać, jedzenie czeka. – Siostra zerka na Marka, który stoi w kuchennym oknie i macha do nas.

Mama chwyta mnie za rękaw, kiedy przydeptuję niedopałek.

– A co do twojego ojca, nigdy nie zrezygnował dla niej z waszych sobotnich wypadów. Było to dla mnie w pewien sposób pocieszające.

Ta informacja sprawia, że jednocześnie czuję zadowolenie, zmieszanie, wyrzuty sumienia i smutek.

Gdy kończymy mus z marakui, mama oświadcza, że nie chce kawy, i już wiem, co za chwilę nastąpi. Odczekała, aż Nana Hogg zaśnie i nie dorzuci nic od siebie.

– Córeczko, dziękuję ci za propozycję gościny, ale powinnam wracać do domu.

Esther marszczy czoło.

– Jesteś pewna?

Tak bardzo chciałabym okazać się w czymś pomocna, a nie zawsze polegać na swojej obrotnej siostrze, która w dzieciństwie o wiele dłużej niż ja żyła z przytłaczającą świadomością, że ojciec ma kochankę. Dźwigała tę tajemnicę na swoich barkach, podczas gdy ja beztrąsko chodziłam z tatą po kawiarniach i indyjskich barach.

– Tak, całkowicie. Sprawa rozejdzie się po kościach, ale nie omieszkam zaznaczyć Geoffreyowi, że zareagował przesadnie.

Powodzenia, myślę.

– Jesteś pewna? – powtarza Esther.

– Tak.

– Może wrócimy jedną taksówką? – proponuję. I gdy Mark wstaje, żeby zebrać talerze ze stołu, ciągnę ściszym głosem: – Wejdiesz do domu, upewnij się, czy wszystko w porządku i czy nie czeka cię awantura. Potem wyślesz mi esemesa. W razie czego zaczekam na ciebie.

Mama przytakuje zakłopotana; to, co właśnie robimy, można by nazwać normalizowaniem relacji. Rozmawiamy językiem ludzi przygotowujących się na akt przemocy domowej. Nie żeby zależało mi na chłopaku, który otoczyłby mnie opieką, ale dobrze mieć kogoś, z kim można się podzielić problemami. Kto by mnie wspierał, na czym również skorzystałaby mama. Z kim stworzyłabym zgraną drużynę, tak jak Esther z Markiem.

Dzwonię po taksówkę i zbieramy swoje rzeczy. Szwagier wygonił wcześniej Milo do łóżka, a Nana Hogg ciągle chrapie. Nie chcemy jej budzić, chociaż najchętniej bym ją wyściskała.

Esther zatrzymuje mnie w drzwiach.

– Dzięki, Gog – mówi. – Wolałabym, żeby mama tu została, ale...

– Gdzieś czytałam, że odejście od kogoś takiego jak Geoffrey nie jest jednorazowym wydarzeniem, ale złożonym procesem. Nigdy nie zanosilo się na to, że mama dozna objawienia. Tak jak

powiedziałaś, musimy być przy niej i przypominać jej, że nie jest sama ze swoimi kłopotami.

Siostra ściska mnie mocno, a ja trwam w jej objęciach. Czuję się mała i krucha, jakbym była ulepiona z różowego puchu.

Kiedy zatrzymujemy się przed posesją w Fulwood, przypominam sobie, jak początkowo Geoffrey podobał się mamie – jego dom jest okazałym wiktoriańskim bliźniakiem o ścianach z brązowego kamienia. Głębokie stopnie prowadzą do witrażowych drzwi, które wydają się zaprojektowane specjalnie po to, by powracać do nich we wspomnieniach z dzieciństwa.

A jednak to więzienie. Dotykam dłoni mamy. Odnoszę wrażenie, że to nagłe odwrócenie ról jest dla niej udręką. W końcu przeżywanie cudzych zmartwień nigdy nie było moją mocną stroną. Na szczęście kierowca słucha głośno Magic FM.

– Zaczekam, dobrze? – przypominam. – Nie ruszę się stąd, dopóki nie wyślesz mi esemesa.

Całuje mnie w policzek i poklepuje po ręce.

Patrzę, jak zamykają się za nią frontowe drzwi i w holu zapala się światło. Kilka sekund później komórka w mojej kieszeni wydaje krótki sygnał.

*Dobranoc, kochanie X*

Sądząc po tempie, mama nawet nie zamieniła słowa z Geoffreyem, tylko od razu napisała, że wszystko w porządku. Nie potrafię ocenić, ile w jej odpowiedzi jest dumy, lekkomyślności, fatalizmu, a ile optymizmu.



Złej baletnicy przeszkadza rąbek u spódnicy... W moim przypadku są to czyste kartki.

Druga tura konkursu *Podziel się swoim wstydem* odbywa się dziś wieczorem, a mnie zżera niepokój, bo nie przygotowałam żadnego materiału. Miałam do dyspozycji tydzień, ale zaangażowana w rodzinne dramaty i pochłonięta rozmyślaniami o miejscu Lucasa w moim życiu nie napisałam ani słowa. Nic tak nie spędza snu z powiek jak perspektywa spektakularnej porażki na oczach przyjaciół, rodziny i współpracowników. Na tyle się zdało moje mędrkowanie przed Jo, której powiedziałam, że na co dzień nie brakuje nam tworzywa na anegdoty, trzeba tylko umieć je dostrzec.

– Nie przypominam sobie aż tak okropnej randki, żeby się kwalifikowała – mówię do Kitty, podczas gdy Lucas kręci się w pobliżu i udaje, że nic nie słyszy. – Żadnych wpadek w stylu opaski dozoru elektronicznego wystającej spod smokingu. Jedyne, co by się ewentualnie nadało, to historia sprzed sześciu lat, kiedy mój ówczesny chłopak Mike zrobił mi niespodziankę i zabrał mnie na wycieczkę do Nowego Jorku. Pierwszego dnia wjechaliśmy na szczyt Empire State Building, gdzie mi się oświadczył. A ja mu odmówiłam. Mieliśmy tam spędzić jeszcze niecały tydzień i nie było nas stać na przebukowanie biletów.

– O Boże! – wzdycha ze współczuciem Kitty.

– No. W dodatku nie powiedziałam mu nawet, że nie jestem gotowa na małżeństwo ani nic w tym rodzaju. Byłam przerażona i chlapnęłam bez namysłu, że najlepiej, gdybyśmy się rozstali. Chodziliśmy ze sobą dopiero od trzech miesięcy! A potem japońscy turyści zobaczyli pierścionek, błędnie zrozumieli sytuację i próbowali nas fotografować. Chociaż Mike jest teraz szczęśliwym mężem, nie zasłużył sobie, żebym go obgadywała przed publicznością za cenę artykułu w „The Star”.

– Trochę mi to przypomina tekst Laurence’a Oliviera: „Próbowałaś kiedyś grać, drogi chłopcze?” – wtrąca się Lucas, odstawiając butelkę na półkę.

Nawet kiedy jest lekko napastliwy wobec mnie, czuję przyływ radosnego entuzjazmu. Chyba znowu się w nim zakochuję. Muszę jakoś nad tym zapanować.

– Co masz na myśli?

– Po prostu coś wykombinuj. W tym konkursie chodzi o twórczość literacką, nie o ciekawe życie. Jestem pewien, że jurorzy oceniają również inwencję.

– Też tak sądzę.

– Zresztą jak sprawdzą, czy opowiadasz prawdziwą historię? Każą ci przynieść paragon z Bella Fiore Pasta?

Parskam śmiechem i przygryzam dolną wargę.

– Właściwie miałabym jedną historię o strasznej i śmiesznej randce... z Robinem – mówię. – Uważasz, że to w porządku? Nie wyjdę na idiotkę?

Lucas wzrusza ramionami.

– On opowiadał publicznie o twoim... – Przerzywa, żeby zacząć od nowa i nie użyć słów „życiu seksualnym”, a głos w mojej głowie krzyczy: dobra, spoko, wal śmiało. Zrobiłeś się strasznie pruderyjny w swoich umizgach! – Opowiadał o twoich osobistych sprawach. Nie sądzę, abyś po czymś takim musiała się hamować. W najgorszym wypadku można to uznać za rewanż.

Kiwam głową.

– Racja. A skoro i tak tego nie usłyszysz...

Lucas zauważa jednego ze stałych klientów i podstawia szklankę pod nalewak.

– Nie musisz używać jego imienia – dodaje. – Jeśli nie będzie go na sali, mało prawdopodobne,

że w ogóle się dowie.

Słusznie. Nawet gdyby Robin się czepiał, nie miałby czym uzasadnić swoich pretensji. Rozmyślałam nad tą historią i przeredagowuję w głowie kluczowe fragmenty. Niestety ze względu na dyskrecję muszę pominąć scenę, w której Robin mówi moim rodzicom, że gdybyśmy byli parą celebrytów, ludzie nazywaliby nas Robgina albo Hornee.

Do baru wchodzi młody mężczyzna w bluzie Superdry. Wydaje mi się, że skądś go znam.

– Georgina! Słyszałam, że tutaj pracujesz!

Toż to Callum, mój dawny kolega z That's Amore i namolny erotoman. Nie poznałam go bez tej brudnej koszuli z falbankami, która już tylko z nazwy jest biała, i kiedy nie trzyma dużej pieprzniczki.

– Cześć, Callum – odpowiadam. – No to się nie przesłyszałeś, jak widać.

– Obiecałaś, że umówisz się ze mną, jeżeli ci pomogę. A potem totalnie mnie olałaś!

– Niczego ci nie obiecywałam. A jeśli chodzi o ścisłość, miałeś mi przynieść kurtkę, a tego nie zrobiłeś, więc i tak się nie wywiązałeś. – No pięknie, to zdanie wyrwane z kontekstu nie świadczy o mnie najlepiej.

– Cóż, właśnie zamknęli nam lokal – rzuca newsa. – Inspekcja sanitarna. Znaleźli zdechłego szczura w koszu na obierki. Tony się tłumaczył, że przecież gryzoń jest martwy, więc panujemy nad sytuacją, a facet mu na to: „Nie, drogi panie, to tak nie działa”.

Usiłuję zachować powagę, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

– No, zgadza się... to tak nie działa.

– Właściwie w kuble było tylko pół szczura, bo prawdopodobnie inny przeżył i trochę sobie z niego uszczknął. Niby to pogorszyło sprawę, ale nie znaleźli tego drugiego, więc nie ma dowodu.

Callum wzrusza ramionami i rozkłada ręce, jakby wielopłaszczyznowa i budząca kontrowersje sprawa That's Amore kontra inspekcja sanitarna stanowiła grunt, na którym ścierają się giganci palestry.

– W każdym razie Tony wyleciał i wznowiamy działalność pod nowym szyldem, kiedy tylko Beaky odzyska koncesję. Będę menedżerem! Wrócisz?

Otwieram usta, żeby uprzejmie odmówić, ale ubiega mnie Lucas:

– Hej, przyjacielu, ona pracuje tutaj. Może zamiast robić nabór w mojej obecności, skorzystaj z LinkedIna, okej?

– A tobie co do tego? Żyjemy w wolnym kraju – odburkuje Callum, wykazując się refleksem, dzięki któremu zawsze był taki wydajny w That's Amore.

– Jestem jej szefem.

– A to dopiero. – Uśmiecha się zaskoczony. – No ale my proponujemy półtorej stawki, więc chyba będziesz brał dodatkowe zmiany. Może lepiej pogadaj ze swoim przełożonym.

– Nie jestem tu pracownikiem – wyjaśnia Lucas. – Ten pub należy do mnie, moje nazwisko wisi nad drzwiami. A teraz wynocha, bezczelny gówniarzu.

Mam w sobie na tyle przyzwoitości, by powstrzymać wybuch śmiechu, dopóki nie zamkną się drzwi za Callumem.

– „Umówię się z tobą, jeśli przyniesiesz mi kurtkę”? Tak było, panno Penelopo? – pyta Lucas i szczerzy zęby w uśmiechu.

– Nic podobnego nie powiedziałam! O Boże, zwolnili mnie z pracy i wyszłam, trzaskając drzwiami, a on potraktował moją kurtkę jako zakładnika, żeby wymusić na mnie randkę – wyrzucam z siebie potok słów, a Lucas niemal zanosi się od śmiechu. – Wcale nie zaproponowałam mu, że się umówimy.

– Obawiam się, że popełniłaś błąd, zważywszy na twój obecny problem z brakiem natchnienia – podsumowuje Lucas i spogląda na zegar. – Skoro o tym mowa, chyba czas zaczynać.

– A wtedy ona powiedziała: „Wybacz, ale tak się składa, że to mój kubeczek menstruacyjny”. Do dziś nie mogę patrzeć na czerwone wino. Koniec.

Chudzielec w kaszkiecie kłania się przy wtórze śmiechu i oklasków, a mnie ogarnia lęk. Mam przeczucie, że zakończę ten wieczór wielkim niewypałem. Historia, którą ostatecznie wybrałam, nie składa się z serii dowcipów, lecz powoli stopniuje napięcie, prowadząc do katastroficznego finału. Znowu jestem ostatnia na liście, ale tym razem postanawiam obejrzeć występy poprzedników. Tego dnia



wcześniej skończyłam pracę, żeby skoncentrować się na konkursie, a potem się upić. Dziś za barem w sali widowiskowej stoi Kitty, klientów na dole obsługują bracia McCarthy.

Czekam na swoją kolej, popijając białe wino z przyjaciółmi, siostrą i szwagrem. Wzruszyłam się, kiedy Esther zapytała mnie, kiedy odbędzie się druga tura. Normalnie przeszła samą siebie.

– Byliśmy zachwyceni! Przyznaję, że wcześniej miałam sporo obaw, ale teraz rozpira mnie duma z mojej siostrzyczki. Opowiadałam mamie o twoim występie; kazała ci przekazać, że możesz o niej opowiadać, co zechcesz, bylebyś tylko zaznaczyła, że w jej domu zawsze panuje czystość i porządek.

Dobrze się składa, bo tym razem zamierzam skierować ostrze satyry również w jej stronę. Omlety i jajka.

Moi rywale reprezentują bardzo zróżnicowany poziom – jednych zżera trema, inni przynudzają w nieskończoność, a nie brakuje też takich, którzy nie mają prawie nic do powiedzenia. Dwie historie są naprawdę dobre – jedna o wrażliwym facecie z portalu randkowego, który, jak się okazało, tylko dlatego pomagał dzieciom z ubogich rodzin, że dostał prace społeczne, a druga o chłopaku, który już prawie zaliczył dziewczynę, ale rozwiedziony tatuś mu ją odbił. Ta ostatnia prawdopodobnie była od początku do końca zmyślona, wzbudzała jednak salwy śmiechu. Cóż, znowu muszę przyznać rację Lucasowi.

– Georgino! – woła Gareth, stojąc na scenie z plikiem kartek w dłoni. – Czy jest tu Georgina?

Mój wzrok mimowolnie wędruje w stronę pana Keitha siedzącego za stołem jury. Dziś jego obecność już nie budzi we mnie takiego niepokoju – kiedy dotrze do niego, że That's Amore prowadziło na zapleczu małe zoo, na pewno spojrzy na mnie życzliwiej. Swoją drogą, to byłoby straszne, gdyby ktoś napisał o tamtym incydencie do redakcji wiadomości.

Podchodzę do mikrofonu i odkrywam, że wcale nie czuję się pewniej, robiąc to po raz drugi.

– Moja najgorsza randka... – zaczynam i odchrząkuję – ...była którąś z kolei. Rodzice oświadczyli, że chcieliby poznać mojego chłopaka, bo spotykałam się z nim już od trzech miesięcy. Nazwijmy go Dave. Mama powiedziała, że podał bąbelki i coś na ząb, co w jej narzeczu oznacza: prosecco, oliwki, dipy i jakieś domowe wypieki. Gdy tylko się zjawiliśmy, postawiła przed Dave'em paluszki i miskę humusu. Wtopa numer jeden. „Niestety, pani Horspool, nie jadam glutenu ani ciecierzycy”, oznajmił Dave. Przydałoby się, aby poinformował mnie zawczasu, że cierpi na celiakię, zwłaszcza że kilka razy wsunął przy mnie pizzę hawajską na grubym cieście. Nie zdawałam sobie sprawy, że Papa Johns ma specjalną ofertę bezglutenową. „To nie tak, że nie toleruję glutenu”, wyjaśnił mi później. Po prostu nie odpowiada mi mąka pszenna, ale ludzie wolą stosować takie etykiety. Wtedy łatwiej pewne informacje się przyswaja. A myślałam, że jemu byłoby łatwiej przyswoić kilka paluszków. – Teatralnie przewracam oczami. Parę osób na widowni parska śmiechem. – Wyczuwałam już, że w obliczu presji społecznej Dave zaczyna się wygłupiać, wyobrażając sobie, że w ten sposób rozluźni atmosferę, tymczasem sytuacja jeszcze bardziej się pogarsza. Był jak pilot, który beztrudno chwytą stery i nie zważając na sygnały alarmowe ani turbulencje, pikuje w stronę morza, podczas gdy powinien ustabilizować lot. A potem zaczęła się rozmowa o pracy. Dave był komikiem i czasem występował w telewizji. Mój ojczym spytał, w czym go można zobaczyć. „W transie po ketaminie”, odparł żartobliwie Dave. Nie wiem, czy liczycie wtopy, ale ta była druga.

Znów rozlegają się śmiechy. Omiatam wzrokiem salę. Publiczność jest podchmielona i żądna rozrywki; tak czy siak, czuję się doceniona.

– Da się z tego wyżyć? – spytał Geoffrey.

– Ujdzie – odparł Dave. – Mam też inne fuchy. Udzielam się w mediach społecznościowych.

– I na tym można zarobić?

– Tak, wymyślam tweety dla humorystycznych stron.

– Dla innych komików? Nie mogą robić tego sami?

– Nie, piszę dla firm – wyjaśnił Dave. – Małpka z reklamy PG Tips to ja. Wybaczcie, że zburzyłem waszą iluzję.

Ojczym zmierzył go wzrokiem.

– Znaczą pijasz herbatę u szympansów?

– Nie, chodzi o tę maskotkę – wyjaśnił Dave. – Tę, z którą Johnny Vegas występuje w telewizji

i nazywa ją „małupfa”. – Ostatnie słowo wykrzyczał z akcentem z Lancashire, opluwając nas kawałkami rozmoczonych czipsów.

– Jeśli dobrze rozumiem... – wiekowy mózg Geoffreya ewidentnie zaczynał się przegrzewać

– ludzie wchodzą do internetu i czytają komentarze jakiejś pacynki, czyli w zasadzie twoje, tak?

– Nie inaczej.

– Dobry Boże! Takie wymysły chyba już do mnie nie przemawiają.

Dave jednym haustem wypił kieliszek wina, chociaż zażywał jakieś leki antywirusowe i lekarz go uprzedzał, że nie powinien ich mieszać z alkoholem. Jakoś przy czwartym kieliszku wszedł w tryb filozofowania na bani i kiedy mama go zapytała, czy chce się ze mną ożenić i mieć dzieci... dzięki, mammo... odparł:

– Znaczy mam wybierać między czerwoną a niebieską pigułką, tak?

Geoffrey popatrzył na niego zdziwiony.

– Bierzesz Viagrę?

Po sali przetacza się salwa gromkiego śmiechu.

Dave zaczął wyjaśniać moim rodzicom fabułę *Matrixa* w kontekście swoich skrajnie lewicowych poglądów politycznych. Mama była zdumiona, gdy się dowiedziała, że żyje w symulacji świata stworzonej przez kapitalistów, zwłaszcza że ostatnio wyremontowała sobie kuchnię.

– A mnie się podoba tutaj w Fulwood – powiedziała.

– To fikcyjna rzeczywistość – skwitował mój chłopak. – Powinna pani się zapoznać z teorią Noama Chomskiego na temat propagandy i mediów.

– Kiedyś musisz dorosnąć, chłopcze – wypalił Geoffrey.

– A pan dorósł? – spytał bełkotliwie Dave. – Co, dorósł pan? Bo wiek to tylko liczba, drogi panie. Ale nikt o tym nie pamięta w wieku siedemdziesięciu lat.

– Mam sześćdziesiąt siedem, wypraszam sobie!

Dave spojrzał na moją mamę. Na szczęście nie odważył się odgadywać jej wieku.

– Jej stuknęły trzy dychy. – Wskazał na mnie. – A ten dom ile ma lat? Sto? No właśnie! Liczby. To wszystko nie ma znaczenia.

– O, nieprawda, jeżeli planujecie potomstwo, wiek się liczy – oświadczyła mama i w tym momencie poczułam, że jestem uwięziona w symulacji świata stworzonej przez samego szatana. – Po trzydziestym piątym roku życia Georgina zacznie tracić zdolność reprodukcyjną w zastraszającym tempie. Zaledwie kilka dni temu wysłałam jej artykuł na ten temat z „Daily Telegraph”.

– Dziękuję, mammo – powiedziałam. – Szczerze mówiąc, nie wiem, co Kate Middleton ma ze mną wspólnego.

– Rodzina królewska? – Dave wykrzywił twarz w grymasie pogardy. – Po mojej rewolucji Kate Middleton wylądowałaby w lochu.

– Ale razem z trojgiem pięknie ubranych dzieci, żeby nie podupała na duchu – zwróciła się do mnie mama tonem nagany i w tym momencie kolizja jej świata ze światem Dave’a przyprawiła mnie o atak histerycznego śmiechu.

– W aksamitach i koronkowych żabotach? – krzyknął oburzony Dave. – Ci malcy z wyższych sfer wyglądają jak duchy ofiar pożaru!

Dziesięć minut później, kiedy Geoffrey rozprawiał o swoich dochodach, mój chłopak przysnął w fotelu i puścił głośnego bąka.

Podnoszę wzrok i patrzę na salę.

– Dave i ja nie jesteśmy już razem – mówię na koniec.

Składam notatki i czuję, że dobrze mi poszło. Wszyscy klaszczą i pohukują radośnie, a ktoś nawet gwizdże. Ogarnia mnie fala zadowolenia i ulgi.

Potem zauważam, że tym kimś, kto gwizdże, jest Robin McNee.



Nie mam czasu zareagować, bo podekscytowany Gareth spycha mnie ze sceny.

– Mam dla was dzisiaj miłą niespodziankę – oznajmia. – Jest z nami gość specjalny, który poprosił o możliwość jednorazowego występu w konkursie. Powitajmy brawami Robina McNee!

Roztrzęsiona wracam do stolika i wymieniam zdumione spojrzenia z przyjaciółmi. Jak, do cholery, udało mu się tutaj wejść? Dlaczego żaden z braci McCarthych go nie zauważył i nie wykopał za drzwi?

Robin odgrywa skromnisa, przeczesując włosy w udawanym zakłopotaniu, spuszcza wzrok i robi zawstydzoną minę. Wyjmuje mikrofon ze statywu.

– Witam wszystkich gości The Wicker i miłośników dzielenia się wstydem. Gratuluję... Georginie? – Zawiesza głos, jakby musiał sobie przypomnieć moje imię. – Byłaś wspaniała.

Do jasnej cholery, naprawdę chciałabym wiedzieć, jak on się tu dostał. Wzbiera we mnie wściekłość, ale nawet w takich emocjach zdaję sobie sprawę, że jestem niesprawiedliwa. Jeżeli knajpa nie zatrudnia bramkarza, wcale nie tak łatwo zakazać komuś wstępu, a wygląda na to, że Robin miał pomagiera. Wprowadził go ktoś z wewnątrz. Czego teraz się po nim spodziewać? Po spustoszeniu, jakiego dokonał poprzednim razem, cała się trzęsę na myśl o jego niecnym zamiarach.

Moją uwagę przyciąga jakiś ruch przy wejściu. Na progu dostrzegam Lucasa – marszcząc czoło, wypatruje mojej twarzy w tłumie. Nie wiem, od jak dawna tam stoi. Kiedy nasze spojrzenia się spotykają, przejeżdża kantem dłoni po gardle, a ja delikatnie kręcę głową i składam dłonie w błagalnym geście. Gdyby teraz wyrzucił Robina za drzwi, to dopiero byłaby scena. Może nawet większa od tej, którą Robin zamierza niebawem odegrać.

– Znacie określenie „poucający moment”? Kiedyś to odnosiło się do kujonów, teraz pojawia się przy okazji konferencji naukowych i odczytów politycznych. Rzecz w tym, aby jakieś niezaplanowane wydarzenie albo doświadczenie dało nam szansę rozwoju. Żeby jednak z niego skorzystać, musimy być otwarci na naukę. Musimy rozpoznać ten moment.

Gareth, który jest tak przejęty, jakby zaprosił samego Ricky’ego Gervaisa, podaje mu butelkę wody. Robin otwiera ją i wypija łyk. Nie korzysta z notatek.

Co mnie podkusiło, żeby opowiedzieć akurat o nim? Sama ściągnęłam na siebie zagrożenie. A teraz, kiedy jestem w tarapatkach, szukam usprawiedliwienia i wmawiam sobie, że nic złego nie zrobiłam. Cała ja. Nie sposób tego dłużej ukrywać – pieprzony Robin McNee wysysa ze mnie resztki poczucia własnej wartości. I to właśnie teraz, kiedy wydawało mi się, że mogę odmienić swój los.

– I tak zacząłem się zastanawiać, czy ja sam przegapiłem jakieś pouczające momenty we własnym życiu. – Odstawia butelkę na stolik. – Spotykałem się kiedyś z dziewczyną, która podeszła do mnie po występie i powiedziała, że podobał się jej show. Była inteligentna, co ciekawe. Cyniczka bez wygórowanych ambicji, która widziała mnie na scenie, a mimo to miała ochotę się ze mną przespać. Mój typ. No i do tego z dużo wyższej ligi. Swoją drogą, nie cierpię tego określenia, bo brzmi, jakbym wierzył w eugenikę. Zresztą w tym miejscu wstawcie własne skojarzenia. Ludzie mogliby pomyśleć, że wygrałem ją na loterii.

Wszyscy się śmieją kulturalnie i przymilnie, jakby byli wiewiórkami, którym Robin rzuca orzeszki ze sceny. Ja ci dam cyniczkę bez wygórowanych ambicji, ty łachudro. Ten to potrafi wbić nóż pod żebro tak subtelnie i szybko, żeby nikt tego nie zauważył, ale żeby cios trafił w cel.

– Na pierwszą randkę poszliśmy do kina na nowego *Łowcę androidów*, aby potem sobie dyskutować, że sequele są zawsze gorsze od pierwowzoru. Po pięciu minutach seansu słyszymy, jak jakiś

gość z tyłu mówi: „On jest robotem!”. Zerkamy na siebie i oglądamy dalej. Po chwili jakaś inna postać pojawia się na ekranie, a ten sam głos zawodzi: „Roobooot!”. Przecież to tak jakby spojler. Słyszymy chichot. Znowu wymieniamy spojrzenia. Czyżby to jakiś akustyczny barbarzyńca z tej samej kategorii co autobusowi DJ-e; trajkoczący millenials, który zapomniał, że nie siedzi w domu przed telewizorem? A może ktoś upośledzony umysłowo? Takie wątpliwości stawiają mnie, obdarzonego sumieniem lewaka, w trudnej sytuacji. A więc robię to, co każdy mężczyzna w średnim wieku z klasy średniej zrobiłby w podobnych okolicznościach. Ogarnięty paniką czekam, aż zjawi się jakiś człowiek z obsługi i zrobi porządek – kwituje z wymowną miną. Publiczność parska śmiechem. – Niestety gość z tylnego rzędu nie odpuszcza. Komentuje wszystko, co widzi na ekranie, a jego głos brzmi teraz szyderczo. „Ale seksowna dziewczyna! Ale fajna bryka!” Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to nowy skecz o niezapowiedzianej wersji reżyserskiej z komentarzami. – Robin puszcza oko do zachwyconej widowni. – Komik nigdy nie jest bezbronny. Tymczasem moja dziewczyna oświadcza szeptem, że musi do toalety, po czym wstaje. I wtedy z tyłu dobiega: „Och, dobry wieczór, pani!”. Nie wytrzymuję. Przez jego psychodramę umknęło nam prawie pół godziny filmu, a teraz facet zaczyna moją laskę? Dostyc tego. Mówię jej, żeby usiadła z powrotem, i wstaję z fotela. Na zewnątrz zgłaszam problem pracownikowi obsługi, a ten wchodzi z latarką do sali i wyprasza uciążliwego widza. Kiedy facet przechodzi obok, odzywa się we mnie liberał o miękkim sercu, więc mówię: „Wybacz, stary, nie dało się z tobą wytrzymać”. Czuję się rozgrzeszony, tymczasem on tylko mierzy mnie wzrokiem i przepycha się dalej. Zero skruchy i jaki wyniosły. Głośno cmokam z dezaprobatą, po czym wracam na miejsce przy wtórze ściszonych wyrazów uznania. Czuję się taki męski, bo wykazałem się inicjatywą i ochroniłem swoją partnerkę. Po seansie idziemy na pizzę i między kęsami ostrej amerykany na cienkim cieście stwierdzam: „Nie do wiary, że mnie olał, kiedy go przeprosiłem. Zresztą po co w ogóle to zrobiłem? Ech, ludzie są dziwni”. A moja dziewczyna na to: „Myślę, że w ogóle cię nie słyszał. Jeżeli ktoś jest głuchy od urodzenia, zupełnie inaczej używa języka. Jeden z klientów w mojej dawnej pracy dawał mi kartki świąteczne z dopiskiem *Ta dziewczyna* na kopercie”. „Albo najzwyczajniej w świecie był prostakiem”, zauważam. Na co ona, że tak czy inaczej musiał widzieć pierwszego *Łowcę androidów* i rozumiał fabułę, bo od razu wiedział, kto jest robotem, a kto nie, a do tego trzeba znać kontekst. I wtedy się na nią wkurzyłem, drodzy widzowie. „To co miałem zrobić?”, pytam. „Zostawić go w spokoju, żeby krzyczał *Deszcz pada* albo *Jaki straszny pistolet?*” „Nie krytykuję cię, próbuję tylko wyjaśnić, jak to mogło wyglądać z jego perspektywy”, odpowiada moja dziewczyna. „Ale pewnie byś się czepiała, gdybym nie zaczął działać”, zauważam, a ona patrzy na mnie zaskoczona i odpowiada, że nie oczekiwała, żebym jakkolwiek reagował. Przez kolejne pół godziny siedzę nadąsany i myślę sobie, co za okropna niewdzięczność. Jak mogła mnie nie docenić? Dlaczego było jej obojętne, co dla niej zrobiłem? Musiałem stracić tę kobietę, którą pokochałem i nadal Kocham... – przerywa i udaje, że musi zapanować nad wzruszeniem – ...żeby dopiero po jakimś czasie pojąć, na czym polegał mój błąd. Myślałem, że przechodzę próbę i muszę spełnić jej oczekiwania. Ale całkowicie opacznie pojąłem te intencje. Ona nie chciała faceta, który wywali kogoś za drzwi. Ona chciała faceta, który zada sobie trochę trudu, żeby zrozumieć tego kogoś. Tamten drugi był głuchy, ale to ja niczego nie słyszałem. Dlatego uważam to za najgorszą randkę w życiu. I tutaj sam zawiniłem. Dziękuję za uwagę.

Robin mocuje mikrofon z powrotem na statywie. Kiedy wstaję i ruszam do wyjścia, wybuchają owacje, a na scenę wdziera się gromada rozszczebiotanych kobiet.

Trafiony, zatopiony. To nie jest miłość ani nawet namiastka miłości. To groteskowa imitacja uwielbienia, która daje Robinowi pretekst do rozgrywki ze mną. Nie zależy mu na wygranej; chce tylko mnie zdominować i wygląda na to, że mu się udało.



Robin wylatuje za drzwi, moi goście dochodzą do siebie, sącząc drinki w zacisznym boksie, a Gareth wyjaśnia oburzonemu Devlinowi, jak doniosłe znaczenie dla konkursu miał gościnnie udział McNee. Gdziekolwiek się pojawię, tam przyciągam problemy.

Lucas prowadzi mnie do kuchni, gdzie panuje taka cisza, że słychać elektryczny szum sprzętów.

– Georgino, okropnie mi przykro – mówi, stojąc ze mną wśród wypolerowanych powierzchni ze stali nierdzewnej. – To wszystko nasza wina. Zapomniałem podać Devlinowi rysopis i Robin przemknął niepostrzeżenie, kiedy byłem zajęty. Zawaliliśmy, nic nas nie usprawiedliwia.

– Dobra, spoko.

– Nie wiem, jak cię przeproszać. Ten facet w ogóle nie powinien cię nachodzić w twoim miejscu pracy, a za drugim razem można go było powstrzymać.

Musiałabym być o wiele szlachetniejsza, niż jestem, żeby nie czerpać satysfakcji z unижonej skruchy Lucasa.

– Taki tupeciarz jak Robin wszędzie się wkręci, więc nie róbcie sobie wyrzutów. – Staram się już złagodzić jego wyrzuty sumienia. – A co do występu... takiej randki sobie nie przypominam.

– Naprawdę? Przypuszczałem, że opowiadał o tobie.

– Och, to na pewno, ale było zupełnie inaczej. Nawet nie ruszył się z miejsca, tylko głośno wyklinał i wymownie klaskał, kiedy ktoś z personelu wreszcie zareagował. Jest skończonym kłamcą. Znaczący artystą, który bez skrępowania puszcza wodze wyobraźni – dodaję ironicznie. Lucas krzyżuje ręce na piersi i kręci głową. – Chyba nie masz o mnie najlepszego zdania, zważywszy na to, że byłam z kimś takim – rzucam bez namysłu.

Robi mi się miło, gdy widzę, jakie wrażenie wywierają na Lucasie moje słowa.

– Nie, broń Boże. Ja też nie jestem idealny – przyznaje. Nerwowo przełykam ślinę. Nie są to tematy, które chciałabym z nim drążyć. Zapada krępująca cisza. – Ale pierwowzorem Dave’a jest Robin, prawda? – pyta po chwili Lucas.

– Oczywiście.

– Tylko proszę, nie mów mi, że któraś z tych rzeczy nie wydarzyła się naprawdę. Tak bardzo mi się podobało, że nie chciałabym się poczuć jak dziecko, które słyszy, że święty mikołaj nie istnieje.

Wybucham głośnym śmiechem.

– Przysięgam, że niczego nie zmyśliłam.

Zdaję sobie sprawę, że Lucas próbuje mnie pocieszyć. Z powodzeniem, i jestem mu wdzięczna, że w ogóle o tym pomyślał.

Następnego dnia rano dochodzę do wniosku, że nie mogę dłużej uważać Robina McNee za problem, którego nie da się rozwiązać. Najwyższy czas coś z nim zrobić. Chodzi tylko o to, że nie bardzo wiem co. On nie stanowi fizycznego zagrożenia; jest psychologicznym terrorystą. Zastraszanie go przemocą, wbrew temu, co mówi Clem – i jak bardzo kuszące wydaje się takie rozwiązanie – nie ma sensu. Żeby go pokonać, trzeba myśleć tak jak on. No więc jaki jest jego słaby punkt? Podczas występów obfitujących w męskie docinki to surrealista ze skłonnością do bujania w obłokach. Nic dziwnego, że w oczach Kitty uchodzi za gwiazdora. Ma chłopięcy styl, więc bez trudu dogaduje się również z kobietami, które są od niego młodsze o dziesięć lub nawet piętnaście lat, czego sama jestem przykładem. Nie zyskałby wiele, gdyby zachowywał się jak obleśny podstarzały lubieżnik.

Przychodzi mi do głowy pewien pomysł.

Robin był na tyle roztargniony, że od czasu do czasu musiał korzystać z mojego telefonu, kiedy

rozładowała mu się bateria. Nie podejrzewałam go o romanse z innymi kobietami, bo komórka zawsze pozostawała odblokowana, a przychodzące esemesy wyświetlały się w całości na ekranie. Pod względem technologicznym był jak otwarta księga, co oczywiście nie znaczyło, że nie ma nic do ukrycia – po prostu mu to zwisało.

W każdym razie na tyle często dzwonił do swojego agenta Ala z mojej komórki, że później odbierałam mnóstwo omyłkowych wiadomości z nieznanych numerów, co doprowadzało mnie do furii. Ale dzięki temu numer Ala widnieje u mnie w książce telefonicznej. Czułabym się winna, wciągając go w tę rozgrywkę, gdyby nie to, że przyszedł z Robinem do mojej pracy i bawił się w filmowca.

Ale nie jestem aż tak naiwna. Skoro zapisałam numer Ala, równie dobrze on mógł wstukać do siebie mój. I jeżeli zobaczy na wyświetlaczu numer byłej dziewczyny swojego klienta, którą wkurzył po pijanemu, prawdopodobnie odrzuci połączenie.

Włączam laptopa, aby z należytą starannością przygotować grunt. Al ma konto na Twitterze, a co więcej – właśnie jest aktywny, więc mogę to wykorzystać. Wysyłam do niego wiadomość:

*Cześć, Al – tu Georgina. Jestem dziewczyną Robina McNee.*

Ech, muszę się przemóc, żeby to napisać. Słowo „była” mogłoby jednak sugerować nieprzyjazne nastawienie, więc przywróciłam sobie dawny zaszczytny tytuł, jakbyśmy już zdążyli się pogodzić i zejść na nowo. Al na pewno właśnie tak pomyśli.

*Wybacz, że zawracam ci głowę, ale troszeczkę się o niego martwię i chciałabym zasięgnąć twojej opinii w pewnej sprawie. Czy to może zostać między nami? Gx*

Przekonałam się, że jeśli chcę wcisnąć komuś kit, najbardziej liczy się nie przebiegłość, ale czynnik zaskoczenia. Każdy telemarketer przyzna mi rację. Gdyby Al przemyślał sprawę, najpierw zadzwoniłby do Robina, żeby zorientować się w sytuacji. W duchu modłę się o to, żeby zwykła ciekawość wzięła górę nad rozsądkiem. Ponieważ starannie zaplanowałam swoje zagranie – mój tekst jest nie tylko pokojowy, ale również intrygujący – facet powinien bez problemu połknąć przynętę. Wystarczy, że odbierze telefon.

Mój podstęp okazuje się skuteczny.

*Cześć, Georgino! Oczywiście. Chcesz teraz porozmawiać?*

*Tak! Dzięki. Mam twój numer. Zadzwoń za dziesięć minut x*

*Nie ma sprawy x*

\*\*\*

Dzwonię. Al odbiera. Nigdy się nie dowiem, czy odebrałby, gdybym wcześniej nie zagadnęła go na czacie, ale tak czy inaczej czuję się rozgrzeszona ze swoich podchodów.

– Cześć – zaczynam. – Widziałeś, jak ostatnio Robin wygłupił się w pubie? No wiesz... wszedł na krzesło i...

– Ach... tak... Byłem wtedy mocno wstawiony. Zapomniałem, że piwo rzemieślnicze daje takiego kopa!

– No dobra... Otóż zerwałam z Robinem, kiedy nakryłam go w łóżku z inną kobietą, o czym zapewne wiesz. Kiedy się zjawiliście w mojej pracy, byłam przekonana, że trafiliście tam przez przypadek. Ale później dotarło do mnie, że Robin w tajemnicy przede mną rozmawiał z moimi rodzicami, naopowiadał im kłamstw i dowiedział się, gdzie pracuję. Sam widziałeś, jak wykorzystał tę informację.

– No tak... – przyznaje Al tonem pełnym rezerwy, jakby zaczął się domyślać, że go podeszłam. – Nie miałem o tym pojęcia.

– Jasne, nie sugeruję, że było inaczej. Ale nie dalej jak wczoraj Robin wyciął mi identyczny numer. Znów odwiedził mnie w pracy i w sali pełnej ludzi walnął mały monolog na mój temat.

– Ojej.

– Mam z nim problem i potrzebuję twojej rady. Po tym, jak się rozstaliśmy, Robin przyszedł w nocy pod dom, rzucał kamykami w okno i przestraszył moją współlokatorkę. Dwa razy nachodził mnie w pubie i urządzał sceny. To cud, że mnie nie zwolnili po czymś takim – dodaję, bo w sumie nie zaszkodzi trochę podkoloryzować. – Kiedy przyłapałam go na zdradzie, oświadczyłam jednoznacznie, że z nami koniec. Nie odpowiadam na jego wiadomości i nie daję mu żadnych sygnałów, z których mógłby wywnioskować, że istnieje najmniejsza szansa na powrót. Musiał sobie coś uroić i robi takie rzeczy, które można uznać za nękanie. – Gdy przerywam, żeby zaczerpnąć tchu, na linii panuje cisza, ale mam nadzieję, że Al się nie rozłączył. – Szczerze mówiąc, zaczynam się martwić. Jeżeli Robin nie zostawi mnie w spokoju, będę zmuszona poszukać jakiegoś rozwiązania.

– Rozumiem cię, ale nie wiem, czego ode mnie oczekujesz. Nie jestem jego niańką, tylko agentem; poza tym znowu wyjechałam.

– Oczywiście, chociaż sama widziałam, jak radośnie filmujesz jego występ i dodajesz mu animuszu. Może udałoby się nam wspólnie coś wymyślić.

– Nie zachowałbym się tak, gdybym tylko znał szerszy kontekst... Przepraszam... Tak, zostaw to tutaj, Charlie. A film skasowałam.

Wiem, że Al jest w swoim biurze i w każdej chwili może się wymówić jakimś ważnym spotkaniem, żeby mnie spławić. Muszę szybko przejść do rzeczy.

– Super, ale problem w tym, że twój klient mnie nęka i jeżeli nie znajdę nikogo, kto przemówi mu do rozsądku, zawiadomię policję i postaram się o sądowy zakaz zbliżania się do mnie. Jak to będzie wyglądało, kiedy jakiś dziennikarz przyjdzie na rozprawę?

Nie mam zielonego pojęcia, na jakiej podstawie sądy wydają takie zakazy i jak lokalna prasa traktuje tego rodzaju sprawy, jednak Al również nie był zbyt dobrze zorientowany w aspektach prawnych filmowania na prywatnym terenie. Muszę tylko sprawiać wrażenie pewnej siebie.

– O rany! Nie wiedziałem, że jest aż tak poważnie. A nie sądzisz, że strzelasz z armaty do komara?

Czuję, że Al wreszcie oprzytomniał i poczuł zagrożenie. Połknął haczyk.

– Nie sądzę, ale proszę, poradź mi, co zrobić. Ja też wolałabym nie podejmować takich kroków. Jeśli jednak próby nie przyniosą skutku, nie będę miała innego wyjścia.

– Och, ta sprawa... Zaczekaj, zamknę drzwi. – Al przerywa i w tle słyszę odgłos kroków, potem stłumiony łoskot. – Posłuchaj, ta sprawa wymyka się spod kontroli. Porozmawiam z nim i powiem, że musi odpuścić, bo tracisz cierpliwość. Ta rozmowa zostaje między nami, prawda? No to, czy nie odniosłaś wrażenia, że Robin jest trochę... dwubiegunowy?

– Hm... nie...

– Te jego huśtawki nastrojów... Po prostu od bandy do bandy. Czasem całymi dniami nie rusza się z domu pogrążony w apatii, a innym razem rozpiera go energia. Niewykluczone, że dla rozkapryśzonego artysty takie zachowanie jest normalne, ale zastanawiam się, czy nie są to objawy jakichś zaburzeń. Nie wiem, może te jego pretensjonalne zagrania, to bombardowanie cię miłością, biorą się właśnie z tego.

– Też tego nie wiem.

Rozważam kolejne posunięcie: zagrać w otwarte karty czy wybrać drogę na skróty? Chcę jak najszybciej osiągnąć cel bez zbędnego zamieszania. Czyli na skróty.

– A zatem w sądzie mógłby się usprawiedliwiać, że jest nie zrównoważony psychicznie, tak? – mówię z przesadną uprzejmością.

– Porozmawiam z nim – odpowiada błyskawicznie Al. – Nigdy więcej nie będzie nachodził cię w pracy.

– Bardzo dziękuję. Doceniam twoją pomoc.

Ha, teraz twój ruch, Robinie McNeer. W sensie retorycznym. Bo w realu już ty lepiej nie wykonuj żadnych ruchów.

Al musiał naprawdę się wystraszyć, ponieważ piętnaście minut później dostaję esemesa od Robina.

*Cześć! No dobra, wygrałaś. Przyjąłem do wiadomości. Mogę porozmawiać z tobą o innych rzeczach? To dla mnie ważne. Żadnego zapraszania na drinka, obiecuję. Chodzi o pracę Rx*

Nic z tego. Nie dam się nabrać.





– Więc powrót do Robina McNee absolutnie nie wchodzi w grę? – pyta Kitty i popija przez słomkę dietetyczną colę z butelki.

– Za cholerę. – Energicznie wyciągam szufladę pod barem.

Robin nie kontaktował się ze mną od czasu wczorajszej wiadomości, więc wszystko wskazuje na to, że mój podstęp zadziałał. Nie wiem, czy Lucas jest w pobliżu, ale dla świętego spokoju zamierzam udzielać takich odpowiedzi na kolejne – dość przewidywalne – pytania Kitty, jakby mnie słyszał. Dochodzi dziewiąta wieczorem i na razie nie ma dużego ruchu.

– Więc z nikim się nie spotykasz? – drąży koleżanka.

– Z nikim.

– A nie chciałabyś kogoś poznać? Ożenić się, urodzić dzieci i w ogóle?

– To są trzy różne pytania – mówię z uśmiechem. – Owszem, chętnie bym kogoś poznała, ale mi się nie spieszy. A co do zakładania rodziny, musiałabym z kimś być, żeby wiedzieć, czy tego chcę.

– Powinnaś sobie stworzyć konto na Tinderze.

Prostuję się, płuczę ścierkę i spoglądam na zegar. W spokojny dzień czas płynie powoli, ale do końca zmiany już niewiele zostało.

– Szczerze mówiąc, szukam raczej miłości niż przygód. Romansu z prawdziwego zdarzenia. Czytam właśnie po raz kolejny *Wichrowe wzgórza*. „Nasze dusze są jednakowe, niezależnie od tego, co w nich tkwi”.

Kitty robi zmieszana minę, a ja schlebiam sobie w myślach, że w mediach społecznościowych mogłabym uchodzić za autorytet w dziedzinie literatury.

– A nasze dupy nie są jednakowe? Niezależnie od tego, co w nich tkwi?! – krzyczy rozbawiona Kitty, aż Lucas wystawia głowę zza rogu i ucisza ją głośnym syknięciem.

– Nasze dusze! – prostuję, trzęsąc się ze śmiechu. – Dusze!

Do baru podchodzi nieznajoma kobieta. Włosy ma spięte w gruby kucyk; jej zacięty wyraz twarzy i szybkie nerwowe ruchy budzą moją czujność.

– Słucham – odzywam się do niej. Zwykle nie witam w ten sposób klientów, ale czuję, że coś nie gra.

– Georgina? – pyta nieznajoma.

– Tak...?

– Pozdrowienia od Boba.

Otwieram usta, żeby powiedzieć, że nie znam żadnego Boba, gdy nagle kobieta chlusta mi w twarz zawartością plastikowego pojemnika, który trzymała za plecami. Krzyczę wystraszona, jakiś piekący płyn zalewa mi oczy. Z sali dobiegają okrzyki przerażenia, a ja na oślep wybiegam zza baru i wpadam do kuchni. Za plecami słyszę trzask zamykanych drzwi i głos Lucasa:

– Poczujesz zimno.

Silna dłoń chwyta mnie za kark i wpycha moją głowę pod kran. Strumień lodowatej wody spływa mi po twarzy i wlewa się do nosa. Zaczynam się wyrwać i przeraźliwie krzyczeć niczym ofiara waterboardingu.

– Georgino, tak trzeba, stój spokojnie.

Nieruchomieję, próbując złapać oddech, i słyszę, jak Lucas klnie raz za razem. Zastanawiam się, dlaczego w jego głosie brzmi przerażenie, dlaczego myje mnie nad zlewem, zamiast po prostu wytrzeć ręcznikiem, i dlaczego ściąga ze mnie podkoszulek. Gdy stoję wyprostowana, nabieram głęboki haust

powietrza; po chwili znów mam głowę pod kranem. Tym razem woda spływa mi po karku i na pierś. Chłodny powiew powietrza muska moją skórę; zaczynam dygotać. Po co ta kąpiel?

– Przestań, zimno mi! – piszczę jak dziecko, kiedy strużki wody ściekają mi po plecach i wsiąkają w dżinsy.

Lucas znów gwałtownie unosi mnie do pionu niczym szmacianą lalkę i czuję na policzkach jego ciepłe dłonie.

– Możesz otworzyć oczy? – pyta.

Niepewnie unoszę powieki i widzę wewnątrz kuchni jak przez mgłę. Mrugam, strząsając z rzęs grube krople, szare od rozpuszczonego tuszu. Z nosa wycieka mi ciepła strużka wody.

– Co się dzieje?

– Widzisz...? – Lucas zawiesza głos. – Widzisz mnie?

Skupiam na nim wzrok. Nasze twarze dzieli zaledwie kilka centymetrów.

– Tak, oczywiście.

Czuję na skroniach delikatny ucisk jego dłoni, kiedy obraca moją głowę w lewo i w prawo. Potem odsuwa mnie lekko od siebie i obserwuje uważnie, wodząc palcami po moich obojczykach. Ciężko przetykam ślinę i spuszczam wzrok, starając się zachować w pamięci doznanie, jakie wywołał we mnie ten dotyk, żeby wrócić do niego później.

Odnoszę wrażenie, jakbym śniła koszmar na jawie. Od pasa w górę nie mam na sobie nic oprócz stanika; na wykafelkowanej podłodze leży mój wzorzysty kardigan, a na nim przemoczony podkoszulek. Dzięki Bogu stanik nie jest przezwitujący, bo chyba wolałabym umrzeć niż obnażać teraz sutki. Ubierając się dziś rano, nie mogłam przewidzieć, że Lucas McCarthy pozbawi mnie części garderoby.

– Dlaczego mnie rozebrałeś? – pytam.

To było śmiałe posunięcie z jego strony, myślę. Tamta kobieta czymś mnie oblała, tak?

– Nic ci nie jest? Dobrze się czujesz?

Mrugam jeszcze kilka razy, żeby odzyskać całkowitą wyrazistość obrazu.

– Tak – zapewniam z uśmiechem. – Pomijając to, że jestem półnaga, ociekam wodą i nie mam pojęcia, co się dzieje.

Pociągam nosem, odkasłuję i zastanawiam się, czy skrzyżować ręce na piersi, ale ostatecznie dochodzę do wniosku, że lepiej nie okazywać zakłopotania, więc tylko dyskretnie wciągam brzuch. Podnoszę z podłogi wilgotny podkoszulek.

– O Boże. – Lucas robi parę kroków do tyłu i opiera się o kuchenkę mikrofalową. – Rany, co za... Muszę ochłonać.

– Ale o co chodzi?

– Myślałem, że to był kwas!

– Aha!

Przygląda mi się zdumiony.

– Nie mów, że wcześniej nie przyszło ci to do głowy.

– Właśnie tak. Ojej, ale ze mnie idiotka.

Nagle reakcja Lucasa nabiera sensu. Czuję się bezgranicznie naiwna, mimo to wypełnia mnie ulga na myśl, że alarm okazał się fałszywy.

– Nieświadomość czasem bywa błogosławieństwem – podsumowuje Lucas. – Miałas szczęście. Nie chciałbym już nigdy przeżywać takich chwil grozy jak przez te pół minuty.

– Typowy facet! To ja stoję tu roznegliżowana i mokra jak szczur.

– Cholera, przepraszam. Ale kiedy myślałem, że żrący płyn przepala ci skórę, nie przejmowałem się etykietą. – Odruchowo spogląda na mój dekolt, po czym błyskawicznie odwraca wzrok, a ja krzyżuję ręce na piersi. Obydwoje wpatrujemy się w podłogę, jakbyśmy chcieli, żeby ziemia rozstała się pod nami. – Och, nawet nie wiesz, jak mi ulżyło, Georgino. Byłem pewien, że wylądujemy w szpitalu...

– Szybko zadziałałeś. Jestem pod wrażeniem.

– Zaliczyłem parę kursów pierwszej pomocy. Naprawdę nie skojarzyłaś, że to mógł być kwas? Widziałem całą akcję jak w zwolnionym tempie.

Kręci głową, autentycznie wstrząśnięty. Ogarnia mnie wzruszenie. Tym większe, że wciąż czuję dotyk jego palców.

– Dlaczego ona to zrobiła? I kim jest Bob? – zastanawiam się na głos. Spoglądamy na siebie skonsternowani. Komu mogłam się tu narazić? Dopiero po chwili przychodzi olśnienie. – Zaraz, zaraz... Czy ten striptizer przebrany za Thora nie miał przypadkiem na imię Bob?

– Nie jestem pewien...

– Tak! Krzyczał na odchodnym, że Bobby nie zapomina. To musi być jego zemsta. Tylko dlaczego woda?

– Hm, nie sądzę, aby to była woda.

Chwytam w palce kosmyk włosów i podsuwam sobie pod nos.

– Tak dokładnie mnie splukałeś, że już niewiele zostało. Możemy tylko podejrzewać, że to... szczyny boga piorunów? Niezła nazwa dla piwa rzemieślniczego, gdyby zabrakło ci natchnienia. – Nie mogę się opanować i wybucham śmiechem.

– Ty naprawdę potrafisz robić sobie jaja dosłownie ze wszystkiego, co?

Już zamierzam jakoś to skomentować, ale wtedy on niespodziewanie bierze mnie w objęcia. Mokry podkoszulek wypada mi z dłoni. Poddaję się, kiedy Lucas mocno przyciska mnie do siebie, i niepewnie otaczam rękami twardy tułów. Serce mojego wybawcy wciąż dziko kołocze.

– Nie przeżyłbym, gdyby ktoś oszpecił taką twarz – szepcze Lucas z ustami przy moich włosach. Co? Co takiego?

Odchylamy się i przez krótką chwilę patrzymy sobie w oczy, oddaleni o zaledwie kilka centymetrów. Jezu miłosierny, myślę, czy teraz będziemy się całować? W obliczu nagłego kryzysu, kiedy najedliśmy się strachu i jeszcze nie zdążyliśmy dojść do siebie, wszystko może się między nami zdarzyć. W tym całym zamieszaniu nie tylko mój dekolt ujrział światło dzienne. Wyszło na jaw również to, że Lucasowi na mnie zależy. Powietrze niemal skwierczy od napięcia.

Otwierają się drzwi i do kuchni zagląda Devlin. Zauważa, że stoimy przytuleni; jego wzrok wędruje w kierunku mojego gołego brzucha. Odruchowo chcę się cofnąć, ale Lucas lekko napina bicepsy, więc pozostaję w jego objęciach.

– Zakładam, że panience nic się nie stało, skoro już się do niej dobierasz. To jest pomieszczenie do przygotowywania żywności, Luc!

Z sali dobiega piskliwy głos Kitty:

– Co się dzieje? Z Georginą wszystko w porządku?

Lucas, zaledwie trochę rozluźniając objęcia, podnosi kardigan i wręcza mi go szarmanckim gestem, a ja zasłaniam się swetrem jak ręcznikiem kąpielowym. Górne części garderoby trzeba porządnie wykręcić i położyć na gorącym grzejniku, bo nie zamierzam startować tego wieczoru w wyborach miss mokrego podkoszulka.

– W porządku – odpowiada Lucas. – To był jakiś bliżej nieokreślony bezbarwny płyn.

– Powstrzymam się od tych obscenicznych żartów, które w tej chwili przychodzą mi do głowy. Wiecie, że to nie w moim stylu.

– Odwał się, Devlin.

– Ha, ha, ha! Napastniczka uciekła, zanim Kitty zdążyła wybiec z baru i ruszyć w pogoń. O co jej chodziło?

– Według Georginy głównym podejrzanym jest ten striptizer, którego wywaliliśmy za drzwi.

– To mi wygląda na zemstę za rozkwaszony nos – wtrącam.

– Jasne. – Kiwa głową. – Przy tobie nie można się nudzić.

Devlin wraca na salę, a ja zakładam kardigan i zapinam guziki. Co dziwne, czuję się teraz bardziej skrzępowana niż wcześniej, kiedy zostałam w samym staniku. Ubieranie się w obecności Lucasa ma intymny podtekst – przychodzi mi na myśl jeszcze tylko jedna sytuacja, w której zakładałabym przy nim ciuchy. Sądzę, że Lucasowi towarzyszą podobne odczucia, bo odwraca wzrok i sugeruje, że powinniśmy zawiadomić policję.

– A co powiemy? Że ktoś oblał mnie wodą? Znikoma szkodliwość społeczna.

– Ale sprawcy mogło zależeć, żebyś pomyślała, że w pojemniku jest kwas, a to już grubsza

sprawa – zauważyła Lucas. – Warto to zgłosić. Nie zaszkodzi, jeśli odwiedzą go mundurowi i uświadomią, jakie grożą mu konsekwencje, gdyby koleśowi przyszło do głowy oblać cię czymś innym.

– Racja. Co za dzień!

Zakładam wilgotne włosy za uszy; z rozmazanym makijażem na pewno wyglądam jak jeden z członków zespołu Kiss.

– O tak, mocnych wrażeń nam nie brakuje – przyznaje Lucas. – Zważywszy na okoliczności, pozwalam ci odmeldować się, wrócić już teraz.

– Chciałabym wrócić do domu, wziąć prysznic, przebrać się, wrócić i wypić coś mocnego.

Taksuje mnie wzrokiem.

– Żeby się odstresować?

– Otóż to.

– Ustaliliśmy, że ja przeżyłem silniejszy stres.

– W takim razie też powinieneś się napić.

Zerka na zegarek.

– Widzimy się za godzinę.

Sesja terapeutyczna? Tylko we dwoje? Nie mogę się doczekać. Wciąż myślę o tym, co powiedział, kiedy trzymał mnie w objęciach. Te słowa go zdradziły.

Przynajmniej mam taką nadzieję.



– Czego pani sobie życzy? – pyta Devlin, gdy pojawia się z powrotem w pubie tuż przed końcem zmiany.

– Szklaneczkę Szczyń Boga Piorunów.

Cała aż drzę z niecierpliwości. W domu odświeżyłam się i przebrałam, przywiązując do tego znacznie więcej wagi, niż wydawałoby się konieczne – biorąc pod uwagę, że zostało pół godziny do zamknięcia. Mam na sobie obcisły podkoszulek z logo The Cure. Czasami subtelność bywa przereklamowana.

– Niestety, splukałam wszystko do zlewu. Ale były strasznie mętne, więc myślę, że trzeba oczyścić przewody – woła Lucas zza baru i obydwójce wybuchamy histerycznym śmiechem.

Tym razem to Devlin przewraca oczami. O rany, Bobby, nawet nie wiesz, jaką wyświadczyłeś mi przysługę. Trudno uwierzyć, że jeszcze do niedawna uważałam Lucasa za ponurego odludka. Wygląda na to, że po raz drugi odkryłam prawdziwą naturę człowieka, który kryje się za tą zdystansowaną postawą, za tą fasadą. Po prostu musiałam zyskać jego zaufanie.

Zazwyczaj kiedy Lucas pracuje, ja też jestem zajęta. Dziś po raz pierwszy mogę go obserwować, siedząc przy stoliku z kieliszkiem czerwonego wina. Mam licencję na ukradkowe pożeranie go wzrokiem i zamierzam ją wykorzystać.

Aż do dzisiejszego wieczoru nie przyznałabym się przed sobą do tego, jak działa na mnie widok Lucasa. Nie zamierzałam się torturować, ponieważ chodziło o kogoś, kto za mną nie przepadał. Poza tym byłam dla niego tak mało ważna, że wymazał mnie z pamięci. A na dodatek takie podejście dawało nam niczym nieskażoną drugą szansę na nowy początek bez rozpamiętywania przeszłości.

Opieram podbródek na dłoni i przyglądam się, jak Lucas zdejmuje dzin z wysokiej półki – jego podkoszulek podjeżdża do góry, odsłaniając kawałek brzucha. Klient przy barze zmienia zdanie, więc Lucas odstawia butelkę na miejsce, by sięgnąć po inną, i tym razem widzę, jak napinają się mięśnie nad jego paskiem. Ja nie mam takiego płaskiego brzucha, ale też prężę się odruchowo.

Nawet pozycja, jaką przybiera, stojąc przy kasie, totalnie mnie zniewala – napięte ramiona i lekkie swobodne ruchy. O Boże, i to, jak odgarnia na bok kruczoczną grzywkę, żeby otrzeć pot z czoła...

Nagle Lucas zerka w moją stronę, więc błyskawicznie spuszczam wzrok i wpatruję się w ekran smartfona. Zaproponował, że się ze mną napije, zgadza się? Bo jeżeli tylko coś sobie uroiłam, będę strasznie rozzarowana.

Uwielbiam Deva i wprost nie posiadam się z wdzięczności, kiedy oświadcza przeproszającym tonem, że chętnie by do nas dołączył, ale Mo i dzieci są u niego, więc musi wcześniej wyjść. Lucas kręci głową, gdy proponuję mu pomoc przy sprzątanii. W końcu zamykają się drzwi za ostatnim klientem i zostajemy sami, jeśli nie liczyć Massive Attack w głośnikach. *Stand in front of you.*

Cała drzę z przejęcia.

– To pijesz? – Lucas unosi butelkę czerwonego wina i wskazuje palcem na etykietę.

Przytakuję; podchodzi do mojego stolika z butelką i kieliszkiem. Zauważam, że jest aż cały zeszywniały od tłumionego napięcia. Zajmuje miejsce naprzeciwko mnie, po czym dolewa wina do mojego kieliszka i napełnia swój.

– A zatem, Georgino Horspool, cieszę się, że siedzimy tutaj, bo mogliśmy wylądować w szpitalnej izbie przyjęć.

My? Czy to ma jakieś znaczenie? Bardziej naturalnie brzmiałaby liczba pojedyncza.

Przypominam sobie, jak dawno temu tak samo podekscytowana balansowałam nad przepaścią. Nie potrafiłam odgadnąć, czy on czuje to samo co ja; wiedziałam jedynie, że jeśli moje nadzieje okażą się płonne, runę w dół jak kamień. Ale nawet jeżeli musiałam się liczyć z bolesnym upadkiem, to wyjątkowe uczucie z niczym nie mogło się równać.

Gawędzimy swobodnie – teraz łączy nas już wystarczająco wiele, by rozmowa nie wymagała od nas wysiłku. Lucas zwierza mi się, że też nie cierpiał studiów i nie miał najmniejszej ochoty robić dyplomu z ekonomii.

– Ojciec wymagał, żebyśmy przejęli rodzinny interes i koniec dyskusji. Nie tolerował żadnych innych pomysłów ani tym bardziej nie zamierzał ich finansować. Devlinowi to pasowało, ja jednak... nie chciałbym wyjść na niewdzięcznika, ale prowadzenie knajpy nie było moim marzeniem.

– A co pragnąłeś robić?

– Bardzo podobała mi się praca nauczyciela – wyznaje Lucas, przekładając kieliszek z jednej ręki do drugiej.

– Widzę cię w tej roli!

– Nabijasz się ze mnie?

– Nie – odpowiadam z szerokim uśmiechem. W tej chwili nie umiem obiektywnie ocenić sytuacji, lecz odnoszę wrażenie, że flirtujemy ze sobą. – W sumie mógłbyś się przekwalifikować, prawda?

– Owszem, ale jestem już za stary, żeby zaczynać wszystko od nowa. No i przyzwyczałem się do życia na pewnym poziomie. Słuchaj, nie powiedziałem, że moje problemy muszą wzbudzać współczucie. – Uśmiecha się szelmowsko, zerkając na mnie z ukosa, i teraz już nie mam wątpliwości, że flirtujemy.

– A więc jesteś nadziany? – pytam, żeby się przekonać, czy będzie ze mną szczerzy.

– Hm, jak powinna brzmieć taktowna odpowiedź?

– Prawdziwie.

– Tak, jestem. Mnie i bratu bardzo dobrze się powodzi. Zawarliśmy z ojcem faustowski pakt: róbcie, co wam każe, a przejmiecie wszystko. Ojciec był hardym typem, do tego stopnia, że niezupełnie przestrzegał prawa i wdawał się w szemrane interesy. Później musieliśmy to wszystko uporządkować. Odetchnąłem z ulgą, kiedy przeszedł na emeryturę.

– Jak to się stało, że ty i Dev wyrosliście na przyzwoitych ludzi? – wypalam bez zastanowienia i od razu widzę, że moje słowa mu pochlebiły.

– To zasługa mamy.

Wiem, że Lucas, człowiek bardzo porządny, nie zyskuje więcej na wartości dzięki swojemu majątkowi. Mimo to daję się ponieść fantazji i przez krótką chwilę wyobrażam sobie, że tworzymy związek. Faceci, z którymi się spotykałam, byli zazwyczaj biernymi pechowcami i zapożyczali się u mnie przed wypłatą. Ech, Georgino, nie, dosyć tego. Nie jesteś bohaterką powieści Jane Austen i możesz sama na siebie zarabiać. Pomyśl o mamie i Geoffreyu.

Rozmawiamy o Robinie; przedstawiam swoją wersję wydarzeń z tamtego wieczoru, kiedy zastałam go w łóżku z Lou, a Lucas w odpowiednich momentach robi zszokowaną minę, wybuchając śmiechem i głośno wzdycha z wrażenia. Wyraźnie zacieśnia się więź między nami i dla odmiany podoba mi się to, jaka jestem. Może byłam z idiotą, ale potrafię zamienić to doświadczenie w zabawną historię.

Wino się kończy; Lucas pyta, czy próbowałam nalewki wiśniowej, która przyszła z ostatnim zamówieniem. Wypijamy serię lepkich shotów i mlaskając, rozprawiamy, czy nowy nabytek jest pyszny, czy nieco przesłodzony. Podświetlany zegar nad barem pokazuje wpół do pierwszej. Mimo lekkiego zamroczenia alkoholem doskonale zdaję sobie sprawę, że zbliża się chwila rozliczenia.

– Patrz, która godzina! – woła Lucas. – Zaraz wezwę ci taksówkę.

Postanawiam zaryzykować. Z pełną premedytacją.

– Luc – zaczynam, celowo używając takiej formy jego imienia. – Pamiętasz ten wieczór, kiedy mnie zatrudniliście? Podśledzałam wtedy, jak mówiłeś Devlinowi, że nie chcesz, aby wasz pub zamienił się przeze mnie w Hooters.

Lucas nieruchomieje zaskoczony.

– Naprawdę tak powiedziałem?

– Hm... rozpoznałam twój głos. Po stypie stałam z papierosem przy kuchennym oknie.

– Och, chyba trochę się nawaliłem.

Wygląda na zakłopotanego, więc zaczynam się obawiać, czy nie za bardzo igram z losem.

– Nie sądziłam, że postrzegasz mnie jako głupią cycatą blondynkę.

– Ależ nic podobnego! – reaguje gwałtownie.

– Robin nazywał mnie Dianą Dors.

– O rany, a sam jest podobny do Leo Sayera. – Zawiesza głos. – Prawdopodobnie chciałem sprowadzić brata na ziemię, żeby nie podejmował pochopnych decyzji na rauszu.

– Rozumiem.

– Naprawdę bardzo mi przykro, jeżeli odniosłaś wrażenie, że osądzam cię na podstawie wyglądu.

Byłem nonszalancki i opryskliwy, bo droczyłem się z Devem. Och... – Nerwowo pociera kark dłonią.

– Teraz się czuję jak skończony dureń.

Wyjaśnienie tej kwestii od początku było ryzykowne, ale w tej chwili widzę, że konsekwencje godzą nie tylko we mnie. Bez troski nastrój prysł; Lucas jest wyraźnie skrępowany.

– Wiem, że nie chciałeś mnie obrazić – zapewniam. – Tylko po prostu... czasami obawiam się, że przyciągam niewłaściwych mężczyzn. Robin był zaskoczony, kiedy odkrył, że czytam książki. Może powinnam zafarbować włosy na ciemny kolor i wyrzucić tę różową kurtkę.

Teraz dużo lepiej, Georgino, daję sobie pochwałę w duchu. Wiem, że takie wyłudzenie komplementów zalatuje jawną manipulacją, ale przynajmniej pozwoli mi zatrzeć złe wrażenie.

– Nie warto zadawać się z mężczyzną, który ocenia inteligencję kobiety po kolorze jej włosów – stwierdza Lucas.

No i połknął haczyk.

– Święta prawda – przyznaję. – Zresztą i tak jestem za słabo opalona, żeby pracować w Hooters.

Czy ty siebie słyszysz, Georgino? Mogłaś sobie to odpuścić.

– Nie przejmowałbym się tym. Bez opalenizny też ślicznie wyglądasz.

Rety! Jeszcze jeden gol w dogrywce. „Ślicznie”. Lucas McCarthy uważa, że jestem śliczna. „Nie przeżyłbym, gdyby ktoś oszpecił taką twarz”. To musiało coś znaczyć. Przecież on nie rzuca słów na wiatr. Moje serce kołacze tak mocno, aż się dziwię, że nie dzwonią szyby w oknach.

– No dobra. – Lucas spogląda na zegar. – Zadzwońię po taksówkę. – Wstaje od stolika i podchodzi do telefonu za barem.

Zrób coś. Wykonaj jakiś ruch, ponaglam się w myślach.

– Jeszcze po jednym na drogę? – wołam i Lucas odkłada słuchawkę.

Zastanawiam się, dlaczego w barach wciąż są telefony stacjonarne. Nie powinnam dopuścić, żeby załatwił mi podwózkę. Może będę ściemniać, że korzystam z jakiejś aplikacji.

– No to dawaj.

Z triumfalnym uśmiechem nalewam ostatnią kolejkę. Lucas chwyta szklaneczkę i stuka się ze mną, a jego palce delikatnie ocierają się o moje. Pijemy likier, zapatrzeni w siebie. Kiedy nieświadomie oblizuję wargi, wzrok Lucasa przeslizguje się po moich ustach tak szybko, że nie jestem pewna, czy mi się to tylko nie przywidziało.

Kilka minut później blask samochodowych reflektorów wpada przez okno; Lucas podnosi się z krzesła.

– Och, szybko – odzywa się tonem, z którego nie sposób nic wywnioskować.

O nie, nie, zawodzę w duchu, ale też wstaję. Po chwili jasne smugi przesuwają się dalej i znikają.

– Fałszywy alarm – oznajmia Lucas z wyraźną ulgą.

Podchodzę do niego i zadzieram głowę, żeby spojrzeć mu w oczy, on patrzy na mnie, a cały świat wstrzymuje oddech.

Teraz albo nigdy.

– Lucas...

– Tak?

– Jestem trochę pijana – szepczę. – Powinnam już iść, ale...

– Ale co?

– Mam ochotę zostać.

Unosi rękę i odgarnia mi z twarzy kosmyk włosów, bo najwyraźniej wkraczamy właśnie w fazę subtelnego dotyku. Te znaki świadczą tylko o jednym, myślę.

A jednak z dużą niepewnością zbliżam się do Lucasa... potem zarzucam mu rękę na szyję i całuję go w usta.





Nadal jestem wystraszona, lecz upojenie alkoholowe pomaga mi przetrwać tych kilka sekund zawieszenia w próżni, kiedy nie wiem, jak on zareaguje. Tańczenie w pojedynkę jeszcze ujdzie, ale całowanie się w pojedynkę świadczy o całkowitej samotności.

Kiedy już zaczynam się martwić, nagle Lucas odwzajemnia pocałunek z taką samą namiętnością; kładzie mi dłoń na karku, zanurza palce we włosach.

Nikt nie całuje tak dobrze jak on. Moje wspomnienia z czasów szkolnych wydawały mi się podretuszowane odcieniami różu, ale jeśli już, to raczej wyblakły niczym stare fotografie. Nie brakuje niczego, co Lucas kiedyś we mnie rozbudzał. Ciało najwyraźniej pamięta tamtego chłopaka i reaguje na niego, rozpoznaje go i rozpala się, a mnie od stóp do głów zalewa fala pożądania. Przez ostatnich dwanaście lat zakosztowałam dziesiątek pocałunków, ale wszystkie były jedynie namiastką tego, co przeżywam teraz.

Oj tam, pewnie mitologizujesz swoją pierwszą miłość, a nostalgia płata ci figle, powtarzałam sobie nieraz. Myliłam się. I to bardzo.

Lucas powinien wiedzieć, jak cholernie go pragnę. Ponieważ nie mam odwagi mu tego wyznać, wkładam całą energię w inne formy komunikacji. Nie tylko wpijam mu się głęboko i bezwstydnie w usta, ale zadzieram jego podkoszulek i dotykam nagiego ciała, dając jasno do zrozumienia, że mój przekaz nie brzmi: „Chodź, polizmy się trochę na dobranoc” – to zdecydowane żądanie: „Chcę iść z tobą do łóżka”.

W odpowiedzi Lucas też wsuwa mi dłoń pod koszulkę, a ja chwytam ją, przesuwam do góry i kładę sobie na piersi. Z pewnością nie zgrywam trudnej do zdobycia. Pozwalam się ponieść euforii. Lucas delikatnie zaciska dłoń, potem odsuwa koronkowy brzeg stanika i palcami pociera lewy sutek. Cudownym zrządzeniem losu znów jesteśmy na drugiej bazie – nigdy nie ogarniałam tego porównania – którą zręcznie i niepostrzeżenie udało nam się osiągnąć w ogrodzie botanicznym. Tyle że tym razem nie musimy osobno wracać do domu i zmagać się z bolesnym niezaspokojeniem.

Kiedy zaczynam się mocować z jego rozporkiem, Lucas chwytam mnie za rękę.

– Przestań – nakazuje.

Odrywam się od niego, ciężko dysząc.

– Co?

– Nie możemy...

Spoglądam w stronę okien. Racja, rolety nie są niezawodne, a w środku jest na tyle jasno, że ktoś mógłby nas zobaczyć.

– Dobra. Pójdziemy na górę?

Ubrania mam w nieładzie, twarz płonie mi z podniecenia.

– Nie. Lepiej, żebyśmy tego nie robili.

Nie rozumiem. Lucas cofa się zaledwie pół kroku, lecz w tym momencie wydaje mi się, że dzielą nas tysiące kilometrów.

– Ej... co się stało? Zrobiłam coś niewłaściwego?

– Absolutnie nie – odpowiada chrapliwym głosem.

Mrrr. Osiągnęłam stan, który moja matka określiłaby jako niegodny damy. Próbuję pocałować Lucasa jeszcze raz, ale on mnie powstrzymuje, kładąc mi dłonie na ramionach.

– Naprawdę, Gino. Trochę sobie popiliśmy i zachowujemy się niepoważnie.

– Wiem – odpowiadam. – Czy to jakiś problem?

– Ha, ha. – Kręci głową. – Przynajmniej dla mnie.

Co? Czyżby się obawiał, że nie sprosta wyzwaniu?

– To znaczy?

– Teraz może być miło, jutro jednak musimy razem wrócić do pracy.

– Mnie to nie przeszkadza – zaznaczam dobitnie.

– No cóż, a mnie owszem. Lada chwila przyjedzie taksówka. Załóż kurtkę.

Z początku myślałam, że sobie ze mną pogrywa i próbuje mnie nakłonić, żebym się bardziej postarała. Nagle jednak dociera do mnie, że to nie blef.

– Co z tobą? – pytam oszołomiona.

– Wolę się nie angażować w bliższe relacje z ludźmi, z którymi pracuję – wyjaśnia głosem wciąż przytłumionym. – Nie chcę komplikacji.

– O mój Boże! – wyrывa mi się odrobinę za głośno, ale tą odpowiedzią dopiekl mi do żywego.

Nie ma takiej pracy na świecie, której bym nie poświęciła, żeby spędzić noc z Lucasem McCarthym.

– O co ci chodzi? – pyta Lucas ściszone głosem. Jest o wiele bardziej opanowany niż ja. – Nie widzę w tym nic złego.

Czuję się tak bardzo zraniona i upokorzona, że nie zważam na słowa, które wylewają się z moich ust.

– Unikanie komplikacji to zwykłe wciskanie kitu. Wszyscy poznają kogoś w pracy. Po prostu mi powiedz, że cię nie kręcę, i spoko.

Oczywiście żadne spoko – byłabym totalnie zdruzgotana, ale nie wierzę, że ktoś, kto mnie tak nieziemsko całował, nie czuł ze mną żadnej więzi.

– Nie, posłuchaj...

– Więc dlaczego się ze mną całowałeś? – przerywam mu lekko histerycznym tonem.

– Ty mnie pocałowałaś.

Opada mi szczęka.

– Och, no racja, przepraszam. Myślałam, że do tego trzeba dwojga, ale widocznie cię uwiodłam, co? Migdaliłam się sama ze sobą?

Teraz Lucas traci równowagę.

– Georgino, jesteś przepiękną, cudowną kobietą i nikt nie potrafiłby ci się oprzeć, ale pracujesz dla mnie. Więc: nie. Nie mogę.

Umiem rozpoznać wymuszone komplementy stosowane jako nagroda pocieszenia. Zwłaszcza że on jakoś zdołał mi się oprzeć bez większego trudu.

– To, że wyplułeś mnie tak, jakbyś znalazł grudkę kociej karmy w chilli con carne, to jedno, a dorabianie do tego ideologii to zupełnie inna sprawa. Możesz powiedzieć mi prawdę. Jestem dorosła. Najgorsze są takie dyplomatyczne wykręty.

Lucas wydaje się jeszcze bardziej rozdrażniony, jakby moje słowa zraniły go do żywego.

– Uważasz, że wciskam ci kit? Prawda nie jest jakimś wzniosłym objawieniem, które nas wyzwala. Zwykle wygląda parszywie i lepiej jej nie ruszać, o czym powinnaś doskonale wiedzieć.

Czy on nawiązuje do romansu mojego taty? Czy...?

Patrzemy na siebie w milczeniu, dysząc ciężko ze wzburzenia, a słowa Lucasa wciąż wiszą w powietrzu między nami.

– Więc... – Przelykam ślinę, żeby rozluźnić ściśnięte gardło. – Więc przyznajesz, że naprawdę nie chodziło ci o pracę, tylko o coś innego?

– Tak – odpowiada z wahaniem.

Widzę, że już żałuje tego, co właśnie powiedział, ale przyparłam go do muru i nie zdążył przemyśleć kolejnego posunięcia. Za późno.

Tymczasem moje śmiałe zagranie spełzło na niczym. W poczuciu zagubienia i odrzucenia wcale nie jestem tak pewna siebie, jak udaję. Ogarnia mnie niepokój graniczący z przerażeniem. Zaszłam jednak zbyt daleko, żeby się wycofać.

– Pewnie nie słyszałeś, jak rozmawiałam z Kitty o miłości. Jeśli nie, mogę ci powtórzyć. Otóż nie szukam męża.

Marszczy czoło.

– Jasne – mówi.

- I co ty na to?
- To nie ma znaczenia.
- Owszem, ma.

Skoro prawdziwy powód odrzucenia wymaga kamuflażu w postaci kłamstwa, musi to być coś naprawdę przykrego. Poza tym Lucas nie był świadkiem tego, jak plotkowałam o nim z Kitty i orzekłyśmy, że jest gotów na nowy związek, więc jeśli spróbuje zasłaniać się Niamh, będzie to kolejna ściema. Chyba wiem, co zaraz mi tu zaszerwuje, ale wolałabym, żeby powiedział coś – cokolwiek – innego niż to, czego się spodziewam.

Czy może chodzić o...? Nie, na pewno nie...

– Dlatego chciałam poznać prawdę – dodaję.

– Tak? Po co ci ona?

– Bo to lepsze niż domysły – odpowiadam przez ściśnięte gardło.

Przyjmuję śmiało założenie – nie mam żadnej gwarancji, że jego odpowiedź okaże się lepsza od domysłów. Wnętrze pubu już nie jest przytulne. Wydaje się mroczne i złowieszcze. Iskrzenie między nami całkiem wygasło, pozostawiając po sobie nieprzyjemny swąd spalenizny. Lucas odwraca wzrok, potem znów spogląda mi w oczy.

– Przypominasz mi o jednym z najgorszych wieczorów w moim życiu – odzywa się w końcu.

Przez chwilę patrzymy na siebie w milczeniu.

– Nie rozumiem...

– Och, na pewno doskonale rozumiesz.

– Ale... – Całkiem odbiera mi mowę. Miałam tyle czasu, żeby przygotować się do tej rozmowy, i po dwunastu latach nadal nie wiem, co powiedzieć.

– Odświeżę ci pamięć – ciągnie Lucas. – Mieliliśmy po osiemnaście lat i chodziliśmy ze sobą, jak wtedy się mówiło. – Urywa. Zatem mnie rozpoznał. Najgorszy wieczór w jego życiu? Serio? A ja przez cały ten czas nie miałam pojęcia, że tak to przeżył. – Owszem, udawałam, że cię nie pamiętam, kiedy Dev nie pozostawił nam wyboru – dodaje. – Pomyślałem, że tak będzie łatwiej.

– Jako szef stwierdzić, że nie chcesz ze mną pracować.

Teraz to bez znaczenia, ale muszę jakoś wypełnić milczenie, kiedy próbuję zebrać myśli. Od początku wiedział, kim jestem?

Na zewnątrz taksówkarz naciska klakson, lecz żadne z nas nie zwraca na niego uwagi.

– Wolałem cię nie zadreć czymś, co się wydarzyło w innym życiu. Nie żebym teraz przywiązywał do tego mniejszą wagę. Ale zgadza się, spośród wszystkich kandydatek w Sheffield powinienem wybrać taką barmankę, która nie złamała mi serca.

I dopiero teraz to mówi?

– Złamałam ci serce? – powtarzam zdziwiona; nie doczekuję się odpowiedzi. – To ty złamałeś moje.

Parska śmiechem. Naprawdę się ze mnie śmieje.

– Nieźle ci idzie, ale obawiam się, że twoje wspomnienia są zafałszowane.

Mamy sobie tyle do wyjaśnienia, ale jestem kompletnie nieprzygotowana na taką rozmowę. Nie wiem, jak przezwyciężyć urazę i odrzucenie, żeby zmierzyć się z tym tematem. Zwłaszcza że wciąż czuję na wargach jego pocałunek i dotyk dłoni na skórze.

– Przecież... nie chciałeś mnie – zauważam.

Posyła mi spojrzenie, ironiczne i przytłaczające. Dostrzegam w nim pogardę i niewypowiedziane słowa, których mogę się domyślić.

– Tak, to prawda – przyznaje. – Po tym, co się stało, już cię nie chciałem.

Czas zatrzymuje się w miejscu. Przez chwilę tkwię nieruchomo, bez słowa. Potem zakładam kurtkę, którą podaje mi Lucas, podnoszę torebkę z fotela i ruszam w stronę wyjścia.

– Dobranoc? – rzuca sarkastycznym tonem, w którym jednak słyszę nutę nadziei.

Zatrząskuję mu drzwi przed nosem.



Po cichu liczyłam na to, że kiedy obudzę się rano, mój nastrój się zmieni. Nic z tego. Co najwyżej czuję się jeszcze bardziej pusta. A jednak – z myślą, że nie mam nic do stracenia – odkrywam w sobie siłę, o której istnieniu nie miałam pojęcia.

Kiedy zjawiam się w pracy w porze lunchu, Devlin właśnie zbiera się do wyjścia, żeby odebrać nowe meble. Mówi, że Lucas przyjdzie dopiero późnym popołudniem, co bardzo mi odpowiada.

– Obawiam się, że będę musiała zrezygnować z pracy – informuję. – Przysługuje mi tygodniowy okres wypowiedzenia, jeśli pracowałam krócej niż sześć miesięcy, tak?

Devlin robi taką minę, jakbym uszczypnęła go w tyłek.

– W twoim przypadku, bo jesteś cenionym pracownikiem, może trwać tyle, ile zechcesz. Ale mniejsza o to. Dokąd odchodzisz? Jaki podstępny skurwiel cię nam podebrał?

– Nic z tych rzeczy. Odłożyłam trochę gotówki i zamierzam rozważyć różne pomysły na życie. Nie mogę wечно nalewać piwa, a już stuknęła mi trzydziestka – wyjaśniam ze słabym uśmiechem.

Nie skłamałam, mówiąc o oszczędnościach. W The Wicker świetnie zarabiam i dostaję premie, a w pracy spędzam zbyt wiele czasu, by wszystko wydać. Nie powinnam stąd odchodzić.

Ale nie wolno mi zostać.

– O nie... – Devlin patrzy na mnie z wyrzutem. – No to wykręciłaś mi niezły numer. A traktowałem cię jak członka rodziny. Przyznaj, to wstęp do negocjacji? Co mógłbym ci zaproponować, żebyś została? Czy już podjęłaś decyzję? Mo czasami oczekuje, że bym czytał w jej myślach. Jeszcze jednak nie nabrałem w tym dużej wprawy.

Parskam śmiechem.

– Niczego nie knuję, zapewniam cię. Jest tak, jak mówię.

Niezupełnie, ale nie będę go wtajemniczać w szczegóły.

Kiedy Lucas zjawia się w pubie o czwartej, już wie o mojej decyzji. Cóż, nie spodziewałam się, że wieści dotrą do niego tak szybko. Musiał dostać esemesa od Devlina, bo gdyby rozmawiali osobiście, widziałabym to z za baru.

Od progu posyła mi surowe spojrzenie i po chwili słyszę jego głos dobiegający od strony zaplecza.

– Możesz mi powiedzieć, gdzie są limonki? – pyta, przytrzymując stopą kuchenne drzwi.

– Nie ma ich tam, gdzie zwykle? W lodówce na górze?

Nie odpowiada, więc przygotowana na atak wchodzę do kuchni, a on zatrząskuje za mną drzwi i opiera się o nie, odcinając mi drogę odwrotu.

– Podobno odchodzisz – cedzi przez zęby.

– Zgadza się.

– Dlaczego?

Unikam jego wzroku.

– Chcę sobie zrobić przerwę. Mam trochę pieniędzy, które...

– Tak, wiem, co powiedziałaś Devlinowi – wchodzi mi w słowo. – Nie masz innej pracy. Dlaczego tak naprawdę rezygnujesz?

Wzruszam ramionami i machinalnie trącam czubkiem buta odstający róg wykładziny.

– Sam jasno się wyraziłeś, że nie chcesz komplikacji w relacjach z ludźmi, z którymi pracujesz.

– Niczego nie skomplikowaliśmy.

O rany. „Nie poszliśmy do łóżka, odepchnąłem cię, ale luz, nie ma problemu”. Ogarnia mnie taka

wściekłość, że z trudem panuję nad sobą.

– Myślisz, że między nami wszystko jest w porządku po tym, co mi powiedziałeś? – pytam gniewnie.

Lucas patrzy na mnie ze zdumieniem. Ma minę skarconego uczniaka. Wygląda na to, że teraz on czuje się przyparty do muru i liczy na coś, czego nie zamierzam mu dać. Taka zamiana ról to marna pociecha, ale zawsze przynosi choć odrobinę pokrzepienia.

– Uprzedzałem cię, że rozpamiętywanie przeszłości nie jest dobrym pomysłem. Chciałaś wiedzieć.

– Tak, chciałam. Ale kiedy już się dowiedziałam, nie można tego cofnąć.

– Znaczący karzesz mnie, bo nie spodobało ci się moje wyjaśnienie, na które nalegałaś.

– Karzę cię? Dobrze sobie. Spośród mnóstwa kandydatek w Sheffield wybierzesz sobie nową barmankę. Odstępuję jej swoje stanowisko.

– Proszę, nie rób tego!

– Nie mogę tu zostać – oznajmiam stanowczo.

– Ale ja nie... – Lucas dotyka dłonią potylicy, ciało ma sztywne od napięcia. Widzę, że zastanawia się, czy gdyby zdobył się na więcej szczerości, mógłby coś naprawić, czy jeszcze bardziej pogorszyć sytuację.

– Naprawdę tak bardzo cię zaskoczyło, jak się poczułam? Wyznałam ci tylko, że to, co się stało, było dla mnie bolesne. Wtedy, dawno temu. Teraz mam wrażenie, jakby to spotkało kogoś innego.

– Chętnie drażylałabym temat, żeby Lucasowi uświadomić, że nie może jednocześnie okazywać mi obojętności i ubolewać z powodu odtrącenia. W tej chwili jednak trzymam się wyłącznie dzięki swojej niewyszukanej surowości. Dalsze jego wyjaśnienia mogłyby mnie zmiękczyć. Biorę głęboki wdech.

– To jeszcze nie wszystko – dodaję. – Przyczepiłeś mi etykietkę puszczalskiej zdziry. – Celowo wypowiadałam te słowa z naciskiem.

Lucas się rumieni.

– Wcale nie! – protestuje, odwracając wzrok. – O Boże, byliśmy wtedy małolatami. Kto by się teraz tym przejmował?

– Najwyraźniej ty, zważywszy na twoje opory.

Ciężko przełyka ślinę.

– Wybacz, jeżeli cię uraziłem albo niesprawiedliwie osądziłem. Uznałem, że szliśmy już tą drogą i nie ma potrzeby tam wracać – wyznaje. „Nie ma potrzeby tam wracać”. Jego próby bagatelizowania są dla mnie jeszcze bardziej obraźliwe. – Znaczący chciałbym, żebyśmy pozostali przyjaciółmi – ciągnie.

– Nie zepsujmy tego.

– Nie podobają mi się twoje gierki, to udawanie, że mnie nie rozpoznajesz. Mogliśmy rozwiązać tę sprawę na samym początku.

– Niby jak? Ucielibyśmy sobie luźną pogawędkę? A pamiętasz... – Lucas zawiesza głos i spogląda na mnie z ukosa; staram się nie zwracać uwagi na posępne piękno jego twarzy. – Ciągłe usiłujesz zbić mnie z tropu, Gino.

Czy celowo zdrobnił moje imię tak jak kiedyś? Chociaż bardzo chciałabym go za to zniechęcić i zwymyślać od manipulatorów, nie podejrzewam, aby zrobił to z premedytacją. Po prostu się zapomniał. Unika rozliczeń z przeszłością właśnie dlatego, że staje się przez to bezbranny i podatny na zranienie.

– Nie przeczę, a ty w swojej arogancji sądziłaś, że zaakceptuję twoją złą opinię o mnie i dalej będę żyła jak gdyby nigdy nic. – Niewiele brakuje, by mój głos zaczął drżeć, kiedy wypowiadałam ostatnie słowa, ostatecznie jeszcze udaje mi się zapanować nad sobą. Muszę wyjść z twarzą.

– Nie mam o tobie złej opinii – sprzeciwia się Lucas. – Świetnie się tutaj spisujesz i nie chcemy, żebyś odchodziła. Ja i Devlin. A jeżeli mógłbym cię nakłonić do pozostania, schodząc ci z oczu, to wkrótce wracam do Dublina. Dev i Mo będą pilnować interesu, dopóki nie przekażą sterów nowemu menedżerowi.

Jasna cholera, nawet kiedy próbuje mnie zatrzymać, przede wszystkim ma na względzie kompetencje zawodowe, a nie to, że coś dla niego znaczę. Jego słowa uznania dla moich atutów zawodowych są paradoksalnie najgorszą rzeczą, jaką mogłam teraz od niego usłyszeć. Ani on, ani Devlin

nie znają prawdziwego powodu, dla którego postanowiłam odejść, i ta świadomość pomaga mi zebrać się w sobie. Unoszę wysoko głowę i znów spoglądam Lucasowi w oczy.

– Dziękuję. Ale i tak odchodzę.

Przeciskam się obok niego, otwieram drzwi i wracam do sali.

– Już jestem! – oznajmiam głośno.

Pieprzę cię, Lucasie McCarthy, choć tylko w przenośni.

Co zabawne, najtrudniejsze okazuje się pożegnanie z Kitty. Koleżanka zalewa się łzami.

– Zżyłam się z tobą jak z siostrą – chlipie, trzymając mnie w objęciach.

– Zamierzam tu przychodzić od czasu do czasu, więc nadal będziemy się widywać.

– Tak, ale to już nie to samo. Tyle się od ciebie nauczyłam.

– Naprawdę?

– Tak. To ty mi wyjaśniłaś, że podroby to rozdrobnione odpady z rzeźni, a nie podrabiane mięso.

– Na zawsze pozostaniemy przyjaciółkami, obiecuję. Zawieram przyjaźnię na całe życie.

– Nie pozwól jej odejść! – krzyczy Kitty za Lucasem, który właśnie przechodzi obok nas.

Mogę ją tylko pochwalić za ten poryw szczerzej rozpaczy, chociaż pęka mi serce.

– Niestety Bóg dał jej wolną wolę – zwraca się do niej Lucas, po czym spogląda na mnie i dodaje:

– Żeby z niej korzystała wedle własnego uznania.

– Albo nadużywała, jak zapewne sądzisz.

Nie jest to głębokie przemyślenie, po prostu zgrabna riposta. Widzę rozgoryczenie na twarzy Lucasa i mówię sobie, że mi wszystko jedno. Ale to nieprawda.



Ostatecznie nie skorzystałam z tygodniowego okresu wypowiedzenia. To była moja ostatnia dniówka, bo uświadomiłam sobie, że nie zniosę ani chwili dłużej w obecności Lucasa. Dev zachował się wspaniale. Zapłacił mi dużo więcej, niż powinien, po czym dwa razy ucałował mnie w policzki i uściśnął tak mocno, że omal nie połamał mi żeber.

– Nie unikaj nas teraz, Georgino, dobrze? – powiedział. – Zawsze będzie tu praca dla ciebie.

Podziękowałam mu, założyłam kostium różowego potwora i wyszłam na ulicę, nie oglądając się za siebie, bez pożegnania z Lucasem, który zamknął się w kawalerce na górze.

A teraz, spędzając w domu pierwszy dzień bezrobocia z laptopem na kolanach, apatycznie surfuję po sieci i odbieram powiadomienie o najnowszym sukcesie mojego byłego. Robin nigdy nie zwracał sobie głowy kontem osobistym na Facebooku, ale zapomniałam, że kiedyś polubiłam jego fanpejdż.

Czasami jak z kimś zrywasz, a ten ktoś nie mieszka w twojej okolicy, możesz nigdy więcej go nie spotkać. Nie masz od niego żadnych wieści. Nie należę do zwolenników alternatywnego podejścia, którzy przez resztę życia wpisują nazwiska swoich byłych w wyszukiwarkę i śledzą ich poczynania.

Szybko cofam polubienie. A potem czytam wpis.

*Cześć wszystkim! Poniżej wklejam recenzję, która pojawiła się na Chortle. Zostało nam kilka biletów na specjalny przedpremierowy pokaz nowego programu, który Robin zaprezentuje dziś wieczorem w The Last Laugh. W przyszłym roku wyruszy z tym materiałem w trasę i wystąpi w Edynburgu!! Do zobaczenia wieczorem, punkt 19. Wstęp 5 funtów.*

*Chociaż Robin McNee zyskał sławę w telewizji dzięki Zupie Idiotów, od dłuższego czasu jest gwiazdą sceny stand-upowej. Za sprawą swojego nowego programu najdoskonalszy komik z Sheffield nareszcie ujawni swój talent szerszej publiczności.*

*Dziennik mojej byłej opiera się na fragmentach fikcyjnych zapisków utraconej i nieodżałowanej miłości jego życia, które „znalazł”, buszując w jej sypialni. To połączenie podcastu My Dad Wrote a Porno z powieściami Judy Blume. McNee opowiada, jak zemściło się na nim własne wścibstwo, kiedy zapoznał się ze szczegółami jej nastoletnich lubieżnych fantazji z pewnym chłopcem w roli głównej. Dla kontrastu opisy ich pożycia intymnego wypadają raczej blado.*

*McNee wykorzystuje swoje odkrycie jako punkt wyjścia do rozważań – czy mężczyźni potrafią zrozumieć oczekiwania kobiet i mają szansę je zaspokoić? Czytając roznamiętnione zapiski swojej byłej na temat innego mężczyzny, uprzytamnia sobie, jak bardzo jest niedoświadczony w porównaniu ze swoim poprzednikiem. Przygotujcie się na śmiech, łzy i obciachowe teksty.*

Moje dłonie wilgotne od potu zastygają nad klawiaturą. Czytam post jeszcze raz, z niedowierzaniem wlepiając wzrok w monitor. A potem jeszcze cztery razy.

– Ty perfidny sukinsynu! – powtarzam, chodząc tam i z powrotem po salonie.

Wbiegam po schodach na górę, wysuwam szufladę i niezdarne, gorączkowo zaczynam rozrzucać ubrania. Jest! Wciąż tu leży. Serce wali jak oszalałe, kiedy pospiesznie przerzucam kartki. Niczego nie brakuje. Przyciskam do piersi swój pamiętnik i zaczynam szlochać niczym w scenie z jakiegoś romansidła. Czuję się obrabowana ze słów.

Znów zaglądam do środka. Czytanie tych zapisków i tak byłoby trudne, ale po ostatniej konfrontacji z Lucasem jest udawką. Jakbym zdarła opatrunek i wbijała palce w świeżą ranę.

*Tracę poczucie rzeczywistości, kiedy robimy Te Rzeczy. Minęły trzy godziny, a ja cały czas myślę o tym, gdzie była jego lewa ręka. Kiedy wróciłam do domu, wydawało mi się, że wszyscy mogą wyczytać z mojej twarzy, co robiłam całe popołudnie. Kolacja smakowała ohydnie. Nie cierpię gulaszu jagnięcego, w którym pływają nakrapiane tłuszczem kawałki mięsa. Tata jest smutny, bo umarł George Best. Mama powiedziała, że facet sam się doigrał, a tata zastanawiał się głośno „Panie Best, kiedy tak wszystko się pochrzanilo?”. No i skisła atmosfera. W takich chwilach obydwójce działają sobie nawzajem na nerwy w ten szczególny sposób, którego Esther i ja nie potrafimy pojąć.*

*Przekonałam mamę, że potrzebuję nowych staników i majtek, więc zabrała mnie do Marks and Sparks, a potem próbowała uświadamiać, jak powinnam się zabezpieczać, jeśli chodzi o te sprawy z chłopakami. Nieee, normalnie nie mogę! Oświadczyłam, że nie mam chłopaka – co świetnie podziałałoby na tatę, który nie chce o tym myśleć – ale mama tylko uniosła brwi i odparła: „Nie zawsze musisz to robić ze swoim chłopakiem”. Wiedziałam, że potem nastąpi umoralniające kazanie sprzed pół wieku, i rzeczywiście usłyszałam: „Pamiętaj, Georgino, porządni chłopcy chcą się umawiać z porządnymi dziewczętami”.*

*Jest najbardziej seksownym chłopakiem, jaki kiedykolwiek stapał po ziemi, i nie wątpię w to ani trochę, mimo że nikogo przed nim nie miałam i dopiero od osiemnastu lat żyję na tym świecie. Normalnie istne wcielenie seksapilu, ale chyba w ogóle nie zdaje sobie sprawy, jaki jest piękny. I to on mówi mi takie rzeczy! Wciąż próbuję sobie wyobrazić, jak będzie wyglądało uprawianie seksu. Skąd będę wiedziała, co robić? Trzeba poskładać skrawki wiedzy z telewizji, obleśnych pisemek, które Gary Tate przynosił do szkoły, i durnego filmu „Skąd się biorą dzieci”, który oglądaliśmy na biologii – on i ona uśmiechają się do siebie, wchodzą do sypialni, po czym następuje cięcie i na ekranie pojawia się baletnica ze wstążką, a cała klasa pokłada się ze śmiechu...*

Z trzaskiem zamykam pamiętnik, kiedy ogarnia mnie fala wstydu i wściekłości. Jak do tego doszło?

Przypominam sobie, że raz... nie, więcej, kilka razy Robin został u mnie w pokoju, kiedy musiałam iść do pracy. Miał potem wyjść tylnymi drzwiami i po prostu je zatrzasać, więc nie potrzebował kluczy. Pewnie wtedy przekopał rzeczy i znalazł pamiętnik. Ciekawe, czy tylko przeczytał, czy skopiował fragmenty? Z tego, co widzę, albo ma fenomenalną pamięć – choć wypala tyle zielska, że raczej trudno w to uwierzyć, albo zrobił zdjęcia zapisków – i to już o wiele bardziej prawdopodobne. A potem napisał na tej podstawie monolog.

Co powiedział Lucas? „Jeżeli dysponuje czymś, co mógłby wykorzystać przeciwko tobie...” Teraz jego słowa brzmią nie tyle rozsądnie, ile proroczo.

Muszę wypić duży kieliszek wina i jeszcze pięć razy przeczytać recenzję z Chortle, żeby wreszcie wymyślić rozwiązanie.

Wprawdzie udało mi się podejść Ala i skłonić go do rozmowy, ale nie jestem aż tak sprytna, żeby znaleźć sposób na to, jak wejść do garderoby Robina.

The Last Laugh mieści się w gmachu Sheffield City Hall, gdzie zjawiam się już o szóstej, czyli godzinę przed rozpoczęciem. Na ile znam zwyczaje Robina, pewnie siedzi już w środku, sący piwo, przegląda jakieś strony na laptopie i podjada Doritos o smaku guacamole z ostrą papryką, które przynoszą mu szczęście. Nie żartuję, naprawdę w to wierzy. Powiedział mi kiedyś, że „artyści mają swoje rytuały”, jakby był Nikkim Sixxem z butelką Wild Turkey.

Podając się za kogoś innego, niewiele bym osiągnęła, bo nie mam pojęcia, czego ta osoba mogłaby od niego chcieć. Gdybym się przedstawiła jako dziewczyna chętna na seks ze słynnym komikiem, Robin zapewne powiedziałby „super”, tyle że miejsce niezbyt do tego odpowiednie.

Nie pozostaje mi nic innego, jak mieć nadzieję, że po raz kolejny efekt zaskoczenia zadziała na moją korzyść.



– Jakaś Georgina Horspool do ciebie – komunikuje przez telefon błada recepcjonistka. Czekam, drżąc z niepokoju, bo nie ułożyłam planu B na wypadek odmowy. – Oczywiście – odzywa się po chwili dziewczyna, po czym spogląda na mnie. – Na dół i w lewo.

Jestem lekko oszołomiona. Program nosi tytuł *Dziennik mojej bylelej*, a Robin nie spodziewa się, że przyszedłam zrobić mu awanturę? Wtedy doznaję olśnienia – on ma gdzieś motywy, jakimi się kieruję. Co za ironia. *Dziennik mojej bylelej, która nigdy mnie specjalnie nie obchodziła*.

– Miło cię widzieć – odzywa się Robin, kiedy staję w drzwiach. Ma na sobie koszulkę z napisem *Ty kontra facet, którym masz się nie przejmować* i komiksowymi postaciami pod spodem. Na stole obok złotego MacBooka stoi duża butelka mleka czekoladowego. Niesamowicie, że przez najbliższe półtorej godziny zamierza wywlekać i roztrząsać moje małodackie brednie. Ja przynajmniej, kiedy zachowywałam się jak gówniara, byłam gówniarą. – Wyglądasz zjawiskowo w tym oświetleniu – dodaje, trzymając długopis w kąciaku ust.

Najwyraźniej myśli, że skoro się tu zjawiłam, wreszcie poszłam po rozum do głowy i postanowiłam trochę go rozochocić przed występem. Żalotne.

– Czytałeś mój pamiętnik – mówię beznamiętnym tonem.

– Tak tylko rzuciłem okiem. – Szczerzy zęby z udawaną skruchą.

– Ty odrażający, wyzuty z moralności mentalny gwałcicielu.

– Mentalny gwałciciel! – powtarza i sięga po zeszyt.

Nawet jeżeli czuje się urażony, już kombinuje, w jaki sposób wykorzystać na scenie również tę wymianę zdań.

– Ty skończony gnoju – ciągnę. – Nie wiem, jak wytrzymujesz sam ze sobą. Czytasz mój pamiętnik, bardzo osobiste notatki kobiety, z którą byłeś, i traktujesz go jako materiał do programu, a ja dowiaduję się przez przypadek, że za kilka godzin będziesz zabawiał setki obcych ludzi, opowiadając o moich prywatnych sprawach. Proszę, powiedz mi przynajmniej, że zdajesz sobie sprawę, jak nisko upadłeś.

– Zostawiłaś mnie samego w pokoju! Szuflada była wysunięta do połowy! Prawie tak, jakbyś mnie zachęcała. – Wzrusza ramieniem, a ja przypominam sobie otwarty słój z ciastkami, o którym opowiadał Rav. – Myślałem, że te zapiski okażą się urocze i niewinne, że będzie z nich przebiegał twój cudowny ironiczny głosik. Byłem tak zakochany, że zapragnąłem wiedzieć, co cię kręci. A potem ogarnęła mnie zazdrość. Bez przerwy zachodziłem w głowę, kim jest mój rywal, którego pożądasz nad życie i łakniesz niczym narkotyku.

Wzdrygam się z odrazą. Nikt by nie chciał, żeby ktoś niepowołany czytał jego młodzieńcze erotyczne zwierzenia, a tym bardziej opowiadał o nich na scenie. Gdyby Lucas przypadkiem zobaczył zapowiedź tego programu, z pewnością domyśliłby się, że chodzi o niego. W sumie dwa inne występy tego drania, które miał okazję obejrzeć, były poświęcone mojej skromnej osobie.

Robin próbuje mnie zmiękczyć, ale mu się to nie uda.

– Nie zostawiłam pamiętnika dla ciebie – oznajmiam dobitnie. – Nie spytałeś, czy możesz go przeczytać, i nie przyznałeś się, że to zrobiłeś. Proszę, wyjaśnij mi, jak doszedłeś do wniosku, że to nic złego, jeśli podzielisz się swoim odkryciem z innymi i upokorzysz mnie publicznie? Chętnie posłucham, jak przebiegał ten proces myślowy.

– Dobrze, ale najpierw kilka uwag. Nikogo nie upokarzam. Mój program, pełen czułości, budzi pozytywne nastawienie do życia.

– Jestem raczej pozytywnie nastawiona do twojej śmierci.

– Ha, ha! Nie ma w nim nic złośliwego, a tożsamość oryginalnej postaci pozostaje całkowicie utajniona. W zasadzie cały monolog żyje własnym życiem, niezależnie od ciebie. – Robin pociąga łyk piwa i rozkłada ręce na znak, że to już koniec wyводу. – Próbowałem się z tobą umówić i cię uprzedzić, ale odrzuciłaś propozycję.

– Tak, ponieważ chciałeś tylko mnie nakłonić, żebym do ciebie wróciła. Nie powiedziałaś: „Hej, George, zamierzam wykorzystać twój dziennik na scenie, co ty na to?”.

– No cóż, skarbie, kiedy widzieliśmy się ostatnio, opowiadałaś historyjki, w których przedstawiałaś mnie jako zapijaczzonego idiotę. Nie zapytałaś o zgodę. Więc właściwie kto kogo tu

wykorzystuje? Wygląda na to, że obydwoje robimy to samo.

Spodziewałam się tego argumentu; odruchowo zaciskam pięści.

– Mój pamiętnik to zupełnie inna sprawa – odpowiadam. – To, co się stało na przyjęciu u rodziców, dotyczy nas obojga, a rzeczy opisane w dzienniku dotyczą wyłącznie mnie. To naruszenie prywatności na zupełnie inną skalę.

Robin obojętnie wzdusza ramionami.

– W takim razie lepiej rozegrałem tę partię.

Rozegrałeś partię?

– Pierdol się. Nie przyszło ci do głowy, że sprawa ma szerszy kontekst? Zastanowiłeś się choć przez chwilę, co działo się dalej z chłopakiem, o którym pisałam? Co jeszcze wydarzyło się wtedy w moim życiu?

– No cóż, skoro cię rzucił, to idiota z niego, nie?

Próbuję sobie wyobrazić, jak to jest być mężczyzną i mieć tak wysokie mniemanie o sobie, by liczyć, że grubymi nićmi szyte pochlebstwo zdoła zaleczyć tak dużą ranę.

– Odrażający typ – rzucam mu w twarz. – Daruj sobie kiepskie żarty. Krzywda, jaką mi wyrządzasz, wcale nie jest zabawna.

– Och, przecież wiedziałas, z kim się zadajesz. Jak sądzisz, ile byłych dziewczyn staje się materiałem na monolog? Mnóstwo. Tak robią komicy. Żerujemy na życiu innych niczym kanibale. Bardzo ci to odpowiadało, dopóki nie wyszła na jaw sprawa z Lou. Na początku zachowywałaś się jak fanka. Przypomnij sobie, w jakich okolicznościach się poznaliśmy, i powiedz, kto kogo wykorzystał tamtej nocy? Kto kogo zaciągnął do łóżka? Koniecznie chciałaś zaliczyć Robina McNee – wywała z siebie. Ogarnia mnie fala mdłości. Oto kolejna lekcja życia: jeżeli ktoś potrafi znaleźć usprawiedliwienie dla swojego podłego postępowania, nie cofnie się przed niczym. Jak to ujął Lucas? Ludzie, którzy nie uznają granic, są niebezpieczni. Robin wstaje i strzepuje z ubrania okruszki Doritos. Pewnie się przygotowuje, żeby wyprosić mnie za drzwi. – I powiem ci jeszcze, że mógłbym z tym programem wygrać Perriera. Wyobrażasz sobie? W tej chwili patrzysz na to za bardzo z bliska, ale za kilka lat spojrzysz wstecz i będziesz zadowolona. To mój hołd dla ciebie, list miłosny, w którym powtarzam na okrągło, jaka jesteś... urzekająca, Georgino. Jeżeli ktoś wyszedł na durnia, to tylko ja. Ty odgrywasz rolę muzy. Myślisz, że Warren Beatty nadal przejmuje się piosenką, w której Carly Simon zarzuciła mu próżność?

Wiem, że jeśli wybuchnę, Robin przestanie mnie słuchać, ale panowanie nad złością pochłania resztki mojej energii.

– Nie masz pojęcia, kim jestem – odpowiadam. – I nie zadałeś sobie trudu, żeby się tego dowiedzieć, chociaż spotykaliśmy się pół roku. Robisz szopkę z mojego pamiętnika, żeby zabłysnąć, ale nawet nie wyobrażasz sobie, co się ze mną wtedy działo. Albo co dzieje się teraz. Nie dociera do ciebie, ile szkód możesz wyrządzić, wykorzystując to, co mi ukradłeś.

– Ale co my w ogóle wiemy o drugim człowieku? Znaczy w swoim występie zgłębiam konkretną kwestię. Powinnaś przyjść to zobaczyć! Kiedy przewyciężysz nieśmiałość, będziesz zachwycona.

Do tej pory panowałam nad sobą, lecz słowo „nieśmiałość” obudziło we mnie żądzę krwi. Uderzam otwartą dłonią w stół i pochylam się do przodu, a wystraszony Robin cofa się pół kroku.

– Uważasz się za wielkiego artystę, a jesteś miernym komediantem, który próbuje uwznioślić swoje wygłupy, udając wrażliwość. Zgrywasz faceta pełnego troski, chociaż daleko ci do takiego. Samolubny fiut! Próbujesz wypaść bardziej interesująco, podstępnie wykorzystując cudze sekrety.

Twaz Robina nagle przybiera wyraz furii.

– Och, naprawdę? Nie ma to jak krytyczny osąd knajpianego wycierucha. Ja przynajmniej zdobyłem się na odwagę, żeby pójść na całość. A co ty zrobiłaś? Potrafisz jedynie biadolić i oczekujesz, że faceci będą ci pomagać, jak tylko zapatrzą się na twoje cycki.

– Powiem ci, co zrobisz. Odwołasz dzisiejszy występ z powodu nagłej niedyspozycji, a potem, zanim znowu wejdiesz na scenę, przeredagujesz monolog i usuniesz wszystkie fragmenty pamiętnika. Wykaż się kreatywnością. Zrób to, co zaplanowałaś, ale wymyśl fikcyjną dziewczynę i jej zapiski. Zmień każdy szczegół, który może się kojarzyć z Georginą Horspool – nakazuję. Uśmiecha się ironicznie, tak

jakby mówił: „No, akurat”. – Jeśli mnie nie posłuchasz, narobię ci koło dupy. Obsmaruję cię na wszystkich forach, gdzie piszą o tobie; ludzie się dowiedzą, jak mnie potraktowałeś. Zaczę udzielać wywiadów i będę opowiadała, jakie to uczucie zostać okradzioną z osobistych sekretów przez kogoś, komu zaufałam. Sam się prosisz, żeby trafić na łamy „Grazii”, „The Pool” albo innych pism kobiecych.

– Hm, znaczy, że zapewnisz mi jeszcze większą popularność... – Robin nerwowo rozgląda się na boki, jakby wciąż szukał przewagi.

– Sądzisz, że nieważne, co mówią, byle mówili? Być może, ale jeśli wyrządziłeś krzywdę kobiecie, na twoim miejscu nie liczyłabym na oklaski. Już kilku takich musiało pożegnać się z karierą, kiedy ich ofiary przemówiły. Kobiety potrafią być solidarne. Mogą nawet przychodzić na twoje występy, żeby cię zakrzywić. Organizatorzy festiwali zastanowią się dwa razy, kiedy do nich zadzwonię i powiem, że się zhańbią, jeżeli cię zaproszą. Z czasem twój beztroski program stanie się znany jako zdradzieckie nadużycie, kiedy będę ciągnęła się za tobą jak smród i nazywała rzeczy po imieniu – grozę dalej. Robin wydaje przeciągłe westchnienie, ale nie pozwalam mu dojść do słowa. – Swoją drogą, publicznie potwierdziłeś, że się rozstaliśmy, bo nakryłam cię w łóżku z inną kobietą, więc mogę o tym spokojnie mówić w wywiadach. Zrobi się z tego naprawdę wielki syf. Ciekawe, ile czasu upłynie, zanim w telewizji dojdą do wniosku, że *Zupa Idiotów* potrzebuje nowej twarzy, nienaznaczonej piętnem skandalu. Zawsze powtarzałeś, że chciałbyś być jak Bill Hicks, kiedy CBS zdjęło z anteny jego występ u Lettermana. Masz szansę się przekonać na własnej skórze, jak to jest być niewygodnym komikiem. – Uśmiecham się szyderczo. Robin bębni palcami o blat, próbując znaleźć wyjście z opresji. Wykładam na stół ostatnią kartę. – Zamierzam także przedstawić tę propozycję Alowi i zobaczymy, czy w swoich kalkulacjach zdecyduje się na takie ryzyko – dodaję, żeby dokręcić śrubę do końca.

– Lepiej wybij sobie z głowy takie numery – wybuchła, a cały jego urok osobisty znika bez śladu.

– Al jest moim agentem, partnerem biznesowym, więc nawet nie próbuj przeginać, wciągając go w swoje gierki wzgardzonej kochanki.

Z przyjemnością patrzę, jak odsłania swoje prawdziwe oblicze. Błagał mnie, żebym dała mu jeszcze jedną szansę, a teraz jestem dla niego wzgardzoną kochanką. Zarzuca mi gierki, chociaż tylko odpłacam mu się pięknym za nadobne. Doszła w nim do głosu mizoginia w czystej postaci, ukryta pod nowoczesną fasadą.

– Och, to nic w porównaniu z gierkami wzgardzonego kochasia! Jak na przykład szkalowanie mnie przed rodzicami i nachodzenie w pracy...

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Chyba trochę ci odbija.

No i proszę – teraz próbuje zrobić ze mnie wariatkę. Ostatnia deska ratunku dla dupka jego pokroju, kiedy kobieta przywołuje go do porządku. Widocznie uznał, że skoro już nigdy się ze mną nie spotka, może wymyślać niestworzone rzeczy.

– No więc jak będzie? – Mierzę go niewzruszonym spojrzeniem. – Doszliśmy do porozumienia i wprowadzisz kilka poprawek? Czy wypowiadasz mi wojnę? Ale w porównaniu z wielkimi artystami knajpiane wycieruchy, jak mnie określiłeś, nie mają nic do stracenia.

Robin głośno posapuje z oburzoną miną; doskonale widzę, w którym momencie decyduje, że nie warto ryzykować.

– Dobra – mówi. – Zmienię scenariusz. Zresztą to i tak był dopiero szkic. Naprawdę jesteś bardzo małostkowa i masz ograniczone horyzonty. – Jego złośliwość dowodzi, że zdecydował się odwołać występ i musi na kimś wyładować bezsilny gniew. Uświadamiam sobie, że jedyną rzeczą, na której mu zależy, jest własna twórczość. – Wiesz, kiedy się poznaliśmy, zastanawiałem się, dlaczego tak inteligentna dziewczyna pracuje jako kelnerka. Teraz już wiem. Miałaś szansę przejść do historii ze swoim, spójrzmy prawdzie w oczy, nieciekawym życiem, a zachowujesz się niczym zgorzkniała jędra.

– Chyba właśnie odpowiedziałeś sobie na pytanie, czy kiedykolwiek zdołasz zrozumieć kobiety – prychem z pogardą. – Na razie. – Wychodzę, ale kilka sekund później wsuwam głowę przez uchylone drzwi i napotykam wściekłe spojrzenie Robina. – Myślę, że to jest właśnie ten twój „pouczający moment”.

Nie wierzę w przeznaczenie, karmę czy kosmiczne porządkowanie Noela Edmonsa, a jednak kolejność wydarzeń wygląda jak złośliwe i okrutne zrządzenie losu. Obserwuję budynek z ukrycia i gdy

w końcu gburowata recepcjonistka wywiesza przy obu wejściach informację *Występ odwołany*, opuszczam West Street podekscytowana świadomością, że zmierzyłam się z demonami i wygrałam. A potem, idąc na przystanek autobusowy, zauważam po przeciwnej stronie ulicy kogoś znajomego. Wydaje się znudzony, a jego chuda jak szczapa żona w bluzie z kapturem i obcisłych džinsach sprawia wrażenie, jakby coś ją gnębiło. O czymś dyskutują, zapewne dokąd teraz iść albo do której mają bilet z parkomatu.

Widzę go po raz pierwszy od czasu ukończenia szkoły. Natknęłam się przypadkiem na zdjęcie otagowane jego nazwiskiem i słyszałam, że podobno przyleciał do rodziców na święta, ale nie widziałam jego twarzy. I oto ukazuje się we własnej, nieco sflaczałej osobie.

Daleko mi do bezstronności, widzę jednak, że czas nie obszedł się z nim łaskawie. Prawdopodobnie przez wzgląd na jego dawną reputację moja ocena jest bardziej surowa. Wciąż nosi taką samą fryzurę rockmana, tyle że jego włosy opadające na kark nie są już tak bujne i wyglądają na przetłuszczone. Ma worki pod oczami, a wykrzywione usta nadają jego twarzy zacięty wyraz. Młodzieńcza szczupła sylwetka obrosła tłuszczem. W szkole był gwiazdą, teraz niczym nie wyróżnia się z tłumu.

Nagle odkrywam, że oprócz żony towarzyszy mu ktoś, kogo wcześniej nie zauważyłam. Przyglądam mu się, jak przystaje, pochyla się i wyćwiczonym ruchem chwyta na ręce piszczącą z zachwyty dziewczynkę, po czym całuje ją w policzek. Mała, która wygląda na mniej więcej trzy lata, ma na sobie prostą sukienkę bez rękawów i pasiaste wełniane rajstopy.

Richard Hardy jest ojcem. Richard Hardy ma córeczkę.

Czego przed chwilą użyłam, żeby uwolnić się od wpływu Robina? Słów. Ocaliły mnie moje słowa.

Wyjmuję komórkę i wybieram numer Devlina.

– Nie miałbyś nic przeciwko temu, gdybym wystąpiła w ostatniej turze *Podziel się swoim wstydem?*



Kładę na stole otwarty notatnik A4 i wypuszczam Jammy'ego na spacer po kuchni.

– Wyobraź sobie, że gdybym miała własny dom, moglibyśmy tak codziennie – zwracam się do niego, patrząc, jak wolno, ale konsekwentnie zmierza w stronę zlewu.

Karen wybyła na weekend do rodziców w Aberdeen, więc trudno o lepszy moment. Nie żeby jej wyjazdy kiedykolwiek mi przeszkadzały. Wielkimi literami zapisuję tytuł u góry strony:

### **MÓJ NAJGORSZY DZIEŃ**

#### **W SZKOLE**

To ostatni temat w konkursie *Podziel się swoim wstydem* i wiem, o czym chcę opowiedzieć, chociaż nie jestem pewna, czy zdołam się przemóc i wejść na scenę.

Zaczynam pisać. Kiedy mam już kilka zdań, próbuję przeredagować początek, potem wszystko skreślam. Widać, jak bardzo siłę się na dowcip, żeby koniecznie rozśmieszyć publiczność, przez co wypadam nienaturalnie. Siedząc w zacisznej kuchni, próbuję odpędzić uporczywą myśl, która się rozrasta w mojej głowie, ilekroć spoglądam na tytuł. Pierś zaczyna falować coraz szybciej i w końcu wstrząsa mną szloch. Wielkie łzy spływają po policzkach i skapują na kartkę, więc odsuwam notatnik.

Nagle trzaskają drzwi i zanim zdążę się ogarnąć, do kuchni wchodzi Karen. Ma na sobie koszulkę polo z długimi rękawami, sterzące nażelowane włosy i jak zwykle emanuje wojowniczością. Upuszcza na podłogę sportowy plecak, po czym nieruchomieje wpatrzona w moją zapłakaną twarz.

– Co z tobą?

Próbuję odpowiedzieć, ale nie udaje mi się wykrztusić ani słowa. Przyciskam do ust zwiniętą dłoń i wydaję dziwny świszczący odgłos, kiedy spazmatycznie wciągam powietrze.

– Jakies złe wiadomości?

Nawet mimo swojego żalosego stanu zauważam gniew na twarzy Karen, jakby miała mi za złe, że mogłam stracić kogoś bliskiego, co odbierze jej radość korzystania z własnej kuchni.

Kręcę głową i staram się zapanować nad głosem.

– Piszę o moim najgorszym dniu w szkole. Monolog na konkurs w pubie – tłumaczę, z trudem łapiąc oddech. – Powinam zaprezentować coś śmiesznego, lekkiego i przyjemnego. Ale mój najgorszy dzień w szkole... to był koszmar. Zrujnował mi życie. – Ukrywam twarz w dłoniach i zanoszę się płaczem, a kiedy znów odzyskuję panowanie nad sobą, współlokatorka wciąż wpatruje się we mnie. Z wysiłkiem przetykam ślinę. – Taka jest smutna rzeczywistość, ale nikt nie chce słuchać, jak było naprawdę. Nigdy nie opowiadałam o tym nikomu. Mam już dość bycia osobą, która stara się dostosować, mówi ludziom to, co chcą usłyszeć, i zachowuje się tak, jakby nic jej nie ruszało. Ta droga prowadzi donikąd.

– Więc powiedz im prawdę. – Karen wzrusza ramionami. – Pieprzyć ich. Twój najgorszy dzień w szkole... Taki temat, zgadza się?

– Mhm.

– Nie zabawny, lekki ani przyjemny. Najgorszy to najgorszy. Po prostu spełnisz wymogi.

– Tak sądzisz? Nawet jeżeli wszyscy potem powiedzą, że jestem dołująca i popsulałam im wieczór?

– Oni tam przyjdą posłuchać opowieści o najgorszym dniu w szkole. A w szkole każdy miał przejebane, o ile sobie przypominam. Jeśli publika będzie nastawiona na rozrywkę, to dobrze zniesie twoje wspomnienia.

Wolno przytakuję.

– Więc im dowalić?

– Jasne. Niczego nie oszczędzaj. Bo niby, kurwa, czemu? Nie możesz czuć się winna, że twój najgorszy dzień w szkole był taki koszmarny.

Kiedy Karen wypowiada te słowa, coś przeskakuje w mojej głowie.

– Dobrze – mówię. – Masz rację. Właśnie tak zrobię. Dziękuję.

– Spoko. Fajnie, że coś się wyjaśniło. Ja właśnie przeżyłam najgorszą podróż pociągiem w życiu.

W połowie drogi zadzwoniła mama i powiedziała, że u nich dowaliło śniegu, więc musiałam zawrócić. Normalnie przesrane.

Nikt, włącznie ze mną, nie jest tak przywiązany do wulgaryzmów jak moja współlokatorka.

– Dziękuję – powtarzam. – Bardzo mi pomogłaś.

– Naprawdę? To dobrze. – Wygląda na kompletnie zaskoczoną i odrobinę skrępowaną.

Proponuję gorącą czekoladę i powoli zawiązujemy nić koleżeństwa, ale wtedy pojawia się Jammy.

– Dlaczego ten ohydny gad tutaj łązi? – krzyczy Karen. – Zabieraj go stąd!

Kiedy idzie spać, ja jeszcze przez godzinę piszę, prawie nie odrywając długopisu od papieru. Słowa wypływają ze mnie nieprzerwanym strumieniem. Przechodzę stan, którego nazwę poznałam dzięki pani Pemberton. Katharsis.

Teraz muszę tylko zdobyć się na odwagę, żeby przeczytać swoje dzieło.



Podchodzę do statywu z mikrofonem. Jeszcze nigdy cisza panująca w sali nie wydawała się tak doniosła i tak onieśmielająca jak teraz.

Nie dam rady. Nie zrobię tego. Nie potrafię.

A właśnie że potrafię. Muszę to sobie udowodnić; wystarczy, żebym zaczęła mówić. Robię głęboki wdech, jakbym szykowała się do skoku na głęboką wodę.

– Kiedy zaczynałam przygotowania do dzisiejszego wieczoru, nie musiałam się zastanawiać ani chwili nad moim najgorszym dniem w szkole. Jednak z początku zdecydowałam się na coś innego. Postanowiłam opowiedzieć o tym, jak z przyjaciółką Jo wypiliśmy butelkę malibu z sokiem ananasowym i nawzajem przekłułyśmy sobie uszy, korzystając jedynie z agrafki i kostki lodu. Jo zakaziła się gronkowcem i uszy spuchły jej do gigantycznych rozmiarów, ja dostałam szlaban na miesiąc. Tylko jedno moje ucho udało się przebić jak należy, więc nosiłam jeden duży kolczyk niczym pirat.

Po sali przebiega fala śmiechu. Wzdycham głośno.

– O moim najgorszym przeżyciu z tamtych czasów nie opowiedziałam nikomu. Ani najbliższej przyjaciółce, ani siostrze, ani mamie, ani żadnemu ze swoich chłopaków. Ani nawet terapeutce, do której chodziłam w wieku dwudziestu kilku lat. Chcę jednak opowiedzieć o tym teraz.

Toczę wzrokiem po sali i wzdrygam się, kiedy dostrzegam Lucasa – stoi oparty o ścianę przy barze i wpatruje się we mnie. Spodziewałam się, że będzie oglądał mój występ – zwłaszcza biorąc pod uwagę temat – ale jego widok i tak przyprawia mnie o szybsze bicie serca. Nie mam czasu ani przestrzeni jeszcze bardziej się bać.

– Tamtego wieczoru odbywał się bal abiturientów, a ja podekscytowana i nabuzowana hormonami wcisnęłam się w czerwoną sukienkę, którą kupiłam za własne oszczędności. Kosztowała pięćdziesiąt pięć funtów, co wtedy wydawało się zawrotną sumą. Zalatywało ode mnie wanilią i nasionami tonkowca, cokolwiek to jest, bo spryskałam się obficie perfumami w sypialni mojej starszej siostry Esther. W torebce miałam paczkę durexów ukrytą w kieszonce zamykanej na suwak. Kupiłam je w automacie i jeszcze nigdy nie czułam się tak dorosła jak wtedy. Nikt o tym nie wiedział, ale spotykałam się z pewnym chłopakiem, który chodził do tej samej klasy. Po imprezie planowaliśmy po raz pierwszy spędzić wspólnie noc.

Zerkam na zaafierowane twarze słuchaczy i zbieram się w sobie. Tym razem unikam spojrzenia Lucasa. Jo wlepia we mnie wzrok i marszczy czoło. Wzmianka o prezerwatywach wydaje się tak osobista, że nie jestem pewna, czy powinnam dalej mówić. Ale już za późno na odwrót. Odwracam kartkę.

– W szkole nie należałam do grona osób szczególnie lubianych. Ludzie tolerowali mnie w stopniu dostatecznym. Nie byłam na szarym końcu, kiedy przed grą w kosza kompletowaliśmy drużyny; nikt mi nie dokuczał, a klasowe gwiazdy znały moje imię. Uważałam, że na popularność trzeba sobie zapracować i dbać o nią. Codziennie żyłam z taką świadomością i błaznowałam, jeśli mogłam w ten sposób zyskać akceptację. Na lekcjach nie zawsze podnosiłam rękę, kiedy znałam odpowiedź, i nie obnosiłam się z dobrymi ocenami. Wiedziałam, z kim nie zadzierać, a komu warto się przypodobać. Tak więc podczas imprezy przekonałam się od razu, jak bardzo opłaciły mi się lata towarzyskich starań. Najbardziej popularny chłopak powiedział mi, że czadowo wyglądam. Przypuszczalnie w każdej szkole jest taki koleś, który nosi się jak Jim Morrison, wzbudza respekt i pożądanie, a jego słowo uchodzi za objawienie. Z dziewczyn wybierał same królowny, laski wystarczająco atrakcyjne, żeby zasłużyć na jego względy. Nie pociągał mnie i nie spodziewałam się, abym kiedykolwiek wpadła mu w oko, ale zależało

mi na jego aprobacie. Tak jak wszystkim. Opinia tego chłopaka mogła cię wynieść na szczyt albo pograżyć. A tymczasem on obdarza mnie komplementem. Coś niebywałego. To jak koronacja. Jakbym była serialową aktorką i dostała nominację do Oscara. A wtedy on dodał: „Jak ekskluzywna kurewka o złotym sercu. To jest ten fason, co nie?”. Wszyscy zaczęli się śmiać. Ja też się śmiałam, żeby pokazać, że nie czuję się dotknięta i jestem częścią, a nie przedmiotem żartu. Chciałam wierzyć, że miał na myśli mój uwodzicielski wygląd, choć tak naprawdę wyzbyłam się już złudzeń. Dał jasno do zrozumienia, że uważa mnie za puszczalską, która sama się prosi o takie traktowanie. Rzucił mi prosto w oczy, że jestem płytka, a ja z entuzjazmem przyznałam mu rację. A później powiedział, że chce mi coś pokazać. Łudziłam się, że uważa mnie za przyjaciółkę, chociaż wietrzyłam jakiś podstęp. Pewnie każdy przypomina sobie taką sytuację, kiedy miał przeczucie, że wszyscy dookoła coś knują. Z zapartym tchem obserwują ofiarę, szepczą coś ukradkiem i powstrzymują śmiech, żeby nie zepsuć żartu. Właśnie tak to wyglądało. A mimo to poszłam za nim z głupkowatym uśmiechem na twarzy. Chciałam, żeby mnie akceptowali. Chciałam być rozrywkową Georginą, która jest gotowa na wygłupy i wzbudza sympatię. Aprobata nade wszystko. Noś uśmiech przyklejony do twarzy i śmieję się z innymi, a nie wyjdiesz na tym źle.

W sali panuje taka cisza, że usłyszałabym odgłos spadającej szpilki.

– Ludzie spoza jego świty patrzyli z zazdrością i zachwytem, kiedy prowadził mnie za rękę w stronę wyjścia – opowiadam dalej. – Taki ostentacyjny gest; był gotów przedefilować ze mną na oczach całej szkoły. Jego wysokość okazał mi szczególne względy. Georgina Horspool dostała wielkiego zaszczytu. Jeżeli ją wybrał, odniosła sukces.

Przewracam kolejną kartkę, a w sali panuje tak nabożna cisza, że szelest papieru spotęgowany przez mikrofon brzmi nienaturalnie głośno.

– Zabrał mnie do nieczynnej toalety, zaryglował drzwi i zanim się zorientowałam, gdzie jestem, stanął przede mną z kpiącym uśmiechem, blokując mi drogę odwrotu. Nagle dotarło do mnie, że znalazłam się w pułapce.

– Co tu robimy? – spytałam.

Wtedy pchnął mnie na ścianę i spróbował pocałować. Odepchnęłam go i parsknęłam śmiechem, próbując obrócić tę sytuację w żart. Zduszony odgłos, który wydałam z siebie, zabrzmiał obco i sztucznie.

– Ej, co jest? Przecież ci się podobam – stwierdził obcesowo, jakby całkowicie przekonany o swojej racji.

– Podobasz mi się – odparłam szybko, bo chciałam, żeby tak myślał i żeby mnie lubił.

– No to w czym problem?

Znowu przycisnął wargi do moich ust. Zachowywał się niezdarnie i napastliwie, jak gdyby próbował mnie ugryźć, a jego oddech załatywał cydrem. Spotkał mnie niebywały zaszczyt, więc jak mogłabym się wzbraniać? Byłam całkowicie nieprzygotowana na taką sytuację. Szkoła i dom nauczyły mnie, że grzeczne dziewczynki mówią „tak”, „proszę” i „dziękuję”, że są uczynne, spełniają oczekiwania innych i starają się nikogo nie urazić. Grzeczne dziewczynki nie znają słowa „nie”. Ten chłopak czegoś ode mnie chciał, więc powinnam się dostosować.

Odrywam oczy od kartki i dostrzegam Jo. Łzy spływają jej po twarzy, a Clem i Rav bladzi z przejęcia siedzą przy niej i trzymają ją za ręce. Szybko odwracam wzrok, ale nie jestem w stanie spojrzeć w stronę baru, gdzie – to pewne – stoi Lucas i wpatruje się we mnie.

– Zaczął znów mnie całować i szarpnął za dekollet, żeby dobrać się do mojego stanika. Na szczęście sukienka była o rozmiar za mała, więc przylegała do mnie ciasno niczym druga skóra i nie przesunęła się ani o centymetr. Prosiłam, żeby przestał. – Przerywam, aby przełknąć ślinę, bo po raz pierwszy mój głos się łamie. – Staralam się jednak to wypowiadać z udawaną skromnością, beztrąsko, nawet figlarnie. Moje „przestań” powinien odczytać jako „może nie teraz, może innym razem, bo jestem grzeczną dziewczynką”. Protest, w którym kryje się zachęta.

– Co się, kurwa, z tobą dzieje? – wycodził.

Byłam na siebie wściekła, bo nie udało mi się go powstrzymać. Jako rozrywkowa i wyluzowana Georgina pragnęłam pokazać, że dam sobie radę. Miałam nadzieję, że wszystko dobrze się skończy.



Wolałam go nie wkurzyć. To nie powinno mnie przerastać. No właśnie: co się, kurwa, ze mną dzieje?

Nie udało mu się zedrzyć ze mnie ubrania, ale zaczął odslaniać straszliwą prawdę. Nie byłam taka, za jaką chciałam uchodzić. Próbowałam wszystkich nabrać, udając pełną temperamentu Georginę. Ale w rzeczywistości byłam niedoświadczona, bałam się i nie miałam w sobie ani odrobiny luzu. Ujawnienie tego faktu stanowiło dla mnie największe zagrożenie. Szamotałam się psychicznie, zachodząc w głowę, jak go odepchnąć, żeby nie poczuł się odepchnięty, co mogłoby się dla mnie skończyć bardzo źle. Jemu zwisało to, jak potoczy się ta historia, ale mnie nie, ponieważ on byłby narratorem.

– Mam chłopaka – oznajmiłam, wychodząc z założenia, że taki argument nie urazi jego męskiej dumy.

– Ha, ha, ściemniasz! Kto to jest?

Nie chciałam w to mieszać swojego chłopaka, rzucać go na żer; obawiałam się, że banda obcych wtargnie w nasze życie i zdepcze to, co mamy najcenniejszego. Był tylko mój, w niczym nikomu nie zawinił; musiałam go chronić.

– Nie znasz – odparłam.

– Gówno prawda. Wszyscy wiedzą, że jeszcze tego nie robiłaś i cię nosi. Na lekcjach literatury w kółko gdaczesz o romantycznej miłości jak stara kwoka.

Jego słowa podziały niczym seria precyzyjnie wymierzonych ciosów. Stała się najgorsza rzecz, jaką mogłam sobie wyobrazić – każdy się zorientował, jak desperacko zabiegam o sympatię. Przejrzeli mnie. Zobaczyli, jaka jestem żalosna w swoim braku pewności siebie i poczuciu niespełnienia.

Teraz i ja się rozklejam. Łzy płyną mi po twarzy, ale wciąż panuję nad głosem.

– Znowu spróbował mnie pocałować, więc go odepchnęłam i powiedziałam, żebyśmy wrócili do sali i napili się ponczu; niestety nie dał się nabrać na tę banalną taktykę obronną.

– Jesteś dziewczicą? – spytał.

– Nie.

– W takim razie...

Stojąc przed nim przyparta do ściany w jaskrawym świetle jarzeniówek, patrzyłam, jak rozpina rozporek. Zastanawiałam się, co ja tu robię. Jak się uwolnić z tej pułapki? Dlaczego wszystko tak błyskawicznie się spieprzyło? To moja wina.

Znów unoszę wzrok znad kartki i widzę przed sobą morze przejętych twarzy, ale nie potrafię już się skupić na żadnej z nich.

– Bardziej inteligentna i obdarzona większym wdziękiem dziewczyna, po prostu lepsza niż ja, wymyśliłaby odpowiednią wymówkę, żeby się uwolnić i jednocześnie go zadowolić. To, że nie udało mi się znaleźć takiego wyjścia, było kolejnym dowodem mojej głupoty i niedojrzałości. Oczywiście chłopcy na imprezach bzykają się z laskami w toaletach, więc czego się spodziewałam? I tak miałam szczęście, że zechciał mnie ktoś, o kim nawet nie śmiałabym marzyć. Byłam żalosna w swojej niewdzięczności. Bardziej inteligentna i obdarzona większym wdziękiem dziewczyna nie stawiałaby oporu.

Poza tym okłamałam go. Nigdy wcześniej nie widziałam nagiego mężczyzny, w każdym razie nie na żywo, nie tak jak teraz. I nagle to zobaczyłam... jak wyskakuje z jego lewisów niczym obcy z piersi Johna Hurta. Wpadłam w panikę, bo wiedziałam, że chłopak będzie oczekiwał jakiegoś ruchu z mojej strony. Zaszedł zbyt daleko, żeby się wycofać. Chciał ode mnie czegoś w zamian. Zdałam sobie sprawę, że już się nie wywinę; wprawiłabym go w zakłopotanie. Mogłam sobie to wybić z głowy. Nie miałam szans, żeby przejąć kontrolę nad sytuacją.

Chwycił mnie za rękę, ale nie utrzymał jej długo. W porównaniu z jego wielką dłonią moje palce były tak drobne, że bez trudu się uwolniłam. Spróbował jeszcze raz. Zrobiłam to samo. Przy trzecim podejściu złapał mnie tak mocno, że zostały mi siniaki. Przyłożył sobie moją dłoń do członka, po czym zarechotał triumfalnie, chociaż natychmiast mu się wyrwałam. Potem jednak mógł wszystkim opowiadać, że zrobiłam to z nim dobrowolnie. Tego już nie dało się cofnąć. Właśnie tak to działa. Przełamywał mój opór krok po kroku.

Nadal łapał i szarpał moją rękę, a ja na próżno błagałam, żeby pozwolił mi wyjść. Miałam

wrażenie, że spędziłam tam godzinę, chociaż prawdopodobnie minęło zaledwie kilka minut. Wiedziałam, że w kategoriach towarzyskich czy biorąc pod uwagę moją reputację, równie dobrze mogłabym spędzić z nim całą noc.

– Wiesz, jak to się robi, co? – szydził. – Jesteś dobra w te klocki.

Pochlebstwo zadziało przez krótką chwilę. Stłumił mój opór, próbował z powrotem tchnąć we mnie życie. Mamił nadzieją, że wystawi mi dobrą cenzurkę.

Ten moment, w którym rozważasz kapitulację albo się poddajesz, prześladuje cię do końca życia. Nabierasz przekonania, że przydarzyło ci się coś takiego, bo jesteś słabą i zepsutą osobą, która w gruncie rzeczy sama tego chciała. Ale chodzi tylko o przetrwanie. I nawet jeżeli ci się wydaje, że dokonujesz jakiegoś wyboru, tak naprawdę tkwisz w sytuacji bez wyjścia.

Trzymając moją dłoń w żelaznym uścisku, poruszył nią parę razy w górę i w dół.

– A teraz ty sama – rozkazał, cofając rękę, a ja powtórzyłam jego ruch. – Tak! Właśnie tak! – krzyknął triumfalnie.

Zrobiłam to. Stało się.

Pozwoliłam na to w imię wartości, która liczyła się dla mnie nade wszystko. Akceptacja. Była moją religią. Chciałam być lubiana. Ale nie byłam. Spojrzałam mu w oczy, a wyraz pogardy na jego twarzy nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Gdy mu uległam, stracił do mnie resztki szacunku. Wiedziałam, że tak będzie. Kiedy sobie to uświadomiłam, przestałam się do niego przymilać i pomyślałam, że możemy dojść do porozumienia.

– A teraz chcę już wracać na bal. – Odwróciłam się w stronę drzwi.

Złapał mnie za nadgarstki i rzucił o ścianę. Już wcześniej używał siły, lecz teraz był dużo bardziej brutalny. Dotychczasowy strach zamienił się w grozę. Mój ojciec mawiał, że człowiek nie zdaje sobie sprawy, jak trudno poruszyć bezwładny ciężar, dopóki nie spróbuje tego zrobić. Nie mamy pojęcia, co czuje ofiara przemocy fizycznej, dopóki nie zaatakuje nas ktoś znacznie silniejszy. Wydawało mi się, że jeśli osaczona panienka na ekranie będzie grzmocić wypielęgowanymi piąstkami w umięśnioną pierś Tarzana, to spokojnie go powstrzyma i odepchnie. Nic z tego. Jest zszokowana i przerażona. A szok i przerażenie sprawiają, co właśnie sobie uzmysłowiłam, że czegokolwiek chce napastnik, wszystko to osiągnie.

Publiczność wstrzymuje oddech. Atmosfera jest napięta, a powietrze niemal wibruje od niecierpliwego wyczekiwania.

– Zdarł ze mnie sukienkę; poczułam na kroczu jego dłoń. Nie chcę tak, nie z nim, pomyślałam. Nie jestem skłonna do poświęceń, ale pomogła mi myśl o kimś, kto czeka na mnie w pobliżu; o kimś, dla kogo postanowiłam zachować siebie. Kiedy mówię „zachować siebie”, mam na myśli dużo więcej niż tylko czystość w sensie seksualnym. Wiedziałam, że tamten ktoś chciał, żebym zachowała siebie. Przychodzi mi na myśl ostatnie desperackie zagranie, przewrotny sposób, który pozwoli mi się uwolnić.

– A ty co, jesteś obleśnym gwałcicielem? – rzucam.

Odepchnął mnie, jakbym była radioaktywna.

– Nie schlebiaj sobie – warknął. – Uważasz się za nie wiadomo jakie cudo, Georgino Horspool, a jesteś totalnie przeciętna.

Zamknął się ze mną w nieczynnej toalecie i napastował mnie seksualnie, by potem stwierdzić, że mam wygórowane mniemanie o swojej atrakcyjności. Że gwałt to dla mnie zbytek łaski. Ale moja metoda zadziałała. Nazwałam jego zachowanie po imieniu, a on nie chciał uchodzić za gwałciciela. Zapiął rozporek i wykrzywiając twarz w szyderczym grymasie, wymamrotał coś pogardliwym tonem, kiedy otwierałam drzwi, by wreszcie wydostać się na wolność. Tylko że pakowałam się właśnie w nową pułapkę, w której pod pewnymi względami tkwiłam od dawna. Kiedy wróciliśmy do sali, powitały nas głośne westchnienia, stłumione śmiechy i gwar ożywionych rozmów. Odniosłam wrażenie, że wszyscy na nas czekali, jakby nasze wspólne wyjście było dla nich zapowiedzią czegoś oczywistego. Obejrzałam się przez ramię na mojego oprawcę, który pokazywał kolegom obleśny gest, potrząsając zwiniętą dłońią na wysokości ust i wypychając policzek językiem. Całe jego towarzystwo zaczęło pohukiwać i gwizdać, a on uklonił się nisko. Stałam jak wryta, kiedy wcisnął mi do ręki szklankę z drinkiem.

– Niezła jesteś, masz niesamowitą technikę – oznajmił, wywołując kolejną falę owacji.

Jak mogłam zareagować? Miałam krzyknąć, że tego nie zrobiłam? Że nie chciałam tego zrobić? Pół szkoły widziało, jak dobrowolnie poszłam z nim do toalety. A potem pozwoliłam mu się pocałować. I nawet kiedy puścił moją dłoń, dotykałam jego członka. Zrobiłam to. Zresztą nikt by nie uwierzył trzecioklaszycie o niezbyt szczupłej figurze i wygórowanych ambicjach. Moje słowo przeciwko słowu tego bożyszczaka rocka? Przecież tak bardzo mi się poszczęściło, bo nie tylko zwrócił na mnie uwagę, ale wybrał z grona ochoczych i pełnych nadziei kandydatek. Ech, co za niewdzięczna dzidzia. Dupodajka, która, co gorsza, aspiruje do wyższej rangi.

Ten Chłopak przybijał piątkę ze swoimi kumplami, zachwyconymi całą akcją. Dziewczyny patrzyły na mnie z podziwem i wstrętem jednocześnie. Przestałam być dawną Georginą. On stał się Tym Chłopakiem, a ja byłam Tą Dziewczyną, która na balu poszła z nim do kibla, zrobiła mu dobrze, a po powrocie bezczelnie zainkasowała drinka z rumem jako nagrodę za obciążanie. Prawdopodobnie usłyszycie to od każdego, kto chodził ze mną do szkoły. Ten epizod stał się częścią mojej oficjalnej biografii. Najbliższa przyjaciółka podeszła do mnie z uśmiechem. Była trochę wystraszona, ale sądziła, że zrobiłam przełomowy krok w dorosłość, a na dodatek wybrałam najbardziej atrakcyjnego chłopaka z naszej szkoły. Jak miałam jej powiedzieć, że to wszystko nie tak, jak się wydaje, że czuję się zdruzgotana, a nasza radosna impreza stała się dla mnie traumatycznym przeżyciem? Nie potrafiłam znaleźć właściwych słów, żeby wyjaśnić, co mnie spotkało. Nie rzuciłam się do ucieczki. Nie wybuchnęłam płaczem. Nie zachowałam się jak ofiara. Co się stało, to się nie odstanie, pomyślałam. Ale nie postrzegałam siebie jako ofiary; to nie było częścią mojej tożsamości. Nie było nawet częścią mojej historii z tego wieczoru. Nie doznałam uszczerbku. Nie. Postanowiłam żyć dalej, jak gdyby nic się nie stało. Wciąż panowałam nad sobą i miałam możliwość wyboru, więc wybrałam – przejdę nad tym do porządku dziennego, bez zbędnego szumu.

Robię głęboki wdech i przechodzę do części finałowej:

– Ale moje postanowienie prysło, kiedy odnalazłam wzrokiem chłopaka, w którym byłam zakochana. Całował się z inną dziewczyną. Prawdopodobnie robił to w odwecie, chociaż nie mogłam być tego pewna. Tak bardzo zabolęła mnie ta niesprawiedliwość, że miałam ochotę wyć jak zranione zwierzę. Straciłam go. Puszczalska Georgina przestała być jego dziewczyną. Nie zorientowałam się, kiedy wyszedł. W ogóle nie pamiętam zbyt wiele z imprezy, bo zaczęłam pić, żeby zalać się do nieprzytomności. Później rozglądałam się za nim po sali, ale już go nie było. Znikł. Na zawsze. Już nic innego się dla mnie nie liczyło. Planowałam iść z nim do hotelu, dlatego powiedziałam rodzicom, że zostaję na noc u Jo. Nie mogłam więc wrócić do domu i odpowiadać na ich pytania. Poszłam do Holiday Inn, położyłam się w czerwonej sukience na podwójnym łóżku i płakałam tak długo, aż zmorzył mnie sen. Byłam wściekła na siebie. I pod pewnymi względami nie przeszło mi do dziś. Nigdy nie przyznałam się do błędu, więc nie mogło być mowy o wybaczeniu. A potrzebowałam sobie wybaczyć. Nie chłopakowi, który mnie skrzywdził, ale sobie samej. Oskarżałam się o to, że nie byłam silniejsza i nie zauważyłam, co się święci; że tak bardzo chciałam być lubiana i tak późno wymyśliłam coś, co pomogło mi uwolnić się z opresji. Mój dzisiejszy monolog nie do końca spełnia warunki konkursu *Podziel się swoim wstydem*. Bo tak naprawdę podzieliłam się jego wstydliwym sekretem, nie swoim. Ja w niczym nie zawiniłam. Jeśli macie podobne doświadczenia, powiem wam jedno: to nie była wasza wina. Dziękuję za uwagę.

Zamykam notatnik, a po policzku spływa mi łza. Zszokowana publiczność milczy i dopiero po chwili ktoś zaczyna klaskać. Przyłączają się inni, brawa przybierają na sile, zamieniając się w gromki aplauz, a zebrani wstają. Moi przyjaciele wchodzą na scenę i biorą mnie w objęcia. Też nie mogą powstrzymać łez. Widzę, jak Lucas McCarthy otwiera drzwi prowadzące na dół i znika na schodach, nie oglądając się w moją stronę. Nie przejmuję się nim.

Ogarnia mnie beztroska i nieznaną dotąd lekkość. Nareszcie zrzuciłam z siebie balast, który dźwigałam od lat. Opowiedziałam o wszystkim na głos, użyłam własnych słów i odczuliłam zły urok.



Jedynym minusem jest reakcja moich przyjaciół, zwłaszcza Jo, którzy czują się dotknięci, ponieważ nigdy nie zdecydowałam się opowiedzieć im o incydencie z Richardem Hardym. Zapewniam ich, że nawet gdybym przyjaźniła się z Oprah Winfrey, nie chciałabym o tym mówić.

– Więc dlaczego zrobiłaś to teraz? – zapytał całkiem rzeczowo Rav.

Wyłuszczyłam im wszystkie czynniki, które wpłynęły na moją decyzję: temat ostatniego etapu, który był niemal jak wyzwanie rzucone mi przez cały wszechświat. Robin i jego wtargnięcie w moją prywatność. Richard Hardy i jego córeczka, którą bez wątpienia pragnąłby uchronić przed tym, co wyrządził mnie. Cieszy się rodzinnym szczęściem, nie poniósł żadnych konsekwencji. Do tego Lucas McCarthy, który odepchnął mnie po raz drugi. Zbyt wysoką cenę zapłaciłam za to, żeby utrzymać to wszystko w tajemnicy. W końcu coś we mnie pękło.

Chociaż podobnie jak pozostali Clem była zszokowana moją gehenną, zaczęła przeżywać nową dramę – „o mój Boże, to ciacho za barem to twój były?” – i opanowała się, dopiero gdy Rav posłał jej spojrzenie, które mogłoby zamienić ją w kamień.

Esther z makijażem rozmazanym na policzkach wbiegła na scenę i wzięła mnie w objęcia.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? – spytała z wyrzutem, podczas gdy Mark stał za nią ze wzrokiem wbitym w podłogę i rękami splecionymi na piersi niczym dobrotliwy pastor.

– Nie powiedziałam nikomu, naprawdę. Nie przyznawałam się do tego nawet przed sobą, ale wreszcie to zrobiłam. Przykro mi, że dowiedziałas się w taki sposób.

– Och, daj spokój. – Esther zawiesiła głos, żeby otrzeć łzy z oczu. – Czasem stroimy sobie z siebie żarty i działamy ci na nerwy, ale jesteś naszym oczkiem w głowie. Nieba byśmy ci przychyłili. Wybacz, jeśli tego nie widać.

– Ale ja to wiem – odparłam.

Nie wygrałam konkursu. Główną nagrodę zgarnął niejaki Tom, który opowiedział o tym, jak na wycieczce szkolnej do Mam Tor zjadł cały blok czekoladowy i rzygał jak kot. Ale tak naprawdę to ja zwyciężyłam. Po raz pierwszy nie boję się przyszłości, tylko chcę wykorzystać jej potencjał. Słowa mnie ocaliły. Moje słowa.

Następnego dnia o dziesiątej wieczorem ktoś dzwoni do drzwi. Czasami dzieciaki przebiegające ulicą robią psikusy, więc ignoruję to, o ile dzwonek nie jest podwójny.

Chwilę później rozlega się ponownie.

Albo Karen zamówiła pizzę, albo odwiedził nas ktoś, kto jeszcze nie był w tym domu i nie wie, że należy podejść do kuchennych drzwi i zapukać. Jeżeli to pierwsze, mam nadzieję, że nie przywieźli średniej margarity na cienkim cieście z dodatkowymi jalapeños, bo będę musiała zdecydować, czy budzić Karen – słyszę jej chrapanie z dołu – czy odpuścić i zaryzykować, że się wścieknie. Też chętnie zjadłabym pizzę.

Ostrożnie wyglądam zza zasłony i widzę wysokiego ciemnowłosego mężczyznę. Stoi z opuszczoną głową, trzymając ręce w kieszeniach kurtki. Mój żołądek kurczy się gwałtownie. Puls przyspiesza. Wciągam głęboki haust powietrza i otwieram drzwi.

– Cześć – odzywa się Lucas.

– Cześć.

– Wybacz, że tak cię nachodzę, ale nie wiedziałem, jak to powiedzieć przez telefon. Mogę wejść? Odsuwam się na bok, żeby go wpuścić.

– Porozmawiajmy w kuchni – proponuję, siłąc się na opanowany ton. – Tam zamkniemy drzwi.

Kiwa głową i rusza za mną.

– Widziałem twój występ w pubie – zaczyna, gdy siedzimy naprzeciwko siebie przy stole.

– Mhm, zauważyłam cię. Wyszedłeś zaraz potem.

– Bo... – Lucasowi nagle odbiera mowę. Przyglądam mu się zszokowana i widzę, jak jego oczy robią się szkliste. Mruga kilka razy, strząsając łzy z powiek, odchrząkuje. – Bo musiałem wyjść i parę rzeczy sobie przemyśleć, a też nie chciałem rozmawiać z tobą przy wszystkich. Ale chyba nie pomyślałaś, że uciekłem, ponieważ puściły mi nerwy.

– Cóż, nie byłam pewna, ale tkwiłam wtedy pogrążona we własnym świecie.

Przytakuje.

– Proszę, uwierz mi, nie miałem bladego pojęcia, co ci się przydarzyło, Georgino. I zdaję sobie sprawę, że taka ignorancja sama w sobie jest zła.

– Tak, o niczym nie wiedziałaś. Powinnam ci o tym powiedzieć, ale zachowałam wszystko dla siebie. Nikomu nie pisałam ani słowa.

– A ja nie pytałem – dodaje.

Ciężko przetykam ślinę. Zaszłam za daleko, żeby teraz rzucić coś na odczepnego, zamiast zdobyć się na szczerą odpowiedź.

– Nie, nie pytałeś.

Lucas kręci głową, próbując ochłonić, i znowu zapada milczenie. Nie powiem, żebym czuła się swobodnie, ale nie jest to również obojętne czy niezręczne milczenie. W tej ciszy łatwiej nam uporządkować myśli.

– Kiedy słuchałem twojej opowieści, dotarło do mnie, jak strasznie nawaliłem. Co za arogancki dupek ze mnie. Żyłem w przekonaniu, że każdy wystawia mnie do wiatru, ale prawda okazała się zupełnie inna. To ja zawiodłem ciebie w najgorszy możliwy sposób.

– Podjąłeś decyzję, kompletnie nie znając sytuacji – łagodzę jego złość i frustrację.

– Przekonałam się jednak, że wszyscy tak robimy.

Mój głos brzmi spokojnie. Tak mocno zaciskam dłonie na oparciu krzesła, że bieleją mi kostki.

– To prawda, Georgino – przyznaje. – Odtrąciłem cię wtedy i odtrąciłem teraz. Wciąż myślę o tamtej nocy... jak musiałaś się poczuć, kiedy powiedziałem, że cię nie chcę po tym, co się stało. Normalnie mam ochotę odciąć sobie język. – Pociera dłońmi twarz i ponownie spogląda na mnie.

Wolno przytakuje. Wiem, że nie ma sensu owijać w bawełnę; nie w tej chwili.

– Tak, to zabolalo. Potraktowałeś mnie, jakbym była skażona.

– A potem słyszę, że martwiłaś się o nas, że myślałaś o nas, kiedy tam cię zamknął i...

O nas. Po tylu latach używa tego zaimka, nie mając pojęcia, jak wiele to dla mnie znaczy.

Stoi oparty o kuchenny blat, z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

– Georgino, znałem ciebie... znaczy powinienem znać, bo już trochę ze sobą byliśmy – ciągnie.

– I wiedziałem, jaki sam jestem. Drażliwy, zapatrzony w siebie.

Parskam śmiechem.

– Chyba ciut za surowo się oceniasz.

Zamyka oczy.

– Tak bardzo mi przykro – mówi. – Również dlatego, że nie wyznałem ci prawdy. Nadal cię chciałem po tym, co się stało, ale miałem w sobie tyle zazdrości i gniewu, że odegrałem się na tobie, wykorzystując inną dziewczynę. Pomyślałem, że skoro tak mnie potraktowałaś, odwdzięczę ci się tym samym.

Serce mi się ściska na myśl o tym, jacy kiedyś byliśmy; muszę odchrząknąć, zanim zacznę mówić.

– Uważałam, że tak właśnie jest, chociaż nie do końca w to wierzyłam. Ale wątpliwości niewiele pomagały, więc nie przywiązywałam do nich większej wagi.

– To było okrutne i niedojrzałe z mojej strony – przyznaje Lucas.

– W końcu uznałam, że nigdy ci na mnie nie zależało. To było łatwiejsze do przyjęcia niż twoja zemsta, która oznaczałaby, że Richard Hardy rzeczywiście wszystko zniszczył. A kiedy powiedziałeś, że mnie nie pamiętasz, moje przypuszczenia się potwierdziły.

– Nie wiedziałem, jak się zachować, kiedy tamtego wieczoru po awanturze ze striptizerem zapytałaś mnie, czy cię rozpoznaję. Wykręciłem się najszybciej, jak to możliwe. Doszedłem do wniosku, że nigdy się dla ciebie nie liczyłem, więc najlepiej udawać takie samo nastawienie. A zranione męskie ego sprawiło, że trochę z tym przesadziłem i zacząłem zgrywać figlarnego półgłówka, który ma panienek na pęczki. – Lucas wykrzywia twarz w grymasie, choć ja parskam śmiechem na to wyznanie. – Wiedziałem, że mogę przypadkiem natknąć się na ciebie w Sheffield. Byłem na to przygotowany, ale kiedy na stypie zobaczyłem cię za barem z moim bratem, omal nie zemdlałem. W ciągu kilku minut musiałem się opanować i podjąć decyzję, jak to rozegrać.

A więc żył w ciągłym napięciu, myślał o mnie. Czy to oznacza, że między nami coś jeszcze ocalało?

– I świetnie się spisałeś, bo uwierzyłam, że naprawdę mnie nie poznajesz.

– Cóż, wiele na to postawiłem. – Na chwilę zawiesza głos. – To nie w porządku, że musiałem przypadkiem usłyszeć, co cię spotkało, żeby podejść do ciebie z empatią. Widziałem, jak ludzie zaczęli cię traktować po tamtym balu, i słyszałem, co mówią. Nie miałem pojęcia, że padłaś ofiarą pieprzonego Richarda, ale to mnie nie usprawiedliwia. Istnieje coś takiego jak presja środowiska. Każdy ma prawo popełnić błąd, zwłaszcza w takim wieku. Biorąc pod uwagę to, co nas łączyło, powinienem po prostu cię zapytać, co się stało. Gdybym wtedy zdobył się na odwagę, wszystko mogłoby się potoczyć zupełnie inaczej.

– Zawsze usiłowałam za wszelką cenę przypodobać się innym. – W oczach wzbierają mi łzy. – Wiem, że nie lubiłeś tego we mnie. A ja grałam pod publikę. Chciałam być lubiana.

– Kiedy spotkałem cię ponownie po tylu latach, mogłem wrócić do tematu, szukać wyjaśnień, a jednak zachowałem dawne uprzedzenia. Sądziłem, że jesteś pusta i nie wyznajesz żadnych głębszych wartości. Niestała jak chorągiewka na dachu. Teraz widzę, że zależy ci na ludziach i liczysz się z ich uczuciami. A takie zabieganie o względy innych wcale nie jest słabością, tylko przejawem wielkoduszości. Nie twoja wina, że ktoś to wykorzystał. Wybacz, że analizuję teraz twój charakter niczym psycholog szkolny. – Lucas przewraca oczami, na co znów wybucham śmiechem. – Wtedy czułem się tak niepewnie. Bałem się, że inni będą dla ciebie bardziej pociągający niż ja. Ty z kolei robiłaś, co konieczne, żeby utrzymać się na powierzchni. Zresztą jak każdy z nas. Nie miałem prawa cię osądzać. I nawet jeżeli w tamtym czasie nie pojmowałem pewnych rzeczy, jako trzydziestolatek powinienem się wykazać większą dojrzałością. Ale przejrzałem na oczy dopiero wczoraj, kiedy usłyszałem twoją historię. Chciałem być dla ciebie wszystkim, tymczasem stałem się jednym z wielu facetów, którzy znikają obrażeni, bo dziewczyna nie spełnia ich oczekiwań.

Przypuszczałam, że Lucas będzie miał wyrzuty sumienia po moim występie. Nie spodziewałam się jednak po nim tak głębokiej refleksji nad sobą i równie surowej oceny własnego postępowania. Chociaż bardzo chciałam usłyszeć jego wyjaśnienia, nie zastanawiałam się nad tym, co mi powie.

Muszę przyznać, że go nie doceniałam.

Dlaczego po tamtym fatalnym balu po prostu nie wysłałam mu esemesa: „Hej, jeśli chcesz wiedzieć, to nie było tak, jak myślisz”? Bo uznałam, że nie ma o co walczyć, skoro tak szybko znalazł sobie inną dziewczynę. Widocznie nie zależało mu na mnie albo chciał się odegrać.

Poza tym nie sądziłam, że mi uwierzy. Jako niedoświadczona nastolatka w całej swojej naiwności byłam przekonana, że z perspektywy brutalnego prawa młodzieńczych rytuałów godowych rzeczywiście robiłam to, o czym wszyscy gadali.

Ale przede wszystkim gdzieś w głębi ducha wiedziałam, że gdyby Lucas odpowiedział: „Teraz już wiem, że jesteś niewinna, i znowu oddaję ci swoje serce”, nie miałyby to dla mnie żadnej wartości.

Nie tak wyobrażałam sobie miłość.



Zapada milczenie, kiedy obydwójce oswajamy się z nowym spojrzeniem na przeszłość. Cisza nie jest krępująca, tylko skłania nas do refleksji.

Lucas unosi wzrok i uśmiecha się do mnie niepewnie.

– Mam jeszcze inne przemyślenia, ale nie wiem, czy mogę mówić dalej, czy lepiej, jak już się wyniosę z twojej kuchni.

– Proszę, wal śmiało. Możesz mi powiedzieć wszystko, co zechcesz. Jeśli nie będę się z tobą zgadzała, też mam głos i nie zawaham się go użyć – odpowiadam z uśmiechem.

– Cóż, kochałem się w tobie jak szalony, zanim jeszcze dostaliśmy to wspólne zadanie domowe z *Wichrowych Wzgórz* – mówi Lucas; patrząc na dorosłą wersję swojej szkolnej miłości, nie mogę uwierzyć, że jestem taką szczęściarą. – Wielbiłem cię potajemnie – puentuje i robi pauzę, aby te słowa dobrze wybrzmiały. O rany. W takim razie nie tylko ja się zabujałam. Próbuję teraz odtwarzać wspomnienia, które są niczym podkolorowane stare zdjęcia. – Wątpię – podejmuje Lucas – żebyś to ty wypatrzyła mnie w tłumie. Szczerze mówiąc, miałem za sobą dwa koszmarne lata. Przeprowadziłem się do Yorkshire, przyjaciele zostali w Dublinie, a ja próbowałem walczyć z moim akcentem, przez który ciągle ktoś robił sobie ze mnie jaja. Aż pewnego dnia usłyszałem zaraźliwy śmiech z drugiego końca świetlicy i zobaczyłem zjawiskową piękność. Byłaś niczym chodzące antidotum na tę niedolę. Jak tęcza na poszarzałym niebie. Tak jakby Bóg zesłał mi dziewczynę o złotych włosach, żebym nie zapomniał, dlaczego warto żyć. – Lucas odwraca wzrok. Zupełnie nie wiem, jak zareagować, więc tylko idiotycznie szczerzę zęby w uśmiechu. – Nie zdawałaś sobie sprawy, jak bardzo jesteś lubiana – ciągnie. – Podobałaś się wszystkim, nie tylko palantom, bo zachowywałaś się życzliwie. Miałaś o wiele wyższy status, niż sądziłaś. Na scenie wspomniałaś o konieczności zabiegania o akceptację i swojej marnej pozycji, ale nie tak to wyglądało z perspektywy innych. Kiedy poznałem cię w dorosłym życiu, nic się nie zmieniło. Budzisz wielką sympatię, ludzie lgną do ciebie, i to nie z powodu twojego wyglądu, ale dlatego, że jesteś serdeczna – tłumaczy. Lucas ma o mnie takie zdanie? Będę pielęgnowała w pamięci te słowa do końca swoich dni. – W każdym razie potem mieliśmy wspólnie napisać ten esej i wpadłem w panikę. Bałem się, że zrobię z siebie idiotę, a skrycie uwielbiana Georgina Horspool będzie zawiedziona. Widzisz, nawet twoje imię działało na mnie jak magiczne zaklęcie. Jak ci się udawało dorastać do takiego ideału? Ale nie tylko trzymałaś wysoki poziom, okazałaś się jeszcze bardziej sympatyczna, błyskotliwa i intrygująca, niż mogłem sobie wymarzyć, a co najbardziej niesamowite: odnosiłem wrażenie, że ci się podobam. Byłem... nie wiem, jak to ująć... – Przez chwilę szuka właściwych słów. Miło się dowiedzieć, że komuś zawróciłam w głowie, ale kiedy mówi o tym w czasie przeszłym, czuję posmak goryczy. Nie wiem, czy śmiać się radośnie, czy płakać. – ...Myślałem, że to wszystko jest zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Nie wierzyłem w swoje szczęście. W końcu wpędziłem się w paranoję. Nabrałem przekonania, że miałem rację i to tylko złudzenie. Pamiętasz tamten wieczór, kiedy wracając z parku, musieliśmy iść po przeciwnych stronach ulicy, bo zauważyłaś kogoś znajomego?

– Nie... – odpowiadam, mrużąc oczy.

Najwyraźniej to jedna z tych sytuacji, które zaginęły w mroku przeszłości. Wyteżam pamięć i mgliście przypominam sobie, jak raz ukrywaliśmy się przed bratem Jo. Byłam przekonana, że robiliśmy to dla hecy.

– Uznałem, że to, co nas łączy, jest twoją wstydliwą tajemnicą, i zacząłem się martwić, że nigdy nie będziesz chciała ujawnić tego przed światem. Że nigdy nie zostanę twoim chłopakiem i tylko mnie wykorzystujesz, aby nabrać wprawy przed studiami. Znaczący, na początku nie pogardziłbym nawet takim

układem, ale byłem w tobie szaleńczo zakochany, więc z czasem przestawało mi to wystarczać.

– Naprawdę byłeś we mnie zakochany?

– Rany, Georgino, chciałem mieć ciebie całą. Przeniósłbym się na studia do Newcastle, gdybyś tylko kiwnęła palcem. Problem w tym, że czekałem, aż to zrobisz. – Uśmiecha się niepewnie. – Wyrwałem kartkę z notatnika, na której zaczęliśmy pisać do siebie czułe słówka, bo chciałem zachować namacalny dowód, że ci się podobam. Czy mówię teraz jak psychopata? – Patrzy na mnie z niepokojem. Parskam śmiechem, ale ogarnia mnie przygnębienie. – I wiedziałem, że wpadłaś w oko Richardowi. Zresztą nie jemu jednemu, niestety. Słyszałem, jak rozmawiał z chłopakami w szatni po WF-ie. Zawsze się chełpił, że mógłby cię zaliczyć, gdyby tylko zechciał, bo „lecisz na niego”. A ja słuchałem tego, kiedy już spotykałem się z tobą, więc zapewne się domyślasz, że chętnie ukręciłbym mu łeb. Więc przeżywałem jeszcze większe katusze, niż myślisz, bo znałem jego zamiary wobec ciebie. Kiedy na balu wyszedł z tobą z sali, wyczuwałem, co się święci, ale nie zareagowałem. Mogłem ci oszczędzić upokorzenia, a jednak nawet nie mrugnąłem. Dlaczego? Żeby się ze mnie nie śmiali? Bo byłabyś zażenowana, gdybym urządził scenę albo, co najgorsze: zerwałabyś ze mną? Bo próbowałem cię sprawdzić? Bo obawiałem się, że wybierzesz jego? Tak, wszystkie te powody, a zwłaszcza ostatni, sprawiły, że nic nie zrobiłem. No i pokazałem swoją naturę. A ty za to zapłaciłaś.

– Nie obwiniaj się – proszę. – Po prostu zostałeś wplątany w gównianą intrygę. Bo co do twojej natury, to ani trochę nie wątpię, że instynktownie ujmujesz się za innymi. Zdażyłam się o tym przekonać, odkąd pracujemy razem.

– Czuję się tak, jakbym cię nakłaniał, żebyś mnie przekonywała, że w niczym nie zawiniłem. – Pociera czoło. – Ale przynajmniej po części jestem odpowiedzialny za to, co się stało. I na tym poprzestańmy.

– Ha, ha, mówisz jak moja terapeutka. Tyle że jej też nie powiedziałam całej prawdy. Skróciłam całą historię do tego, że wyszłam z balu z innym chłopakiem i nie mogłam sobie tego wybaczyć. W końcu chyba w to uwierzyłam. Upłynęło wiele czasu, zanim zrozumiałam, że muszę odpuścić z tym samobiczowaniem. Wiem, że kiedy bierzesz odpowiedzialność na siebie, mówisz poważnie, i bardzo wiele to dla mnie znaczy. A tak naprawdę zawinił tu tylko jeden człowiek, który nic sobie z tego nie robi.

– Miałem wielką ochotę odwiedzić Hardy’ego w środku nocy w zardzewiałym bedfordzie z kolegą kolegi Deva, niejakim Deanem Kretynem – wyznaje Lucas, czym znów wywołuje u mnie salwę śmiechu. – Nigdy nie myślałaś o tym, żeby zgłosić to na policji?

– Nie. Jego słowo przeciwko mojemu. Wszyscy potwierdziliby wersję Richarda. A gdyby jeszcze wyszło na jaw, że wynajęłam pokój w hotelu, nie byłoby to dla mnie korzystne.

Jednocześnie odwracamy wzrok i po raz pierwszy atmosfera robi się krępująca.

– Żałuję, że nie przyszedłem tam do ciebie – wzdycha Lucas. – Nie po to... no wiesz. Ale żeby być przy tobie, wysłuchać cię. Wszystko mogłoby się potoczyć inaczej.

Mogłoby.

Wzruszam ramionami.

– Miło to słyszeć. Choć ostatecznie żałuję, że nie złożyłam zeznań na policji, bo jeśli Richard zrobił to ponownie, swoim milczeniem naraziłam inne ofiary.

– To również nie twoja wina. Absolutnie nie.

– Założę się, że potem już nigdy nie zaprzętał sobie tym głowy.

– Pewnie tak. Co za menda. A jego paczka to banda idiotów.

Uśmiecham się, Lucas odpowiada tym samym. Mam ochotę go przytulić, boję się jednak posunąć za daleko.

– Mogę zapytać cię o coś, co zawsze mnie nurtowało? – zwracam się do niego. – To dosyć osobista sprawa, więc jakby co, nie musisz odpowiadać.

– O niczym innym nie rozmawiamy, tylko o sprawach osobistych. Dawaj.

– Tak jak powiedziałam, to miał być mój pierwszy raz tamtej nocy po balu. Znaczący: gdybyśmy spędzili ją razem. Czy... ty też nigdy przedtem...?

– Owszem, i jeśli to nie było oczywiste, to muszę przyznać, że czuję się mile polectany – odpowiada z uśmiechem.



Rumienię się jak pensjonarka. Daj spokój, Georgino Horspool, napominam się w duchu, przecież masz trzydziestkę na karku.

– Przykro mi, że tak fatalnie to się skończyło – podsumowuję. – Ale dałeś mi naprawdę cudowne wspomnienia.

– Nawzajem.

– I cokolwiek o mnie myślałeś – dodaję szybko, żeby nie stchórzyć – byłam w tobie szaleńczo zakochana. W tobie i tylko w tobie.

– Nawzajem – powtarza Lucas. – Tłumaczyłaś, że chciałaś mnie chronić, kiedy Richard cię napastował. Nigdy sobie nie wybaczę, że nie zrobiłem dla ciebie tego samego. Żałuję, że nie zapewniłem ci bezpieczeństwa.

Nie spodziewałam się, że kiedykolwiek usłyszę od Lucasa takie wyznanie.

– Twoja rola nie polegała na tym, żeby mnie chronić. Nigdy tego nie oczekiwałam. Wystarczy, że dzisiaj tu przyszedłeś. I nie mówię tego tylko z uprzejmości.

Patrzymy na siebie w milczeniu. Zastanawiam się, czy pozostało cokolwiek z tego, co nas łączyło, ale brak mi siły i chęci, żeby o to pytać. Tego wieczoru odzyskaliśmy tyle przyzwoitości i godności. Zniszczyłabym to, gdybym zmusiła Lucasa do wypowiedzenia tekstu w stylu: „To nie oznacza, że teraz chcę cokolwiek wskrzesić”. Boję się nawet pomyśleć, że mogłby udawać przychylnie nastawienie do naszego związku wyłącznie z litości albo poczucia winy. Rzuciłaś się na niego, a on cię odtrącił, przypominam sobie brutalną prawdę. Jeśli teraz nie wychodzi z inicjatywą, musisz założyć, że nic się nie zmieniło.

– Nie zamierzasz wrócić do The Wicker? – odzywa się po długiej chwili milczenia.

– Niestety nie. Uwielbiałam tę pracę, ale już zamknęłam pewien etap w życiu. Wstąpię tam kiedyś, żeby zobaczyć się z Devlinem i Kitty, ale będę po drugiej stronie baru. A ty wracasz do Dublina?

– Mhm. Od początku planowałem tylko pomóc w rozkręceniu interesu, a potem zatrudnić menedżera.

Właśnie otrzymałam odpowiedź na swoje poprzednie pytanie. Okazuje się, że Lucas nie wiąże ze mną planów na przyszłość. Zresztą wystarczy spojrzeć na to, jak daleko zaszedł. W porównaniu z nim niewiele osiągnęłam. Nasz związek miał sens w zupełnie innej epoce.

– Rozumiem. Devlin wspominał, że nie bardzo podoba ci się w Sheffield.

– Dostrzegam zalety tego miasta – odpowiada i posyła mi ten swój cholerny uśmiech, od którego serce rozpada mi się na drobne kawałki.

Podaję mu rękę na pożegnanie, a kiedy ściska moją dłoń, jego cichy śmiech brzmi niczym pełne goryczy westchnienie. Dotykając go, odnoszę wrażenie, że stoję nad czeluścią, która mnie pochłonie, gdy tylko się z nim pożegniam.

– Cieszę się, że cię poznałam – mamrocę ze ściśniętym gardłem.

– Nawzajem. – Puszczam do mnie oczko.

Wychodzimy z kuchni i gdy idziemy do wyjścia, Lucas przystaje na środku salonu.

– To klatka? – pyta.

– Tak. Mieszka w niej mój żółw.

– O rany. Jammy jeszcze żyje?

– Pamiętasz jego imię?

– No pewnie – odpowiada z entuzjazmem. – Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo musiałem się pilnować, żeby nie palnąć czegoś, co wiem o tobie z czasów szkolnych.

Cieszę się na myśl, że nie ma już między nami żadnych niedopowiedzeń. To wspaniałe doznanie. Znowu jest mi przy Lucasie dobrze, ten fakt sprawia mi ogromną radość.

Otwieram drzwi; Lucas przestępuje próg, po czym obraca się i bierze głęboki wdech.

– Gino...

– Nikt nie nazywa mnie Giną.

– Wiem. Dlatego ja chcę tak do ciebie mówić. – Przez chwilę patrzymy sobie w oczy. Właśnie odtworzyliśmy słowo w słowo naszą rozmowę, którą odbyliśmy przed laty w ogrodzie botanicznym. Przypuszczałam, że tylko ja podtrzymuję żar tego uczucia. Lucas już wcześniej dał mi jasno do

zrozumienia, że nie jestem w tym odosobniona, a ta krótka wymiana zdań tylko to potwierdziła. – Kiedy cię zobaczyłem na stypie, byłaś tak samo olśniewająca, jaką cię zapamiętałem ze szkoły – wspomina. – Richard tego nie zniszczył. Nie pozwól, aby jakkolwiek mężczyzna odebrał ci ten blask.

A potem, nie czekając na moją reakcję, chowa ręce do kieszeni, kiwa mi głową na pożegnanie i odchodzi w mrok.

Zamykam drzwi; po policzkach płyną gorące strumienie łez. Ogarnia mnie obezwładniający smutek, ale nie tylko dlatego płaczę.

Lucas McCarthy pojawił się znowu w moim życiu i okazuje się, że jestem z tego zadowolona. Wyjaśniliśmy sobie kilka spraw. A jego pies mnie zauroczył.

Wydaję przeciągłe westchnienie. Czasami prawda jest trudna i bolesna, ale nie zawsze warto jej unikać. Czasami prawda ocala.

– Georgino, na litość boską, skończyłaś wreszcie paplać? – dobiega z góry krzyk Karen. – Bo ja tu próbuję zasnąć, do ciężkiej cholery!

– Tak, już po wszystkim – odpowiadam, wycierając palcami łzy.  
Nie chciałam, żeby tak było.



### *Pół roku później*

Ludzie młodzi nie doceniają swojej młodości. Kiedy byłam w odpowiednim wieku, by zdobywać wykształcenie, wydawałam się sobie nieporadna i zahukana, jakby wszyscy widzieli, że nie jestem wystarczająco bystra jak na studentkę. Teraz mam prawie trzydzieści jeden lat i czuję się kompletnie nieprzystosowana. Czym ja się martwiłam dziesięć lat temu? Bez pojęcia o życiu i lekturach obowiązkowych, w glanach pomalowanych w trupie czaszki korektorem i ciągle na lekkim kacu idealnie wpasowywałam się w otoczenie.

Po incydencie podczas niedzielnego obiadu Esther i ja żywiłyśmy nie do końca skrytą nadzieję, że mama odejdzie od Geoffreya. Nie zdobyła się na to, ale odniosłam wrażenie, że szala w układzie sił przechyliła się nieco na jej korzyść. Nawet tak nikły przejaw buntu przyniósł efekty. Może Geoffrey uległ, bo zdał sobie sprawę, że jej rodzina nie będzie patrzyła obojętnie na takie wybryki.

Mama zapytała, czy może mi kupić na Gwiazdkę nową kurtkę.

– To różowe futerko nie zachęca ludzi, żeby cię poważnie traktowali – stwierdziła. – Wyglądasz w nim śmiesznie.

Westchnęłam z rezygnacją i doszłam do wniosku, że mogę się zjeżyć albo przyjąć prezent, a różowego misia zostawić sobie na weekendy. Poszłyśmy do Johna Lewisa, gdzie upatrzyłam sobie granatowy półpłaszcz z bufiastymi rękawami, paskiem i rozłożystym kołnierzem. Muszę przyznać, że kiedy obracałam się na wszystkie strony przed lustrem, a mama nie szczędziła mi wyrazów uznania, poczułam się całkiem elegancko. Trochę jak demoniczna uwodzicielka z czarno-białego filmu, która wsiada do pociągu i przy wtórze pogwizdującego parowozu wygłasza kwestię: „Obiecuj mi, że będziemy razem, kiedy ta okropna wojna się skończy”.

Potem wybrałyśmy się na kawę; rozmawiałyśmy o mojej pracy. Jestem teraz kelnerką w barze przy Leopold Street. Rita, moja szefowa, ma pięćdziesiąt kilka lat i dba o cywilizowaną atmosferę w lokalu, w którym kobiety mogą spokojnie wypić drinka i nie obawiać się zaczepek. Tak bardzo przypadłyśmy sobie do gustu, że już na drugi dzień mianowała mnie menedżerką. „Twój sposób bycia narzuca odpowiedni styl”, oznajmiła.

Gdyby ktoś mnie zapytał, gdzie najlepiej wypić drinka, z przyjemnością i bez względu na osobisty interes zaprosiłabym go do swojego obecnego miejsca pracy. Jak najbardziej godny polecenia jest również pewien pub w wiktoriańskim budynku przy Ecclesall Road, który, jak słyszałam, nadal trzyma wysoki poziom. Kiedyś byłam tam barmanką, ale ten rozdział już zamknęłam.

Mama spytała, czy zostanę tam na dłużej, czy zamierzam szukać dalej. Zauważyłam, że nie jest już tak natarczywa w tej kwestii jak dawniej. Opowiedziałam jej o swoich planach, że się przekwalifikuję, czyli nauczę się czegoś, czego jeszcze nigdy w życiu nie robiłam. Zastanawiałam się nad stażem w „The Star” albo czymś w tym rodzaju. Nad jakąś pracą związaną z pisaniem.

– Nie skończyłaś studiów, a twojemu ojcu tak bardzo zależało, żebyś zdobyła wyższe wykształcenie – powiedziała mama, mieszając kawę z mlekiem. – Mam całkiem sporo oszczędności, które leżą odłogiem w banku, i były to również pieniądze twojego taty. Tak długo żywiłam do niego urazę, że nie obchodziło mnie, na co chciałby je wydać, i ty na tym ucierpiałaś. Myślę, że powinnaś je przeznaczyć na studia. Jakiegokolwiek sobie wybierzesz.

– Nie mogę ich przyjąć – odparłam wzruszona, choć jej propozycja wcale mnie nie zaskoczyła.  
– Nie po trzydziestce, bo czułabym się jak naciągaczka.

Poza tym uznałam, że mamie przyda się zaplecze finansowe, gdyby zdecydowała się uniezależnić od Geoffreya.

– Nie wygłupiaj się. Oczywiście, że możesz – zaprotestowała z wyraźnym ożywieniem. – Kiedyś i tak odziedziczysz te zasoby, więc czemu miałabyś nie skorzystać teraz, kiedy ich potrzebujesz? Będę szczęśliwa, jeżeli przyniosą ci pożytek. Wiem, że nie wydasz tej forsy na bzdury. Albo na stylowe ciuchy, znając twój gust! – zaśmiała się, ale życzliwie. Przewróciłam oczami. – Potraktuj to jako wyzwanie – ciągnęła. – Daję ci pieniądze i oczekuję, że mądrze je zainwestujesz. Bardzo mnie ciekawi, co postanowisz. Masz przed sobą wielkie możliwości.

– Naprawdę tak sądzisz? – spytałam zaskoczona.

Zwykle nasze wzajemne relacje sprowadzały się do łagodzenia konfliktów.

– Mhm, chociaż wiem, że mogłam sprawiać inne wrażenie. Twój ojciec tak bardzo cię faworyzował, że dla mnie nie pozostawało zbyt wiele miejsca.

Nagle wszystko stało się jasne – zrozumiałam, skąd brała się niechęć, jaką mi okazywała. Miała żal, bo ojciec przestał ją kochać i całe uczucie przelał na mnie. Traktowała mnie jak rywalkę. Teraz, kiedy sobie wyjaśniłyśmy tę kwestię, wiele się między nami zmieniło. Zdała sobie sprawę, że zawsze byłam po jej stronie.

– Tęsknię za tatą – powiedziałam.

– Ja też, chociaż Bóg jeden wie dlaczego.

– Ale tak bardzo się cieszę, że wciąż mam ciebie.

Ścisnęłam dłoń mamy i zauważyłam, że jej oczy robią się szkliste.

Siedząc na seminarium z literatury angielskiej w nowoczesnym budynku Uniwersytetu w Sheffield, czuję się jak kot, który na balu dla myszy próbuje ukryć swój ogon. Z początku sobie schlebiałam, że wyglądam dosyć młodo i nikt nie zwróci uwagi na moją odmienność, ale szybko się zdradziłam, bo punktualnie pojawiałam się na zajęciach i przedstawiałam się pogodnym tonem.

Czasami odnoszę wrażenie, że cała grupa jest mi wdzięczna za moje pytania do asystentów, ponieważ dzięki temu zyskuje mnóstwo czasu na bujanie w obłokach albo ukradkowe zerkanie na telefon. Chyba że pod koniec zajęć pytam, kiedy oddać eseje, a prowadzący odpowiada: „Och, dziękuję za przypomnienie, Georgino. Termin upływa w ten piątek”. Wtedy rozlegają się głośne jęki i westchnienia studentów poirytowanych nadgorliwością starszej koleżanki, która znowu ich wkopała.

Jednak nic nie mogę na to poradzić, że tak mi się tutaj podoba. Cztery razy dostałam najwyższą notę za esej! Uporałam się nawet z *Beowulfem*. Wykłady dają mi niezwykle poczucie komfortu. Na godzinę zapominam o gwałnym mieście za murami, by pogрузić się w świat idei, chłonać wiedzę i rozkoszować się poczuciem, że mój umysł staje się doskonalszy. Kiedy powiedziałam o tym Jaredowi, odparł:

– To tak, jakbyś instalowała aktualizację systemu w telefonie. Tylko że wtedy możesz położyć się spać.

Jared jest wysokim młodzieńcem o bardzo obfitym owłosieniu, nosi włóczkową czapkę i jako jedyny spośród studentów do tej pory ze mną rozmawiał. Dowiedział się, ile mam lat, i oznajmił, że chętnie się ze mną umówi, gdybym chciała, bo „wiek nie gra roli, jeśli znajdziemy wspólny język”. Poczułam się tak, jakbyśmy odtwarzali scenę z *Harolda i Maude*. Podziękowałam mu za propozycję, ale stwierdziłam, że chciałabym odpocząć od tego zwariowanego sportu, potocznie zwanego randkowaniem.

– Znaczy co? Jesteś rozwiedziona? – spytał. – Masz dzieci? Bo na takie układy się nie piszę.

Ech, młodość...

Pilnie uczęszczam na zajęcia. Codziennie chodzę po kampusie z uśmiechem na twarzy i nie przejmuję się tym, że ktoś mnie uzna za wariatkę. Wszystko jest dla mnie nowością; czuję się tak, jakbym naprawiała swoje życie. Chcę uzyskać najwyższy wynik, ale nie po to, aby wzbudzać zawiść. Pragnę udowodnić, że nie ma nic złego w dążeniu długą, nawet okrężną drogą do wymarzonego celu. I to nic, że czasem skręcamy w niewłaściwą stronę, jeśli ostatecznie docieramy tam, gdzie chcemy się znaleźć.

Tak więc sięgam w przeszłość, chwytam za rękę tę wrażliwą i pełną nadziei dziewczynę, którą

kiedyś byłam, i ciągnę ją, żeby przyłączyła się do mnie.

– To bardzo głębokie i wzruszające – oświadczyła Clem, kiedy opowiedziałam przyjaciółom o wieczornej wizycie Lucasa po występie. – Tylko dlaczego teraz nie pieprzycie się jak norki?

– Nie zastanawiałaś się nigdy nad karierą psychoterapeutki? – zwrócił się do niej Rav.

– Ja tylko pytam, co stoi na przeszkodzie, żeby się bzyknąć z facetem. Honorowy, bo przyznał się do błędu, że smykałką do majsterkowania i nieprzyzwoicie bogaty. A taki przystojny, że mógłby być wampirem.

– Co przez to rozumiesz?

– Wydatne kości policzkowe, mleczna skóra, włosy czarne jak smoła...

– I fiut jak sople lodu. O co ci chodzi, Clem? – spytał Rav. – Chcesz mi dać do zrozumienia, że ja już ci się nie podobam?

– Cóż, leżałabym na plecach szybciej niż staruszka po poślizgu na oblodzonym chodniku – podsumowała Clem.

Dziś obchodzę trzydzieste pierwsze urodziny i zapytałam przyjaciół, czy wybraliby się ze mną w góry. Wybuchła straszna wrzawa. Clem ubolewała, że wtedy nie wystąpi w sukience od Mary Quant. Rav kupił sobie niebieskie zamszowe buty, w których zamierzał przyjść na imprezę urodzinową.

– Posłuchaj, wiem, że wśród tych pierwszoroczników czujesz się jak panna Marple, ale nie możesz wszystkich do siebie zrażać – powiedział.

– Ja najwyżej pojedę z tobą innym razem – wtrąciła Jo, nasz gołąbek pokoju.

Zaproponowałam kompromis – wieczór w The Leskar. Skromnie i bez zbędnego zamieszania. Clem podarowała mi diadem ze swojego butik i nalegała, żebym od razu go założyła, choć niedostatecznie wytworny wystrój wnętrza trochę ją zawiódł...

– W przeciwnym razie będzie to tylko zwykły wieczór w pubie – argumentowała.

Z początku czułam się trochę głupkowato, jednak alkohol pomógł mi się wyluzować.

Rav zerka na zegarek.

– Teraz ja stawiam – oświadcza, po czym rusza w stronę baru.

– Ale dla jasności: Lucas nadal cię kręci, nie? – dopytuje Clem.

Minęło sześć miesięcy, a ona wciąż wałkuje ten temat.

– Szczerze? Trudno mu się oprzeć – odpowiadam, poprawiając diadem.

– A gdyby on jeszcze leciał na ciebie? – odzywa się Jo.

Parskam ironicznym śmiechem.

– Wolne żarty.

– No zaraz... dlaczego nie?

– Bo ja wiem? Przez naszą bolesną przeszłość? Kiedy chciałam go pocałować, spiął się i przyznał, że już mnie nie chce, ponieważ złamałam mu serce. Potrafię odczytywać takie sygnały. Dobrze rozumiem po facetowemu.

– Nic podobnego. – Jo kręci szklanką, w której wiruje podwójna whisky Monkey Shoulder z lodem.

Podoba mi się jej upodobanie do męskich alkoholi. Jo założyła sobie konto na Tinderze i doskonale się bawi, odkąd pomogliśmy jej ogarnąć kwestie techniczne. Na początku korzystała z ustawienia: mężczyźni w promieniu stu metrów, więc Rav musiał jej wyjaśnić, że gdyby namierzyła jakiegoś gościa w swojej ogrodowej szopie, prawdopodobnie nie miałby dobrych zamiarów. Bałamutny Phil, o ile nam wiadomo, jest obecnie skazanym na celibat nieszczęśliwym. Jeszcze za wcześnie, by rozstrzygać, czy wrócą do siebie, ale nawet jeżeli zapadnie korzystny dla niego wyrok, będzie musiał na nią trochę zaczekać.

– Przeszkodę stanowi tylko to, że kiedyś byłaś dla niego taka ważna – kontynuuje wywód. – Ale to nie oznacza, że go nie pociągasz. A ty już uporządkowałaś sprawy z przeszłości.

– No właśnie – wtóruje jej Clem.

– Och, wy szelmy! Wiem, że gdybyśmy zeszli się z Lucasem po latach, mielibyśmy uroczy epilog, ale życie nie jest takie piękne. Jego żoną na pewno zostanie dziewczyna tak cudna, że mogłaby śpiewać w The Corrs, a nie jakaś podstarzała blondynka z Yorkshire, która nosi kabaretki. – Robię

wymowną minę. Kumpele przyglądają mi się badawczo. – Wolę zachować we wspomnieniach przyjacielski uścisk dłoni Lucasa McCarthy’ego, zamiast pluć sobie w brodę, że na koniec zachowałam się jak zdesperowana idiotka – dodaję, unosząc szklankę jak do toastu.

– No i sama widzisz – zwraca się Clem do Jo. – Bez pomocy ani rusz.

Jo potakuje i nagle ogarnia mnie przecucie, że coś jest nie tak.

– Zauważyłaś, że nie daliśmy ci prezentu urodzinowego, prawda? Cóż, podjęliśmy szalone ryzyko, za które będziesz nam wdzięczna po kres swoich dni albo...

– Albo co? – pytam stanowczym tonem.

O Boże, jeżeli Clem uważa, że coś jest ryzykowne, i to w dodatku szalenie...

– Albo dojdzie do katastrofy, która zniszczy naszą przyjaźń i będzie nas prześladować do końca życia.

– Ach, no to wspaniale! Kupiliście mi bilet do Dublina na easyJet i koronkowe majtki z dziurką od Ann Summers? Jestem gotowa zmarnować wasze sto funtów.

– Nie, to coś bardziej odjechanego.

– Teraz naprawdę zaczynam się bać waszych pomysłów. Jo, dlaczego tak pobladłaś?

Przyjaciółka uśmiecha się zakłopotana i zerka nad moim ramieniem. Zesztywniała obracam się powoli i widzę Rava z tacą i następną kolejką drinków. Obok niego stoi Lucas McCarthy.



– Niespodzianka! – woła Rav.

Otwieram szeroko oczy ze zdumienia. Oddałabym wszystko, żeby nie mieć teraz na głowie tego idiotycznego diademu. Lucas trzyma ręce w kieszeniach czarnej kurtki i wpatruje się we mnie.

– Twierdziliście, że będzie zachwycona, kiedy niespodziewanie zjawię się na jej urodzinach – zwraca się do moich przyjaciół. – Jesteście pewni, że to był dobry pomysł?

– Zdecydowanie! – odpowiada Clem.

– Czy Georgina wygląda tak, jakby się cieszyła na mój widok? – Lucas marszczy czoło, udając, że studiuje moją minę. Uśmiecha się, ale ja, zablokowana szokiem, nie odwzajemniam jego uśmiechu.

– Zaniemówiła z wrażenia – oświadcza Rav.

Całe towarzystwo w napięciu obserwuje moją reakcję. Ciężko przełykam ślinę i próbuję zapanować nad emocjami.

– Cześć – wykrztuszam. – Yhm... co się dzieje?

– Zastanawialiśmy się, jak ci urządzić najwspanialsze urodziny, na jakie zasługujesz po tym wszystkim, co przeszłaś... – zaczyna trajkotać Jo. – Doszliśmy do wniosku, że najlepszym prezentem byłoby... spotkanie z Lucasem. A on zgodził się przyjść.

– Ludzie z twojej paczki uważają, że powinniśmy porozmawiać – odzywa się Lucas. – Od dawna zamierzałem odezwać się do ciebie, ale Clem i Jo skontaktowały się ze mną wcześniej... – wyjaśnia. Patrzę na Clem zachwyconą własną przebiegłością, na wciąż spiętą Jo, a potem przenoszę wzrok na Lucasa, który nie ma prawa być taki spokojny, a tym bardziej znowu się do mnie uśmiechać. – Nie przyszedłbym – mówi dalej – gdybym nie miał czegoś ważnego do powiedzenia. Ale wrócę do domu i się nie obrażę, jeśli nie zechcesz mnie wysłuchać...

– Nie! Nie, zostań – proszę.

A z tą trójką intrygantów rozprawię się później.

– Mogę to powiedzieć w obecności twoich przyjaciół, jeżeli nie poczujesz się skrępowana.

– Będzie nam bardzo miło – odzywa się Clem, nie czekając na moją odpowiedź.

Piorunuję ją wzrokiem.

– Skąd mam wiedzieć, czy czuję się skrępowana, skoro nawet się nie domyślam, co mi tu wygłosisz?

– Bo szczerze mówiąc, sam trochę się krępuję – przyznaje.

– No dobra. – Opieram spocone dłonie na kolanach i prostuję się na krześle. – Zamieniam się w słuch.

– Sporo o nas rozmyślałem. Kiedy już wyjaśniliśmy sobie sprawy z przeszłości, zastanawiam się, czy mógłbym zostać częścią twojej teraźniejszości.

Po kilku nierównych uderzeniach moje serce nagle przestaje bić. Przez sekundę nie żyję. Bezgłośnie otwieram i zamykam usta.

– Znaczy chciałbyś, żebym wróciła do The Wicker? – upewniam się, czy dobrze go zrozumiałam.

– Nie. Chciałbym cię zaprosić na kolację. Kiedyś, bo widzę, że dzisiaj jesteś zajęta.

Nieruchomieję, kiedy radość wypełnia mnie niczym blask słońca.

– Nie mieszkasz w Dublinie?

– Nie, jeśli ty mieszkasz tutaj. Złożyłem wniosek o przeniesienie. Mam nadzieję, że szef go zaakceptuje, chociaż to kawał skurwiela. – Puszczą do mnie oczko. Uśmiechamy się do siebie szeroko niczym dwoje półgłówek. Wrócił do mnie? Jest gotów to dla mnie zrobić? – Ćwiczyłem tę kwestię

z Devlinem – ciągnie Lucas. – Cytuję: „Daj spokój, smutacie, stać cię na więcej. Tyle się od ciebie nasłuchałem, kiedy usychałeś z tęsknoty za nią przez ostatnich kilka miesięcy”. – Robi wymowną minę. Parskam śmiechem. Usychał z tęsknoty za mną? Ani przez chwilę nawet nie marzyłam, że mógłby znowu mnie chcieć, tak jak ja chcę jego. Byłam przekonana, że odszedł na zawsze. – Odpowiedziałem mu: „Dev, chyba lepiej nie naciskać. Powinienem rozegrać to na spokojnie, zaprosić ją na randkę i zobaczyć, jak sprawy potoczą się dalej”. A on na to: „Ty niczego nie potrafisz rozegrać na spokojnie z tą dziewczyną. Traktowałeś ją z góry jak nabzdyczony fiut, więc trudno się dziwić, że zrezygnowała z pracy, a miała tu naprawdę przyzwoite warunki. Powiedz jej szczerze, co czujesz. Jesteś jej to winien”.

– O tak. Ech, niesamowite – wzdycha Jo.

– A więc kiedy cię pytam, czy któregoś dnia dasz się zaprosić na kolację... – Lucas przerywa, by wziąć głęboki wdech – tak naprawdę chciałbym wiedzieć, czy ty też masz nadzieję, że nasze randki przeobrażą się we wspólną codzienność, ale nie tylko ze względu na pożądanie. Czy ty też czujesz, że nie potrafimy bez siebie żyć? – peroruje jak natchniony, a całe towarzystwo wzdycha głośno z wrażenia, przyprawiając mnie o rumieniec. – Proponując ci kolację, zastanawiam się również, czy chciałabyś, żebym znowu gorączkowo zdarł z ciebie koszulkę, choć tym razem nie dlatego, że jest przesiąknięta moczem Thora.

Wybucham głośnym śmiechem.

– Widzę, że naprawdę wiele razem przeżyliście – komentuje półgłosem Rav.

– I wreszcie: czy kiedy zaczniemy spędzać wiele czasu u ciebie i u mnie, w końcu zdecydujemy się zamieszkać razem? Oczywiście z Keithem.

– Z Keithem? – pyta teatralnym szeptem Clem.

– Moim psem – wyjaśnia Lucas.

– Och, przepraszam, pomyślałam, że masz na przykład upośledzonego brata – odpowiada, a Rav zatyka jej usta dłonią.

– To również – przyznaje z kpiarskim uśmiechem Lucas.

– A co z Jammym? – dorzucam.

– Oczywiście dla niego także znajdzie się miejsce. – Nabiera głęboki haust powietrza. – Poza tym jestem ciekaw, czy chciałabyś, aby ktoś pomógł ci zapiąć sukienkę, kiedy będziesz wychodziła gdzieś wieczorem. Czy chciałabyś mieć na liście kontaktów numer kogoś bliskiego, do kogo zawsze możesz zadzwonić w trudnej chwili. Komu wyślesz esemesa, żeby kupił ci rybę z frytkami, gdy już sobie odpuścisz gotowanie domowego obiadu. Kogoś, kto pójdzie z tobą na rodzinne przyjęcie i oświadczy wszystkim obecnym, jakimi są szczęściarzami, że mają cię. Kto pobiegnie do apteki, kiedy złapiesz grypę. I jeszcze: czy chciałabyś, żebym rozkwaślił nos temu nędznemu błaznowi Hardy'emu, jeśli kiedykolwiek zbliży się do ciebie? Szczerze mówiąc, prawdopodobnie i tak to zrobię przy pierwszej nadarzającej się okazji, bo jest skończonym gnojkiem i sobie nagrabił. Każdy sąd mnie uniewinni.

Gromada bije brawo i krzyczy:

– Racja! Dobrze gada.

Lucas wyciąga do mnie rękę; jego ciepłe palce oplatają moją dłoń.

– Chciałbym wiedzieć, Georgino, czy możesz znowu się we mnie zakochać, tak jak ja zakochałem się w tobie. I zważywszy na to, że jesteś dla mnie najwspanialszym prezentem od losu, pozwól, abym spróbował stać się tym samym dla ciebie.

– O mój Boże – wykrztuszam z trudem.

Jednocześnie śmieję się i płaczę ze wzruszenia, a dziewczyny mi wtórują.

– No to zdrowie – wznosi toast Rav, po czym zwraca się do Jo i Clem: – Właśnie podniesiono nam poprzeczkę.

Wstaję i poprawiam diadem.

– Chcę tego wszystkiego. Dzięki, przyjmuję twoją propozycję. Zwłaszcza jeśli chodzi o rybę z frytkami.

– Czyżbyś była zakłopotana? Raczej nie bardziej niż ja.

– Szczerze mówiąc... – zawieszam głos, bo dosyć trudno mi wygłaszać wzniosłe deklaracje przed nieliczną, lecz podekscytowaną widownią – ...niczego więcej nie mogłabym oczekiwać. Jesteś



wszystkim, czego pragnę od życia.

Teraz osiągnęliśmy punkt, w którym wypadałoby się pocałować, a publiczność nie spuszcza nas z oczu. Napięcie rośnie.

Wymieniamy niepewne spojrzenia.

– Pozwolicie, że oddalimy się na chwilę. – Lucas chwyta mnie za rękę i prowadzi w stronę wyjścia.

Gdy wychodzimy na ulicę, owiewa nas mroźne powietrze. Lucas odwraca się, przyciąga mnie do siebie i całuje z zapalem, jakiego mimo wszystko się nie spodziewałam. Jego pocałunek ma w sobie mnóstwo głębokich znaczeń i podniecającego żaru – jest czymś, na co Lucas czekał, co sobie zaplanował, a teraz pokazuje mi, jak bardzo tego pragnął. Czuję w tym pocałunku naszą wspólną przyszłość i odwzajemniam go z nie mniejszym zapamiętaniem. Wplątam palce we włosy Lucasa, ale tym razem nie muszę go do niczego przekonywać, a moje nadzieje nie pozostają płonne. Myślałam, że nic nie może równać się z tym, co nas łączyło jako nastolatków, ale się myliłam. Teraz jest nam dużo lepiej. Nie pozostajemy już czystymi kartami; nosimy w sobie długie rozdziały życiowych doświadczeń, które opowiadają o nas samych i naszych dążeniach. Mamy sobie dużo więcej do zaoferowania i niecierpliwie czekamy, aby się tym dzielić.

– Wybacz, ale trochę mi głupio robić pewne rzeczy przy ludziach. – Lucas wskazuje głową drzwi pubu, gdy w końcu odrywamy się od siebie. – Nie jestem aż tak postępowy.

Parskam śmiechem.

– Ja też. Utknęłam w dwa tysiące piątym... To był dla mnie najwspanialszy rok.

– Dla mnie tak samo. – Dotyka moich policzków. – Boże, Georgino, jak ja za tobą tęskniłem. Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś? – pyta, a jego dłonie wędrują w dół i zatrzymują się na moich ramionach. – Gdybyś tylko dała jakikolwiek znak, że mnie chcesz, przybiegłbym w podskokach.

– Przecież wróciłaś do Irlandii!

– Tak tylko powiedziałem, żeby ci pokazać, że... no wiesz... że nie będę wisiał nad tobą jak wyrzut sumienia... zdręczał cię jak Heathcliff. Nie pomyślałaś, że czasem tu wpadnę? Wydawało mi się to takie oczywiste. Nie wystarczyło ci wyznanie, jak szaleńczo byłem w tobie zakochany, jeśli potrzebowałaś zachęty?

– Byłeś we mnie zakochany dwanaście lat temu.

– Dlaczego miałyby się to zmienić? Nic się nie zmieniło. Chociaż niezupełnie. Teraz szaleję za tobą jeszcze bardziej niż wtedy – wyznaje rozgorączkowany. Zbliżyliśmy się do siebie i nasze usta nieomal znowu się stykają, kiedy Lucas nieruchomieje. – Muszę ci powiedzieć, że tylko jeden pocałunek dzieli mnie od tego, żeby olać twoją imprezę urodzinową i zawlec cię do swojej jaskini, ale żal mi twoich przyjaciół – mówi. – Odłożymy to na później?

Ze śmiechem kiwam głową. Później. Jeszcze tak niedawno byłoby mi trudno uwierzyć, że później kiedykolwiek nastąpi, ale teraz jestem tego pewna.

Wracamy do środka, trzymając się za ręce.

– Domyślałam się, że dotrzymasz nam towarzystwa. – Rav stawia przed moim ukochanym szklankę piwa.

Lucas zdejmuje kurtkę, po czym siada na wolnym krześle. Znowu chwyta moją dłoń, a Clem i Jo, już lekko podchmielone, z przesadną zażyłością ściskają jego przedramię. Ta na pozór zwyczajna chwila jest niezwykle doniosła, bo wszystko w moim życiu się zmienia.

Dotarliśmy do punktu zwrotnego długą, okrężną drogą, by w dalszą podróż wyruszyć razem.

Czas płynie niespiesznie, a Lucas uprzejmie włącza się od czasu do czasu w rozmowę, wciąż ściskając pod stołem moją dłoń, jakby nie potrafił jej wypuścić ani na chwilę. Unoszę wzrok i napotykam rozbawione spojrzenie jego brązowych oczu.

Nie wiem, o czym myśli, i czekam z niecierpliwością, żeby się tego dowiedzieć.

## Podziękowania

Tak jak potrzeba całej wioski, żeby wychować dziecko, napisanie książki również wymaga zaangażowania sporej grupy ludzi; mam zatem ogromną nadzieję, że o nikim nie zapomnę. Na specjalne podziękowania zasługuje moja redaktorka Martha Ashby, która swoją ciężką pracą i głębokim zaangażowaniem sprawiła, że efekt końcowy jest najlepszy z możliwych. Nasza dwugodzinna telefoniczna dyskusja na temat fabuły zasługuje na osobną wzmiankę. Inni redaktorzy również byli skłonni poświęcić co najmniej połowę tego czasu na roztrząsanie różnych propozycji i wszyscy spisali się na medal. Wierzę, że ich cierpliwe starania pozostawiły ślad na kartach tej powieści.

Dziękuję również całemu zespołowi Harper Collins za entuzjazm i wsparcie. Zawsze sprawiacie, że czuję się dowartościowana, ale woda sodowa nie uderza mi do głowy. Lucy Vanderbilt – teraz robię wszystko, aby zyskać twoją aprobatę. Jestem również pełna wdzięczności dla Keshini Naidoo, adiustatorki obdarzonej radosnym poczuciem humoru i wielkim szacunkiem dla tekstu.

Jak zawsze kieruję wyrazy ogromnej wdzięczności pod adresem swojego niezłomnego agenta Douga Keana z Gunn Media – parafrazując słowa piosenki Fleetwood Mac: sprawiasz, że praca jest frajdą.

Mam szczęście pracować w branży, gdzie kobiety chętnie pomagają sobie nawzajem w rozpowszechnianiu wiadomości, zatem dziękuję Lindsey Kelk, Paige Toon i Giovannie Fletcher, które są wspaniałymi dziewczynami i tak dobrze przyjęły moją najnowszą książkę. Pierwszy raz mam okazję podziękować im w formie drukowanej i Bóg mi świadkiem, czynię to z pełną powagą.

Dziękuję wszystkim, którzy czytali pierwszy szkic tej powieści – Ewanowi McFarlane’owi, Tarze de Cozar, Seanowi Hewittowi, Kristy Berry, Jennifer Whitehead, Katie i Fraserowi, Jenny Howe i Laurze McFarlane – doskonałe uwagi! – daleko zajdziesz, dziewczyno. Nawet nie zdajecie sobie sprawy, jak bardzo mi pomogliście.

Jestem także winna podziękowania Julianowi Simpsonowi i Stuartowi Houghtonowi, którzy stali się de facto moimi kolegami z biura w magicznej przestrzeni internetu i opowiadają mi dowcipy warte powtórzenia.

Dziękuję również wam, wspaniali czytelnicy. Po raz piąty podbijam rynek wydawniczy i ciągle jestem pod wrażeniem waszej przychylności. Mam nadzieję, że kolejna powieść również będzie godna waszego czasu. Pozdrawiam wierną fankę Kay Miles. Wiadomości od ciebie zawsze sprawiają mi radość.

Dziękuję przyjaciółom i członkom rodziny, którzy ochno dzielą się ze mną anegdotami, pomagają mi unikać obłędu i nie narzekają, kiedy zbliża się deadline i nie mogę im poświęcić wiele czasu. Może to bonus.

Na koniec dziękuję Alexowi za jego bezgraniczną wiarę we mnie i wsparcie. Na swoje usprawiedliwienie powiem, że jestem choleryczna, niezbyt pachnąca i chodzę w piżamie do późnego popołudnia tylko na niektórych etapach procesu twórczego.

[1] Emily Brontë, *Wichrowe Wzgórza*, przekład Janina Sujkowska (wszystkie przypisy pochodzą od redakcji).

[2] Francuscy szefowie kuchni i restauratorzy.

[3] Przeł. Leon Ulrich.